James Redfield

Niebiańska przepowiednia

Z angielskiego przełożyła *Krystyna Chmiel*

Świat Książki

James Redfield

James Redfield żyje i pracuje na Południu Stanów Zjednoczonych. Poza pisarstwem zajmuje się astrologią i psychologią. Wydaje biuletyn *The Celestine Journal,* gdzie publikuje refleksje i doświadczenia z pracy nad odrodzeniem duchowym. Gdy pierwsze wydanie *Niebiańskiego proroctwa* znalazło się w małej prowincjonalnej księgarni, poruszyło serca i umysły czytelników, którzy podawali sobie tę książkę z rąk do rąk. Dalszy ciąg, nad którym autor pracuje, będzie poświęcony dziesiątemu wtajemniczeniu.

O książce

W tropikalnej puszczy Peru odkryto starożytny Rękopis. Na jego kartach znajduje się dziewięć fundamentalnych wtajemniczeń w istotę życia. Władze świeckie i kościelne są zainteresowane, aby jego treść, jako godząca w dotychczasowy porządek świata, nie przedostała się do wiadomości publicznej.
Bohaterowie powieści, ludzie różnych narodowości, poszukują Rękopisu. Ich drogi spotykają się i rozchodzą, lecz wszystkie wiodą w wysokie Andy, do ruin starych świątyń ukrytych w dziewiczych lasach. Odkrywając i przyswajając sobie kolejne wtajemniczenia, nabywają nowej świadomości, która zdaniem autora stanie się paradygmatem nadchodzącego tysiąclecia.
James Redfield proponuje nam przygodę pogoni za tajemnicą duchową. Dziewięć wtajemniczeń zawiera oryginalny obraz życia ludzkiego i wizję odrodzenia człowieka do kultury duchowej, dzięki której uda się ocalić planetę – jej piękno i żyjące na niej stworzenia. Wskazania dziewięciu wtajemniczeń to także narzędzie poznania wnętrza człowieka, zrozumienia prawdziwego charakteru związków międzyludzkich i rządzących nimi praw.

Tytuł oryginału
The Celestine Prophecy

Projekt obwoluty, oprawy i stron tytułowych
Cecylia Staniszewska

Redaktor
Helena Klimek

Korektor
Janina Słuszniak

BM Sp. z o. o. VI O/Warszawa – Świat Książki Warszawa 1994

Drukowano w GGP

ISBN 83-7129-080-2

Nr 1084

Zeskanowane i przetworzone przez *jarp*

Ostatnia aktualizacja
4 maja 2001

Sarze Wirginii Redfield

Mądrzy będą świecić jak blask sklepienia,
a ci, którzy nauczyli wielu sprawiedliwości, jak gwiazdy przez wieki i na zawsze.
Ty jednak, Danielu, ukryj słowa
i zapieczętuj księgę aż do czasów ostatecznych. Wielu będzie dociekało,
by pomnożyła się wiedza.

(Księga Daniela, 12: 3-4)

Podziękowania

Niemożliwością byłoby wymienić tu wszystkich, którzy wywarli wpływ na kształt tej książki. Szczególne podziękowania należą się jednak Alanowi Shieldsowi, Jimowi Gamble'owi, Markowi Lafountainowi, Marcowi i Debrze McElhaneyom, Danowi Questenberry'emu, B. J. Jonesowi, Bobby'emu Hudsonowi, Joy i Bobowi Kwapienom i Michaelowi Ryce'owi, autorowi powieści odcinkowej *Dlaczego znów mnie to spotyka?* Przede wszystkim zaś muszę podziękować mojej żonie Salle.

Od autora

W ciągu ostatniego półwiecza w społeczności ludzkiej zaczyna torować sobie drogę nowa świadomość. Można ją nazwać transcendentalną bądź duchową. Niewykluczone, że już w trakcie czytania tej książk*i* wyczujecie “szóstym zmysłem", co się dzieje, że być może dostąpicie wtajemniczenia.
Zaczyna się to zwykle nasiloną wrażliwością na to, co dokonuje się wokół nas. Zauważamy, że pewne pozornie przypadkowe zjawiska dają znać o sobie akurat we właściwym momenc*i*e, rzucając światło akurat na właściwych ludzi i nagle nasze życie zaczyna się toczyć w zupełnie odmiennym kierunku. Może bardziej niż ktoś inny i niż my kiedy indziej wyczuwamy intuicyjnie ukryte znaczenie tych tajemniczych wydarzeń.
W gruncie rzeczy wiemy, że życie jest zjawiskiem o charakterze duchowym, bardzo osobistym i frapującym, nie wyjaśnionym do końca przez żadną religię ani filozofię. Wiemy także coś więcej: że gdy tylko zrozumiemy, o co tu chodzi, skoro zdołamy włączyć się w ten duchowy proces i zmaksymalizować jego wpływ na nasze życie – ludzkość dokona gigantycznego przeskoku w całkiem nową jakość. Powstaną wtedy możliwości realizacji tego, co najlepsze w naszej tradycji, i ukształtuje się kultura, do jakiej zmierza cała historia ludzkości.
Prezentowana powieść stanowi propozycję nowego sposobu myślenia. Jeśli wywrze na was jakieś wrażenie, pomoże wam nazwać coś, czego doświadczaliście w życiu – podzielcie się z innymi swoimi spostrzeżeniami. Myślę bowiem, że nasza nowa duchowa świadomość najlepiej rozwija się w ten sposób, nie za pośrednictwem mody lub hipnozy, lecz drogą pozytywnych kontaktów międzyludzkich.
Jest wszakże jeden warunek: musimy wyzbyć się dotychczas nurtujących nas wątpliwości i rozterek. A wtedy cudownym sposobem ta nowa rzeczywistość stanie się i naszym udziałem.

Spis treści

Stan krytyczny

Zaparkowałem samochód w pobliżu restauracji i rozsiadłem się wygodniej na siedzeniu, żeby zebrać myśli. Wiedziałem, że Charlene czeka tam na mnie i ma mi coś do powiedzenia. Co to może być? Sześć lat nie dawała żadnego znaku życia, dlaczego więc pojawiła się akurat teraz, gdy na tydzień zaszyłem się w lasach?
Wysiadłem i przeszedłem kawałek pieszo do restauracji. Za mną dogasały ostatnie promienie zachodzącego słońca rzucając bursztynowe błyski na mokrą płytę parkingu. Przed godziną przeszła krótka, lecz gwałtowna burza, a po niej nastał chłodny i rześki letni wieczór. Przyćmione światło i wiszący na niebie półksiężyc robiły wrażenie wręcz surrealistyczne.
Idąc rozmyślałem o Charlene. Czy wciąż jest tak piękna i wrażliwa, czy też może czas ją zmienił? Wspomniała coś o jakimś rękopisie. Nie wiedziałem, co o tym myśleć – czy ten starożytny dokument odnaleziony w Ameryce Południowej zawiera coś tak ważnego, że musi bezzwłocznie powiadomić mnie o tym?
– Mam dwie godziny postoju na lotnisku – oznajmiła przez telefon. – Może zjedlibyśmy razem kolację? Będziesz zachwycony tym rękopisem – to taka zagadka, jakie lubisz!
Taka zagadka, jakie lubię? Cóż to miało oznaczać? Restauracja była przepełniona. Grupki ludzi czekały, aż
zwolni się jakiś stolik. Kierowniczka sali poinformowała mnie, że Charlene zajęła już dla nas miejsca na galerii, nad główną salą jadalną.
Kiedy wszedłem na górę, zauważyłem, że wokół jednego stolika zebrał się spory tłumek. Było tam nawet dwóch policjantów. W pewnej chwili policjanci odwrócili się, minęli mnie i zbiegli na dół. Wkrótce rozeszli się także pozostali. Ośrodkiem ich uwagi okazała się siedząca przy stoliku kobieta. To była Charlene!
Podbiegłem do niej.
– Charlene, czy coś się stało?

Pozornie gniewnym gestem odrzuciła głowę do tyłu i wstała, ze swoim zwykłym, olśniewającym uśmiechem. Zauważyłem, że chyba zmieniła kolor włosów, ale jej twarz w niczym nie różniła się od tej, którą zapamiętałem. Te same delikatne rysy, szerokie usta i duże, błękitne oczy.
– Nie uwierzysz – zaczęła, kiedy wymieniliśmy powitalne uściski. – Wyszłam na chwilę do toalety i nim wróciłam, ktoś ukradł mi teczkę.
– Co w niej miałaś?
– Nic ważnego, kilka książek i czasopism na drogę. To coś niesamowitego! Goście od sąsiednich stolików powiedzieli, że ktoś po prostu wszedł, wziął teczkę i wyszedł. Opisali go policji dość dokładnie i gliniarze obiecali, że przeczeszą teren.
– Może powinienem pomóc im szukać?
– Nie, nie myślmy już o tym. Nie mam zbyt dużo czasu, a chciałabym zamienić z tobą parę słów.
Zgodziłem się i usiedliśmy. Podszedł kelner, toteż przejrzeliśmy kartę i złożyliśmy zamówienie. Następne dziesięć czy piętnaście minut przegadaliśmy o wszystkim i o niczym. Starałem się grać rolę, którą sam sobie narzuciłem, ale Charlene przejrzała moje matactwa.
– Ale co się naprawdę z tobą dzieje? – spytała pochylając się ku mnie z czarującym uśmiechem.
Odpowiedziałem jej uważnym spojrzeniem.
– Chciałabyś od razu wszystko wiedzieć.
– Jak zawsze.
– Widzisz, tak naprawdę to postanowiłem posiedzieć nad jeziorem, żeby mieć trochę czasu dla siebie. Ostatnio dużo pracowałem, ale myślę o zmianie stylu życia.
– Wspominałeś kiedyś o tym jeziorze, ale zdawało mi się, że ty i twoja siostra musieliście je sprzedać.
– Jeszcze nie, ale może będziemy musieli, bo podatki od nieruchomości na terenach podmiejskich wciąż rosną. Przyznała mi rację.
– No a co chcesz robić dalej?
– Na razie nie wiem, ale coś całkiem innego. Rzuciła mi badawcze spojrzenie.
– Zdaje się, że jesteś tak samo zabiegany jak wszyscy.

– Chyba tak – przyznałem. – A dlaczego pytasz?
– Bo o tym jest właśnie mowa w Rękopisie. Odwzajemniłem jej badawcze spojrzenie.
– Opowiedz mi o tym rękopisie – poprosiłem. Odchyliła się na krześle, jakby chcąc zebrać myśli, po czym znów spojrzała na mnie uważnie.
– Wspominałam ci chyba przez telefon, że kilka lat temu odeszłam z redakcji gazety i podjęłam pracę w instytucie naukowym, który bada przemiany kulturowe i demograficzne dla potrzeb ONZ. Ostatnio otrzymałam zlecenie wyjazdu do Peru. Gdy prowadziłam badania na uniwersytecie w Limie, doszły mnie słuchy o pewnym starym rękopisie, który właśnie odkryto. Tyle że nikt nie potrafił podać żadnych szczegółów, nawet na wydziałach archeologii i antropologii. Gdy próbowałam zasięgnąć informacji w kołach rządowych, wszyscy zaprzeczali, jakoby coś o tym wiedzieli. W końcu ktoś mi powiedział, że z jakichś powodów rząd robi wszystko, aby ten dokument ukryć. Ale ta osoba też nie wiedziała niczego pewnego. Znasz mnie – ciągnęła dalej. – Wiesz, że jestem dociekliwa. Kiedy wykonałam swoje zadanie, postanowiłam przedłużyć trochę pobyt i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej. Początkowo wszystkie tropy, którymi szłam, prowadziły donikąd, aż kiedyś wstąpiłam coś zjeść do knajpki na peryferiach Limy. Zauważyłam, że jakiś ksiądz dziwnie mi się przygląda. Po paru minutach podszedł do mnie i wyznał, że słyszał o moim zainteresowaniu Rękopisem. Nie chciał ujawnić swojego nazwiska, ale zgodził się na rozmowę.

Przerwała na chwilę, wciąż intensywnie się we mnie wpatrując.
– Powiedział, że Rękopis pochodzi sprzed około sześciuset lat przed naszą erą i przepowiada gruntowne przemiany w społeczności ludzkiej.
– Kiedy te przemiany mają się zacząć? – spytałem.
– W ostatnich dziesięcioleciach dwudziestego wieku.
– To znaczy teraz?
– Tak, teraz.
– I czego mają dotyczyć? Przezwyciężając zakłopotanie powiedziała:

– Ksiądz twierdzi, że ma to być odrodzenie naszej świadomości, które będzie dokonywać się bardzo powoli. Nie ma ono charakteru religijnego, raczej duchowy. Odkryjemy zupełnie nowe aspekty naszego życia na tej planecie, nowe funkcje naszej egzystencji. Według księdza ma to radykalnie zmienić oblicze kultury.
Po krótkiej przerwie dodała:
– Ksiądz mówił, że Rękopis dzieli się na części czy rozdziały, z których każdy poświęcony jest jednemu “wtajemniczeniu". Zapowiada, że właśnie za naszych czasów ludzkość zacznie przyswajać sobie jedno po drugim kolejne wtajemniczenia, aż cywilizacja ziemska osiągnie stadium pełnego uduchowienia.
Potrząsnąłem głową i sceptycznie uniosłem brwi.
– I ty naprawdę w to wierzysz?
– No cóż, myślę... – zaczęła. Przerwałem jej.
– Rozejrzyj się! – wskazałem tłum wypełniający salę pod nami. – To jest realny świat. Czy dostrzegasz w nim jakieś zmiany?
Odpowiedź nadeszła od stolika pod ścianą. Gniewna uwaga, której treści nie zrozumiałem, była tak głośna, że cała sala zamilkła. Pomyślałem, że znów coś komuś ukradziono, ale okazało się, że to tylko kłótnia. Kobieta, około trzydziestki, zerwała się z miejsca i patrząc z oburzeniem na mężczyznę siedzącego naprzeciw krzyczała:
– Nie! Chodzi o to, że nasz związek nie jest taki jak chciałam! Rozumiesz? Nie taki! – Opanowała się nieco, rzuciła na stół serwetkę i wyszła.
Charlene i ja spoglądaliśmy na siebie, zaszokowani, że ten wybuch nastąpił akurat wtedy, gdy mówiliśmy o ludziach w tej sali. W końcu Charlene gestem wskazała stolik, przy którym pozostał samotny mężczyzna, i podsumowała:
– To właśnie jest ten świat realny, który się zmienia.
– W jaki sposób? – spytałem, wciąż nie mogąc odzyskać równowagi.
– Przemiany zaczynają się wraz z pierwszym wtajemniczeniem, a ono, według słów księdza, najpierw zawsze dokonuje się w podświadomości i przybiera postać

głębokiego uczucia niepokoju.
– Niepokoju?
– Właśnie.
– I cóż nas tak niepokoi?
– Otóż to! Początkowo czujemy się niepewnie. Zaczynamy poszukiwać alternatywnych przeżyć, czyli takich chwil w życiu, w których czujemy jakoś inaczej, bardzo intensywnie i twórczo. Nie wiemy, skąd one się biorą ani jak przedłużyć ich trwanie, ale kiedy ustają, mamy poczucie niedosytu i zaniepokojenia, bo życie znów staje się zwyczajne.
– Uważasz więc, że właśnie taki niepokój spowodował gniew tamtej kobiety?
– Tak. Ona jest takim samym człowiekiem jak my wszyscy. Wszyscy szukamy w życiu samorealizacji i nie chcemy pogodzić się z niczym, co “ściąga nas na ziemię". To wieczne niespokojne poszukiwanie ma swoje źródło w postawie egoistycznej, która w ostatnich dziesięcioleciach cechuje wszystkich, od Wall Street po bandy podwórkowe. – Spojrzała na mnie. – No, a w związkach wzajemnych potrafimy tylko stawiać żądania, co uniemożliwia w końcu utrzymanie jakichkolwiek związków.
Ta uwaga przypomniała mi moje ostatnie doświadczenia. Dwie znajomości, które zaczęły się bardzo gwałtownie i nie przetrwały nawet roku. Charlene czekała cierpliwie, aż znów skoncentruję się na niej.
– Co właściwie dzieje się z naszymi związkami uczuciowymi? – spytałem.
– Długo rozmawiałam o tym z księdzem – odpowiedziała. – On uważa, że zawsze gdy partnerzy są zbyt wymagający i żądają od siebie nawzajem podporządkowania się stylowi życia drugiej strony, musi dojść do walki osobowości.
Tu trafiła w sedno. Oba moje poprzednie związki były skażone tą walką o dominację. Nieustające konflikty wybuchały nawet wokół programu dnia. Widocznie przyjęliśmy za ostre tempo i nie było czasu, aby uzgodnić, co mamy robić, dokąd chodzić i jakie zainteresowania rozwijać. W końcu kwestia, kto postawi na swoim i zdoła przeforsować swoją wizję życia codziennego, okazała się przeszkodą nie do

pokonania.
– Właśnie ta walka o przewodnictwo – ciągnęła Charlene
– sprawia, że trudno nam żyć przez dłuższy czas z jedną osobą.
– Niewiele to ma wspólnego ze sprawami ducha – zauważyłem.
– To samo powiedziałam księdzu. Ale on zwrócił mi uwagę, że z tego ustawicznego niepokoju wywodzi się większość patologii społecznych. Jest to zresztą problem przejściowy, który powoli już wygasa. Ostatecznie uświadomimy sobie, do czego naprawdę dążymy, czym w istocie jest to inne, bardziej satysfakcjonujące przeżycie. Kiedy w pełni to pojmiemy, osiągniemy pierwszy stopień wtajemniczenia.

Na chwilę przerwaliśmy, gdyż podano nam kolację. Kelner nalewał wino, a my próbowaliśmy nawzajem swoich potraw. Charlene przechyliła się przez stół, aby nabrać trochę łososia z mojego talerza. Zmarszczyła przy tym nosek i zachichotała. Wtedy uświadomiłem sobie, jak swobodnie czuję się w jej towarzystwie.
– No, dobrze. Jakie więc jest to przeżycie, którego szukamy? Czym jest pierwsze wtajemniczenie? – spytałem. Zastanowiła się, jakby nie wiedziała, od czego zacząć.
– Trudno to wyjaśnić. Ksiądz ujął to tak: Pierwsze wtajemniczenie osiągamy wtedy, kiedy uświadamiamy sobie zbieżność wielu zdarzeń w naszym życiu. – Nachyliła się do mnie.
– Czy miałeś kiedyś przeczucie dotyczące twoich zamiarów na przyszłość lub jakiegoś życiowego wyboru? A potem dziwiłeś się, jak to możliwe? Jeszcze później, kiedy już prawie o tym zapomniałeś i zająłeś się czym innym, nagle spotkałeś kogoś, przeczytałeś coś lub znalazłeś się gdzieś i nadarzyła się sposobność zrealizowania tego, co przewidziałeś? Ksiądz twierdzi, że kiedy takie “zbiegi okoliczności" zdarzają się coraz częściej, przestajemy traktować je jak przypadek. Odbieramy je jako przeznaczenie, jakby naszym życiem rządziła jakaś niewytłumaczalna siła. Takie doświadczenia indukują aurę tajemnicy i podniecenia, która pomnaża naszą energię życiową. Te doświadczenia najbardziej utrwalają się w naszej pamięci. Z

każdym dniem coraz więcej osób przekonuje się, że ta tajemnicza tendencja istnieje, działa, niepostrzeżenie przewija się przez nasze życie codzienne. Świadomość tego to właśnie pierwsze wtajemniczenie.
Spojrzała na mnie wyczekującym wzrokiem, lecz nie doczekała się odpowiedzi.
– Nie rozumiesz? – spytała. – Pierwsze wtajemniczenie to rozważanie sfery tajemnicy, która nieodmiennie towarzyszy życiu każdej istoty na tej planecie. Doświadczamy dziwnych zbiegów okoliczności i choć jeszcze nie rozumiemy ich w pełni, wiemy, że istnieją naprawdę. Podobnie jak w dzieciństwie, przeczuwamy istnienie drugiej, nie odkrytej jeszcze strony życia, czegoś, co się dzieje za kulisami sceny.
Przechyliła się jeszcze bardziej w moją stronę, cały czas gestykulując.
– Chyba mocno się w to zaangażowałaś – stwierdziłem.
– Pamiętam – zauważyła surowo – że kiedyś ty sam wspominałeś o tego rodzaju przeżyciach.
Zaszokowało mnie to, bo miała rację. Istotnie miałem w życiu taki okres, kiedy uderzała mnie zbieżność różnych zdarzeń i próbowałem wytłumaczyć to sobie psychologicznie. Wkrótce jednak zmieniłem poglądy. Nie wiem dlaczego, zacząłem uważać swoje poprzednie reakcje za niedojrzałe i nie uzasadnione i przestałem dostrzegać te dziwne zdarzenia. Spojrzałem w oczy Charlene i zacząłem się usprawiedliwiać:
– Widocznie zgłębiałem wtedy filozofię Wschodu albo mistykę chrześcijaństwa i dlatego to zapamiętałaś. To, co nazywasz pierwszym wtajemniczeniem, było już wielokrotnie opisywane. Co w tym nowego? I w jaki sposób postrzeganie tajemniczych wydarzeń może prowadzić do przemian kulturowych?
Charlene przez chwilę wpatrywała się w podłogę, po czym znów podniosła na mnie wzrok.
– Nie zrozum mnie źle – powiedziała. – Oczywiście, tego rodzaju przeżycia były już udziałem innych i zostały opisane. Ksiądz także zaznaczył, że nie jest to zjawisko nowe. W historii bywały jednostki tak wyczulone na niewytłumaczalne zbieżności zdarzeń, że ich percepcja nie poddawała się żadnej

interpretacji filozoficznej ani religijnej. Różnica tkwi głównie w sferze ilościowej. Zdaniem księdza przemiany mogą zachodzić wtedy, gdy wiele osób równocześnie doświadcza tego samego.

– Czyli konkretnie kiedy? – spytałem.

– Rękopis mówi podobno, że liczba osób świadomych istnienia tych dziwnych zbieżności miała w zawrotnym tempie zacząć wzrastać w szóstej dekadzie dwudziestego wieku. Wzrost ten ma trwać aż do początku następnego stulecia, kiedy osiągnie poziom maksymalny – taki, który można by nazwać stanem krytycznym. A – jak mówi Rękopis – kiedy osiągniemy ten “stan krytyczny", cała społeczność ludzka zacznie traktować owe “zbiegi okoliczności" z należytą uwagą. Wtedy wszyscy zaczniemy dociekać, jakie tajemnicze procesy leżą u podstaw życia na naszej planecie. I to pytanie, które zada sobie równocześnie wielka liczba ludzi, otworzy naszej świadomości drogę do dalszych wtajemniczeń. Zgodnie z tym, co znajduje się w Rękopisie, jeżeli odpowiednio duża liczba osób zacznie poważnie zastanawiać się nad sensem życia, sens ten zostanie odkryty. Wtedy kolejno, jedno po drugim, odsłonią się przed nami dalsze wtajemniczenia.

Przerwała na chwilę, aby zająć się posiłkiem.

– I wtedy nasza cywilizacja wzniesie się na wyższy poziom?

– To właśnie powiedział ksiądz – stwierdziła. Przez chwilę patrzyłem na nią, rozważając wizję “stanu krytycznego". Wreszcie zauważyłem:

– Brzmi to zbyt uczenie jak na rękopis powstały sześćset lat przed naszą erą.

– Ja też się nad tym zastanawiałam – przyznała. – Ksiądz jednak zapewnił mnie, że uczeni, którzy pierwsi przetłumaczyli ten dokument, byli w pełni przekonani o jego autentyczności. Tym bardziej że napisano go w języku aramejskim, tym samym co większość ksiąg Starego Testamentu.

– A skąd wziął się język aramejski w Ameryce Południowej sześćset lat przed narodzeniem Chrystusa?

– Tego ksiądz nie wiedział.

– A czy Kościół popiera treści zawarte w Rękopisie?

– Nie – odparła. – Mało tego, większość kleru zawzięcie

stara się utrzymać w tajemnicy jego istnienie. Dlatego ten ksiądz nie chciał podać mi swojego nazwiska. Rozmawiając ze mną najwyraźniej narażał się na niebezpieczeństwo.
– A czy powiedział, dlaczego hierarchia kościelna jest przeciwna ujawnieniu Rękopisu?
– Tak. Rzuca on wyzwanie doskonałości ich wiary. – W jaki sposób?
– Nie wiem. Niewiele o tym mówił. Najwidoczniej dalsza jego zawartość godzi w dogmaty Kościoła i to jest groźne dla jego dostojników, gdyż według nich dobrze jest tak jak jest.
– Rozumiem.
– Ksiądz utrzymywał, że w jego mniemaniu Rękopis nie podważa żadnej z uznanych prawd wiary. Raczej wyjaśnia prawdziwe ich znaczenie. W jego przekonaniu hierarchowie kościelni dostrzegliby tę prawdę, gdyby zechcieli spojrzeć na życie jak na wielką zagadkę – wówczas sami doszliby do kolejnych wtajemniczeń.
– A czy nie powiedział ci, ile jest tych wtajemniczeń?
– Nie. Wspomniał jeszcze tylko o drugim, które daje bardzo przekonującą interpretację najnowszej historii i objaśnia zachodzące przemiany.
– Czy podał ci jakieś szczegóły?
– Nie. Nie było czasu. Musiał wyjechać, żeby załatwić jakieś sprawy. Umówiliśmy się, że spotkamy się wieczorem u niego w domu, ale kiedy tam przyjechałam, nie zastałam go. Czekałam trzy godziny, ale się nie pojawił. Musiałam wyjechać, bo nie zdążyłabym na samolot.
– To znaczy, że nie miałaś już okazji z nim porozmawiać?
– Nie. Więcej go nie widziałam.
– A z kół rządowych nie otrzymałaś żadnej informacji potwierdzającej istnienie Rękopisu?
– Absolutnie żadnej.
– Kiedy to było?
– Jakieś półtora miesiąca temu.
Kilka następnych minut jedliśmy w milczeniu. W końcu Charlene podniosła głowę znad talerza i spytała:
– No więc co o tym myślisz?
– Nie wiem – przyznałem. Z jednej strony sceptycznie

traktowałem ideę tak daleko idących przemian w społeczności ludzkiej. Z drugiej jednak zafrapowała mnie sama myśl, że może ten Rękopis naprawdę istnieje.
– Czy ksiądz pokazywał ci może jakąś kopię? – spytałem.
– Nie. Mam tylko notatki z tej rozmowy. Przez chwilę znów panowała cisza.
– No wiesz! – Odezwała się w końcu Charlene. – Sądziłam, że cię to naprawdę zaciekawi.
– Potrzebowałbym jakiegoś dowodu na to, co tam napisano. Uśmiechnęła się szeroko.
– Co cię tak śmieszy? – spytałem.
– Ja powiedziałam to samo.
– Księdzu?
– Tak.
– A on?
– Powiedział, że takim dowodem jest doświadczenie.
– Co miał na myśli?
– To, że osobiste doświadczenie uwiarygodnia tezy zawarte w Rękopisie. Jeżeli naprawdę zastanowimy się nad tym, co czujemy i jak toczy się nasze życie w danym momencie historycznym, myśli zawarte w Rękopisie ukażą nam swój sens, przemówią prawdą. – Zawahała się. – Czy to cię nie przekonuje?
Zamyśliłem się. Czy to mnie przekonuje? Czy wszystkich trawi taki sam niepokój jak mnie, a jeśli tak, to czy niepokój ten wynika ze zwykłej intuicji, z nawarstwiającej się w ciągu trzydziestu lat świadomości, że życie jest czymś więcej niż wiemy i możemy sprawdzić empirycznie?
– Nie jestem pewien – wydusiłem w końcu. – Przypuszczam, że potrzebowałbym czasu, aby to przemyśleć.
Wyszedłem z sali restauracyjnej do ogrodu i stanąłem za cedrową ławeczką na wprost fontanny. Z prawej strony widziałem migające światła lotniska i słyszałem huk odrzutowca, gotowego do startu.
– Jakie piękne kwiaty! – usłyszałem za sobą głos Charlene. Szła alejką w moją stronę, podziwiając rzędy petunii i begonii okalające miejsca do siedzenia. Stanęła przy mnie, a ja otoczyłem ją ramieniem. Przywołałem na myśl różne

wspomnienia. Przed laty oboje mieszkaliśmy w Charlottesville w stanie Wirginia i spędzaliśmy całe wieczory na dyskusjach poświęconych różnym teoriom akademickim i problemom rozwoju psychicznego człowieka. Byliśmy zafascynowani zarówno tymi rozmowami, jak sobą nawzajem. Teraz uderzyło mnie, że zawsze był to związek czysto platoniczny.

– Trudno wyrazić, jak miło znów cię spotkać – odezwała się Charlene.

– O, tak! – potwierdziłem. – Twój widok wzbudza we mnie mnóstwo wspomnień.

– Dlaczego właściwie nie utrzymywaliśmy kontaktu? – zastanawiała się głośno. To pytanie przypomniało mi o naszym ostatnim spotkaniu. śegnaliśmy się w moim samochodzie. Akurat wracałem do domu z głową pełną nowych pomysłów na temat postępowania z maltretowanymi dziećmi. Wydawało mi się, że wiem wszystko o sposobach odreagowywania przez te dzieci ich przeżyć, tłumienia gwałtownych reakcji, aby wymazać je ze swego dalszego życia. Z czasem okazało się, że moje podejście było błędne. Musiałem sam przed sobą przyznać się do niewiedzy. Wciąż pozostało dla mnie zagadką, jak ludzie uwalniają się od własnej przeszłości.

Spoglądając teraz wstecz na minione sześć lat utwierdzałem się w przekonaniu, że zdobyte doświadczenie miało swoją wartość. Niemniej czułem potrzebę jakiejś zmiany. Ale dokąd miałbym się przenieść i co robić? Od tamtej chwili, gdy Charlene pomogła mi skrystalizować swoje poglądy na urazy dzieciństwa – myślałem o niej zaledwie kilka razy. Teraz znów pojawiła się w moim życiu i rozmowa z nią okazała się tak samo ekscytująca jak dawniej.

– Chyba byłem pochłonięty pracą – próbowałem się usprawiedliwiać.

– Ja też – zawtórowała. – W redakcji jeden reportaż gonił drugi. Nie zostawało mi czasu na nic.

– Czy wiesz, że już zapomniałem, jak dobrze nam się zawsze rozmawiało? – Ścisnąłem ją za ramię. – Jak lekko i naturalnie? Po jej wzroku i uśmiechu poznałem, że czuje to samo.

– Tak. Rozmowa z tobą zawsze dodawała mi sił.

Chciałem jeszcze coś powiedzieć, gdy zauważyłem, że Charlene, omijając mnie wzrokiem, wpatruje się w wejście do restauracji. Jej twarz zbladła i przybrała gniewny wyraz.
– Co się stało? – spytałem zwracając się w tamtą stronę. W kierunku parkingu szło kilka osób, rozmawiając jakby nigdy nic; żadna nie robiła na mnie niezwykłego wrażenia. Spojrzałem na twarz Charlene, która wciąż wyglądała na zaniepokojoną.
– Co tam zobaczyłaś?
– Zauważyłeś takiego faceta w szarej koszuli koło pierwszego rzędu samochodów?
Spojrzałem jeszcze raz na płytę parkingu. Z restauracji wychodziła tymczasem następna grupa ludzi.
– Jakiego faceta?
– Pewnie już go tam nie ma – stwierdziła, wytężając wzrok. Potem odwróciła się do mnie i wyjaśniła: – Ten mężczyzna, który ukradł moją teczkę, miał być łysawy, z brodą i w szarej koszuli. Wydaje mi się, że taki właśnie facet przyglądał się nam zza samochodów.
Poczułem skurcz strachu w żołądku. Obiecałem Charlene, że zaraz wrócę, i przeszedłem się po parkingu, przezornie starając się nie odchodzić zbyt daleko. Nie dostrzegłem jednak nikogo, kto odpowiadałby opisowi.
Gdy wróciłem, Charlene wyszła mi naprzeciw.
– Jak sądzisz? – spytała ostrożnie. – Może ten człowiek myślał, że mam w teczce kopię Rękopisu, i chciał go w ten sposób zdobyć?
– Nie mam pojęcia. Ale zaraz zadzwonimy znów na policję i powiemy im, co widziałaś. Powinni sprawdzić wszystkich pasażerów, którzy mają z tobą lecieć.
Weszliśmy z powrotem do budynku i zadzwoniliśmy na posterunek. Policjanci przez dwadzieścia minut sprawdzali wszystkie samochody, potem oświadczyli, że nie mogą już poświęcić nam więcej czasu. Obiecali skontrolować wszystkich pasażerów samolotu, którym miała lecieć Charlene.
Gdy policjanci odjechali, znów znaleźliśmy się przy fontannie.
– Zaraz, o czym to mówiliśmy, zanim zobaczyłam tego

faceta? – zastanawiała się Charlene.
– O nas – przypomniałem jej. – Właściwie dlaczego wpadłaś na pomysł, aby poinformować mnie o tym wszystkim? Spojrzała na mnie z pewnym zakłopotaniem.
– Wtedy, w Peru, kiedy słuchałam opowieści księdza, cały czas myślałam o tobie.
– Ach, tak!
– Nie bardzo zdawałam sobie wówczas z tego sprawę - ciągnęła. – Kiedy jednak wróciłam do Wirginii, każda myśl o Rękopisie kojarzyła mi się z tobą. Kilka razy chciałam już do ciebie dzwonić, ale zawsze coś stanęło mi na przeszkodzie. Gdy otrzymałam delegację do Miami, gdzie właśnie lecę, już w samolocie odkryłam, że mam tu dwie godziny postoju. Po wylądowaniu odnalazłam więc twój numer, ale automatyczna sekretarka odpowiedziała, żeby szukać cię nad jeziorem, i tylko w nagłych wypadkach. Zadecydowałam, że powinnam zadzwonić.
Przez chwilę nie byłem pewien, co o tym sądzić.
– Oczywiście – powiedziałem w końcu – bardzo dobrze, że zadzwoniłaś. – Charlene spojrzała na zegarek.
– Robi się późno. Chyba już wrócę na lotnisko.
– Podwiozę cię – zaproponowałem.
Pojechaliśmy na dworzec lotniczy i przeszliśmy do hali odlotów. Rozglądałem się uważnie, czy nie widać czegoś podejrzanego. Do samolotu do Miami wchodzili już pasażerowie. Przy wejściu stał policjant i przyglądał się każdemu wsiadającemu. Kiedy podeszliśmy do niego, zameldował nam, że obserwował wszystkich wymienionych na liście pasażerów, ale żaden nie odpowiadał podanemu rysopisowi złodzieja.
Podziękowaliśmy, a gdy odszedł, Charlene z uśmiechem zwróciła się do mnie.
– Pewnie już będę wsiadać – pożegnała mnie uściskiem. - Tu masz moje namiary. Tym razem lepiej bądźmy w kontakcie!
– Uważaj! – przestrzegłem ją. – Gdybyś zauważyła coś podejrzanego, wzywaj zaraz policję!
– Nie martw się o mnie – odpowiedziała. — Wszystko będzie dobrze!

Przez chwilę patrzyliśmy sobie głęboko w oczy.
– Co masz zamiar dalej robić w sprawie tego Rękopisu? - spytałem.
– Jeszcze nie wiem. Pewnie będę słuchać, kiedy wreszcie podadzą coś w wiadomościach.
– A jeżeli będą trzymać to w tajemnicy?
– Wiedziałam, że połkniesz haczyk! – Uśmiechnęła się zadowolona. – Mówiłam, że to coś, co uwielbiasz. Co więc ty masz zamiar z tym zrobić?
Wzruszyłem ramionami.
– Pewnie będę próbował dowiedzieć się czegoś więcej.
– Daj mi znać, jeśli ci się uda.
Ostatnie “Do widzenia!" i Charlene poszła w stronę samolotu. Odwróciła się jeszcze i pomachała mi, po czym znikła w rękawie dla wsiadających. Wróciłem do swego wozu i pojechałem prosto nad jezioro, zatrzymując się tylko dla zatankowania paliwa.
Gdy przyjechałem na miejsce, wyszedłem na oszkloną werandę i usiadłem w bujanym fotelu. Wokół słychać było głosy świerszczy, żabek drzewnych, a z dalszej odległości – lelka amerykańskiego zwanego przedrzeźniaczem. Na zachodnim brzegu jeziora z wody wynurzał się księżyc, od którego po powierzchni wody biegła do mnie falująca smuga światła.
Dzisiejszy wieczór minął bardzo interesująco, ale na wizję przemian kulturowych zapatrywałem się raczej sceptycznie. Bardziej przemawiał do mnie idealizm społeczny lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, czy nawet prądy duchowe modne w latach osiemdziesiątych. To, co działo się teraz, było trudne do oceny. Jakaż to nowa informacja mogłaby nagle odmienić świat? Wizja taka wydawała się zbyt idealistyczna i mocno naciągana. W końcu ludzie zamieszkują na tej planecie od dość dawna. Niby dlaczego dopiero teraz mieliby dogłębnie wejrzeć w istotę egzystencji? Jeszcze przez chwilę wpatrywałem się w taflę wody, a potem pogasiłem światła i poszedłem do sypialni trochę poczytać.
Następnego ranka obudziłem się nagle, ze świeżym jeszcze wspomnieniem przeżytego snu. Chyba z minutę leżałem patrząc

w sufit i przypominając sobie szczegóły sennej wizji. Śniło mi się, że przedzierałem się przez las w poszukiwaniu czegoś. A był to rozległy i bardzo malowniczy las...

W tym śnie nieraz znajdowałem się w sytuacji, w której czułem się zagubiony i bezradny, niezdolny do podjęcia decyzji. Ale zawsze wtedy nie wiadomo skąd pojawiała się jakaś tajemnicza osoba, jakby specjalnie po to, aby podpowiedzieć mi, co mam robić. Nie dowiedziałem się, czego tam szukałem, ale ten sen bardzo wzmocnił moją wiarę w siebie.

Gdy usiadłem na łóżku, zauważyłem wpadającą przez okno wiązkę promieni słonecznych, w której pobłyskiwały rozproszone cząsteczki kurzu. Wstałem i rozsunąłem zasłony. Dzień był pogodny, niebo błękitne, słońce świeciło jasno. Chłodny powiew łagodnie poruszał drzewami. O tej porze tafla jeziora musiała być połyskliwa i pofalowana, a wiatr zbyt ostry dla kogoś, kto właśnie wyszedłby z wody.

Poszedłem nad jezioro i zanurkowałem. Wynurzyłem się na powierzchnię i popłynąłem ku środkowi stylem grzbietowym, aby móc podziwiać znajome góry. Jezioro leżało na dnie głębokiej doliny, w której zbiegały się trzy pasma górskie. To przepiękne miejsce odkrył mój dziadek, gdy był młodym człowiekiem.

Upłynął już cały wiek, odkąd po raz pierwszy trafił w te góry. Wtedy żyły tu jeszcze dziki i pumy, a Indianie z plemienia Krików w swych prymitywnych wigwamach zasiedlali północne zbocze. Dziadek poprzysiągł sobie, że kiedyś zamieszka w tej pięknej dolinie, wśród starych drzew i siedmiu źródeł. Dopiął swego – wybudował domek nad jeziorem, skąd odbywał z wnuczkiem niezliczone wycieczki po okolicy. Niezupełnie rozumiałem fascynację dziadka tą doliną, ale zawsze starałem się zachować ją w nie zmienionym stanie, choć cywilizacja wdzierała się ze wszystkich stron.

Ze środka jeziora widać było występ skalny w pobliżu grzbietu północnego pasma górskiego. Poprzedniego dnia zwyczajem dziadka wspiąłem się na ten nawis, mając nadzieję, że widok stamtąd, zapachy i szum wiatru w koronach drzew podziałają na mnie uspokajająco. I rzeczywiście, gdy

siedziałem tam, patrząc z góry na jezioro i gęstwinę liści, z każdą chwilą czułem się lepiej, jakby spłynęła na mnie jakaś energia i odblokowała mi umysł. Kilka godzin później rozmawiałem z Charlene i dowiedziałem się o istnieniu Rękopisu...

Wróciłem do brzegu i wydostałem się na drewniany pomost pod moim domkiem. Zdawałem sobie sprawę, że wszystko to jest niewiarygodne. Bo jak to? Zniechęcony do życia, siedziałem zaszyty w tych górach, aż tu nagle, ni stąd, ni zowąd, zjawia się Charlene i wyjaśnia przyczyny mojego dyskomfortu, opowiadając o jakimś starym rękopisie, który rzekomo odsłania tajemnice bytu.

Równocześnie jednak doskonale wiedziałem, że pojawienie się Charlene było właśnie takim zbiegiem okoliczności, o jakich mówił Rękopis. Nie wyglądało to na przypadkowe zdarzenie. Czy to możliwe, aby stary dokument mówił prawdę? Czyżbyśmy pomimo naszego nihilizmu i cynizmu powoli zbliżali się do osiągnięcia “stanu krytycznego" ludzi świadomych tych dziwnych zbieżności? Czyżby ludzkość była już gotowa do zrozumienia tego zjawiska, a co za tym idzie, do zrozumienia celu i sensu życia?

Zastanawiałem się, na czym to zrozumienie może polegać. Czy jak mówił ksiądz, dowiemy się tego z dalszych rozdziałów Rękopisu?

Musiałem więc podjąć decyzję. Rękopis otworzył przede mną nową perspektywę życiową, dał mi nowy obiekt zainteresowania. Należało tylko zdecydować, co robić dalej? Zostać czy ruszyć na poszukiwania? Pojawił się jeszcze element zagrożenia. Kto ukradł teczkę Charlene? Czy był to ktoś, komu zależało na utrzymaniu istnienia Rękopisu w tajemnicy? Jak mógłbym się tego dowiedzieć?

Długo rozmyślałem, na jakie ryzyko się narażam, ale zwyciężył mój wrodzony optymizm. Postanowiłem nie martwić się na zapas. Mogę przecież działać ostrożnie i powoli. Wszedłem do mieszkania i zadzwoniłem do biura podróży, którego reklama zajmowała najwięcej miejsca w gazecie. Agent, z którym rozmawiałem, zapewnił, że może zorganizować mi wyjazd do Peru. Tak się bowiem zdarzyło, że

pewien klient właśnie się wycofał i na jego miejsce ja mogę otrzymać rezerwację lotu i hotelu w Limie. Będę to nawet miał po zniżonej cenie, jeśli tylko... zdążę na samolot w ciągu najbliższych trzech godzin.
Trzy godziny?!

Wydłużona teraźniejszość

Spakowałem się pospiesznie i pędząc autostradą w szaleńczym tempie przybyłem na lotnisko w samą porę. Odebrałem bilet i wsiadłem na pokład samolotu lecącego do Peru. Usadowiłem się bliżej ogona, przy oknie. Dopiero wtedy poczułem zmęczenie.

Postanowiłem się zdrzemnąć, ale gdy tylko wyciągnąłem się w fotelu i przymknąłem oczy, zorientowałem się, że sen nie przyniesie mi ulgi. Nagle zacząłem się denerwować i owładnęły mną sprzeczne uczucia. Czy to nie szaleństwo, taki wyjazd bez przygotowania? Dokąd mam się udać w Peru? Do kogo się zwrócić?

Pewność siebie, którą czułem nad jeziorem, szybko ustąpiła miejsca sceptycyzmowi. Zarówno pierwsze wtajemniczenie jak wizja przemian kulturowych znów wydały mi się mrzonką. A im więcej o tym myślałem, tym bardziej nieprawdopodobna wydawała mi się idea drugiego wtajemniczenia. Jaka nowa perspektywa historyczna mogłaby zapoczątkować odbieranie przez nas zbieżności zdarzeń i osadzać je w świadomości społecznej?

Przeciągnąłem się i odetchnąłem głęboko. Pomyślałem, że może tylko na darmo przejadę się do Peru i z powrotem. W najgorszym razie stracę pieniądze, lecz nic się przecież nie stanie.

Samolot szarpnął i potoczył się na pas startowy. Przymknąłem oczy i lekko zakręciło mi się w głowie, gdy wielki odrzutowiec osiągnął prędkość krytyczną i uniósł się w grubą warstwę chmur. Kiedy nabrał przewidzianej wysokości, odprężyłem się i zapadłem w drzemkę... Jednak napięcie nie dało mi pospać dłużej i po jakichś trzydziestu, czterdziestu minutach poczułem, że muszę udać się do toalety.

Przechodząc przez salonik pokładowy zauważyłem wysokiego mężczyznę w okrągłych okularach, który koło okna rozmawiał z członkiem załogi. Rzucił mi krótkie spojrzenie i kontynuował rozmowę. Miał ciemne włosy i wyglądał na jakieś

czterdzieści pięć lat. W pierwszej chwili wydał mi się znajomy, ale kiedy bliżej mu się przyjrzałem, wrażenie to nie potwierdziło się. Doszedł do mnie urywek ich rozmowy.

– W każdym razie dziękuję panu – powiedział pasażer. -Po prostu wydawało mi się, że skoro pan tak często lata do Peru, to może słyszał pan coś o tym rękopisie...

Odwrócił się i poszedł w kierunku przedniej części samolotu.

Wrosłem w ziemię. Czy to możliwe, aby mówił o tym samym Rękopisie? Wszedłem do toalety i zastanawiałem się, co powinienem w tej sytuacji zrobić. Po trosze wolałbym właściwie o tym zapomnieć. Być może, ten człowiek mówił o czymś zupełnie innym, o jakiejś książce.

Wróciłem na swoje miejsce i przymknąłem znów oczy z zamiarem wymazania z pamięci całego incydentu. Już cieszyłem się, że nie będę musiał pytać tego człowieka, o co mu naprawdę chodziło. Przypomniałem sobie jednak, co odczuwałem nad jeziorem. A może ten facet rzeczywiście wie coś o Rękopisie? Jeśli go nie zapytam, nigdy się tego nie dowiem.

Jeszcze trochę się wahałem, ale w końcu wstałem i przeszedłem do przedniej części samolotu. Wysoki mężczyzna w okularach siedział w środkowej części kabiny pasażerskiej. Akurat za nim jedno miejsce było puste. Wróciłem do swojego fotela, zabrałem rzeczy i powiedziałem stewardowi, że chciałbym zmienić miejsce. Usiadłem za nieznajomym i trąciłem go w ramię.

– Przepraszam pana – zacząłem. – Niechcący usłyszałem, że mówił pan coś o rękopisie. Czy miał pan na myśli ten dokument odnaleziony w Peru?

Zaskoczyłem go. Ostrożnie, jakby sondując teren, powiedział:

– Tak, właśnie ten.

Przedstawiłem się więc i wyjaśniłem, że akurat znajoma była ostatnio w Peru i wspominała mi o istnieniu takiego Rękopisu. Odetchnął z wyraźną ulgą i też mi się przedstawił: Wayne Dobson, profesor historii na Uniwersytecie Nowojorskim. Zauważyłem, że nasza rozmowa denerwuje

osobnika siedzącego koło mnie, który w pozycji półleżącej właśnie usiłował zasnąć.
– Czy widział pan ten Rękopis? – spytałem profesora.
– Tylko fragmenty – odpowiedział. – A pan?
– Nie. Ale znajoma opowiedziała mi o pierwszym wtajemniczeniu.
Mój sąsiad przekręcił się w fotelu. Dobson spojrzał w jego stronę.
– Przepraszam, chyba panu przeszkadzamy. Czy nie zrobiłoby panu różnicy, gdybyśmy zamienili się miejscami?
– Chyba rzeczywiście będzie lepiej – odparł zagadnięty. Weszliśmy wszyscy w przejście, po czym ja wcisnąłem się w fotel przy oknie, a Dobson usiadł przy mnie.
– Proszę mi teraz powiedzieć, co pan słyszał o pierwszym wtajemniczeniu – poprosił.
Spróbowałem krótko podsumować to, co zrozumiałem.
– Wydaje mi się, że pierwsze wtajemniczenie oznacza uświadomienie sobie obecności tajemniczych zjawisk mających wpływ na nasze życie. To jakby wyczuwanie tego, co ma nastąpić.
Miałem świadomość absurdalności wypowiadanych słów, Dobson wyczuł moje nastawienie i spytał:
– A co pan o tym myśli?
– Sam nie wiem, co mam myśleć – odpowiedziałem.
– Nie jest to zgodne ze współczesnym, racjonalnym myśleniem, prawda? Czy nie czułby się pan lepiej, gdyby zapomniał o całej historii i zajął się czymś praktyczniejszym?
Śmiejąc się przyznałem mu rację.
– No właśnie, wszyscy mamy takie skłonności. Nawet jeśli czasem intuicyjnie czujemy, że życie ma jakiś nieznany podtekst, z przyzwyczajenia dezawuujemy to odczucie jako nie dające się racjonalnie wytłumaczyć. Dlatego potrzebne jest drugie wtajemniczenie, bo gdy poznamy tło historyczne naszej świadomości, zaczniemy ją doceniać.
– A więc jako historyk uważa pan, że zawarta w Rękopisie przepowiednia globalnej transformacji jest trafna?
– Tak.
– Właśnie jako historyk?

– Owszem. Ale trzeba mieć właściwy stosunek do historii – głęboko zaczerpnął powietrza. – Proszę mi wierzyć, mówię to jako ktoś, kto przez wiele lat studiował i wykładał historię mając niewłaściwe podejście. Koncentrowałem się tylko na technicznych osiągnięciach cywilizacji i wybitnych jednostkach, które je tworzyły.
– I cóż jest złego w takim podejściu?
– Samo w sobie nie jest złe. Tyle że w każdym okresie historycznym naprawdę ważny jest światopogląd, czyli to, jak wtedy ludzie myśleli i czuli. Potrzebowałem sporo czasu, aby to zrozumieć. Historia powinna dostarczać wiedzy na temat głębszych uwarunkowań życia ludzkiego. Nie tyle ważna jest ewolucja technologii co ewolucja myśli. Jeżeli uzmysłowimy sobie, w jakiej rzeczywistości żyli nasi przodkowie, to zrozumiemy także, dlaczego nasz światopogląd jest taki jaki jest. Możemy określić, na jakim etapie się znajdujemy, i to da nam orientację, do czego zmierzamy.
Zrobił krótką przerwę, po czym dodał:
– Drugie wtajemniczenie ma właśnie służyć wytworzeniu pewnej perspektywy historycznej odpowiadającej mentalności Zachodu. Umiejscawia to przepowiednie Rękopisu w szerszym kontekście, ukazując je nie tylko jako prawdopodobne, ale wręcz konieczne.
Kiedy spytałem Dobsona, ile wtajemniczeń udało mu się poznać, okazało się, że dwa. Dotarł do nich, gdy pod wpływem pogłosek o Rękopisie trzy tygodnie temu wybrał się na krótką wyprawę do Peru.
– Gdy przyjechałem – opowiadał – spotkałem dwie osoby, które potwierdziły istnienie Rękopisu, ale były śmiertelnie przerażone i bały się za wiele mówić. Od nich dowiedziałem się, że władze oszalały na tym punkcie i wszystkim posiadaczom kopii, a także tym, którzy udzielają jakichkolwiek informacji o Rękopisie, grożą prześladowania.
Jego twarz spoważniała.
– Nie dawało mi to spokoju. W końcu jednak kelner w moim hotelu wyznał mi, że zna pewnego księdza, który często wspominał o Rękopisie. Ksiądz ów przeciwstawiał się próbom utajnienia dokumentu. Nie mogłem się powstrzymać i udałem

się do prywatnego mieszkania, w którym ten duchowny miał najczęściej przebywać.
Musiałem mieć bardzo zdziwioną minę, gdyż Dobson przerwał i spytał:
– O co chodzi?
– Moja znajoma, która opowiedziała mi o Rękopisie – wyjaśniłem – dowiedziała się o nim właśnie od księdza. Nie podał jej swojego nazwiska, ale dużo rozmawiali o pierwszym wtajemniczeniu. Umówiła się z nim na następne spotkanie, ale ksiądz już się nie pojawił.
– To musi być ten sam człowiek – stwierdził Dobson – bo mnie też nie udało się go zastać. Jego dom był zamknięty i jakby opustoszały.
– I nigdy go pan już nie spotkał?
– Nie. Ale postanowiłem się rozejrzeć. Na zapleczu natknąłem się na stary składzik. Drzwi były otwarte. Coś mnie tknęło, aby zajrzeć do środka. No i za jakimiś gratami, pod obluzowaną deską w ścianie, znalazłem przekład pierwszego i drugiego wtajemniczenia.
Tu spojrzał na mnie porozumiewawczo.
– Znalazł je pan tak przypadkiem? – nie mogłem uwierzyć.
– Tak.
– Ma je pan może przy sobie? Potrząsnął głową.
– Nie. Uznałem, że lepiej dokładnie je przestudiować i zostawić przyjaciołom.
– A czy mógłby mi pan streścić drugie wtajemniczenie? Nastąpiła długa przerwa, aż w końcu Dobson roześmiał się.
– Jak sądzę, po to tu jesteśmy.
– Drugie wtajemniczenie – zaczął – umieszcza naszą aktualną świadomość w szerszej perspektywie historycznej. Przecież dekada lat dziewięćdziesiątych zamyka nie tylko dwudziesty wiek, lecz i całe tysiąclecie. Zanim my tu, na Zachodzie, zrozumiemy, na jakim etapie jesteśmy i co się jeszcze zdarzy, musimy zdać sobie sprawę z tego, co działo się w ciągu tego tysiąclecia.
– Ale o co tam konkretnie chodzi? – niecierpliwiłem się.
– Z treści Rękopisu wynika, że pod koniec drugiego tysiąclecia, czyli teraz, będziemy w stanie ogarnąć cały miniony

okres historyczny i wyodrębnić w nim stan pewnego nałogu, który owładnął ludźmi w drugiej połowie tego tysiąclecia, nazywanej czasami nowożytnymi. Nasza dzisiejsza świadomość zbieżności jest rodzajem przebudzenia, próbą strząśnięcia z siebie tego nałogu.

– Co to za nałóg? – spytałem.

– A jest pan gotów jeszcze raz przeżyć całe tysiąclecie? - Profesor rzucił mi łobuzerski uśmieszek.

– Oczywiście, proszę mi o tym opowiedzieć.

– Nie wystarczy, że panu o tym opowiem. Proszę sobie przypomnieć, co przedtem mówiłem: aby zrozumieć historię, musi pan prześledzić, jak z dnia na dzień rozwijały się pańskie poglądy na świat i na ile zostały one ukształtowane przez przodków. Kształtowanie się nowoczesnego poglądu na świat trwało całe tysiąclecie. Aby więc naprawdę uświadomić sobie, w jakim stadium obecnie się znajdujemy, trzeba cofnąć się do roku tysięcznego i spróbować ponownie przeżyć całe milenium.

– Jak mam to zrobić?

– Będę pańskim przewodnikiem.

Zastanowiłem się przez chwilę, oglądając przez okno widoki w dole. No cóż, najwyższy czas, by poczuć coś nowego.

– Spróbujmy – zadecydowałem.

– A więc proszę sobie wyobrazić, że żyje pan w roku tysięcznym, czyli jak to nazywamy – w Średniowieczu. Musi pan uzmysłowić sobie, że rzeczywistość tamtych czasów tworzyli potężni dostojnicy Kościoła. Wywierali oni silny wpływ na umysłowość ludzi, a to, co przedstawiali, jako świat realny, było w głównej mierze światem duchowym. W tej rzeczywistości osią życia była ich wizja boskich planów wobec ludzkości.

Proszę sobie wyobrazić, że znajduje się pan w tej samej klasie społecznej co pana ojciec. Czy byłoby to chłopstwo, czy arystokracja, zdaje pan sobie sprawę, że jest pan na zawsze do tej klasy przypisany. Bez względu na to, do jakiej warstwy społecznej pan należy, a także jaką pracę pan wykonuje. Wkrótce przekona się pan, że pozycja społeczna jest czymś drugorzędnym wobec życia duchowego, którego istotę określa Kościół.

Odkrywa pan, że życie to coś w rodzaju duchowego egzaminu. Kościół naucza, że Bóg umieścił człowieka w centrum wszechświata tylko w jednym celu: aby dostąpił bądź nie -zbawienia. Egzamin polega na tym, aby zawsze dokonywać trafnego wyboru między dwiema zwalczającymi się mocami: siłą Boga i pokusami szatana.
Oczywiście nie staje pan wobec tego wyzwania samotnie - kontynuował mój rozmówca. – W gruncie rzeczy, jako istota pospolita, nie ma pan nawet prawa samodzielnie określać swojej pozycji. Tym zajmują się ludzie Kościoła. Oni są powołani do interpretacji Pisma Świętego i tłumaczą każdy pana postępek jako zgodny z wolą boską lub będący wynikiem opętania przez szatana. Postępując zgodnie z ich wskazaniami, uzyskiwał pan zapewnienie, że czeka pana nagroda w życiu pozagrobowym. Ale gdyby pan zbłądził, zboczył z drogi – byłby pan wyklęty, skazany na wieczne potępienie.
Dobson przyjrzał mi się uważnie.
– Rękopis podkreśla, jak ważne jest zrozumienie, że w Średniowieczu opisywano świat w kategoriach nadprzyrodzonych. Wszystkie zjawiska życia – począwszy od groźby burzy czy trzęsienia ziemi aż po udane zbiory lub śmierć z miłości - przedstawiano jako wolę Boga lub złośliwość szatana. Nie istniały wtedy takie pojęcia jak pogoda, ruchy tektoniczne, wegetacja roślin czy choroba. To przyszło później. Na razie wierzy pan bez zastrzeżeń hierarchii kościelnej, która świat zastany objaśnia wyłącznie za pomocą terminów duchowych.
Urwał i spojrzał na mnie:
– Zdołał się pan wczuć w sytuację?
– Tak, mogę to sobie wyobrazić.
– To proszę sobie teraz wyobrazić, że ta rzeczywistość zaczyna walić się w gruzy.
– To znaczy?
– Światopogląd ludzi Średniowiecza, pana światopogląd, zaczyna się załamywać w czternastym, piętnastym wieku. Przede wszystkim zaczyna pan dostrzegać pewne niewłaściwości w postępowaniu samych dostojników kościelnych. *Zdarza* się im na przykład nie dochowywać

ślubów czystości lub interesownie przymykać oczy na pogwałcenie prawa bożego przez rządzących...

To niepokoi pana, gdyż urzędnicy Kościoła nadali sobie status pośredników między panem a Bogiem. Nie zapominajmy, że tylko oni mają prawo interpretować Pismo Święte i wyrokować o pańskim zbawieniu.

Nagle znalazł się pan w samym sercu buntu. Grupa pod przywództwem Marcina Lutra nawołuje do całkowitego oderwania się od papieskiej wersji chrześcijaństwa. Głosi, że dostojnicy Kościoła są skorumpowani, i chce położyć kres władzy Kościoła nad ludzkimi umysłami. Tworzą się nowe kościoły, wyznające zasadę, iż każdy powinien mieć dostęp do Pisma Świętego i interpretować je po swojemu, bez pośredników.

Ze zdumieniem stwierdza pan, że ten bunt osiąga sukces! Hierarchowie kościelni czują się zagubieni. Przez całe wieki ci ludzie mieli monopol na definiowanie rzeczywistości, aż tu nagle, na pana oczach, tracą wiarygodność. Na skutek tego zostaje zakwestionowana cała dotychczasowa interpretacja świata. Prosta i jasna wizja wszechświata i miejsca, jakie zajmuje w nim człowiek, dotychczas objaśniana zgodnie z nauką Kościoła, załamuje się – pozostawiając pana i społeczność kultury zachodniej na jakże niepewnym gruncie.

Trzeba zważyć, że pan i pańscy współcześni przywykli polegać w życiu na autorytetach, które objaśniają świat. Teraz, bez tych zewnętrznych wskazówek, czują się zagubieni. Zaczyna pan zadawać sobie pytanie: Jeśli kościelny opis rzeczywistości i wyjaśnienie sensu życia są fałszywe – to gdzie jest prawda?

Przerwał na chwilę.

– Dostrzega pan wpływ tego kryzysu wartości na ówczesne społeczeństwo?

– Przypuszczam, że spowodowało to pewne rozprzężenie.

– Bardzo oględnie powiedziane. – To był potworny wstrząs! Stary światopogląd został zakwestionowany na każdym polu. Doszło do tego, że w szesnastym wieku astronomowie udowodnili bezspornie, iż słońce i gwiazdy nie kręcą się wokół Ziemi, jak dotychczas utrzymywały autorytety

Kościoła. Okazało się, że Ziemia jest tylko jedną z wielu planet okrążających jakieś małe słońce w galaktyce złożonej z bilionów takich gwiazd. -Tu Dobson nachylił się do mnie. – Było to niezwykle ważne odkrycie, gdyż tym samym gatunek ludzki utracił swoje centralne miejsce we wszechświecie. Ma pan pojęcie, co z tego wynikło? Dziś informacje o pogodzie, wegetacji roślin lub czyjejś nagłej śmierci krzyżują pańskie plany lub przyprawiają pana smutek. W tamtych czasach obarczał pan za to odpowiedzialnością Boga lub diabła. Wraz z upadkiem średniowiecznego światopoglądu nic nie było już pewne. To, co kiedyś wydawało się naturalne, teraz domaga się nowej definicji, zwłaszcza odnosi się to do istoty Boga i związków z Nim.

Ta świadomość zapoczątkowała czasy nowożytne. Zaczęły się szerzyć tendencje demokratyczne, spadło zaufanie do takich autorytetów jak papieże czy królowie. Obraz wszechświata oparty na hipotezach lub prawdach Pisma Świętego nie był już przyjmowany bez zastrzeżeń. Jednak mimo że utraciliśmy pewny grunt pod nogami, woleliśmy nie ryzykować oddania “rządu dusz" jakiejś innej grupie ludzi, którzy zajęliby miejsce dostojników Kościoła. Gdyby pan żył wtedy, uczestniczyłby pan w kreowaniu nowej misji, która przypadła nauce.

– W czym? Roześmiał się.

– Gdyby pan spoglądał na olbrzymie przestrzenie nie nazwanego wszechświata, pewnie sądziłby pan, tak samo jak ówcześni myśliciele, że należy stworzyć jakąś nową metodę jego stopniowego odkrywania. Nazwałby ją pan metodą naukową, podczas gdy nie jest to nic innego jak sprawdzanie z góry przyjętych hipotez o funkcjonowaniu wszechświata, wyciąganie wniosków, przedstawianie tych wniosków innym i obserwowanie, czy je zaakceptują.

Tak więc – ciągnął – przysposabiałby pan badaczy, aby uzbrojeni w narzędzia naukowe wyruszyli w ten nieznany wszechświat, powierzyłby pan im historyczną misję:

Dowiedzcie się, jak funkcjonuje ten świat i jak to się dzieje, że my na nim żyjemy. Wprawdzie utracił pan przekonanie o wszechświecie rządzonym boskimi prawami, a co za tym idzie – pewność co

do roli samego Boga, ale zyskał pan przeświadczenie, że znalazł drogę do budowy nowego ładu, dzięki której uda się zdefiniować wszystko, łącznie z Bogiem i sensem życia ludzkiego na Ziemi. Upoważnił więc pan naukowców, by odnaleźli prawdziwą naturę rzeczy, określili pana położenie i poinformowali o wynikach poszukiwań.
Przerwał i obrzucił mnie spojrzeniem.
– W tym punkcie, mówi Rękopis, bierze swój początek nałóg, od którego mamy się teraz wyzwolić. Wysłaliśmy zwiadowców, aby przynieśli nam odpowiedź na nasze pytania o sens życia, jednakże wszechświat okazał się zbyt skomplikowany, by zdołali tak szybko wrócić.
– Jak należy rozumieć ów nałóg?
– Proszę spróbować przenieść się myślami w tamtą epokę. Kiedy okazało się, że metody naukowe także nie mogą dostarczyć nowego obrazu Boga ani wyjaśnić celu życia ludzkiego na Ziemi, kulturę Zachodu poraził brak poczucia bezpieczeństwa. Potrzebowaliśmy jakiegoś zajęcia, któremu moglibyśmy się oddać, zanim otrzymamy odpowiedzi na nasze pytania. W końcu znaleźliśmy coś, i to wydawało się logicznym rozwiązaniem. Spoglądając na siebie powiedzieliśmy sobie: No tak. Ponieważ nasi badacze nie wrócili jeszcze, by objawić nam prawdę o naszej kondycji duchowej, dlaczego tymczasem, czekając, nie rozgościć się w tym nowym świecie? Nauczyliśmy się już dostatecznie dużo, aby móc wykorzystać go dla naszego dobra. Dlaczego więc nie zająć się podnoszeniem naszego poziomu życia i umacnianiem poczucia bezpieczeństwa doczesnego? – Zaśmiał się bezgłośnie. – Tak też zrobiliśmy czterysta lat temu! Otrząsnęliśmy się z poczucia zagubienia i wzięliśmy sprawy w swoje ręce. Skupiliśmy się na podboju Ziemi i wykorzystaniu jej zasobów dla poprawy naszej sytuacji i dopiero teraz, przy końcu tysiąclecia, zorientowaliśmy się, co się właściwie stało. Okazało się, że koncentracja na tym jednym celu z czasem przerodziła się w nałóg. Zatraciliśmy się w zapewnianiu sobie bezpieczeństwa doczesnego, zwłaszcza bezpieczeństwa ekonomicznego, które miało zastąpić utracone bezpieczeństwo duchowe. Pytania o sens i cel naszego życia i o to, co dzieje się w sferze ducha,

zostały stopniowo odsunięte na bok i wyciszone. Wbił we mnie przenikliwy wzrok, po czym dodał:
– Praca nad zapewnieniem sobie wygodniejszego stylu życia stała się celem samym w sobie. Stopniowo, metodycznie odsuwaliśmy w niepamięć pierwotne pytanie. Zapomnieliśmy, że wciąż nie wiemy, po co właściwie żyjemy!
Za oknem, w dole, widać było duże miasto. Na podstawie trasy naszego lotu przypuszczałem, że jest to Orlando w stanie Floryda. Byłem pod wrażeniem uporządkowanego i planowego układu linii widzianych z góry ulic, dzieła rąk ludzkich.
Spojrzałem spod oka na Dobsona. Miał przymknięte powieki i wyglądał, jakby spał. W ciągu godziny zapoznał mnie jeszcze dokładniej z drugim wtajemniczeniem, a potem przyniesiono lunch. Wtedy powiedziałem mu o Charlene i dlaczego powziąłem decyzję o wyjeździe do Peru. Wkrótce marzyłem już tylko o tym, żeby patrzeć na chmury i rozmyślać nad tym, co mi powiedział.
Nagle, spoglądając na mnie zaspanym wzrokiem, Dobson spytał znowu:
– No więc, co pan o tym myśli? Zrozumiał pan już drugie wtajemniczenie?
– Nie jestem pewien.
Skinął głową w stronę pozostałych pasażerów.
– Nie sądzi pan, że ma pan teraz jaśniejsze spojrzenie na rodzaj ludzki? Widzi pan, jak wszystkich nas pochłonął ten nałóg? To spojrzenie wiele wyjaśnia. Na pewno zna pan mnóstwo ludzi obsesyjnie oddających się pracy, ludzi o typie osobowości A, którzy żyją w ciągłym stresie i nie potrafią zwolnić tempa. A dlaczego nie mogą przyhamować? Bo ten codzienny kierat sprowadza ich życie do jego strony praktycznej i pozwala im zapomnieć o wątpliwościach co do jego sensu.
Drugie wtajemniczenie poszerza naszą świadomość historyczną. Uczy nas postrzegać procesy kulturowe nie z perspektywy naszego życia, ale całego tysiąclecia. Uwalnia nas od naszego nałogu i każe nam wznieść się ponad jego ograniczenia. Przed chwilą uczestniczył pan w “wydłużonej historii". Teraz żyje pan w “wydłużonej teraźniejszości". I

kiedy spojrzy pan na urządzony przez ludzi świat innym okiem, bez trudu zauważy pan jego obsesyjność, szaleństwo rozwoju ekonomicznego.
– Czy jest w tym coś złego? – zaprotestowałem. – Dzięki temu cywilizacja zachodnia osiągnęła tak wysoki poziom. Mój rozmówca zaśmiał się głośno.
– Nikt nie mówi, że to coś złego! Rękopis stwierdza wręcz, że był to nieodzowny etap w rozwoju ludzkości. Jednakże dość już czasu poświęciliśmy, by wygodnie usadowić się na tym świecie. Najwyższy czas otrząsnąć się i od nowa rozważyć dawne pytania: Co leży u podstaw życia na tej planecie. Dlaczego właściwie tu jesteśmy?
Rzuciłem mu uważne spojrzenie i spytałem:
– Czy sądzi pan, że dalsze wtajemniczenia to wyjaśnią? Dobson podniósł głowę.
– Myślę, że warto do nich sięgnąć. Mam tylko nadzieję, że nikt nie zniszczy dalszego ciągu Rękopisu, zanim do niego dotrzemy.
– Czy władzom Peru wydaje się, że mogą bezkarnie zniszczyć tak ważny dokument?
– Mogliby zrobić to po cichu. Oficjalnie żaden Rękopis nie istnieje.
– Świat naukowy powinien się zmobilizować.
– Toteż się zmobilizował. Właśnie dlatego wracam do Peru. Zostałem upoważniony przez zespół dziesięciu wybitnych naukowców, aby *zażądać* opublikowania oryginału Rękopisu. Wystosowałem pismo do szefów odnośnych resortów, zawiadamiając ich o moim przyjeździe, i wyraziłem nadzieję na współpracę.
– Ciekaw jestem, jak odpowiedzą.
– Prawdopodobnie odmownie, ale od czegoś trzeba zacząć. Odwrócił się i pogrążył w myślach, a ja znów zacząłem wyglądać przez okno. Kiedy tak spoglądałem w dół, przyszło mi na myśl, że przecież samolot, którym lecimy, jest produktem czterech wieków postępu technicznego. Nauczyliśmy się wielu metod przetwarzania surowców naturalnych. Rozmyślałem nad tym, ile ludzi, ile pokoleń pracowało, aby wytworzyć potrzebne materiały, jakich umiejętności wymagało zbudowanie takiego

samolotu. Wiele ludzi poświęciło życie, aby dokonał się tylko jeden mały krok.
W tej chwili wydało mi się, że fragment historii, o którym mówiliśmy z Dobsonem, jest dobrze zakorzeniony w mojej świadomości.
Mogłem wyobrazić sobie całe tysiąclecie tak wyraźnie, jakby było częścią mojego własnego życia. Tysiąc lat temu żyliśmy w świecie, w którym istota Boga i duchowość człowieka były jasno określone. Potem zatraciliśmy to, czy raczej doszliśmy do wniosku, że to jeszcze nie wszystko. “Zleciliśmy" naukowcom odkrycie oblicza prawdy i poinformowanie nas o wynikach. Kiedy jednak trwało to zbyt długo, wyznaczyliśmy sobie nowy, świecki cel i oddaliśmy się mu bez reszty. Było nim wykorzystanie otaczającego świata, aby uczynić nasze życie wygodniejszym.
I to się nam udało. Odkryliśmy nowe źródła energii, najpierw parę, potem gaz, elektryczność i wreszcie atom. Zorganizowaliśmy rolnictwo i przemysł, wielkie domy handlowe i sieć dystrybucji dóbr.
Motorem postępu stało się dążenie ludzi do zapewnienia sobie bezpiecznego bytu i realizacji własnych celów w oczekiwaniu na prawdę. Postanowiliśmy stworzyć sobie i swoim dzieciom wygodniejsze i przyjemniejsze życie: w ciągu czterystu lat szaleńczego oddania tej sprawie stworzyliśmy świat, w którym można wyprodukować wszystko, co służy wygodzie człowieka. Problem w tym, że nasz obsesyjny pęd do ujarzmiania przyrody i do wygodnej egzystencji doprowadził do zanieczyszczenia środowiska naturalnego i pchnął naszą planetę na skraj samounicestwienia. Nie możemy dalej iść tą drogą.
Dobson miał rację. Dzięki drugiemu wtajemniczeniu pojawienie się nowej świadomości stawało się chyba nieuniknione. Dochodziliśmy właśnie do szczytu możliwości kulturowych. Osiągnęliśmy założony cel, a kiedy do tego doszło, całe nasze szaleństwo straciło sens i zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że istnieje coś więcej. Jakbym to widział, ten impet czasów nowożytnych słabnący w miarę jak zbliżamy się do końca milenium. Czterowiekowa obsesja została

zaspokojona. Wytworzyliśmy środki dobrobytu materialnego, a teraz byliśmy już gotowi szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego to zrobiliśmy.

Na twarzach siedzących obok pasażerów widziałem jeszcze dowody trwania w nałogu, ale wydało mi się, że zauważyłem również przebłyski świadomości. Zastanawiałem się, jak wielu z nich dostrzegało już jakieś dziwne zbiegi okoliczności?

Samolot zaczął obniżać lot i steward zaanonsował, że podchodzimy do lądowania w Limie.

Podałem Dobsonowi nazwę hotelu, w którym miałem zarezerwowany pokój, i spytałem, gdzie on się zatrzymuje. Jego hotel znajdował się tylko parę kilometrów od mojego.

– Jakie ma pan plany na najbliższe dni? – chciałem wiedzieć.

– Myślałem już o tym. Chyba najpierw muszę zgłosić się do ambasady amerykańskiej, aby zawiadomić ich, po co tu przyjechałem. Na wszelki wypadek trzeba zostawić jakiś ślad.

– Słusznie!

– Potem spróbuję porozmawiać z jak największą liczbą naukowców peruwiańskich. Wprawdzie pracownicy uniwersytetu w Limie już mi oświadczyli, że nie mają pojęcia o Rękopisie, ale są tu jeszcze inni naukowcy, prowadzący wykopaliska w ruinach. Może od nich uda się coś wydobyć. A co pan zamierza?

– Właściwie jeszcze nie wiem – odrzekłem. — Może mógłbym się przyłączyć do pana?

– Oczywiście. Właśnie chciałem to panu zaproponować. Zaraz po wylądowaniu zabraliśmy nasze bagaże i

umówiliśmy się na późniejsze spotkanie w hotelu Dobsona. Zmierzchało już, powietrze było suche, a wiatr ostry. Zatrzymałem taksówkę.

Kiedy ruszyliśmy, zauważyłem, że jakaś inna taksówka podążyła w ślad za nami. Siedziała nam na ogonie na kilku zakrętach, ale nie mogłem dojrzeć jej numeru rejestracyjnego. Poczułem nerwowy skurcz żołądka. Na szczęście kierowca znał angielski, więc poprosiłem go, żeby nie jechał od razu do

hotelu, tylko trochę pokręcił się po mieście, gdyż chciałbym je obejrzeć. Spełnił moje życzenie bez słowa, ale tamta taksówka wciąż jechała naszym śladem. O co tu chodzi?
Dojechaliśmy do mojego hotelu. Poprosiłem kierowcę, aby został w wozie, a sam otworzyłem drzwiczki i udawałem, że płacę za przejazd. Siedzący nas samochód podjechał do krawężnika w pewnej odległości od nas i zatrzymał się. Wysiadł mężczyzna i wolnym krokiem udał się w stronę wejścia do hotelu.
Szybko wskoczyłem z powrotem do mojej taksówki, zatrzasnąłem drzwiczki i kazałem kierowcy ruszać. Kiedy się oddaliliśmy, spostrzegłem, że nieznajomy nas obserwuje.
– Przepraszam za kłopot, ale zmieniłem plany. – Podałem kierowcy nazwę hotelu, w którym mieszkał Dobson. A tak naprawdę w głębi duszy wolałbym w tej chwili jechać prosto na lotnisko i wsiąść do pierwszego samolotu do Stanów Zjednoczonych.
Gdy zbliżaliśmy się już do celu, kazałem kierowcy zatrzymać się.
– Proszę poczekać. Zaraz wrócę – powiedziałem wysiadając.
Ulice były pełne ludzi, przeważnie rdzennych Peruwiańczyków. Tu i ówdzie widziałem Europejczyka bądź Amerykanina. Wśród turystów poczułem się pewniej, jednak jakieś pięćdziesiąt metrów przed hotelem przystanąłem. Czułem, że coś wisi w powietrzu. Nagle rozległy się wystrzały z pistoletu i krzyki. Wszyscy znajdujący się przede mną padli na ziemię, dzięki czemu widziałem, co dzieje się na chodniku. W moją stronę biegł Dobson. Dostrzegłem przerażenie w jego oczach. Ścigali go jacyś ludzie. Jeden z nich wystrzelił w powietrze i wezwał Dobsona do zatrzymania się.
Kiedy Dobson dobiegł bliżej, poznał mnie i krzyknął:
– Na miłość boską, uciekaj!
Odwróciłem się na pięcie i w popłochu popędziłem wąską uliczką. Przede mną wyrósł wysoki drewniany płot. Dopadłem do niego, podskoczyłem jak mogłem najwyżej, uchwyciłem za czubki sztachet i przerzuciłem ponad nimi prawą nogę. Kiedy przeniosłem także drugą nogę i zeskoczyłem z parkanu,

ostrożnie wyjrzałem na ulicę. Biegł tam zdesperowany Dobson. Padły strzały. Potknął się i upadł.
Pognałem dalej na oślep, przeskakując kupki śmieci i stosy tekturowych pudeł. W jakimś momencie wydawało mi się, że słyszę za sobą kroki, ale bałem się obejrzeć. Uliczka wychodziła na inną, wypełnioną ludźmi, którzy sprawiali wrażenie zupełnie spokojnych. Wyszedłem na tę ulicę, z bijącym sercem spojrzałem za siebie, ale nikt mnie nie gonił. Skręciłem więc szybko w prawo, usiłując zgubić się w tłumie. Dlaczego Dobson uciekał? Czy go zabili? – pytałem sam siebie.
Ktoś za mną odezwał się scenicznym szeptem:
– Proszę chwilę poczekać!
Przyspieszyłem kroku, lecz dogonił mnie i złapał za ramię.
– Niech pan poczeka! – powtórzył. – Widziałem wszystko. Chcę panu pomóc!
– Kim pan jest? – spytałem drżąc ze strachu,
– Nazywam się Wilson James. Resztę wyjaśnię później. Teraz musimy wydostać się stąd.
Coś w jego głosie i zachowaniu budziło zaufanie, więc podążyłem za nim. Po chwili weszliśmy do sklepu z wyrobami skórzanymi. Mój towarzysz dał znak stojącemu za ladą i wprowadził mnie do zatęchłego pokoiku na zapleczu, po czym zamknął drzwi i zaciągnął zasłony w oknach.
Miał już chyba około sześćdziesiątki, choć jakiś błysk w oku sprawiał, że wyglądał młodziej. Ciemnoskóry i czarnowłosy jak Peruwiańczyk, mówił jednak świetną angielszczyzną, choć z amerykańskim akcentem. Był ubrany w jasnoniebieską koszulkę i dżinsy.
– Tu na razie nic panu nie grozi – uspokoił mnie. – Dlaczego pana ścigają?
Ponieważ milczałem, sam udzielił sobie odpowiedzi.
– Chodzi o Rękopis, prawda?
– Skąd pan wie?
– Ten drugi mężczyzna też przyjechał tu w tej samej sprawie?
– Tak. Nazywał się Dobson. Ale skąd pan wie, że było nas dwóch?

– Mieszkam przy tej ulicy i widziałem wszystko przez okno.
– Czy zabili Dobsona? – spytałem przerażony.
– Nie wiem. Trudno powiedzieć. Kiedy zobaczyłem, że pan ucieka, zbiegłem tylnymi schodkami, tak aby znaleźć się przed panem. Myślałem, że może będę mógł pomóc.
– Ale dlaczego pan to zrobił?
Przyglądał mi się przez chwilę, jakby zastanawiając się, co odpowiedzieć, potem jednak jego spojrzenie złagodniało.
– Chyba pan tego nie zrozumie, ale kiedy stałem w oknie, przypomniał mi się stary znajomy, który niedawno u mnie był. Już nie żyje, bo chciał, żeby ludzie dowiedzieli się o Rękopisie. Dlatego na widok tego pościgu poczułem, że powinienem panu pomóc.
Rzeczywiście, nie mogłem tego pojąć, ale czułem szczerość w jego głosie. Chciałem go jeszcze o coś zapytać, lecz on znów się odezwał.
– Porozmawiamy później. Teraz lepiej będzie, jeśli przeniesiemy się w bezpieczniejsze miejsce.
– Chwileczkę, Wilson – zaoponowałem. – Tak naprawdę to chciałbym już wracać do Stanów. Nie wie pan, jak mógłbym to zrobić?
– Mów mi Wil – zaproponował. – Na razie nie radzę ci próbować dostać się na lotnisko. Jeśli cię szukają, mogą pilnować odlotów. Mam znajomych za miastem, możesz przeczekać u nich najgorszy moment. A wydostać się z tego kraju można różnymi drogami. Kiedy się zdecydujesz, oni ci je wskażą.
Otworzył drzwi pokoiku i sam najpierw sprawdził wnętrze sklepu. Potem wyszedł rozpatrzeć się na zewnątrz. Następnie wrócił po mnie i dał znak, bym szedł za nim. Na ulicy wskazał mi niebieskiego dżipa zaparkowanego w pobliżu. Wsiadając zauważyłem, że tylne siedzenie wozu jest załadowane zapasami żywności, namiotami i chlebakami, jakby przygotowanymi na długą wyprawę.
Jechaliśmy w milczeniu. Chociaż żołądek podchodził mi do gardła ze strachu, próbowałem ocenić swoją sytuację. W życiu nie spodziewałem się takich przeżyć. Mogą wtrącić mnie do

peruwiańskiego więzienia lub wręcz zamordować. Nie miałem też przy sobie żadnego ubrania na zmianę. Na szczęście pozostał mi portfel, a w nim pieniądze i karta kredytowa. No i, nie wiadomo dlaczego, ufałem Wilowi.
– Coście z tym... Dobsonem zrobili takiego, że was ścigali?
– spytał nagle Wil.
– Nie mam pojęcia, o co tu chodzi. Dobsona poznałem w samolocie. Dowiedziałem się, że jest historykiem i przybył tu oficjalnie, aby prowadzić badania nad Rękopisem.
Reprezentuje grono naukowców.
– Czy to znaczy, że władze były powiadomione o jego przyjeździe? – Na twarzy Wila odmalowało się zdumienie.
– Tak, Dobson nawet wysłał do kilku wysokich urzędników pisma z prośbą o nawiązanie współpracy. Nie chce mi się wierzyć, aby próbowano go aresztować. Zresztą nie przywiózł tu ze sobą żadnej odbitki.
– A miał jakieś odbitki Rękopisu?
– Pierwsze i drugie wtajemniczenie.
– Nie wiedziałem, że w Stanach są jakieś kopie. Skąd on je wziął?
– W czasie poprzedniego pobytu dowiedział się, że pewien ksiądz wie coś o Rękopisie. Nie udało mu się spotkać z tym księdzem, ale znalazł te odbitki schowane w składziku za domem.
Wil posmutniał.
– Aha, José!
– Kto to taki?
– To właśnie był ten mój znajomy, o którym ci mówiłem, że został zamordowany. To on uparł się, by zapoznać z Rękopisem jak największą liczbę ludzi.
– Co z nim się stało?
– Został zamordowany. Nie wiemy, czyje to dzieło, ale ciało znaleziono w lesie, daleko od jego domu. Myślę, że to zrobili jego przeciwnicy.
– Ze strony rządowej?
– Rządowej albo kościelnej.
– Czyżby Kościół posunął się aż tak daleko?
– Niewykluczone. Kościół potajemnie zwalcza Rękopis. Ci

nieliczni księża, którzy rozumieją jego treść i po cichu się z nią zgadzają, muszą mieć się na baczności. Natomiast José otwarcie rozmawiał o tym z każdym, kto tylko chciał słuchać. Już dawno go ostrzegałem, żeby był ostrożniejszy i nie rozdawał odbitek na prawo i lewo, ale on twierdził, że robi to, co uważa za swój obowiązek.
– Kiedy Rękopis został odkryty?
– Po raz pierwszy przetłumaczono go trzy lata temu, ale nikt nie wie, kto i jak dawno go odkrył. Oryginał chyba przez całe lata krążył wśród Indian, aż w końcu trafił do rąk Josego. On, sam jeden, doprowadził do jego przetłumaczenia. Gdy tylko Kościół dowiedział się o treści Rękopisu, oczywiście postarał się natychmiast, aby ślad po nim zaginął. Teraz mamy tylko kopie. Myślę, że oryginał został zniszczony.
Wil wyprowadził wóz z miasta w kierunku wschodnim i wjechaliśmy na wąską, dwupasmową szosę, wiodącą przez sztucznie nawadniany teren. Minęliśmy kilka małych domków i rozległe, kunsztownie ogrodzone pastwisko.
– Czy Dobson opowiedział ci o pierwszych dwóch wtajemniczeniach?
– Opowiadał mi o drugim. Natomiast o pierwszym powiedziała mi znajoma, która słyszała o tym od księdza. Myślę, że był to właśnie José.
– Rozumiesz, o co tam chodzi?
– Myślę, że tak.
– A więc orientujesz się, że przypadkowe zbiegi zdarzeń często mają głębszy sens?
– Jak się zdaje, cała moja podróż tutaj to jedno pasmo takich zbiegów zdarzeń.
– Tak się dzieje, odkąd stałeś się czujny i naładowany energią.
– Jak to naładowany?
Wil uśmiechnął się.
– O tym mówią dalsze części Rękopisu.
– Chciałbym się czegoś więcej o tym dowiedzieć.
– Pomówimy na ten temat później – ruchem głowy wskazał żwirowaną bocznicę, w którą skręciliśmy. W pobliżu znajdował się skromny, drewniany domek. Wil podjechał pod wielkie

drzewo i zaparkował.
– Mój przyjaciel pracuje u wielkiego właściciela ziemskiego, do którego należą te tereny – wyjaśnił – i od niego otrzymał ten dom. Ten możny człowiek po cichu popiera idee Rękopisu. Tutaj będziesz bezpieczny.
Na ganku zapaliło się światło i z domu wybiegł niski, krępy mężczyzna o wyglądzie Peruwiańczyka. Z szerokim uśmiechem, entuzjastycznie przywitał nas po hiszpańsku. Podbiegł do dżipa, przez otwarte okno poklepał Wila po plecach, a mnie obrzucił przyjaznym spojrzeniem. Wil poprosił go, aby mówił po angielsku, po czym dokonał prezentacji.
– On potrzebuje pomocy – oznajmił. – Chciałby wrócić do Stanów, ale musi zachować ostrożność. Myślę, że zostawię go u ciebie.
Właściciel domku popatrzył uważnie na mojego wybawcę.
– A ty dalej masz zamiar szukać dziewiątego wtajemniczenia?
– Tak – potwierdził Wil, wysiadając. Otworzyłem drzwi i wyszedłem z wozu. Widziałem, jak obaj mężczyźni rozmawiając idą w stronę domu. Kiedy zbliżyłem się do nich, ten drugi zapowiedział: – Przygotuję, co trzeba – po czym oddalił się.
– Co on miał na myśli – spytałem, gdy Wil odwrócił się w moją stronę – kiedy pytał cię o dziewiąte wtajemniczenie?
– To część Rękopisu, której nigdy nie odnaleziono. Oryginalny tekst składał się z ośmiu rozdziałów, z których każdy traktował o jednym wtajemniczeniu, ale w tekście wzmiankowano, że istnieje jeszcze jedno – dziewiąte wtajemniczenie. Wiele ludzi go poszukuje.
– Czy masz jakieś pojęcie, gdzie ono może być?
– Tak naprawdę to nie.
– No więc jak masz zamiar je znaleźć?
– Tak samo jak José znalazł pozostałe osiem – uśmiechnął się Wil. – Tak, jak ty dowiedziałeś się o pierwszych dwóch, a potem wpadłeś wprost na mnie. Jeśli człowiek potrafi pobrać i zmagazynować odpowiednią ilość energii, to zbiegi zdarzeń będą zachodzić stale.
– Powiedz, jak to zrobić – poprosiłem. – Które to

wtajemniczenie?
Wil obrzucił mnie takim spojrzeniem, jakby oceniał moją zdolność pojmowania.
– Umiejętność pobierania energii wymaga poznania więcej niż jednego wtajemniczenia, trzeba znać wszystkie. Pamiętasz, co wtajemniczenie drugie mówi o badaczach, którzy zostali wysłani w świat, aby przy użyciu metod naukowych odkryć sens życia? Oni też nie wrócili od razu, prawda?
– No tak.
– Właśnie. A więc dalsze wtajemniczenia przynoszą te odpowiedzi. Z tym tylko, że ich źródłem nie jest żadna konkretna dyscyplina wiedzy. Odpowiedzi pochodzą z różnych dziedzin. Stapiają się w nich odkrycia natury fizycznej, psychologicznej, mistycznej i religijnej, tworząc syntezę, którą łączy w jedno sposób postrzegania zbieżności zdarzeń.
Poznając kolejne wtajemniczenia, dowiadujemy się, czym są te zbieżności. W miarę jak do tego dochodzimy, wypracowujemy sobie nowy pogląd na życie.
– Chciałbym więc dowiedzieć się coś o każdym wtajemniczeniu. Czy mógłbyś objaśnić mi je, zanim wyjedziesz?
– Przekonałem się, że to się nie sprawdza. Do każdego z nich musisz dojść sam.
– W jaki sposób?
– To już się zaczęło. Nie wystarczy, że ci o tym opowiem. Możesz otrzymać informacje o każdym wtajemniczeniu, ale to wcale nie znaczy, że osiągnąłeś wtajemniczenie. Musisz dojść do tego drogą własnych doświadczeń.
Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. W końcu Wil się uśmiechnął. Rozmowa z nim działała na mnie nadzwyczaj pobudzająco.
– Dlaczego jedziesz szukać dziewiątego wtajemniczenia akurat teraz? – spytałem.
– Bo to jest odpowiedni moment. Byłem tu kiedyś przewodnikiem i dobrze znam te tereny, poza tym przeszedłem już osiem stopni wtajemniczenia. Kiedy wyglądałem z tamtego okna i wspominałem Josego, już wtedy postanowiłem, że jeszcze raz pojadę na północ. Dziewiąte wtajemniczenie musi

być gdzieś tam. No i raczej nie będę już młodszy. Poza tym mam przeczucie, że znajdę je i uda mi się poznać jego treść. Wiem, że jest najważniejsze ze wszystkich – ustawia wszystkie inne we właściwej perspektywie i wyjaśnia prawdziwy cel życia.

Przerwał i spojrzał na mnie z powagą.

– Miałem wyjść już pół godziny temu, ale dręczyło mnie przeświadczenie, że o czymś zapomniałem. – Znów przerwał. - To było właśnie wtedy, gdy ty pojawiłeś się na horyzoncie.

Wymieniliśmy długie spojrzenia.

– Jak myślisz, czy powinienem jechać z tobą? – spytałem.

– A co ty o tym sądzisz?

– Nie wiem – wyznałem szczerze. Byłem trochę skonsternowany. Przed oczami przesuwały mi się obrazy z tej wyprawy: Charlene, Dobson, a teraz Wil. Przyjechałem tu ze zwykłej ciekawości i nagle stałem się ściganą zwierzyną, ukrywającą się przed nieznanymi prześladowcami. Najdziwniejsze jednak było to, że zamiast być ciężko przerażony, czułem jakieś dziwne podniecenie. Powinienem teraz mobilizować siły i środki, aby za wszelką cenę wracać do domu, tymczasem miałem ochotę jechać z Wiłem, choć na pewno było to bardziej niebezpieczne.

Kiedy więc rozważyłem wszystkie za i przeciw, zdałem sobie sprawę, że nie mam wyboru. Drugie wtajemniczenie zamknęło mi drogę powrotu do mojej poprzedniej bieganiny wokół spraw bytowych. Jeśli chciałem coś zmienić, musiałem iść za ciosem.

– Przenocuję tu – oświadczył Wil. – Masz więc czas do namysłu do jutra rana.

– Już się namyśliłem. Jadę z tobą!

Istota energii

Wstaliśmy o świcie i przez cały ranek jechaliśmy na wschód, nic prawie nie mówiąc. Na początku Wil wspomniał, że przetniemy Andy i skierujemy się w stronę lesistych wzgórz i płaskowyży noszących nazwę Wysokiej Selwy. Później prawie cały czas milczał.
Próbowałem zadać mu kilka pytań na temat jego przeszłości i celu naszej podróży, ale delikatnie dał mi do zrozumienia, że wolałby skupić się na prowadzeniu samochodu. Zająłem się więc podziwianiem krajobrazu. Widoki ze szczytów górskich zapierały dech w piersiach.
Około południa, kiedy wjechaliśmy już na ostatnie pasmo górskie, zatrzymaliśmy się na najwyższym wzniesieniu. Zjedliśmy przywiezione z sobą kanapki i podziwialiśmy rozpościerającą się przed nami dolinę. Po jej przeciwnej stronie widać było pagórki okryte bogatą roślinnością. Podczas posiłku Wil nadmienił, że na noc zatrzymamy się w majątku Viciente, który w XIX wieku należał do hiszpańskiego Kościoła katolickiego. Obecny właściciel tej posiadłości, jego przyjaciel, uczynił z niej ośrodek konferencyjny dla potrzeb nauki i biznesu.
Po tej krótkiej informacji ruszyliśmy w dalszą drogę. Za godzinę przybyliśmy na miejsce. Do posiadłości prowadziła brama z kamienia i kutego żelaza, a za nią żwirowany podjazd. Znów próbowałem wybadać Wila, podpytując go o samo Viciente i cel naszego tutaj przybycia. Ale tak jak przedtem Wil zbył moje pytania, sugerując, abym raczej przyglądał się krajobrazowi.
Piękno okolicy poraziło mnie. Wokół rozpościerały się różnobarwne sady i pastwiska, na których trawa odznaczała się wyjątkowo soczystą, intensywną zielenią. Jej bujnemu porostowi nie przeszkadzały nawet potężne dęby. Coś mnie w tych drzewach szczególnie frapowało, ale nie mogłem się zorientować co.
Na szczycie pagórka stał dwór w stylu hiszpańskim,

zbudowany z topornych kłód drewnianych i szarego kamienia. Wydawało się, że musi tam być co najmniej pięćdziesiąt pokoi, a cała południowa ściana była jedną wielką oszkloną werandą. Dziedziniec wokół dworu otaczały gigantyczne dęby. W ich kręgu wspaniale prezentowały się kępy egzotycznych roślin, wśród których wiły się ścieżki spacerowe ozdobione jaskrawymi kwiatami i paprociami. Na werandzie i na dziedzińcu zauważyłem grupki ludzi pogrążonych w rozmowie.

Wil przeciągnął trochę moment wysiadania z wozu, jakby pragnąc nacieszyć oczy pięknym widokiem. Po wschodniej stronie dworu teren opadał łagodnie i przechodził w bardziej równinne łąki i lasy. Następne pasmo wzgórz, widoczne z daleka, miało odcień niebieskofioletowy.

– Pójdę sprawdzić, czy mają dla nas wolny pokój – odezwał się Wil. – A ty możesz trochę się tu rozejrzeć. Widzę, że podoba ci się to miejsce.

– Jestem zachwycony!

Już odchodził, ale jeszcze zawrócił, jakby coś sobie przypomniał.

– Przyjrzyj się dobrze poletkom doświadczalnym – zasugerował. – Spotkamy się przy kolacji.

Jasne było, że z jakiegoś względu chce zostawić mnie samego. Nie dociekałem dlaczego. Czułem się świetnie i ani trochę się nie bałem. Wil zdążył mi powiedzieć, że majątek Viciente dzięki turystom przynosił państwu tyle dolarów, że żadne władze nie wtrącały się do tego, co się tam dzieje, choćby nawet mówiono o Rękopisie.

Zainteresowało mnie kilka potężnych dębów i kręta ścieżka prowadząca w kierunku południowym, toteż poszedłem w tę stronę. Kiedy już dotarłem do drzew, zobaczyłem, że ścieżka biegnie dalej, przez małą żelazną furtkę i w dół kamiennymi stopniami aż na łąkę pełną polnych kwiatów. W dali widać było coś w rodzaju sadu, strumyk, a na końcu las. Przy furtce zatrzymałem się i kilka razy głęboko zaczerpnąłem powietrza, podziwiając roztaczające się wokół piękno.

– Ładnie tu, prawda? – odezwał się jakiś głos za mną. Odwróciwszy się szybko, zobaczyłem kobietę z plecakiem. Miała chyba powyżej trzydziestki.

– Rzeczywiście – stwierdziłem. – Jeszcze nie widziałem czegoś takiego.
Przez chwilę rozglądaliśmy się po polach i płożących się roślinach tropikalnych rosnących na tarasowato ułożonych grzędach. Potem skorzystałem z okazji i zapytałem:
– Może pani przypadkiem wie, gdzie tu są poletka doświadczalne?
– Oczywiście – odpowiedziała. – Właśnie tam idę. Pokażę panu.
Przedstawiliśmy się sobie, a potem zeszliśmy schodkami i wydeptaną ścieżką. Moja nowa znajoma nazywała się Sara Lorner. Była rudawą blondynką o niebieskich oczach. Mimo że próbowała zachowywać powagę, sprawiała wrażenie dziewczynki. Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu.
– Pan tu po raz pierwszy? – zagaiła w pewnej chwili.
– Tak. Niewiele jeszcze wiem o tym miejscu.
– Ja bywam tu już od roku, mogę więc udzielić panu informacji. Ten majątek zdobył sobie popularność jakieś dwadzieścia lat temu jako międzynarodowe centrum kongresów naukowych. Szczególnie fizycy i biolodzy upodobali sobie to miejsce dla swoich zjazdów. A kilka lat temu... – Urwała i spojrzała na mnie. – Czy słyszał pan o Rękopisie, który odnaleziono w Peru?
– Tak. Opowiadano mi o pierwszych dwóch wtajemniczeniach... – Chciałem jej opowiedzieć, jak zafascynował mnie ten dokument, lecz powstrzymałem się, nie wiedząc, jak dalece mogę jej ufać.
– Tak przypuszczałam. Wydawało mi się, że pobiera pan tu energię.
– Jaką energię?
Przechodziliśmy akurat przez drewniany mostek na strumieniu. Zatrzymała się i oparła o balustradę.
– Czy wie pan coś o trzecim wtajemniczeniu?
– Nie. Nie wiem nic.
– Przedstawia ono nową wykładnię pojmowania świata fizycznego.
Zgodnie z nią ludzie nauczą się odbierać pewien dotąd nieuchwytny rodzaj energii. Ta posiadłość stała się miejscem

spotkań naukowców, którzy interesują się tym zjawiskiem.
– Naukowcy dopuszczają istnienie tego rodzaju energii?
– Tylko niewielu – przyznała, przechodząc przez mostek. - Ten problem wywołuje wśród nas gorące spory.
– Pani także jest naukowcem?
– Wykładam fizykę w małym college'u w stanie Maine.
– Dlaczego niektórzy pani koledzy nie zgadzają się z panią? Przez chwilę milczała, jakby się namyślała nad odpowiedzią.
– Musi pan najpierw zrozumieć dzieje nauki – zaczęła i rzuciła mi pytające spojrzenie, niepewna, czy mam chęć zagłębiać się w temat. Skinieniem głowy zachęciłem ją, by mówiła dalej.
– Proszę sobie przypomnieć drugie wtajemniczenie. Po upadku średniowiecznego światopoglądu ludzie Zachodu nagle zdali sobie sprawę, że wszechświat, w którym żyją, nie jest poznany. Wiedzieli, że starając się zrozumieć jego istotę, muszą oddzielać fakty od przesądów. Wypracowali więc specjalne podejście znane jako sceptycyzm naukowy. Wymagało ono, aby każde nowe twierdzenie dotyczące mechanizmów rządzących wszechświatem zostało gruntownie udowodnione; zanim uwierzono w cokolwiek, żądano widocznych i namacalnych dowodów. Odrzucano każdą myśl, której nie dało się potwierdzić doświadczeniem fizycznym.
Metoda ta okazała się skuteczna, ale tylko w stosunku do zjawisk tak oczywistych, jak skały, drzewa i ludzie, które dostrzegał nawet największy sceptyk. Szybko zabraliśmy się do dzieła i ponazywaliśmy wszystko, co należało do świata materialnego, usiłując rozgryźć, dlaczego funkcjonuje on tak jak funkcjonuje. W końcu doszliśmy do wniosku, że zjawiska występujące w przyrodzie rządzą się “prawami naturalnymi", a każde zdarzenie ma bezpośrednią i zrozumiałą przyczynę.
Tu uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo.
– Widzi pan, ówcześni naukowcy nie różnili się zbytnio od obecnych. Skoro postanowiliśmy zawładnąć każdym miejscem, na którym żył człowiek, trzeba było wypracować taką wizję wszechświata, aby wydawał się on bezpieczny i łatwy do opanowania. Dzięki sceptycznemu stosunkowi do wszystkiego mogliśmy skupić się na konkretnych problemach, co

zwiększało nasze poczucie bezpieczeństwa.
Zeszliśmy na zygzakowato wijącą się ścieżkę i przez małą łączkę na teren gęściej zadrzewiony. Moja rozmówczyni mówiła dalej.
– Dzięki temu nauka systematycznie eliminowała z naszego pola widzenia zjawiska niepewne i tajemnicze. Według teorii Izaaka Newtona wszechświat zawsze funkcjonował w sposób przewidywalny, jak jakaś olbrzymia maszyna. Przez długie lata było to bowiem jedyne, co dało się udowodnić. Zdarzenia zachodzące równocześnie z innymi, ale nie mające z nimi związku przyczynowo-skutkowego uznawano za przypadkowe.
Później powstały jednak dwa kierunki badawcze, które ponownie zwróciły naszą uwagę na tajemnice wszechświata. W ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci wiele pisano na temat rewolucji w fizyce, ale tak naprawdę te rewolucyjne zmiany wzięły początek w odkryciu mechaniki kwantowej i w badaniach Alberta Einsteina.
Einstein pracował całe życie, aby wykazać, że to, co traktujemy jako materię, składa się głównie z pustej przestrzeni, przez którą przebiega moduł energii. Dotyczy to także ludzi. Natomiast fizyka kwantowa dowiodła, że obserwacja tych modułów energii na coraz niższych poziomach daje zaskakujące efekty. Doświadczenia pokazały, że gdy rozbijamy drobne cząstki takiej energii, tak zwane cząstki elementarne, i obserwujemy je, to na wyniki ma wpływ sam akt obserwacji, jakby cząstki elementarne zachowywały się zgodnie z oczekiwaniami obserwatora. Dzieje się tak także wtedy, kiedy cząstki te pojawiają się w miejscach, gdzie by nie występowały, gdyby wszechświatem rządziły znane nam prawa: to samo zjawisko nie może zaistnieć w tym samym czasie w dwóch różnych miejscach.
Inaczej mówiąc – ciągnęła po chwili przerwy – podstawowy budulec wszechświata w swym rdzeniu składa się z czystej energii podatnej na działania i oczekiwania człowieka. Nie zgadza się to ze starym, mechanistycznym modelem wszechświata. To tak, jakby same nasze oczekiwania sprawiały, że nasza energia ucieka gdzieś w świat i stymuluje inne systemy energetyczne. O tym właśnie przekonuje nas

trzecie wtajemniczenie. Potrząsnęła głową.
– Niestety, większość naukowców nie traktuje tej teorii poważnie. Podchodzą do tego raczej sceptycznie i czekają, aż będziemy to w stanie udowodnić.
Spoza drzew dobiegł słabo słyszalny głos:
– Saro, tutaj jesteśmy! – Ktoś machał do nas z odległości kilkudziesięciu metrów.
Sara spojrzała na mnie przepraszająco.
– Muszę porozmawiać z tymi ludźmi. Mam tu tłumaczenie trzeciego wtajemniczenia, może chciałbyś poczytać sobie, dopóki nie wrócę?
– Oczywiście – ucieszyłem się.
Sara wyciągnęła z plecaka broszurkę, wręczyła mi ją i ulotniła się.
Zacząłem szukać miejsca, gdzie mógłbym usiąść. Wokół siebie miałem tylko podszycie leśne złożone z małych krzaczków. Było tu mokro. Bardziej na wschód zauważyłem małe wzniesienie terenu. Postanowiłem tam przejść, z nadzieją że znajdę suche miejsce.
Na szczycie pagórka stanąłem, porażony niewiarygodnym pięknem tego miejsca. W odległości parunastu metrów od siebie rosły tu potężne dęby, a ich grube, połączone konary tworzyły jakby baldachim. Podszycie stanowiły tropikalne, szerokolistne rośliny około metrowej wysokości. Wśród nich olbrzymie paprocie ł jakieś biało kwitnące krzewy. Znalazłem w końcu suche miejsce i usiadłem. Czułem stęchły zapach zbutwiałych liści i aromaty kwiatów.
Otworzyłem broszurkę i zacząłem czytać wstęp. Wyjaśnione w nim było, co trzecie wtajemniczenie mówi na temat przemian w pojmowaniu świata materialnego. Znalazłem tam te same myśli, które przekazała mi Sara. Wynikało stąd, że przy końcu drugiego tysiąclecia ludzkość odkryje nowy rodzaj energii, która promieniuje z wszystkich ciał fizycznych nie wyłączając człowieka.
Zastanawiałem się nad tym, gdy raptem moje oko padło na pewien interesujący fragment. Właściwy odbiór tej nowej energii rozpoczyna się od podwyższonej wrażliwości człowieka

na piękno. Zastanawiałem się właśnie nad tym, gdy usłyszałem czyjeś kroki na ścieżce.
Szła do mnie Sara.
– Piękne miejsce – stwierdziła. – Doszedłeś już do rozważań o odbiorze piękna?
– Tak – odpowiedziałem. – Właśnie zastanawiałem się, jak mam to rozumieć.
– Dalej Rękopis wyjaśnia to dokładniej, ale mogę ci krótko streścić. Wrażliwość na piękno to rodzaj barometru, który wskazuje, jak daleko nam jeszcze do właściwego odbioru energii. Po prostu, gdy raz uda ci się zaobserwować ten rodzaj energii, zorientujesz się, że odbiera się ją na tej samej częstotliwości co piękno.
– Mówisz, jakbyś tego doświadczyła – zauważyłem. Spojrzała na mnie wcale nie speszona.
– Bo doświadczyłam, ale zanim do tego doszłam, rozwinęłam w sobie intensywniejsze odczuwanie piękna.
– Ale jak to możliwe? Przecież piękno to pojęcie względne. Potrząsnęła głową.
– Przedmioty, które uważamy za piękne, mogą być różne, ale cechy, które im przypisujemy, są zwykle podobne. Pomyśl. Coś, co uderza nas swoim pięknem, zazwyczaj w jakiś sposób wyróżnia się z otoczenia, ma wyraźniejszy kształt, żywsze kolory, jest pod każdym względem wyjątkowe. Na tle mniej atrakcyjnych przedmiotów dosłownie błyszczy.
Przytaknąłem.
– Spójrz więc na to miejsce – tłumaczyła dalej Sara. - Widzę, że zbiło cię z nóg. To samo działo się z nami wszystkimi. Tu kolory i kształty są wyraźniejsze. Następnym poziomem wrażliwości jest już postrzeganie pól energetycznych emanujących ze wszystkiego.
Byłem tak oszołomiony, że spojrzawszy na mnie Sara roześmiała się, ale potem mówiła już poważnie.
– Lepiej przejdźmy do poletek. Leżą niedaleko stąd, kilkaset metrów na południe. Myślę, że cię zainteresują.
Podziękowałem jej, że poświęca czas, aby objaśniać treść Rękopisu człowiekowi całkiem jej obcemu, jak też za oprowadzanie mnie po Viciente. Wzruszyła ramionami.

– Sprawiasz wrażenie osoby pozytywnie nastawionej do tego, co tu robimy – wyjaśniła. – Poza tym zależy nam na nawiązaniu szerszych kontaktów. Aby móc kontynuować nasze badania, musimy wyjść z nimi na zewnątrz, na przykład do Ameryki. Miejscowe władze chyba niezbyt nas lubią. Wtem za nami odezwał się jakiś głos:
– Przepraszam państwa! – Ujrzeliśmy trzech elegancko ubranych mężczyzn, dobrze po czterdziestce, którzy szli szybkim krokiem w naszym kierunku. – Czy mogliby państwo poinformować nas, gdzie znajdują się poletka doświadczalne?
– spytał najwyższy z nich.
– A czy mogłabym dowiedzieć się, o co panom chodzi? - spytała Sara bez przesadnej uprzejmości.
– Mamy zgodę właściciela tej nieruchomości na zwiedzenie poletek i odbycie rozmów na temat pseudonaukowych badań, jakie się tu prowadzi. Jesteśmy z uniwersytetu w Limie.
– Jak się wydaje, panowie patrzą na nasze badania niezbyt chętnym okiem. – Sara uśmiechnęła się próbując załagodzić sytuację.
– Istotnie – włączył się w rozmowę drugi. – Uważamy, że to bezsens. Jak można głosić, że obserwuje się jakąś tajemniczą energię, skoro nikt nigdy dotąd nie stwierdził jej istnienia?
– A próbowali panowie? – skontrowała Sara. Zapytany zignorował to wezwanie i powtórzył:
– Czy mogłaby pani wskazać nam drogę do tych poletek?
– Ależ oczywiście. Proszę przejść jeszcze jakieś sto metrów i zobaczy pan ścieżkę skręcającą na wschód. Stamtąd do poletek jeszcze tylko niecałe pół kilometra.
Wysoki podziękował i wszyscy trzej pospieszyli wskazaną drogą.
– Wysłałaś ich w niewłaściwym kierunku – zauważyłem.
– Niezupełnie. Tam też są poletka, a ludzie, którzy na nich pracują, mają lepsze przygotowanie do rozmowy z takimi sceptykami. Tutaj podobni osobnicy trafiają rzadko i nie są to raczej naukowcy, tylko łowcy sensacji, którzy w najmniejszym stopniu nie starają się wgłębić w to, co robimy, a to jest podstawowa bariera poznawcza.
– Co masz na myśli?

– Jak już mówiłam, postawa sceptyczna sprawdzała się, gdy badaliśmy zjawiska tak konkretne i dostrzegalne jak drzewa, słońce czy burza. Jednak istnieje cała grupa zjawisk bardziej ulotnych, których nie da się zbadać, ani nawet stwierdzić ich istnienia, dopóki nie odrzuci się sceptycyzmu i nie spróbuje wszystkich możliwych środków percepcji. A kiedy ci się to uda, możesz już wrócić do tradycyjnych metod badań.
– To ciekawe! – przyznałem.
Skończył się las, a przed nami pojawiły działki. Na każdej rósł inny gatunek roślin. Głównie jadalnych, od bananów do szpinaku. Po wschodniej stronie rzędu działek biegła szeroka żwirowana droga, która prowadziła na północ, aż do szosy.
Wzdłuż drogi stały trzy blaszane pawilony. Przy każdym pracowało kilka osób.
– Podejdźmy tam – Sara wskazała najbliższy pawilon. - Widzę znajomych. Chciałabym, żebyś ich poznał.
Przedstawiła mnie trzem mężczyznom i jednej kobiecie. Mężczyźni zamienili ze mną parę słów, po czym przepraszając wrócili do swoich zajęć, natomiast kobieta, jak się okazało - biolog, imieniem Marjorie, widać miała czas na rozmowę. Udało mi się zwrócić na siebie jej uwagę.
– Nad czym pani pracuje? – spytałem. Wyglądała na zaskoczoną, lecz uśmiechnęła się i po chwili zastanowienia powiedziała:
– Nie wiem, od czego zacząć... Czy pan poznał już Rękopis?
– Pierwsze wtajemniczenia. Zacząłem właśnie zapoznawać się z trzecim.
– No więc tym się właśnie zajmujemy. Proszę iść ze mną, pokażę panu.
Przeszliśmy obok pawilonu do działki, na której rosła fasola. Zauważyłem, że wszystkie rośliny wyglądają wyjątkowo zdrowo, nie mają uschłych liści ani śladów działania szkodników. Gleba była tu próchniczna, bardzo żyzna i pulchna. Każda roślina miała dla siebie dostatecznie dużo przestrzeni, tak że ani łodygą, ani liśćmi nie stykała się z innymi.
Marjorie wskazała na najbliższy pęd fasoli.

– Staramy się traktować każdą roślinę jak odrębny układ energetyczny. Dostarczamy im wszystkiego, co jest im potrzebne do rozwoju, a więc składników mineralnych, wilgoci i światła. Doszliśmy do wniosku, że ekosystem każdej rośliny stanowi odrębny żywy organizm i że kondycja każdej jego części składowej ma wpływ na kondycję całości... – Po krótkiej przerwie kontynuowała swój wykład. – Najważniejsze jest to, że odkąd zaczęliśmy zwracać uwagę na stosunki energetyczne wokół roślin, otrzymujemy zaskakujące rezultaty. Nasze rośliny nie różnią się od innych pod względem wielkości, ale z punktu widzenia kryteriów odżywczych są dużo wartościowsze.
– Jak można to ocenić?
– Po prostu zawierają więcej białka, węglowodanów, witamin i składników mineralnych. – Spojrzała na mnie wyczekująco. – Ale to jeszcze nie najdziwniejsze! Największą wartość odżywczą wykazują te rośliny, które ludzie otaczają bezpośrednią opieką.
– Jaka to opieka? – spytałem zaciekawiony.
– Chodzi o to, żeby ciągle poruszać ziemię wokół nich, codziennie kontrolować ich rozwój i tak dalej. Po prostu mieć je na oku. Przeprowadziliśmy doświadczenie, w którym wyodrębniliśmy grupę otoczoną taką specjalną troską i grupę kontrolną. Wynik doświadczenia potwierdził naszą hipotezę. Mało tego, rozwinęliśmy założenie wyjściowe i jeden z naszych pracowników nie tylko intensywniej pielęgnował rośliny, ale nawiązywał z nimi kontakt duchowy. Siedział przy nich, skupiał całą swoją uwagę na ich wzroście, tak jakby prosząc je, aby lepiej, się rozwijały.
– I co, były silniejsze?
– W znacznym stopniu. A także rosły szybciej.
– To nie do wiary!
– Rzeczywiście... – urwała, gdyż w naszym kierunku zbliżał się starszy pan, mniej więcej około sześćdziesiątki.
– Ten pan jest żywieniowcem – wyjaśniła Marjorie. – Przyjechał tu po raz pierwszy chyba rok temu i zaraz wziął urlop ze swojej pracy na uniwersytecie stanowym w Waszyngtonie. To profesor Hains, który przeprowadził wiele ważnych badań.

Zostałem przedstawiony profesorowi, potężnej budowy brunetowi z siwizną na skroniach. Marjorie sprowokowała go, aby pokrótce opowiedział o swoich poszukiwaniach. Okazało się, że jego główną pasją naukową jest badanie współzależności między jakością spożywanego przez człowieka pokarmu a funkcjonowaniem poszczególnych narządów jego ciała. Zależności te były badane przy użyciu wysoce wybiórczych prób krwi.
Profesor wyznał mi, co obecnie absorbuje go najbardziej. Zaobserwował, że spożywanie wyhodowanych w Viciente roślin ma o wiele większy wpływ na sprawność organizmu, niż można było się spodziewać na podstawie samej tylko zawartości w nich składników odżywczych o potwierdzonym dotąd działaniu. Widocznie w tych roślinach znajdowało się coś, co dawało nie odnotowany dotąd efekt.
– To by znaczyło – starałem się zrozumieć – że poświęcanie uwagi tym roślinom daje im coś, co potem oddają człowiekowi w postaci zwiększonej wartości energetycznej. Czy to o tej energii mowa w Rękopisie?
Marjorie spojrzała na profesora, a ten uśmiechnął się blado.
– Tego jeszcze nie jestem pewien – przyznał.
Spytałem go o plany na przyszłość i dowiedziałem się, że ma zamiar stworzyć w stanie Waszyngton replikę takiego ogrodu jak tutaj. Wtedy będzie mógł rozpocząć szeroko zakrojone badania nad tym, czy spożywanie tych roślin wywołuje długotrwałą poprawę stanu zdrowia ich konsumentów. Podczas tej rozmowy mimo woli co pewien czas spoglądałem na Marjorie. Nagle wydała mi się wyjątkowo piękna. Nawet w workowatych dżinsach i luźnej koszulce widać było, że jest wysoka i szczupła. Miała ciemnobrązowe oczy i takież włosy, opadające wokół twarzy w spiralnie skręconych lokach.
Patrząc na nią odczuwałem wielką, wręcz fizyczną przyjemność. Właśnie gdy sobie to uświadomiłem, odwróciła głowę, popatrzyła mi prosto w oczy i cofnęła się o krok.
– Mam teraz pilne spotkanie – stwierdziła. – Do zobaczenia później.
Pożegnała się z Hainsem, z zażenowaniem uśmiechnęła się

do mnie i znikła za blaszanym pawilonem.
Porozmawiałem jeszcze przez chwilę z profesorem, potem też się z nim pożegnałem i wróciłem tam, gdzie została Sara. Była jeszcze zajęta z którymś pracownikiem, ale gdy szedłem, obserwowała mnie uważnie. Kiedy się zbliżyłem, jej rozmówca zebrał do teczki swoje notatki, skinął głową i wszedł do pawilonu.
– No i jak, dowiedziałeś się czegoś? – spytała Sara.
– Mhm – mruknąłem z pewnym zakłopotaniem. – Chyba ci ludzie robią tutaj coś bardzo ciekawego.
– A dokąd poszła Marjorie?
Spuściłem głowę, a kiedy ją podniosłem, dojrzałem na twarzy Sary wyraz rozbawienia.
– Powiedziała, że ma jakieś spotkanie – wybąkałem.
– Spłoszyłeś ją? – zaśmiała się.
– Tak mi się wydaje, ale przecież nic nie powiedziałem.
– Nie musiałeś nic mówić. Marjorie wyczuła zmianę w twoim biopolu. To było widać aż stąd.
– Zmianę w czym?
– W polu energetycznym wytworzonym wokół twego ciała. Większość z nas nauczyła się już je dostrzegać, przynajmniej w określonym rodzaju światła. I tak, jeśli czujemy do kogoś pociąg, w naszym biopolu wytwarzają się zakłócenia, które podążają w stronę obiektu naszego zainteresowania.
Zabrzmiało to dla mnie jak czysta fantazja, ale zanim zdążyłem coś powiedzieć, moją uwagę odwróciło kilka osób wychodzących z blaszanego pawilonu.
– Teraz odbędzie się przekazywanie energii – oznajmiła Sara. – Na pewno zechcesz to zobaczyć.
W ślad za czterema młodymi ludźmi, prawdopodobnie studentami, poszliśmy na działkę, na której rosła kukurydza. Z bliska zauważyłem, że działka ta była podzielona na dwa oddzielne poletka. Na jednym z nich krzaczki kukurydzy dorastały do wysokości około sześćdziesięciu centymetrów, gdy na drugim roślinki miały około trzydziestu centymetrów. Czterej chłopcy podeszli do poletka z wyższą kukurydzą i usiedli każdy w jednym jego rogu, zwróceni twarzami do środka. Na dany znak wszyscy skupili swój wzrok na roślinach.

Było późne popołudnie i słońce znajdowało się nisko, gdzieś za mną, zalewając działkę bursztynowozłocistym światłem. Widoczne z daleka pasmo lasów wydawało się już ciemne. Na jego tle jasno rysowały się kontury młodych ludzi i działki z kukurydzą.

– Patrz! – odezwała się Sara zza moich pleców. – Widzisz? Czy to nie jest wspaniałe?

– Co takiego?

– Oni przekazują roślinom swoją energię.

Wytężyłem wzrok, ale nie udało mi się niczego dostrzec.

– Nic nie widzę – oświadczyłem.

– To przykucnij i wpatrz się w przestrzeń między ludźmi a roślinami.

Przez chwilę wydawało mi się, że widzę błysk światła, ale doszedłem do wniosku, że musiał to być powidok albo po prostu oczy płatają mi figle. Jeszcze kilka razy spróbowałem coś zobaczyć, wreszcie dałem sobie spokój.

– Nic z tego – powiedziałem wstając.

– Nie przejmuj się. – Sara poklepała mnie po plecach. - Pierwszy raz jest zawsze najtrudniejszy. Zwykle trzeba trochę potrenować skupianie wzroku.

Jeden z medytujących studentów obejrzał się na nas i przyłożył palec do ust, więc wycofaliśmy się do pawilonu.

– Zostaniesz tu jeszcze długo? – spytała Sara.

– Chyba nie – odpowiedziałem. – Człowiek, z którym tu przyjechałem, poszukuje ostatniej części Rękopisu.

– A ja myślałam, że odnaleziono wszystkie! – zdziwiła się.

– Choć szczerze mówiąc tak pochłonęły mnie te jego partie, które mają związek z moją pracą, że nie miałam czasu na nic innego.

Odruchowo sięgnąłem do kieszeni spodni, aby sprawdzić, czy jest tam broszurka, którą otrzymałem od Sary. Na szczęście była, zwinięta w tylnej kieszeni, tam gdzie ją włożyłem.

– Wiesz co? – zaproponowała Sara. – Odkryliśmy, że są dwie pory dnia najbardziej korzystne dla postrzegania biopola: wschód i zachód słońca. Jeśli chcesz, spotkajmy się jutro o świcie i spróbujmy znowu. – Wyciągnęła rękę po swoją broszurę.

– Tymczasem zrobię ci z tego odbitkę i zabierzesz ją ze sobą. Uznałem, że nie jest to zła propozycja.
– Czemu nie? Muszę tylko spytać mojego kolegi, czy mamy dość czasu. A właściwie dlaczego sądzisz, że będę w stanie to zobaczyć? – dodałem z uśmiechem.
– Powiedzmy, że mam takie przeczucie.
Umówiliśmy się na spotkanie nazajutrz o szóstej rano na tym pagórku, po czym udałem się z powrotem do starego dworu. Słońce już całkiem zaszło, lecz jego światło podbarwiało chmury nad linią horyzontu na odcień pomarańczowy. Było chłodno, lecz nie wiał najlżejszy wiaterek.
W jadalni centrum kongresowego przed bufetem ustawiła się już długa kolejka. Ponieważ byłem głodny, podszedłem do czoła kolejki, aby zobaczyć, co jest do jedzenia. Stali tam, rozmawiając, Wil i profesor Hains.
– Cześć! – zauważył mnie Wil. – Jak minęło popołudnie?
– Wspaniale! – odpowiedziałem.
– To pan William Hains.
– Mieliśmy już okazję poznać się.
Profesor przytaknął.
Wspomniałem o umówionym na jutro rano spotkaniu. Wil nie miał nic przeciwko temu, gdyż sam chciał jeszcze rozmówić się z dwoma osobami i nie planował odjazdu wcześniej niż o dziewiątej.
Kolejka posunęła się naprzód, a stojący z tyłu przepuścili mnie, żebym mógł dołączyć do swoich znajomych.
Stanąłem za profesorem.
– No i jak pan ocenia to, co tu robimy? – spytał Hains.
– Jeszcze nie wiem – przyznałem się. – Muszę się z tym oswoić. Ta teoria o biopolach jest dla mnie czymś zupełnie nowym.
– To jest czymś nowym dla wszystkich – zgodził się profesor. Ale ta energia jest właśnie tym, czego nauka poszukiwała już od dawna: wspólnym czynnikiem leżącym u podstaw każdej materii. Od czasów Einsteina fizyce brakowało takiej teorii. Nie jestem pewien, czy to jest właśnie to, ale w najgorszym razie można powiedzieć, że ten Rękopis

zainspirował wiele ciekawych badań.
– Co nauka mogłaby zrobić dla uwiarygodnienia tej teorii?
– Choćby stworzyć narzędzia pomiaru. Bo właściwie istnienie tej energii nie jest już niczym egzotycznym. Na przykład karatecy znają rodzaj energii nazywanej “Cni", która leży u źródła tak pozornie niemożliwych wyczynów jak rozbijanie dłonią cegieł lub siedzenie bez ruchu w miejscu i opieranie się naciskowi czterech mężczyzn. Każdy z nas widział też cyrkowców wykonujących numery zaprzeczające sile ciężkości. To są właśnie przejawy działania ukrytej energii, do której zyskaliśmy dostęp. Oczywiście zostanie to uznane dopiero wtedy, kiedy więcej osób zobaczy ją na własne oczy.
– A czy pan kiedyś to widział? – spytałem.
– Czasem coś widziałem, w zależności od tego, co akurat jadłem.
– Jak to?
– Widzi pan, ci ludzie tutaj, którzy łatwo dostrzegają biopola, jadają głównie warzywa. I to przeważnie te wysokowartościowe warzywa, które sami wyhodowali. – Wskazał na bufet.
– Tu też jest ich trochę. Dzięki Bogu, podają także ryby i drób, z myślą o takich starych dziadach jak ja, przyzwyczajonych do jedzenia mięsa. Gdy jednak zmuszę się, aby zjeść co innego, wtedy jestem w stanie coś zobaczyć.
Spytałem profesora, dlaczego nie zastosuje odpowiedniej diety przez dłuższy okres.
– Czy ja wiem? – odparł. – Trudno wykorzenić stare nawyki. Kiedy przyszła moja kolej, zamówiłem tylko warzywa. Potem wszyscy trzej usiedliśmy przy wspólnym stole i rozmawialiśmy na banalne tematy. Po godzinie poszliśmy z Wilem do samochodu, aby zabrać stamtąd nasz bagaż. Przy okazji spytałem go:
– A ty widziałeś te biopola? Uśmiechnął się i kiwnął głową.
– Mam pokój na pierwszym piętrze – szybko zmienił temat.
– Twój na trzecim, numer trzysta sześć, klucz jest w recepcji.

W moim pokoju nie było telefonu, ale pracownik hotelu obiecał, że o godzinie piątej rano ktoś mocno zastuka do drzwi. Położyłem się więc i przez kilka minut przeżywałem dzisiejsze popołudnie, tak długie i bogate w wydarzenia. Wiedziałem już, dlaczego Wil wstrzymywał się od rozmowy. Chciał, abym osiągnął trzeci stopień wtajemniczenia dzięki własnym doświadczeniom...

Następnym moim doznaniem było już głośne walenie w drzwi. Spojrzałem na zegarek – wskazywał piątą rano. Pracownik wciąż stukał, póki nie krzyknąłem głośno “Dziękuję". Potem wstałem i wyjrzałem przez okno. Jedyną oznaką budzącego się dnia była blada poświata we wschodniej części nieba.

Poszedłem do łazienki, wziąłem prysznic, szybko się ubrałem i zbiegłem na dół. Jadalnię już otwarto i kręciło się tam nadspodziewanie dużo ludzi. Zjadłem tylko trochę owoców i bez ociągania się wyszedłem.

Nad polami unosiły się pasma mgły i osiadały na oddalonych łąkach. Z drzew nawoływały się śpiewem ptaki. Kiedy oddaliłem się już od hotelu, zza linii horyzontu wynurzył się skraj tarczy słonecznej. Dało to wspaniały efekt kolorystyczny – ciemnoniebieskie niebo nad brzoskwiniowym horyzontem.

Na umówiony pagórek przybyłem piętnaście minut przed czasem, toteż usiadłem pod wielkim drzewem, opierając się o jego pień. Zafascynowała mnie plątanina gałęzi nad moją głową. Po chwili usłyszałem czyjeś kroki na ścieżce. Byłem pewien, że to Sara, lecz tymczasem w moją stronę zbliżał się jakiś nieznajomy. Wyglądał na około czterdziestu lat, włosy miał kręcone, przerzedzone. Zszedł ze ścieżki, lecz nie zauważył mnie, dopóki nie znalazł się w odległości około trzech metrów. Wtedy zareagował tak gwałtownie, że aż podskoczyłem.

– Ach, dzień dobry panu! – zawołał z silnym akcentem brooklyńskim. W dżinsach i trampkach, robił wrażenie człowieka wysportowanego.

Kiwnąłem głową.

– Przepraszam, że pana zaskoczyłem.

– Nic nie szkodzi.
Powiedział mi swoje nazwisko – Phil Stone. Ja też się przedstawiłem i wspomniałem, że czekam tu na znajomą.
– A pan pewnie prowadzi tu badania? – dodałem.
– Niezupełnie – odpowiedział. – Pracuję na uniwersytecie Południowej Kalifornii. Prowadzimy w sąsiedniej prowincji badania na temat wymierania puszcz tropikalnych. Tylko od czasu do czasu lubię sobie zrobić przerwę i wyskoczyć tutaj, gdzie są inne lasy.
Rozejrzał się wokół.
– Może pan sobie wyobrazić, że niektóre z tych drzew mają prawie pięćset lat? Występują tu rzadko spotykane partie lasu dziewiczego, gdzie panuje idealna równowaga. Większe drzewa przesiewają światło słoneczne, tak że w ich cieniu możliwa jest wegetacja wielu roślin. Roślinność puszcz tropikalnych też jest stara, ale ma inny charakter. Jest to głównie dżungla. Natomiast to tutaj przypomina stare lasy klimatu umiarkowanego, takie jak u nas w Ameryce.
– Nigdy czegoś podobnego nie widziałem – przyznałem.
– Nie dziwię się, bo mało ich już pozostało. Większość została wycięta na potrzeby tartaków, zupełnie jakby w takim lesie nie było nic bardziej wartościowego niż drewno budulcowe. Po prostu wstyd! Weźmy na przykład choćby energię...
– Pan może dostrzec tutaj energię?
Spojrzał na mnie uważnie, jakby zastanawiając się, czy rozwijać ten temat.
– Tak, mogę – odparł w końcu.
– Mnie się to jeszcze nie udało – wyznałem. – Próbowałem wczoraj, kiedy studenci medytowali przy roślinach w ogrodzie.
– Mnie na początku też nie udawało się zobaczyć dużego biopola – pocieszył mnie. – Zaczynałem od przyglądania się swoim palcom.
– Jak to palcom?
– Przejdźmy tam – wskazał miejsce, gdzie między drzewami widać było skrawek błękitnego nieba. – Coś panu pokażę. Kiedy stanęliśmy w prześwicie, powiedział:
– Proszę odchylić się do tyłu i zetknąć ze sobą opuszki

wskazujących palców na tle nieba. Potem proszę rozłączyć palce na odległość około centymetra i spojrzeć w przestrzeń między nimi. Co pan tam widzi?
– Głównie kurz na moich gałkach ocznych.
– Niech pan nie zwraca na to uwagi, proszę dać oczom trochę odpocząć i złączyć palce jeszcze mocniej, a potem znów rozłączyć.
Chwilę poruszałem palcami, nie bardzo wiedząc, jak mam dać oczom odpocząć. Potem wykonałem polecenie i skupiłem wzrok na przestrzeni między palcami. Raptem na czubkach palców ujrzałem coś w rodzaju mgły, a między nimi jakby smugi dymu.
– O, Boże! – wykrzyknąłem i opisałem, co zobaczyłem.
– To jest właśnie to! – ucieszył się. – Teraz niech pan trochę poeksperymentuje.
Zetknąłem tym razem cztery palce, potem dłonie, wreszcie ramiona. Zawsze widziałem przepływające między rękami pasma energii. Opuściłem ręce i spojrzałem na Phila.
– Chce pan zobaczyć to samo u mnie? Wstał i cofnął się o kilka kroków, ustawiając głowę i tułów na tle nieba. Spróbowałem skoncentrować wzrok na nim, ale rozproszył mnie jakiś głos z tyłu. Odwróciłem się i zobaczyłem Sarę.
Phil z szerokim uśmiechem zrobił krok do przodu.
– To na tę panią pan czekał?
– My się już znamy – wskazała Sara na Phila. Przywitali się wylewnie, po czym Sara przypomniała sobie o mnie. - Przepraszam za spóźnienie – usprawiedliwiła się. – Zawiódł mój zegar wewnętrzny. No, teraz nawet wiem dlaczego. Przynajmniej mieliście szansę porozmawiać. Co robiliście?
– Ten pan właśnie nauczył się, jak można zobaczyć biopole między własnymi palcami. Sara spojrzała na mnie.
– No, proszę. W zeszłym roku Phil i ja w tym samym miejscu uczyliśmy się tego samego! – Teraz zwróciła się do Phila. – Stańmy plecami do siebie. Może uda mu się zobaczyć pole energetyczne między nami,
Stanęli przede mną stykając się plecami. Zaproponowałem, żeby podeszli bliżej, tak że dzieliło mnie od nich niewiele więcej niż metr. Ich sylwetki odcinały się na tle nieba, które z

tej strony było wciąż ciemnoniebieskie. Ku mojemu zaskoczeniu przestrzeń między nimi zrobiła się jaśniejsza, żółta, nawet żółtaworóżowa.
– Widzi! – Phil poznał to z mojego wyrazu twarzy. Sara złapała Phila za ramię i oboje odsunęli się dalej ode
mnie, na jakieś trzy metry. Górne połowy ich ciał otaczało białoróżowe biopole.
– W porządku – podsumowała całkiem poważnie Sara i przykucnęła obok mnie.
– Teraz patrz, jak tu pięknie wokół!
Byłem już pod wrażeniem otaczających mnie kształtów. Wydawało mi się, że potrafię skupić wzrok na każdym z masywnych dębów jako na odrębnej całości, nie na poszczególnych ich częściach. Wkrótce kształt i układ każdej gałęzi wydały mi się niepowtarzalne. Przenosiłem wzrok z jednej na drugą, obracając się na wszystkie strony. Doznałem wtedy wrażenia, jakbym widział te dęby po raz pierwszy w życiu, a przynajmniej po raz pierwszy w pełni zachwycał się nimi.
Potem moją uwagę zwróciły tropikalne rośliny rosnące pod drzewami. Przyglądałem się unikalnym kształtom każdej z nich. Zauważyłem, że różne rodzaje roślin tworzą specyficzne małe społeczności. I tak wokół drzewiastego bananowca rosły kręgiem niskie filodendrony, a wokół nich z kolei jeszcze niższe rośliny podobne do paproci. Te małe zbiorowiska urzekały niepowtarzalnością swoich form.
Następnie mój wzrok przyciągnęła roślina odległa o jakieś dwa metry ode mnie. Nieraz hodowałem coś podobnego w doniczce jako odmianę filodendronu. Ten egzemplarz miał ciemnozielone liście, koronę o średnicy około metra i wyglądał jak okaz zdrowia.
– Postaraj się skoncentrować na tym, odpręż się – poradziła Sara.
Próbowałem zogniskować swój wzrok na różnych częściach rośliny. W końcu udało mi się to na jakiejś powierzchni. Stopniowo zacząłem zauważać błyski światła, a po pewnym przyzwyczajeniu oczu dostrzegłem jakby bańkę białego światła wokół rośliny.
– Teraz coś widzę! – zawołałem.

– To rozejrzyj się wokół.
Z wrażenia aż się cofnąłem. Z każdej rośliny w moim polu widzenia emanowała taka sama aureola białego światła, widzialnego, lecz całkiem przezroczystego, tak że nie zacierało kształtów ani barwy rośliny. Było to jakby przedłużenie niezwykłego piękna każdego egzemplarza. Miałem wrażenie, że najpierw widzę same rośliny, zachwycam się ich pięknem, a potem dostrzegam ekspresję tego piękna w postaci wypromieniowanej energii.
– Teraz uważaj! – uczuliła mnie Sara. Usiadła przede mną, twarzą do filodendronu. Otaczający ją nimb białego światła wydłużył się i ogarnął roślinę. Średnica białego pola energetycznego filodendronu powiększyła się.
– O, kurczę! – wyrwało mi się. Sara i Phil wybuchnęli śmiechem. Ja też zacząłem się śmiać. Sytuacja była niezwykła. Z łatwością, bez żadnych ograniczeń, oglądałem przecież zjawiska, których istnienie przed chwilą kwestionowałem. Mało tego, zdawałem sobie sprawę, że postrzeganie tych biopól nie budzi we mnie uczucia niezdrowej sensacji, raczej wszystko wydaje mi się bardziej realne i konkretne niż dotąd.
Całe moje otoczenie wydawało się teraz jakieś inne. Wyglądało jak na filmie, na którym naturalne barwy lasu zazwyczaj wzmacnia się dla wytworzenia nastroju. Rośliny, ich liście i niebo wokół robiły wrażenie tworów nie tylko żywych, lecz jakby świadomych, co już zdecydowanie wykraczało poza nasze normalne wyobrażenia. Kto raz to zobaczył, nigdy już nie będzie mógł potraktować lasu jako czegoś najzwyklejszego pod słońcem.
– Teraz ty usiądź – poprosiłem Phila – i przelej swoją energię w ten filodendron.
Chcę porównać, jak to wygląda u kogoś innego.
Phil zmieszał się.
– Nie dam rady. Nie wiem dlaczego, ale mnie się to nie udaje.
Sara pośpiesznie zaczęła wyjaśniać.
– Nie wszyscy ludzie mogą to zrobić. Marjorie ma zamiar sprawdzić, kto z jej magistrantów ma takie właściwości. Pewne małżeństwo psychologów bada współzależność tej cechy z

osobowością człowieka, ale dotychczas nie uzyskali żadnych wyników.
– Może ja spróbuję? – zaproponowałem.
– No to do dzieła, próbuj!
Usiadłem tak jak przedtem, zwracając się twarzą do rośliny. Sara i Phil ustawili się pod kątem prostym.
– Od czego mam zacząć?
– Musisz skupić uwagę na roślinie, tak jakbyś chciał ją napompować swoją energią – tłumaczyła Sara.
Wpatrywałem się w filodendron, wyobrażając sobie, jak napełnia go moja energia. Po kilku minutach spojrzałem w stronę Sary i Phila.
– Przykro mi – stwierdziła ze smutkiem Sara. – Widać nie jesteś jednym z wybranych.
Dalsze próby przerwały nam gniewne głosy dochodzące od strony ścieżki. Pomiędzy drzewami zobaczyliśmy kilku mężczyzn rozmawiających ostrym tonem.
– Co to za ludzie? – spytał Phil Sarę.
– Nie mam pojęcia. Podejrzewam, że to następni zgorszeni naszymi badaniami.
Obejrzałem się na otaczający nas las. Wszystko wyglądało znów tak ja przedtem.
– Już nie widzę pól energetycznych! -
– Widać coś ściągnęło cię na ziemię – wyjaśniła Sara. Phil śmiejąc się poklepał mnie po ramieniu.
– Teraz będziesz mógł robić to zawsze. To tak, jakby raz nauczyć się jeździć na rowerze. Jedynym warunkiem jest dostrzec piękno, a reszta jest tylko rozwinięciem.
Przypomniałem sobie nagle, że trzeba sprawdzić godzinę, bo słońce było już dość wysoko, a lekki poranny powiew przyginał drzewa. Za dziesięć ósma.
– Chyba muszę już wracać – oznajmiłem. Sara i Phil też zawrócili. Po drodze obejrzałem się w kierunku lasu na wzgórzu.
– To piękne miejsce – stwierdziłem z przekonaniem. – Szkoda, że nie ma takich więcej, na przykład u nas.
– Gdy raz zobaczysz biopola także i na innych terenach - zaczął tłumaczyć Phil – przekonasz się, jak dużo energii ma

taki las jak ten. Na przykład te dęby w Peru są bardzo rzadkie, ale tu, w Viciente, rosną. Las formowany przez człowieka, szczególnie taki, z którego usunięto inne gatunki drzew poza sosną, przydatną do przerobu, wydziela bardzo słabe biopole. No a środowisko miejskie, oczywiście nie licząc ludzi, emanuje całkiem inny rodzaj energii.
Próbowałem wpatrywać się w rośliny na ścieżce, ale nie potrafiłem skoncentrować się w marszu.
– Na pewno będę mógł zobaczyć znów te biopola? – niepokoiłem się.
– Oczywiście – zapewniała mnie Sara. – Nie słyszałam, aby komuś, kto raz już je widział, nie udało się tego powtórzyć. Kiedyś poddaliśmy eksperymentowi pewnego okulistę, który był zachwycony, gdy nauczył się je postrzegać. Zajmował się różnymi anomaliami wzroku, w tym także daltonizmem. W swoich badaniach doszedł do wniosku, że niektórzy ludzie mają “leniwe receptory" na siatkówkach oczu, lecz udało mu się nauczyć ich postrzegać kolory, jakich jeszcze dotąd nie widzieli. Na tej podstawie wysnuł uogólnienie, iż w ten sam sposób można się też nauczyć postrzegać biopola. Po prostu trzeba pobudzić uśpione receptory, co teoretycznie potrafi zrobić każdy.
– Chciałbym mieszkać w pobliżu takiego miejsca jak to - wyznałem.
– Kto by nie chciał! – odpowiedział Phil, po czym zwrócił się do Sary:
– Czy profesor Hains jeszcze tu jest?
– Tak, jakoś nie może wyjechać – odparła Sara.
– Ten facet prowadzi bardzo ciekawe badania nad wpływem występującej tu energii na człowieka – zwrócił się do mnie Phil.
– Wiem, wczoraj z nim rozmawiałem.
– W czasie mego poprzedniego pobytu – ciągnął Phil - profesor opowiadał mi o doświadczeniach, jakie miał zamiar przeprowadzić. Miał badać fizyczny wpływ na organizm, jaki wywiera samo przebywanie w pobliżu zbiorowisk tak bogatych w energię jak na przykład ten las. Aby ocenić ten wpływ zamierzał zastosować te same sprawdziany sprawności

narządów przed i po eksperymencie.
– Ja wiem, jaki to ma wpływ – wtrąciła Sara. – Kiedy przyjeżdżam do Viciente, od razu zaczynam czuć się lepiej, jakby wszystkie moje funkcje nasiliły się. Wydaję się sobie mocniejsza, myślę jaśniej i szybciej. Ma to także bezpośredni związek z tematem moich badań w dziedzinie fizyki.
– A nad czym pracujesz? – spytałem.
– Pamiętasz, co ci mówiłam na temat tych skomplikowanych doświadczeń w dziedzinie fizyki molekularnej, o zachowaniu cząstek elementarnych?
– Tak, pamiętam.
– No więc próbowałam rozszerzyć ten temat o własne doświadczenia. Nie chodzi mi o problemy, którymi zajmują się ci faceci od mikrocząsteczek, tylko żeby znaleźć odpowiedź na moje poprzednie pytania. Na przykład: do jakich granic świat materialny, który przecież składa się z tej samej podstawowej energii, odpowiada na nasze oczekiwania? A także do jakiego stopnia nasze oczekiwania mogą wpływać na przyszłe zdarzenia?
– Masz na myśli zbieżność zdarzeń?
– Tak. Weźmy na przykład wszystko, co wydarzyło się w twoim życiu. Zgodnie z poczciwą teorią Newtona wszystko dzieje się przez przypadek. Człowiek może dokonać słusznego, przemyślanego wyboru, ale i tak każde zdarzenie ma swój własny ciąg przyczyn i jest niezależne od naszej postawy.
Tymczasem po ostatnich odkryciach współczesnej fizyki mamy podstawy, aby postawić pytanie: czy wszechświat nie jest czasem bardziej dynamiczny? Może w swoich podstawowych funkcjach działa zgodnie z teorią mechanistyczną, ale w pewnym stopniu reaguje także na energię duchową, którą do niego emanujemy? Właściwie dlaczego nie? Jeśli możemy sprawić, aby rośliny rosły szybciej, może moglibyśmy też przyspieszać lub spowalniać zależnie od naszej woli bieg niektórych zdarzeń?
– Czy Rękopis mówi coś na ten temat?
– Właśnie stamtąd czerpiemy pomysły – uśmiechnęła się Sara. W marszu zaczęła grzebać w swoim starym plecaku, aż wyciągnęła broszurę. – Masz swoją odbitkę.

Rzuciłem na nią okiem i włożyłem do kieszeni. Przechodziliśmy akurat przez mostek, gdzie zatrzymałem się na chwilę, aby przyjrzeć się kształtom i kolorom otaczających nas roślin. Nagle ujrzałem barwne pole energetyczne wokół wszystkiego, co znajdowało się w moim polu widzenia. Sara i Phil emanowali rozległe biopola w odcieniu żółtawej zieleni, choć pole Sary od czasu do czasu przebłyskiwało różowo.
Wtem oboje zatrzymali się, wpatrując się w ścieżkę przed sobą. W odległości około piętnastu metrów pojawił się mężczyzna; szedł w naszym kierunku. Poczułem dziwny niepokój, ale postanowiłem starać się utrzymać barwną wizję energii. Z bliższej odległości poznałem tego człowieka: był to jeden z pracowników uniwersytetu w Limie, ten, który wczoraj pytał nas o drogę. Wokół niego widać było aureolę czerwonych promieni.
Kiedy się zbliżył, zagadnął Sarę protekcjonalnym tonem:
– Pani jest pracownikiem naukowym, prawda?
– Tak.
– Jak więc może pani tolerować tę pseudonaukę? Widziałem wasze poletka i mogę stwierdzić, że to jest szarlataneria. Wasze teorie nie znajdują żadnego potwierdzenia. Szybszy wzrost niektórych roślin może mieć wiele przyczyn.
– Nie da się sprawdzić wszystkiego. Poszukujemy ogólnych tendencji.
W głosie Sary wyczułem rosnące zdenerwowanie.
– Ależ to absurd, zakładać istnienie jakiejś nowej, widzialnej energii u podstaw chemizmu całej żywej materii. Nie macie na to żadnych dowodów.
– Właśnie ich szukamy.
– To jak możecie zakładać istnienie czegokolwiek nie mając na to dowodów?
W głosach obojga słychać było gniew, ale mnie uderzyły bardziej zmiany w ich biopolach. Na początku Phil i ja cofnęliśmy się o parę kroków, a Sara i jej rozmówca stali naprzeciw siebie w odległości około metra. W pewnym momencie ich biopola zaczęły jakby gęstnieć i wibrować, a w miarę nasilania się dyskusji – przenikać się wzajemnie. I tak,

kiedy któraś z osób dyskutujących czegoś dowodziła, jej pole energetyczne zasysało jak odkurzacz pole przeciwnika. Gdy adwersarz replikował, jej energia wracała na swoje miejsce. A zatem ten, kto zdobywał przewagę w dyskusji, jakby odrywał część biopola swego oponenta i pochłaniał jego energię.
– Zaobserwowaliśmy takie zjawiska i staramy się zinterpretować je – dowodziła Sara.
– To znaczy, że jest pani równie zbzikowana jak niekompetentna! – Przeciwnik zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem i odszedł.
– A pan jest dinozaurem! – krzyknęła za nim Sara. Phil i ja parsknęliśmy śmiechem, ale jej nie opuściło napięcie.
– Tacy ludzie wyprowadzają mnie z równowagi – skomentowała.
– Nie myśl o tym – uspokajał ją Phil. – Czasem zdarza się, że zmieniają zdanie.
– Ale dlaczego jest ich aż tylu? I dlaczego właśnie teraz? Gdy zbliżyliśmy się do hotelu, zobaczyłem Wila przy
samochodzie. Drzwi dżipa były otwarte, a na masce leżał bagaż. Kiedy Wil mnie zobaczył, dał mi znak, żebym się pospieszył.
– Chyba już czas na mnie – zauważyłem.
Przerwałem kilkuminutową ciszę, która zapanowała potem, gdy próbowałem opowiedzieć, co działo się z biopolem Sary podczas tego sporu. Najwyraźniej nie opisałem tego dobrze, gdyż jedyną reakcją były puste spojrzenia, po czym każde z nas zajęło się swoimi sprawami.
– Miło było cię poznać. – Sara wyciągnęła do mnie rękę. Phil spoglądał w stronę dżipa.
– Czy ten facet, z którym przyjechałeś, to Wil James? - spytał.
– Tak. Dlaczego pytasz?
– Nic takiego, kiedyś go już tu widziałem. Jest znajomym właściciela i jednym z pierwszych, którzy rozpoczęli w Viciente badania nad biopolami.
– Chodź i zapoznaj się z nim – zaproponowałem.
– Nie, muszę już iść, ale na pewno jeszcze was tu spotkam. Wiem, że nie wytrzymasz z daleka od nas.

– Oczywiście! – zapewniałem.
Sara dodała, że na nią też już czas i że gdybym chciał, mogę nawiązać z nią kontakt za pośrednictwem hotelu. Zatrzymałem ich jeszcze przez chwilę, dziękując za lekcję.
– Postrzeganie energii, czyli nowa forma reagowania na świat zewnętrzny – odezwała się poważnie Sara – jest zaraźliwe. Nie znamy dokładnie tego mechanizmu, ale zazwyczaj kto przebywa w towarzystwie osób mających tę zdolność, sam także jej nabywa. A więc przekaż to innym.
Przytaknąłem i pobiegłem w stronę dżipa, gdzie czekał na mnie uśmiechnięty Wil.
– Jesteś już gotów? – spytałem go.
– Prawie. A jak spędziłeś ranek?
– Bardzo interesująco. Muszę ci o tym opowiedzieć.
– Dobrze, ale nie teraz, bo musimy już odjeżdżać. Zaczyna się tu robić nieprzyjemnie.
– Co się stało? – podszedłem bliżej.
– Nic szczególnego – uspokoił mnie. – Wyjaśnię ci później. Zabieraj swoje *rzeczy.*
Wróciłem do pokoju hotelowego i zabrałem swoje drobiazgi. Wil uprzedził mnie, że dzięki uprzejmości właściciela nie muszę płacić za nocleg, więc tylko zostawiłem w recepcji klucz i zszedłem na parking.
Wil zaglądał właśnie pod maskę samochodu, ale zatrzasnął ją, gdy podchodziłem.
– W porządku – podsumował. – Jedziemy. Wyjechaliśmy przez podjazd do głównej szosy. W tym samym czasie opuszczało ten teren także kilka innych pojazdów.
– No więc co się tu dzieje? – naciskałem Wila.
– Po prostu paru miejscowych notabli i jacyś rzekomi naukowcy mają zastrzeżenia wobec ludzi skupionych wokół tego ośrodka. Niby nie twierdzą, że dzieje się coś nielegalnego, ale uważają, że kręcą się tu jakieś niepożądane osoby, nie będące uprawnionymi pracownikami naukowymi. Te urzędasy mogą narobić masę kłopotu i popsuć cały interes.
Patrzyłem na niego nie rozumiejącym wzrokiem, więc wyjaśniał dalej:
– Widzisz, normalnie w tym hotelu zatrzymuje się wiele

różnych grup ludzi. Tylko nieliczni mają coś wspólnego z pracami prowadzonymi nad Rękopisem. Inni zajmują się swoimi sprawami, a przyjeżdżają tu dlatego, że jest to piękne miejsce. Jeżeli jednak wytworzy się wokół niego nieprzyjemna atmosfera, organizatorzy przestaną urządzać w tym majątku kongresy.
– A mówiłeś, że tutejsi prominenci są zainteresowani napływem pieniędzy od turystów!
– Też tak myślałem, ale ktoś musiał ich postraszyć Rękopisem. Czy ktoś z pracujących na poletkach orientuje się w sytuacji?
– Chyba nie – oceniłem. – Dziwili się tylko, skąd się tam nagle wzięło tylu nieprzyjaznych ludzi.
Wil w milczeniu wyprowadził wóz przez bramę i skręcił na południowy wschód. Przejechał może dwa kilometry, po czym skręcił na szosę prowadzącą w kierunku wschodnim, gdzie z daleka widać było pasmo górskie.
– Przejedziemy obok poletek – powiedział po chwili. Rzeczywiście, przed nami ukazały się działki i pierwszy
blaszany pawilon. Akurat kiedy przejeżdżaliśmy wzdłuż niego, drzwi otworzyły się i napotkałem spojrzenie wychodzącej stamtąd osoby. Była to Marjorie. Uśmiechnęła się i przez dłuższą chwilę odprowadzała mnie wzrokiem.
– Kto to jest? – spytał Wil.
– Poznałem ją wczoraj przy poletkach.
– Aha – szybko zmienił temat. — Zapoznałeś się już z trzecim wtajemniczeniem?
– Dostałem odbitkę.
Wil siedział zamyślony, więc wyjąłem swój tekst i znalazłem miejsce, gdzie przerwałem czytanie. Rozdział ten traktował o istocie piękna, ukazując postrzeganie go jako drogę, która wiedzie człowieka do odkrywania pól energetycznych. Jeśli raz nam się to uda, nasze rozumienie świata materialnego zmienia się radykalnie.
Zaczynamy na przykład spożywać więcej pokarmów bogatych w ten rodzaj energii, wiemy też, że pewne środowiska wypromieniowują więcej energii niż inne, że najsilniej promieniują energią stare zbiorowiska roślinne, szczególnie

lasy. Zbliżałem się już do ostatnich stron, gdy Wil nagle przemówił.
– Opowiedz mi o swoich przeżyciach na poletkach. Opisałem mu, najlepiej jak mogłem, wydarzenia ostatnich
dwóch dni i ludzi, na których natrafiłem. Kiedy mówiłem o spotkaniu z Marjorie, Wil patrzył na mnie z uśmiechem.
– A czy dużo rozmawiałeś z tymi ludźmi na temat dalszych wtajemniczeń? I o tym, co one mają wspólnego z prowadzonymi tam eksperymentami?
– W ogóle nie wspominałem o żadnych wtajemniczeniach. Nie ufałem tym ludziom, dopóki nie okazało się, że wiedzą więcej ode mnie.
– Myślę, że mogłeś przekazać im ważne informacje, gdybyś był z nimi całkiem szczery.
– Jakie informacje?
– To wiesz tylko ty.
Zagubiłem się, więc zacząłem oglądać krajobraz. Okolica robiła się coraz bardziej górzysta i skalista. Co chwila mijaliśmy wielkie granitowe nawisy nad szosą.
– A co sądzisz o tym, że kiedy mijaliśmy poletka spotkałeś znów Marjorie? – zagadnął Wil.
Już chciałem wyjaśnić, że to przypadkowy zbieg okoliczności, ale jakoś
samo powiedziało mi się:
– Nie wiem. A ty?
– Nie wierzę w przypadki. Wydaje mi się, że nie zakończyliście jakichś spraw; może mieliście sobie do powiedzenia coś, czego nie zdążyliście powiedzieć.
Stwierdzenie to zaintrygowało mnie, lecz i zaniepokoiło. Zarzucano mi już wielokrotnie, że nie podtrzymuję kontaktów z ludźmi, że zadaję pytania nie wrażając własnej opinii lub nie zajmując stanowiska. Ciekawe, dlaczego teraz pojawia się podobny problem?
Zauważyłem też, że czuję się jakoś inaczej. W Viciente odczuwałem lekkość i pewność siebie, a teraz zaczynało mnie ogarniać przygnębienie połączone z niepokojem.
– Zmartwiłeś mnie! – powiedziałem. Wil roześmiał się i wyjaśnił:
– Nie ja, to są tylko skutki opuszczenia Viciente. Energia

tego miejsca sprawiała, że czułeś się tak lekko. Jak sądzisz, dlaczego ci naukowcy przyjeżdżają tu ciągle od lat? Oni nawet nie wiedzą, dlaczego czują się tu tak dobrze. Ale my wiemy, prawda?

Spojrzał na mnie, potem na drogę i znów na mnie, wzrokiem wielce wymownym.

– Kiedy się opuszcza miejsce takie jak to, trzeba uruchomić własną energię.

Patrzyłem na niego zdziwiony, aż uśmiechnął się, aby podnieść mnie na duchu.

Potem znów jechaliśmy jakiś czas w milczeniu, aż znowu Wil mnie zagadnął:

– Opowiedz coś więcej o tym, co działo się na poletkach. Kiedy opisywałem, jak wyglądały biopola, które widziałem, spojrzał ze zdziwieniem, lecz nic nie powiedział.

– A ty potrafisz dostrzec te pola? – spytałem.

– Tak – zbył mnie krótko. – Opowiadaj dalej. Nie przerywał mi, dopóki nie doszedłem do sporu Sary z peruwiańskim naukowcem i ruchów w ich biopolach.

– A co na to Sara i Phil? – zapytał.

– Nie zareagowali na moją relację. Przypuszczam, że nie mieli skali porównawczej.

– Chyba nie w tym rzecz – sprostował Wil. – Oni są tak zafascynowani trzecim wtajemniczeniem, że tkwią w nim nie posuwając się dalej. Tymczasem rywalizacja ludzi o energię to już czwarte wtajemniczenie.

– Rywalizacja o energię? – powtórzyłem zdumiony.

Wil uśmiechnął się i wskazał na broszurę, którą trzymałem w ręku.

Wróciłem do tekstu w miejscu, gdzie go przerwałem. Opisane tam było wyraźnie przejście do czwartego stopnia wtajemniczenia. W końcu ludzie zrozumieją, że wszechświat składa się z energii kinetycznej, która stanowi o nas, ale także odpowiada na nasze oczekiwania. Zrozumiemy też, że odłączenie się od bogatego źródła tej energii przyprawia nas o uczucie słabości, zagrożenia i niedosytu.

W obliczu tego niedoboru ludzie będą dążyć do pomnożenia własnych zasobów energii i będą to czynić w jedyny znany im sposób – przez duchową kradzież energii

innym. Ta podświadoma rywalizacja leży u podstaw wszelkich konfliktów międzyludzkich.

Walka o energię

Dżip zarzucił na jakimś wyboju i to mnie obudziło. Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że jest już trzecia po południu. Przeciągnąłem się, aż zabolało mnie w krzyżach, i spróbowałem wybudzić się całkowicie.

Jazda zaczynała mnie męczyć. Od opuszczenia Viciente minął cały dzień, podczas którego jeździliśmy w różnych kierunkach, tak jakby Wil usilnie czegoś poszukiwał. Przenocowaliśmy w małym zajeździe, gdzie niewygodne łóżka nie pozwalały wypocząć. Drugiego dnia takiej podróży miałem już trochę dość.

Wil skupiał się na jeździe, przy czym sprawiał wrażenie tak spiętego i czujnego, że wolałem mu nie przeszkadzać. Wydawał się tak samo poważny również wtedy, gdy zatrzymał wóz, żeby porozmawiać.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że do każdego wtajemniczenia trzeba dochodzić kolejno?

– Owszem.

– A jak ci się wydaje, czy każde samo da ci znać o sobie?

– Jak dotąd, tak właśnie było – stwierdziłem żartobliwie. Wila nie rozbawiła moja uwaga.

– Trzecie łatwo odnalazłeś, wystarczyło wstąpić do Viciente. Z następnymi jednak może być trudniej. Myślę – mówił po chwili namysłu – że powinniśmy teraz pojechać na południe, w okolice Quilabamba, do małej wioski o nazwie Cula. Jest tam również kawałek lasu dziewiczego, który chciałbym ci pokazać. Najważniejsze jednak, żebyś zachował czujność. Możemy teraz doświadczyć niejednego zbiegu zdarzeń, tylko trzeba je zauważać. Rozumiesz?

Zapewniłem, że chyba go zrozumiałem i będę starał się to zapamiętać. Potem rozmowa się urwała, bo zapadłem w sen. Teraz żałowałem, gdyż na skutek niewygodnej pozycji rozbolał mnie kręgosłup. Przeciągnąłem się więc jeszcze raz.

– Gdzie jesteśmy? – spytałem.

– Znowu w Andach.

Rzeczywiście, pagórki przeszły teraz w pasma górskie poprzecinane dolinami. Roślinność stała się uboższa, drzewa niższe, powyginane przez wiatr. Wziąłem głęboki oddech i stwierdziłem, że powietrze tu jest rzadsze i chłodniejsze.
– Lepiej włóż to – Wil wyciągnął jakąś brązową bawełnianą kurtkę. – O tej porze bywa tu zimno.
Przed nami, za zakrętem, wyłoniło się skrzyżowanie. Po jednej jego stronie znajdował się sklepik i stacja benzynowa, a obok stał samochód z podniesioną maską. Na błotniku rozłożona była szmata, a na niej leżały narzędzia. Kiedy przejeżdżaliśmy obok, ze sklepiku wyszedł jakiś jasnowłosy mężczyzna i rzucił nam przelotne spojrzenie. Zauważyłem jego okrągłą twarz i okulary w ciemnej oprawce.
W ciągu krótkiej chwili cofnąłem się pamięcią o pięć lat.
– Nie jestem pewien – odezwałem się do Wila – ale ten facet przypomina mi kolegę, z którym kiedyś pracowałem. Przez wiele lat nawet nie pomyślałem o nim.
W tym momencie zorientowałem się, że Wil przez cały czas bacznie mi się przygląda.
– Mówiłem ci, żebyś obserwował, co się będzie działo. Zawrócimy i zobaczymy, czy ten człowiek nie potrzebuje pomocy. Nie wyglądał mi na tubylca.
Znaleźliśmy dostatecznie szeroki odcinek drogi i zawróciliśmy. Kiedy znów znaleźliśmy się na wysokości sklepu, mężczyzna majstrował coś przy silniku. Wil podjechał bliżej i wychylił się przez okno.
– Ma pan jakieś kłopoty? – spytał.
– Rzeczywiście – odpowiedział poprawiając okulary dziwnie znanym mi gestem. – Wysiadła mi pompa wodna. Wyglądał na niewiele ponad czterdziestkę, był wątłej
budowy. Mówił sztywną, wyuczoną angielszczyzną z francuskim akcentem.
Wil szybko wyszedł z wozu i obaj przedstawiliśmy się pechowemu kierowcy. Podał mi rękę z uśmiechem, który także wydal mi się znajomy. Przedstawił się jako Chris Reneau.
– Francuskie nazwisko – zauważyłem.
– Bo jestem Francuzem. Wykładam psychologię w Brazylii, a tu przyjechałem, żeby dowiedzieć się czegoś o tym

starożytnym znalezisku podobno odkrytym w Peru. Podobno jakiś rękopis...
Nie odpowiedziałem od razu, nie mając pewności, na ile mogę mu ufać.
– My jesteśmy tutaj z tego samego powodu – zaryzykowałem wreszcie.
Spojrzał na mnie z wyraźnym zainteresowaniem.
– Co mógłby mi pan o tym powiedzieć? Widział pan jakiś egzemplarz?
Zanim otworzyłem usta, by coś powiedzieć, Wil wyszedł właśnie z budynku sklepowego.
– Mamy szczęście – oświadczył. – Właściciel tego sklepu ma tu kawałek pola, na którym można rozbić namioty. Dostaniemy też coś ciepłego do zjedzenia. Proponuję więc zostać tu na noc. – Spojrzał pytająco na Reneau. – Oczywiście jeśli panu to nie przeszkadza.
– Ależ skąd, bardzo lubię towarzystwo – uspokoił go. - Nową pompę i tak dostarczą mi dopiero jutro rano.
Wil wdał się z nim w rozmowę na temat konstrukcji i walorów jego terenowego samochodu. Ja tymczasem wróciłem do naszego dżipa, grzałem się w słońcu i przywoływałem miłe wspomnienia, związane z dawnym kolegą, którego przypominał Reneau. Tamten był wszystkiego ciekaw, miał zawsze szeroko otwarte oczy – całkiem jak Reneau. Bardzo lubił czytać. Mało brakowało, a przypomniałbym sobie teorie filozoficzne, które głosił.
– Wynieśmy nasze rzeczy na pole namiotowe – przerwał moje wspominki Wil, poklepując mnie po ramieniu.
– Dobrze – odpowiedziałem, myślami będąc gdzie indziej. Otworzył tylne drzwi dżipa. wyciągnął namiot i śpiwory i
podał to wszystko mnie. Sam wziął worek z odzieżą na zmianę. Reneau tymczasem zamykał swój wóz. Przeszliśmy na zaplecze sklepu, a stamtąd schodkami w dół. Za budynkiem skarpa stromo opadała, więc skręciliśmy wąską ścieżką w lewo. Po przejściu parudziesięciu metrów usłyszeliśmy szum wody i po chwili ujrzeliśmy strumień ściekający kaskadą ze skał. Było tu chłodniej i pachniało miętą.
Na wprost nas powierzchnia gruntu była bardziej płaska i

strumień rozlewał się tam w stawek o średnicy jakichś ośmiu metrów. Obok znajdował się kawałek oczyszczonego pola, w sam raz do rozbijania namiotów. Urządzono tu nawet kamienne palenisko i nagromadzono drew na opał.

– Ładnie tu – stwierdził Wil i zabrał się do rozbijania wielkiego, czteroosobowego namiotu. Po jego prawej stronie Reneau rozkładał swój mały namiot.

– Czy panowie są pracownikami naukowymi? – spytał w pewnej chwili. Wil skończył właśnie ustawianie namiotu i poszedł sprawdzić, co z kolacją.

– Wilson jest przewodnikiem – wyjaśniłem – a ja aktualnie nie robię nic konkretnego.

Reneau spojrzał ze zdziwieniem.

– Czy pan poznał już Rękopis? – spytałem.

– Pierwsze i drugie wtajemniczenie – powiedział i przysunął się do mnie. – I wie pan co? Wydaje mi się, że to się sprawdza. Zmieniamy swój sposób patrzenia na świat. Widzę to w psychologii.

– Co pan ma na myśli?

Reneau nabrał powietrza w płuca.

– Moją specjalnością są konflikty, źródła przemocy w stosunkach międzyludzkich. Od dawna wiadomo, że u podstaw przemocy leży potrzeba dominacji jednych istot ludzkich nad drugimi, ale dopiero ostatnio zjawisko to zostało zbadane od strony psychiki osobniczej. Postawiliśmy pytanie: co dzieje się we wnętrzu człowieka, że pragnie on rządzić innymi? Odkryliśmy, że kiedy człowiek nawiązuje z kimś kontakt i wdaje się w rozmowę – co zdarza się co dzień niezliczenie często – może zaistnieć jedna z dwóch sytuacji: człowiek ten może się poczuć silniejszy lub słabszy, w zależności od układu sił.

Tym razem ja rzuciłem mu zdziwione spojrzenie, a on zmieszał się. że zabrnął w ten długi i uczony wywód. Poprosiłem go jednak, aby mówił dalej.

– Dlatego też my, ludzie, zawsze wykazujemy tendencję do manipulowania innymi. Bez względu na okoliczności i na materię rzeczy staramy się mówić, ile się tylko da, aby uzyskać przewagę w rozmowie. Każdy szuka sposobu, by jego było na

wierzchu. Jeżeli nam się to uda, zamiast czuć się słabi, czujemy się psychicznie podbudowani.
Inaczej mówiąc, próbujemy wciąż przechytrzać i kontrolować innych nie dla jakiejś konkretnej materialnej korzyści, lecz dlatego że otrzymujemy do tego podnietę psychiczną. W tym też leży przyczyna wielu irracjonalnych konfliktów, zarówno na szczeblu jednostek jak narodów...
Wśród psychologów panuje zgodność co do tego, że problem ten zaistniał już w zbiorowej świadomości. Zaczynamy powoli zdawać sobie sprawę z naszych skłonności do manipulacji i próbujemy przewartościować motywy naszego postępowania. Musimy wypracować inny model stosunków wzajemnych. Przypuszczam, że to przewartościowanie stanowi część nowej wizji świata zawartej w Rękopisie.
Przerwał nam Wil, anonsując:
– Kolacja gotowa.
Przeszliśmy ścieżką do mieszkalnej części budynku, mieszczącej się w podpiwniczeniu. W jadalni na stole czekał już gorący posiłek złożony z duszonego mięsa, jarzyn i sałaty.
– Proszę bardzo, proszę siadać – zapraszał po angielsku właściciel, odsuwając w pośpiechu krzesła. Nieco z tyłu stała starsza kobieta, prawdopodobnie jego żona, z kilkunastoletnią córką.
Wil siadając strącił ze stołu swój widelec, który z brzękiem spadł na podłogę. Gospodarz dał oczami znak żonie, która ostro krzyknęła na dziewczynkę, aby przyniosła inny. Ta wybiegła z pokoju i wróciła niosąc widelec, który, cała spięta, podała Wilowi drżącą ręką. Reneau i ja wymieniliśmy spojrzenia ponad stołem.
Gospodarz podał kolację i życzył smacznego. Wil i Reneau przegadali prawie całą kolację na neutralne tematy dotyczące życia uczelni, problemów dydaktyki i publikacji naukowych. Właściciel już wyszedł, ale jego żona stała w drzwiach.
Potem gospodyni z córką podawały ciasto w porcjach na talerzykach. Przy tej czynności dziewczynka potrąciła łokciem stojącą przede mną szklankę i rozlała wodę na stół. Matka wybuchnęła gniewem, skarciła córkę po hiszpańsku i odepchnęła ją.

Przepraszała wycierając blat stołu.
– Ona jest taka niezgrabna...
Dziewczyna wpadła w taki gniew, że rzuciła w matkę talerzykiem z ostatnią porcją ciasta. Nie trafiła, a resztki ciasta i skorupki z rozbitego talerzyka rozprysły się po stole. W tej chwili wrócił ojciec. Krzyknął coś i dziewczyna uciekła w popłochu.
– Najmocniej przepraszam – wydyszał, pędząc do naszego stołu.
– Nic się nie stało – uspokajałem go. – Może nie powinniście państwo być tak surowi dla córki.
Wil wstał już od stołu i regulował rachunek, a my szybko wyszliśmy. Reneau do tej pory się nie odzywał, lecz kiedy tylko znaleźliśmy się na schodach, nie wytrzymał.
– Widział pan tę małą? To typowy przykład presji psychicznej. Tak się dzieje, kiedy ludzka potrzeba rządzenia innymi przybiera skrajną postać. Ten staruch i jego żona kompletnie zahukali córkę. Widział pan, jaka była zdenerwowana i spięta?
– Rzeczywiście – przyznałem. – Ale pokazała im, że ma już tego dość.
– Właśnie! Rodzice wiecznie nią dyrygowali, uznała więc, że nie pozostaje jej nic innego jak wybuchnąć. Dla niej to jedyny sposób, aby choć częściowo odzyskać kontrolę nad sytuacją. Niestety, kiedy dorośnie, na skutek urazów dzieciństwa będzie uważała, że musi w ten sposób zdobywać władzę nad innymi. Będzie miała głęboko zakodowany taki wzorzec zachowania i stanie się tak samo despotyczna jak jej rodzice, szczególnie wobec jednostek tak wrażliwych jak dzieci.
Pewnie jej rodzice wynieśli takie same urazy z dzieciństwa i odreagowują teraz to, że byli zdominowani przez własnych rodziców. W ten sposób wzorce przemocy psychicznej są przekazywane z pokolenia na pokolenie. – Urwał nagle. – Muszę przynieść śpiwór z samochodu – przypomniał sobie. – Zaraz wracam.
Wil i ja szliśmy dalej w stronę pola namiotowego.
– Mieliście ze sobą sporo do pogadania – zauważył Wil.

– Istotnie – stwierdziłem.
– Właściwie prawie cały czas mówił Reneau. Ty tylko słuchałeś i odpowiadałeś na pytania. Z siebie niewiele dałeś.
– Interesowało mnie to, co mówił – broniłem się. Wil pominął milczeniem moje słowa.
– Czy zauważyłeś przepływ energii między tą trójką? Rodzice wyssali całą energię z tego dziecka, omal go nie unicestwili!
– Nie patrzyłem na to pod kątem energii – wyznałem.
– A czy nie sądzisz, że Reneau zainteresowałby się tym, że chciałby to zobaczyć? Jak myślisz, dlaczego natknęliśmy się na niego?
– Nie mam pojęcia.
– Nie wydaje ci się, że coś w tym jest? Jechaliśmy sobie szosą, aż tu nagle zauważyłeś faceta, który przypominał ci starego znajomego. A kiedy go bliżej poznaliśmy, okazało się, że też szuka Rękopisu. Czy nie wygląda to na coś więcej niż zwykły przypadek?
– Pewnie tak.
– I pewnie wpadłeś na to, że możesz uzyskać od niego informacje, które wzbogacą plon twojej podróży. A czy nie przyszło ci do głowy, że i ty dysponujesz czymś, co może okazać się cenne dla niego?
– Chyba masz rację. Ale co twoim zdaniem powinienem mu powiedzieć?
Wil rzucił mi ciepłe spojrzenie.
– Prawdę – odrzekł krótko.
Reneau właśnie schodził ścieżką do nas.
– Wziąłem latarkę, może nam się później przydać – odezwał się.
Pierwszy raz zdarzyło mi się podczas tej podróży uświadomić sobie zmierzch. Spojrzałem na zachód. Słońce schodziło już za horyzont, ale niebo jeszcze miało odcień pomarańczowy. Nieliczne chmury były ciemniejsze, czerwonawe. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę białe biopola wokół roślin przede mną, ale to szybko znikło.
– Jaki piękny zachód słońca! – stwierdziłem.
Wil znikł już w swoim namiocie, a Reneau wyciągał śpiwór

z worka. Nie patrząc w tamtą stronę machinalnie odpowiedział:
– Rzeczywiście. – Spojrzał na mnie znad rozwijanego śpiwora. – Jeszcze pana nie pytałem – powiedział – które wtajemniczenia pan zna?
– Pierwsze i drugie tylko z opisu. Ale ostatnie dwa dni spędziliśmy w majątku Viciente koło Satipo. Od jednego z pracowników prowadzących tam badania dostałem odbitkę trzeciego. Bardzo interesujące.
Oczy mu rozbłysły.
– Ma ją pan może ze sobą?
– Tak. Czy chciałby pan rzucić okiem?
Reneau skwapliwie skorzystał z okazji i wziął odbitkę do namiotu. Ja natomiast znalazłem zapałki i starą gazetę, za pomocą której rozpaliłem ognisko. Kiedy już dobrze się paliło, Wil wyczołgał się z namiotu.
– Gdzie jest Reneau? – zapytał.
– Czyta właśnie trzecie wtajemniczenie, które dostałem od Sary.
Wil podszedł bliżej i usiadł na wygładzonym pniu w pobliżu ogniska. Ja też tam usiadłem. Ciemność zapadła już na dobre i widać było tylko zarysy drzew po naszej lewej stronie, słabe światła stacji benzynowej za nami i przyćmione światełko z namiotu Reneau. Las ożywił się dźwiękami, z których wielu nie słyszałem nigdy przedtem.
Po jakiejś półgodzinie Reneau wyszedł z namiotu z latarką w ręku i usiadł obok mnie. Wil ziewał.
– To bardzo ciekawe – powiedział Reneau. – Czy ktoś tam rzeczywiście widział te biopola?
Opisałem mu w skrócie własne przeżycia w Viciente aż do chwili, kiedy sam zobaczyłem barwną energię emanowaną przez rośliny.
Chwilę milczał, potem zapytał:
– Czy oni robili także doświadczenia z przekazywaniem energii roślinom i wpływaniem na ich wzrost?
– Tak. Nawet wzbogacali w ten sposób ich wartość odżywczą.
– Ale trzecie wtajemniczenie sięga jeszcze dalej – mówił jakby do siebie. – Przyjmuje, że z tej energii składa się cały

wszechświat, a my jesteśmy w stanie wpływać nie tylko na rośliny, ale i na wiele innych obiektów. Nawet za pomocą tej ilości energii, która jest w nas, nad którą możemy panować... – przerwał na chwilę. – Zastanawiam się, jak możemy naszą energią wpływać na innych ludzi?
Wil spoglądał na mnie i uśmiechał się porozumiewawczo.
– Opowiem panu, co widziałem – zaproponowałem. – Byłem świadkiem sporu dwojga ludzi i obserwowałem, co działo się z ich energią.
Reneau poprawił okulary.
– Jestem bardzo ciekaw! Wil wstał.
– Muszę się już położyć. Dzisiejszy dzień był męczący. śyczyliśmy sobie dobrej nocy i Wil wszedł do namiotu. Ja
natomiast opowiedziałem Reneau o wymianie zdań między Sara i jej oponentem i o tym, jak się przy tym zachowywały ich pola energetyczne.
– Chwileczkę! – zawołał Reneau. – Widział pan, jak przeciągali do siebie nawzajem swoją energię, jakby każde chciało zawładnąć przeciwnikiem?
– Właśnie tak – potwierdziłem. Na chwilę się zamyślił.
– Musimy to szczegółowo zbadać. Dwoje ludzi kłóci się o to, czyj pogląd jest słuszny, czyli kto ma rację. Każdy chce być górą, nawet kosztem zrujnowania własnego wizerunku w oczach drugiego, nawet nie szczędząc drugiemu epitetów. - Nagle wykrzyknął: – Tak, to ma sens!
– Co takiego?
– Chodzi mi o przepływ energii. Jeśli będziemy systematycznie go obserwować, dowiemy się, czym dla ludzi jest współzawodnictwo i kłótnia, wzajemne niszczenie siebie. Kiedy mamy władzę nad innym człowiekiem, zyskujemy także jego energię i w ten sposób pokrywamy własne zapotrzebowanie. Daje to nam dodatkową motywację. Muszę się dowiedzieć, co zrobić, żeby zobaczyć te biopola. Gdzie leży Viciente i jak się tam dostać?
Powiedziałem mu w przybliżeniu, gdzie to jest, ale po szczegółowe wskazówki, jak tam dojechać, odesłałem go do Wila.
– Spytam go jutro. Teraz muszę się wyspać. Chciałbym

jutro możliwie jak najwcześniej ruszyć w drogę. Pożegnaliśmy się i Reneau zniknął w swoim namiocie,
zostawiając mnie samego przy strzelającym iskrami ogniu, wsłuchanego w odgłosy nocy.
Kiedy nazajutrz się obudziłem, Wila nie było już w namiocie. Czułem za to zapach gorącej owsianki. Wyśliznąłem się ze śpiwora i wyjrzałem na zewnątrz. Wil trzymał rondelek nad ogniem, znikł natomiast Reneau i jego namiot.
– Gdzie jest Reneau? – spytałem podchodząc do ogniska.
– Już się spakował – odpowiedział Wil. – Teraz szykuje wóz do drogi, aby być gotowy, gdy tylko dostanie brakującą część. Podał mi miskę z zupą i obaj usiedliśmy na pniu.
– Długo wczoraj rozmawialiście? – spytał.
– Nie bardzo. Powiedziałem mu wszystko, co wiem. Od strony ścieżki usłyszeliśmy jakieś dźwięki. To Reneau szybko zbiegał do nas.
– Będę się już żegnał – oświadczył. – Z moim samochodem wszystko w porządku.
Porozmawialiśmy jeszcze chwilę, po czym wspiął się po schodkach na górę i odjechał. Wil i ja wykąpaliśmy się i ogolili w łazience właściciela stacji, spakowaliśmy nasze rzeczy, zatankowaliśmy samochód i ruszyliśmy w kierunku północnym.
– Jak daleko stąd do Cula? – spytałem.
– Przy dobrych układach powinniśmy dojechać tam przed zachodem słońca – odrzekł, a potem dodał: – No więc czego się dowiedziałeś od Reneau?
Wydawało się, że oczekuje czegoś szczególnego, tymczasem usłyszał tylko:
– Czy ja wiem...
– Może spytam inaczej: jaką ideę ci podsunął?
– Chyba to, że my wszyscy, nawet podświadomie, dążymy do władzy i dominacji nad innymi. Chcielibyśmy zdobyć dla siebie energię tworzącą się między ludźmi, gdyż poprawia ona nasze samopoczucie.
Wil patrzył przed siebie, jakby tymczasem myślał już o czym innym. Mimo to zapytałem:
– Dlaczego pytasz? Czy o tym mówi czwarte wtajemniczenie?

Odwrócił się do mnie.
– Niezupełnie. Wprawdzie widziałeś już, jak energia przepływa od człowieka do człowieka, ale nie jestem pewien, czy wiesz, jakie to uczucie, kiedy doświadczasz tego osobiście.
– Powiedz mi więc, jakie to uczucie! – zawołałem niecierpliwie. – Zarzucasz mi, że ja nie udzielam informacji! Ale od ciebie coś wyciągnąć, to jak wyrwać ząb trzonowy! Ciągle próbuję dowiedzieć się o twoich poprzednich doświadczeniach z Rękopisem, a ty za każdym razem mnie spławiasz!
Wil roześmiał się.
– Chyba zawarliśmy pewien układ, prawda? Mam powody, żeby nie być zbyt wylewnym. Jedno z dalszych wtajemniczeń daje właściwą interpretację wydarzeń z czyjejś przeszłości.
Wyjaśnia, kim jesteśmy, jakie mamy zadania tu i teraz, na tej planecie. Dlatego zanim porozmawiamy o mojej przeszłości, wolałbym poczekać, aż do tego dojdziemy, zgoda?
Rozbawił mnie jego tajemniczy ton głosu.
– Zgoda.
Jechaliśmy dalej w milczeniu. Dzień był słoneczny i bezchmurny, dopiero gdy znaleźliśmy się w wyższych partiach gór, pojawiły się nad nami pojedyncze chmury, zostawiając wilgoć na przedniej szybie dżipa. Około południa podjechaliśmy do miejsca, skąd mieliśmy wspaniały widok na góry i doliny po stronie wschodniej. Wil zatrzymał samochód.
– Jesteś głodny? – zatroszczył się, a gdy kiwnąłem głową, wyjął z torby na tylnym siedzeniu dwie starannie zapakowane kanapki. Podał mi jedną i spytał: – Podoba ci się ten krajobraz?
– Tak. To piękne!
Uśmiechnął się kątem ust i przyglądał mi się, jakby obserwował moje biopole.
– Co mnie tak lustrujesz? – spytałem.
– Tak sobie patrzę – odparł beztrosko. – Szczyty górskie są szczególnym miejscem. Wzmagają energię tych, co się na nich znajdują. A ty chyba jesteś rozkochany w górskich krajobrazach.
Opowiedziałem Wilowi o dolinie i paśmie górskim okalającym jezioro, które odziedziczyłem po dziadku, no i o

tym, jak ich widok wzmocnił moją wrażliwość i energię, gdy pojawiła się Charlene.
– Może samo to, że wychowałeś się w tym środowisku przygotowało cię do obecnych doświadczeń?
Już miałem go poprosić o więcej szczegółów na temat energii gór, gdy dodał:
– A kiedy wokół takiego szczytu rośnie dziewiczy las, energia jest silniejsza.
– Chcesz powiedzieć, że zbliżamy się do lasów dziewiczych?
– Zobacz. To się rzuca w oczy.
Wskazał ręką w kierunku wschodnim. W pewnej odległości widać było dwa pasma górskie, początkowo równoległe, potem zbiegające się w kształcie litery “V". Pomiędzy nimi leżało jakieś małe miasteczko, a w miejscu gdzie się łączyły, wznosił się skalisty szczyt, wyższy niż pasmo górskie, na którym się znajdowaliśmy. U jego podnóża rozpościerało się morze zielonego listowia.
– Chodzi o ten zielony obszar?
– Tak – potwierdził Wil. – To coś takiego jak Viciente, tylko jeszcze bardziej niezwykłe.
– Na czym polega ta niezwykłość?
– Łatwiej tam osiągnąć kolejny stopień wtajemniczenia.
– W jaki sposób? – nie dawałem za wygraną.
– Założę się, że sam do tego dojdziesz – stwierdził Wil, uruchamiając wóz i wracając na szosę.
Około godziny jechaliśmy w milczeniu, toteż zapadłem w drzemkę. Wkrótce Wil obudził mnie, potrząsając za ramię.
– Nie śpij! Dojeżdżamy już do Cula.
Wyprostowałem się na siedzeniu. Przed nami, u zbiegu dwóch szos, w dolinie, leżało małe miasteczko. Otaczały je pasma górskie, które widzieliśmy przedtem. Rosły na nich drzewa chyba równie potężne jak w Viciente, wyróżniające się szczególnym odcieniem zieleni.
– Zanim tam zajedziemy, muszę cię o czymś uprzedzić - zaczął Wil. – Mimo wyjątkowego ładunku energetycznego tych stron, są one dużo mniej cywilizowane niż inne rejony Peru. To miasteczko znane jest jako źródło informacji o Rękopisie, ale

kiedy byłem tu ostatnio, spotkałem masę cwaniaczków, których nic nie obchodzą biopola ani wtajemniczenia. Zależy im tylko na pieniądzach bądź rozgłosie, jaki przyniosłoby im odkrycie dziewiątego wtajemniczenia.
Osadę tworzyło zaledwie cztery czy pięć ulic. Większe, szalowane budynki wznosiły się przy dwóch głównych arteriach, a ich skrzyżowanie stanowiło centrum miasteczka. Pozostałe ulice były raczej zaułkami, gdzie stały małe chałupki. Przy przecięciu głównych ulic parkowało kilkanaście samochodów osobowych i ciężarowych, częściowo zajmujących chodnik.
– Co ci wszyscy ludzie tu robią? – nie mogłem zrozumieć.
– Jest to ostatnia możliwość zatankowania paliwa i zrobienia zakupów przed zaszyciem się w wyższych partiach gór.
Wil wjechał powoli do miasteczka i zaparkował przed jednym z większych budynków. Nie rozumiałem hiszpańskich napisów na szyldzie, ale po wystawie domyśliłem się, że był to sklep spożywczo-przemysłowy.
– Poczekaj chwilę. Muszę coś kupić.
Zniknął we wnętrzu sklepu.
Rozglądając się wokół, zauważyłem podjeżdżającą ciężarówkę, z której wysiadło kilka osób. Wśród nich była ciemnowłosa kobieta w znoszonej kurtce. Ku mojemu zdziwieniu poznałem ją. Była to Marjorie! Wraz z jakimś młodym, na oko dwudziestoletnim mężczyzną przekroczyli jezdnię tuż przed moim nosem.
– Marjorie! – zawołałem wyskakując z wozu. Stanęła, rozejrzała się i w końcu mnie zauważyła.
– Cześć! – powiedziała z uśmiechem. Kiedy skierowała się do mnie, jej towarzysz złapał ją za rękę.
– Robert mówił, żeby tu z nikim nie rozmawiać! – szepnął starając się, żebym nie słyszał.
– Nie martw się, ja znam tego pana – uspokoiła go. – Idź, gdzie masz iść.
Wprawdzie spojrzał na mnie z niedowierzaniem, lecz posłusznie zawrócił i wszedł do sklepu. Usiłowałem nieudolnie opowiedzieć jej, co się zdarzyło w Viciente. Roześmiała się,

gdyż Sara zrelacjonowała jej już wszystko. Chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz w tej chwili wyszedł ze sklepu Wil z zakupami.
Przedstawiłem ich sobie i porozmawialiśmy trochę, dopóki Wil nie umieścił toreb w tylnej części dżipa.
– Mam pomysł – zaproponował. – Chodźmy coś zjeść, tam naprzeciwko.
Spojrzałem na małą knajpkę po drugiej stronie ulicy.
– Dobry pomysł – stwierdziłem.
– Bo ja wiem... – zastanawiała się Marjorie. – Będę musiała zaraz jechać.
– A dokąd się wybierasz?
– Stąd trzeba się cofnąć parę kilometrów na zachód. Przyjechałam tu na spotkanie z grupą studiującą Rękopis.
– Możemy cię potem odwieźć – zaproponował Wil.
– No, dobrze – zgodziła się.
– Jeszcze o czymś zapomniałem – dodał po chwili. – Idźcie i zamówcie sobie coś, a ja zaraz dołączę. Będę za jakieś kilka minut.
Ruszyliśmy więc, ale najpierw przeczekaliśmy, aż przejedzie kilka ciężarówek. Wil poszedł kawałek piechotą w kierunku południowym. Młody człowiek towarzyszący Marjorie właśnie wyszedł ze sklepu i znowu trafił na nas.
– Dokąd idziesz? – złapał Marjorie za rękę.
– To mój znajomy. Idziemy coś zjeść, a potem on mnie odwiezie – odpowiedziała.
– Słuchaj, tu nie można nikomu ufać. Robert na pewno by się na to nie zgodził.
– Ależ wszystko jest w porządku – próbowała go spławić.
– Masz iść ze mną, rozumiesz?
Zdecydowanym ruchem odsunąłem jego rękę od Marjorie.
– Słyszałeś, co powiedziała? – zapytałem z naciskiem. Cofnął się, nagle wystraszony, po czym odwrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do sklepu.
– Idziemy! – zdecydowałem.
Przeszliśmy na drugą stronę ulicy do małej restauracyjki. Salę jadalną stanowił tu pokój z ośmioma stolikami, przesiąknięty wonią tłuszczu i dymu. Skierowałem się do

wolnego stolika po lewej stronie. Kilka obecnych tam osób podniosło na nas wzrok, ale po chwili zajęli się swoimi sprawami.
Kelnerka mówiła tylko po hiszpańsku, na szczęście Marjorie znała ten język, więc złożyła zamówienie w imieniu nas obojga.
– Co to za facet był z tobą? – spytałem uśmiechając się.
– To Kenny – wyjaśniła. – Nie wiem, co mu odbiło. Dziękuję, że mnie wyratowałeś!
Spojrzała mi w oczy. co znacznie poprawiło moje samopoczucie.
– Skąd się wzięłaś w tej grupie? – indagowałem dalej.
– Robert Jensen to archeolog, który zorganizował grupę do badań nad Rękopisem i poszukiwania dziewiątego wtajemniczenia. Był w Viciente kilka tygodni temu, potem znów parę dni temu. a ja... – urwała.
– A ty co? – nalegałem.
– No wiesz, w Viciente porobiły się takie stosunki, że chciałam jak najprędzej wydostać się stamtąd. Wtedy akurat pojawił się Robert. Był bardzo sympatyczny i to, co robił, wydawało się szalenie interesujące... Przekonał mnie, że odnalezienie dziewiątego wtajemniczenia zwiększy wagę naszych doświadczeń na poletkach, a on jest już na najlepszej drodze do celu. Opowiadał, że te poszukiwania to najbardziej podniecające zajęcie w jego życiu, więc kiedy zaproponował mi przystąpienie do jego ekipy, zgodziłam się... – urwała i wpatrzyła się w blat stołu.
Widziałem, że mówienie o tym sprawia jej przykrość, więc zmieniłem temat.
– Ile wtajemniczeń dotąd poznałaś?
– Tylko to jedno, które miałam w Viciente. Robert ma jeszcze inne, ale uważa, że aby móc je zrozumieć, trzeba się najpierw pozbyć swoich tradycyjnych przekonań. Twierdzi, iż głównych wskazań powinniśmy raczej uczyć się od niego.
Skrzywiłem się, a ona dodała:
– Chyba ci się to nie podoba!
– Brzmi to podejrzanie – przyznałem. Znów przyglądała mi się uważnie.

– Ja też się nad tym zastanawiałam. Może, kiedy mnie odwieziesz, sam z nim pogadasz i wyrobisz sobie zdanie na ten temat?
W tym momencie kelnerka przyniosła zamówione dania. Gdy już odchodziła, w drzwiach ukazał się Wil i zmierzał szybko do naszego stolika.
– Muszę się z kimś spotkać o jakąś milę stąd – oznajmił. – To mi zajmie około dwóch godzin. Możesz wziąć wóz, żeby odwieźć Marjorie. Ja się zabiorę z kim innym. Spotkamy się tutaj – dodał z uśmiechem.
Przyszło mi na myśl, żeby opowiedzieć mu o Robercie Jensenie. ale dałem sobie z tym spokój i powiedziałem tylko:
– Dobrze!
Wil rzucił okiem na Marjorie.
– Miło cię było poznać. Szkoda, że nie mam czasu porozmawiać z tobą dłużej.
Spojrzała na niego dość powściągliwie.
– Trudno, może kiedy indziej...
Skinął jej głową, dał mi kluczyki od wozu i wyszedł. Marjorie przez kilka minut jadła w milczeniu, po czym odezwała się:
– Ten facet chyba wie, czego chce. Jak go poznałeś? Opowiedziałem jej szczegółowo o wszystkich przygodach
towarzyszących memu przyjazdowi do Peru. Chyba odkryłem w sobie prawdziwy talent narracyjny, gdyż zawisła wzrokiem na moich wargach, słuchając jak zaczarowana.
W pewnym momencie mojej opowieści przeraziła się.
– O, Boże, czy to znaczy, że grozi ci jakieś niebezpieczeństwo?
– No, nie wydaje mi się, aby coś mi groziło tak daleko od Limy – uspokoiłem ją. Ponieważ jednak wciąż patrzyła na mnie wyczekująco, dopóki nie skończyliśmy posiłku, opowiedziałem jej, co działo się w Viciente, aż do momentu kiedy Sara wprowadziła mnie na poletka doświadczalne.
– Tam cię poznałem – zakończyłem. – A ty zaraz uciekłaś!
– To nie było tak! – zaprotestowała. – Nie znałam cię jeszcze, więc kiedy zorientowałam się w twoich uczuciach, postanowiłam się wycofać.

– Przepraszam, że pozwoliłem swojej energii wymknąć się spod kontroli – zażartowałem. Marjorie spojrzała na zegarek.
– Chyba muszę już wracać, bo będą się o mnie niepokoić. Zostawiłem na stole odliczoną należność i poszliśmy do
samochodu Wila. Wieczór był chłodny, aż obłoczki pary unosiły się z ust. Kiedy wsiedliśmy, zadysponowała:
– Wracamy drogą na północ. Powiem ci, kiedy skręcić. Kiwnąłem głową, zawróciłem samochód i ruszyłem we wskazanym kierunku.
– Powiedz mi coś więcej o tym miejscu, dokąd jedziemy - poprosiłem.
– Wydaje mi się. że Robert wydzierżawił tę farmę i jego grupa pracowała na niej, podczas gdy on studiował kolejne wtajemniczenia. Odkąd tu jestem, wszyscy gromadzą zapasy, konserwują samochody i robią inne takie rzeczy. Chyba niektórzy ludzie Roberta trzymają ich krótko.
– A po co włączył do tego ciebie? – indagowałem.
– Mówił, że potrzebuje osoby, która będzie w stanie pomóc mu interpretować ostatnie wtajemniczenie, kiedy wreszcie je znajdziemy. Przynajmniej tak obiecywał, gdy jeszcze był w Viciente, bo teraz mówi już tylko o pomocy w zakupach i przygotowaniach do podróży.
– A dokąd się wybiera?
– Nie mam pojęcia, bo nigdy nie odpowiada na moje pytania co do dalszych planów.
Przejechaliśmy jakieś dwa kilometry, po czym poleciła mi skręcić w lewo, w wąską, skalistą drogę. Serpentyna prowadziła pod górę, a potem w dół, do płytkiej doliny. Znajdował się tam wiejski dom zbudowany z surowych desek, otoczony przybudówkami i budynkami gospodarczymi. Z ogrodzonego pastwiska przyglądały się nam trzy lamy.
Kiedy zwalnialiśmy, kilka osób otoczyło samochód, przyglądając nam się surowo. Przy ścianie domu zauważyłem napędzaną spalinowe prądnicę. Tymczasem otworzyły się drzwi i wyszedł z nich wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o ostrych, wyrazistych rysach.
– To właśnie Robert – przedstawiła go Marjorie.
– No i dobrze – odparłem, czując przypływ pewności

siebie. Kiedy wysiedliśmy z wozu, Jensen wyszedł nam naprzeciw.
– Niepokoiłem się już o ciebie – zwrócił się do Marjorie. – Domyślam się, że niespodziewanie spotkałaś znajomego? Przedstawiłem mu się, a on mocno uścisnął mi dłoń.
– Jestem Robert Jensen. Dobrze, że nic się wam nie stało. Chodźcie do środka.
Wewnątrz budynku krzątało się kilka osób. Ktoś wynosił na zaplecze namiot i sprzęt campingowy. W kuchni za jadalnią widać było dwie Peruwianki pakujące produkty żywnościowe. Jensen usiadł na jednym z krzeseł, a dwa wskazał nam.
– Dlaczego obawiał się pan. że mogłoby nam się coś stać? Nachylił się w moją stronę i zapytał bez wstępów:
– Od jak dawna pan tu przebywa?
– Dopiero od dzisiaj.
– No więc nie zdaje pan sobie sprawy, jakie to niebezpieczne miejsce. Ludzie znikają tu bez śladu. Słyszał pan coś o Rękopisie i jego brakującym, dziewiątym wtajemniczeniu?
– Tak, właściwie...
– I dlatego musi pan wiedzieć – przerwał mi – co tu się dzieje. Poszukiwania ostatniego wtajemniczenia stają się ryzykowne, bo zaangażowali się w to różni podejrzani ludzie.
– Któż taki? – dociekałem.
– Ludzie, którym nie chodzi o wartość naukową tego znaleziska, ale potrzebują go dla sobie tylko wiadomych celów.
Naszą rozmowę przerwał potężny, brzuchaty mężczyzna z brodą, który pokazał Jemenowi jakąś listę i zamienił z nim parę słów po hiszpańsku. Potem Jensen znów zwrócił się do mnie.
– A czy pan też przyjechał szukać tego brakującego wtajemniczenia? Wie pan przynajmniej, w co się pan pakuje? Poczułem się niezręcznie, zaczęło brakować mi słów.
– No... raczej chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o całym Rękopisie.
Wyprostował się i oficjalnym tonem zadał pytanie:
– Czy zdaje pan sobie sprawę, że Rękopis jest zabytkiem o wartości państwowej i sporządzanie z niego kopii bez zezwolenia jest nielegalne?

– Tak, ale niektórzy naukowcy są przeciwni takiemu traktowaniu tej sprawy. Uważają, że władze prześladują nowe...
– A nie wydaje się panu – przerwał mi znów – że naród peruwiański ma prawo sprawować kontrolę nad skarbami swojej kultury narodowej? Czy w ogóle zgłosił pan we właściwym urzędzie, gdzie pan zamierza przebywać?
Nie miałem na to odpowiedzi. Uczucie ogromnego niepokoju podpełzło mi do gardła.
– Proszę nie zrozumieć mnie źle – uspokoił mnie. – Jestem po pana stronie. Jeśli ma pan poparcie ze strony zagranicznych ośrodków naukowych, proszę mi o tym powiedzieć. Ale wydaje mi się, że jest pan raczej wolnym strzelcem.
– Coś w tym rodzaju – odmruknąłem. Marjorie przeniosła wzrok ze mnie na Jensena.
– Co według ciebie powinien zrobić? – spytała go.
Jensen wstał i powiedział z uśmiechem:
– No cóż, może mógłbym dokooptować pana do mojego zespołu. Potrzeba nam więcej ludzi. Tam, dokąd jedziemy, jest względnie bezpiecznie, no i po drodze, gdyby coś nie wyszło, będzie pan miał możliwość powrotu do domu. – Wbił we mnie uporczywy wzrok i dokończył. – Ale musiałby pan cały czas ściśle wykonywać moje polecenia.
Poszukałem wzrokiem Marjorie, ale ona wciąż patrzyła na Jensena. Jego propozycja zdeprymowała mnie. Myślałem, że może warto się nad nią zastanowić. Jeżeli był w dobrych stosunkach z rządem, to mógłbym uzyskać jedyną szansę legalnego powrotu do Stanów. Może sam siebie oszukiwałem? Może Jensen ma rację – mój cel mnie przerasta?
– Chyba powinieneś przemyśleć to, co powiedział Robert – odezwała się. – Tu jest niebezpiecznie działać w pojedynkę.
Może i miała rację, ale ja ufałem Wilowi i wierzyłem w sens tego, co robimy. Chciałem to powiedzieć głośno, ale kiedy otworzyłem usta, okazało się, że nie jestem zdolny sformułować zdania. Nagle utraciłem zdolność jasnego myślenia.
W tej chwili do pokoju znów wszedł potężnie zbudowany mężczyzna. Stanął przy oknie i wyglądał na zewnątrz. Jensen zerwał się na nogi i też wyjrzał, potem odwrócił się do

Marjorie i na pozór obojętnym tonem oznajmił:
– Ktoś przyjechał. Zawołaj tu Kenny'ego.
Skinęła głową i wybiegła. Przez okno widziałem zbliżające się światła ciężarówki. Samochód zaparkował za płotem, w odległości kilkunastu metrów.
Kiedy Jensen otworzył drzwi, spoza nich dobiegło mnie moje nazwisko.
– Kto to? – spytałem.
– Cicho! – Jensen zmierzył mnie groźnym spojrzeniem. Wraz z tęgim facetem wyszli, zamykając za sobą drzwi. Przez okno widać było samotną sylwetkę w światłach samochodu. Pierwszym moim odruchem było pozostać wewnątrz. Ocena mojej sytuacji dokonana przez Jensena budziła we mnie złe przeczucia. Jednak ten dziwny przybysz wydawał mi się znajomy. Aby się upewnić, otworzyłem drzwi i wyszedłem na dwór. Gdy Jensen mnie zobaczył, krzyknął:
– Co pan robi? Proszę natychmiast wracać!
Tymczasem zza stojącej pod ścianą prądnicy znów usłyszałem swoje nazwisko.
– Proszę natychmiast wrócić do domu! To może być pułapka! – powtórzył Jensen. Ustawił się przede mną tak, że zasłaniał mi widok samochodu. – Proszę wejść do środka!
Zdezorientowany i wystraszony, nie byłem w stanie podjąć żadnej decyzji. Tymczasem ledwie widoczny w światłach pojazdu osobnik podszedł bliżej. Usłyszałem wyraźnie słowa: “... podejść bliżej, chciałbym z panem porozmawiać!". Kiedy zrobił jeszcze parę kroków do przodu, rozjaśniło mi się w głowie: To był Wil. Wtedy minąłem Jensena.
– Co się z tobą działo? – spytał szybko Wil. – Musimy się stąd wydostać.
– A co z Marjorie?
– Na razie nie możemy niczego dla niej zrobić – stwierdził.
– Chodźmy stąd co prędzej.
Ruszyliśmy, kiedy Jensen zawołał za mną.
– Radzę ci zostać tutaj. Sam nie dasz rady! Spojrzałem za siebie, a Wil też się zatrzymał, jakby dając mi wybór: wrócić czy iść z nim.
– Chodźmy! – zdecydowałem.

Kiedy mijaliśmy ciężarówkę, którą przyjechał Wil, zauważyłem jeszcze dwóch mężczyzn w szoferce. Doszliśmy do dżipa Wila, oddałem mu kluczyki i ruszyliśmy, a za nami ciężarówka.
Wil odwrócił się do mnie.
– Jensen powiedział mi, że postanowiłeś przyłączyć się do jego grupy. Co to było?
– Skąd znasz jego nazwisko? – wybąkałem.
– Wiem o nim wszystko – odpowiedział. – Współpracuje z rządem. Rzeczywiście jest archeologiem, ale zobowiązał się trzymać wyniki swoich badań w tajemnicy w zamian za wyłączne prawa do studiowania Rękopisu. Nie przewidziano jednak, że będzie próbował szukać brakującego wtajemniczenia. Najwidoczniej zdecydował się wyłamać z podjętych zobowiązań. Chodzą słuchy, że wkrótce wyrusza na poszukiwania. Kiedy dowiedziałem się, że Marjorie jest z nim, pomyślałem, że lepiej będzie. gdy sam tu przyjadę. Co on ci nagadał?
– Powiedział, że jestem w niebezpieczeństwie, a jeśli przyłączę się do niego, pomoże mi wydostać się stąd, kiedy będę tego chciał.
Wil potrząsnął głową.
– Zupełnie cię omotał!
– Jak to?
– Szkoda, że nie mogłeś widzieć swojego biopola. Prawie całkiem przepłynęło do niego.
– Nie rozumiem.
– Przypomnij sobie polemikę Sary z tym naukowcem w Viciente... Kiedy któreś z nich osiągało przewagę w dyskusji, widziałeś, jak przegrywający tracił energię na rzecz zwycięzcy, wskutek czego czuł się osłabiony, wypompowany i zdezorientowany. Coś takiego działo się z tą dziewczyną na stacji benzynowej i coś podobnego – dodał z uśmiechem – dzieje się teraz z tobą.
– Widziałeś, jak to samo działo się ze mną?
– Tak. Już miałeś duże trudności z wydostaniem się spod jego wpływu. Przez chwilę myślałem, że nawet nie będziesz próbował.

– Chryste! – jęknąłem. – Ten człowiek to chyba diabeł wcielony!
– Niezupełnie – sprostował Wil. – On prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy z tego. co robi. Uważa, iż ma prawo panować nad sytuacją i na pewno już dawno nauczył się osiągać w tym sukcesy, jeśli zastosuje określoną strategię. Najpierw próbuje się zaprzyjaźnić, potem wynajduje u danej osoby jakiś słaby punkt, w twoim przypadku było to poczucie zagrożenia. Później stopniowo podważa wiarę tej osoby w siebie, aż zacznie się z nim identyfikować. No a wtedy już ma ją w ręku.
Jest to tylko jedna z wielu metod, jakich ludzie używają, aby pozbawić innych energii. O pozostałych metodach dowiesz się później, kiedy dojdziesz do szóstego wtajemniczenia.
Nie bardzo go słuchałem, bo moje myśli krążyły wokół Marjorie. Wolałbym nie zostawiać jej w takim miejscu...
– Czy nie uważasz, że powinniśmy wydostać stamtąd Marjorie? – zagadnąłem.
– Nie teraz – odparł stanowczo. – Nie wydaje mi się. aby coś jej groziło. Jutro, wyjeżdżając stąd. możemy tam wstąpić i spróbować z nią pomówić.
Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu, potem Wil wrócił do sprawy.
– Rozumiesz, co to oznacza, że Jensen nie robi tego świadomie? Postępuje jak inni ludzie. Po prostu robi to, dzięki czemu czuje się silniejszy.
– Chyba jednak niezbyt dokładnie to rozumiem. Wil zamyślił się.
– Większość z nas nie zdaje sobie z tego sprawy. Wiemy tylko, że jesteśmy słabi, lecz kiedy udaje się nam podporządkować sobie innych, czujemy się lepiej. Nie rozumiemy, że poprawa samopoczucia dokonuje się kosztem kogoś innego, że przywłaszczamy sobie jego energię. Większość ludzi żyje w stałej pogoni za czyjąś energią. – Spojrzał na mnie z błyskiem w oku i dodał: – Czasem odbywa się to inaczej. Zdarza się, że spotkamy kogoś, kto choćby przez chwilę dobrowolnie przesyła nam część swojej energii.
– *Zdarza* się i coś takiego?

– Przypominasz sobie, kiedy siedzieliście z Marjorie w lokalu posilając się i ja tam wszedłem.
– Tak. I cóż?
– Nie wiem, o czym rozmawialiście, ale widać było, jak jej energia wlewa się w ciebie. Widziałem to wyraźnie. Pamiętasz, jak wtedy się czułeś?
– Bardzo dobrze – przyznałem. – Potrafiłem logicznie myśleć i klarownie się wypowiadać. Ale co z tego wynika? Uśmiechnął się.
– Czasem *zdarza* się, że ktoś chciałby, abyśmy pomogli mu określić swoją sytuację, i dzieli się z nami swoją energią, tak jak zrobiła Marjorie. Podbudowuje nas to psychicznie, ale jest to ulotny dar. Większość ludzi, także Marjorie, nie jest na tyle silna, aby stale dzielić się swoją energią. Dlatego związki partnerskie zamieniają się w końcu w walkę o władzę. Ludzie potrafią też łączyć swoją energię i razem walczyć przeciw temu, kto chciałby ich sobie podporządkować. A płaci zawsze przegrywający!
Przerwał i przyjrzawszy mi się uważnie, podjął znowu.
– Rozumiesz sens czwartego wtajemniczenia? Pomyśl o tym. co przydarzyło ci się ostatnio. Obserwowałeś przepływ energii między ludźmi i zastanawiałeś się. co to oznacza. Potem zaraz natrafiłeś na Reneau i dowiedziałeś się od niego, że psychologowie analizują ludzkie dążenie do podporządkowania sobie innych. Przejaw tej dominacji widziałeś na przykładzie peruwiańskiej rodziny. Nie ulegało wątpliwości, że osoba dominująca czuje się silniejsza i mądrzejsza, że wysysa z osoby podporządkowanej jej energię życiową. I nie ma znaczenia nasze przekonanie, że sprawujemy nad kimś władzę dla jego dobra, czy też dlatego, że jest to nasze dziecko, więc musimy nim kierować. Tak czy owak, wyrządzamy mu krzywdę.
Potem trafiłeś na Jensena i doświadczyłeś na własnej skórze, co znaczy być przez kogoś zdominowanym psychicznie. To tak, jakby ten ktoś odebrał ci zdolność myślenia. I nie chodzi tylko o to, że przegrałeś w intelektualnym starciu z Jensenem. Nie, tobie nie stało energii i jasności umysłu, aby się w ogóle z nim ścierać. Cała twoja siła duchowa przeszła do Jensena. Niestety, w naszej kulturze ten

rodzaj przemocy psychicznej zdarza się często, a jej sprawcami bywają ludzie działający w dobrej wierze.
Mogłem mu tylko przytaknąć. Opisał i podsumował moje doświadczenia bezbłędnie.
– Spróbuj podejść do czwartego wtajemniczenia kompleksowo – ciągnął dalej. – Zauważ, że wszystko układa się w logiczną całość. Trzecie wtajemniczenie pomogło nam zrozumieć, że świat materialny jest właściwie ogromną masą energii. A czwarte kieruje naszą uwagę na fakt, że ludzie bezwiednie od dawna walczą o dostępną im część energii, która między nimi przepływa. I to zawsze było źródłem konfliktów na każdym szczeblu, począwszy od drobnych kłótni w rodzinie czy w miejscu pracy aż do wojen między narodami. Wszystkie one biorą się stąd, że czujemy się słabi i niepewni, a do poprawy samopoczucia potrzebujemy czyjejś energii.
– Chwileczkę! – zaprotestowałem. – Niektóre wojny były słuszne, musiały się rozegrać!
– Oczywiście – zgodził się Wil. – Ale zawsze przyczyną, dla której konfliktu nie da się zażegnać w zarodku jest uporczywe obstawanie jednej ze stron przy nieracjonalnym stanowisku. A chodzi tu oczywiście o energię.
Nagle Wil jakby coś sobie przypomniał. Sięgnął do chlebaka i wyjął stamtąd plik spiętych papierów.
– Byłbym zapomniał! Znalazłem egzemplarz czwartego wtajemniczenia.
Bez komentarza dał mi odbitkę i prowadził dalej samochód, patrząc przed siebie na drogę. Z podłogi samochodu wziąłem małą latarkę i przy jej świetle w ciągu dwudziestu minut przeczytałem tekst. Wynikało z niego, że istotą czwartego wtajemniczenia jest postrzeganie świata jako nieustającej rywalizacji o energię, a co za tym idzie, o władzę.
Gdy ludzie zrozumieją, o co w istocie toczą walkę, będą mogli wznieść się ponad ten konflikt. Zaczną uwalniać się od przymusu rywalizacji o energię, bo będą mogli pozyskiwać ją z innego źródła.
Zerknąłem spod oka na Wila.
– Jakie może być to inne źródło energii? – spytałem. W odpowiedzi uśmiechnął się bez słowa.

Mistyczne przesłanie

Następnego ranka obudziłem się, gdy tylko usłyszałem jakieś poruszenie. Tę noc spędziliśmy w domu jednego ze znajomych Wila. Na dworze było jeszcze ciemno, a Wil siedział już na łóżku polowym po drugiej stronie pokoju i szybko się ubierał.
– Pakujmy się! – szepnął.
Pozbieraliśmy nasze rzeczy, po czym biegając kilka razy tam i z powrotem, wnieśliśmy nasze zapasy do dżipa. W centrum miasteczka, odległego zaledwie o kilkaset metrów, widać było jeszcze niewiele świateł. Budzący się dzień sygnalizował tylko jaśniejszy pasek nieba po jego wschodniej stronie, a poza nielicznymi głosami ptaków nie słychać było żadnego dźwięku.
Byliśmy już spakowani, ja zostałem przy samochodzie, a Wil poszedł zamienić parę słów ze swoim przyjacielem, który rozespany wyszedł na werandę. Wtem od skrzyżowania dróg doszedł nas warkot silników. Po światłach poznaliśmy, że do centrum wjechały trzy ciężarówki i zatrzymały się tam.
– To mogą być ludzie Jensena – zauważył. – Podejdźmy, żeby zobaczyć, co robią, tylko ostrożnie.
Zbliżyliśmy się od strony małego zaułka na odległość około trzydziestu metrów od miejsca postoju ciężarówek. Dwie z nich właśnie tankowały paliwo, a jedna była zaparkowana przed sklepem. Obok niej stało cztery czy pięć osób. Zobaczyłem, jak z budynku wychodzi Marjorie. układa coś w ciężarówce, a potem, jakby nigdy nic. idzie w naszą stronę, zerkając na wystawy sąsiednich sklepów.
– Podejdź tam i spróbuj ją namówić, żeby poszła z nami - szeptem polecił mi Wil. – Ja tu poczekam.
Prześlizgnąłem się za róg ulicy, ale kiedy już byłem blisko, zamarłem z przerażenia. Niektórzy stojący przed sklepem ludzie Jensena mieli broń. W następnej chwili moje przerażenie jeszcze się wzmogło. Od przeciwnej strony ulicy grupę Jensena okrążali przyczajeni żołnierze z automatami. Marjorie

dostrzegła mnie, a w tej samej chwili mężczyźni pilnujący ciężarówek dostrzegli żołnierzy i rozproszyli się po ulicy. Powietrze przeszyły serie z pistoletów maszynowych. Marjorie spojrzała na mnie trwożnie. Skoczyłem naprzód, złapałem ją za rękę i wpadliśmy w następną przecznicę. Dalsze wystrzały przemieszały się z gniewnymi okrzykami w języku hiszpańskim. Biegnąc potknęliśmy się o stos pustych pudełek i upadliśmy, prawie stykając się twarzami.
– Uciekajmy! – poderwałem się na nogi i ona też. ale zaraz pociągnęła mnie znowu ku ziemi, wskazując na wylot uliczki.
Plecami do nas czaiło się tam dwóch ludzi z automatami, obserwując teren przed sobą. Zamarliśmy, ale na szczęście tamci przebiegli na drugą stronę ulicy, w kierunku obszaru zadrzewionego.
Wiedziałem, że musimy wrócić do domu znajomego Wila, gdzie został samochód. Byłem pewien, że Wil też tam dotrze. Ostrożnie przekradliśmy się na następną ulicę. Z prawej strony dochodziły jeszcze okrzyki i strzały, lecz nie zauważyliśmy tam żywej duszy. Po lewej stronie także nie było nikogo. Nie było też Wila. Liczyłem, że pobiegł przed nami i ukrył się.
– Spróbujmy dostać się do lasu – podsunąłem Marjorie, zdenerwowanej i gotowej na wszystko. – Będziemy trzymać się jego lewej krawędzi i kierować się w lewo. Tam gdzieś stoi nasz dżip.
– Dobrze – zgodziła się.
Błyskawicznie przecięliśmy ulicę kierując się w stronę znanego mi domu. Dżip stał na swoim miejscu, ale przy nim nie było widać nikogo. Już szykowaliśmy się do skoku przez ostatnią uliczkę, gdy zza rogu wyjechał powoli wojskowy łazik. Równocześnie przez podwórze przemknął Wil. błyskawicznie zapuścił motor i na pełnym gazie wypadł w przeciwną stronę. Wojskowy pojazd podążył jego śladem.
– O, cholera! – zakląłem.
– Co teraz zrobimy? – spytała wystraszona Marjorie. Na ulicach za nami znów rozległy się strzały, tym razem bliżej. Przed nami zaś las był coraz gęstszy i wspinał się na grzbiet górski, który wznosił się nad miasteczkiem. Obserwowałem przedtem ten grzbiet z punktu widokowego.

– Na szczyt! – zawołałem. – Szybko!
Wspięliśmy się kilkaset metrów w górę. W punkcie widokowym zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy za siebie, w kierunku miasteczka. Na skrzyżowaniach roiło się od pojazdów wojskowych, a żołnierze przeszukiwali dom po domu. Poniżej nas, u podnóża góry, też było słychać przytłumione głosy.
Ruszyliśmy więc dalej pod górę. To była nasza jedyna droga ucieczki.

Cały ranek posuwaliśmy się grzbietem gór w kierunku północnym. Zatrzymywaliśmy się tylko wtedy, kiedy po szczycie równoległego pasma przejeżdżał jakiś samochód i trzeba było przypaść do ziemi. Przemieszczały się tam głównie stalowoszare łaziki wojskowe, tylko od czasu do czasu przemykało jakieś cywilne auto. Jak na ironię, szosa była dla nas jedynym punktem orientacyjnym i stosunkowo najbezpieczniejszym miejscem na tle otaczającego nas dziewiczego lasu.
Przed nami dwa łańcuchy górskie, opadające coraz bardziej w dół, zbliżały się do siebie. Dno doliny zasłaniały poszarpane nawisy skalne. Tymczasem od północy zauważyliśmy zbliżający się pojazd przypominający dżipa Wila. Skręcił w boczną drogę, schodzącą serpentyną w dolinę.
– To chyba Wil – wytężyłem wzrok.
– Zejdźmy tam! – ucieszyła się Marjorie.
– Chwileczkę. A jeśli to pułapka? Jeśli schwytali go i posługują się jego wozem, aby nas zwabić? Twarz jej się wydłużyła.
– Zostaniesz tutaj – zdecydowałem – a ja zejdę na dół. Uważaj. Jeśli wszystko będzie w porządku, dam ci znak i wtedy zejdziesz.
Niechętnie, ale zgodziła się. Zacząłem więc schodzić ze stromego zbocza w stronę, gdzie stał dżip. Przez gęste liście widziałem niewyraźną sylwetkę wysiadającego z wozu mężczyzny, ale nie mogłem rozpoznać kto to. Trzymając się małych krzaczków i drzewek, przemykałem między nawisami skalnymi, czasem osuwając się po grubej warstwie próchnicy.

W końcu znalazłem się dokładnie naprzeciw samochodu, po drugiej stronie doliny, w odległości około stu metrów. Mężczyzna, pochylony nad tylnym błotnikiem, był ciągle w cieniu, więc przesunąłem się kilka kroków w prawo, aby móc go lepiej widzieć. To był Wil! Przemieściłem się jeszcze bardziej w prawo i poczułem, że ześlizguję się ze zbocza. W ostatniej chwili uchwyciłem pień drzewa i podciągnąłem się na nim w górę. śołądek ze strachu podszedł mi pod gardło, bo pode mną ziała co najmniej dwudziestometrowa przepaść. O mało się nie zabiłem!

Wciąż trzymając się drzewa wyprostowałem się i spróbowałem zwrócić uwagę Wila na siebie. Akurat wpatrywał się w krawędź pasma górskiego nade mną, ale gdy opuścił wzrok, zobaczył mnie. Okrężną drogą przez krzewy rzucił się biegiem do mnie, ale pokazałem mu stromą ścianę w dole. Zmierzył dokładnie wzrokiem dno doliny, potem krzyknął:

– Nie widzę tu żadnej krótszej drogi. Musisz pójść kawałek dalej i dopiero tam przejść na drugą stronę.

Skinąłem głową i już miałem dać znak Marjorie, gdy usłyszałem z daleka odgłos nadjeżdżającego samochodu. Wil wskoczył do swego dżipa, zapalił i szybko zawrócił do głównej drogi, a ja znów wspiąłem się w górę. Przez liście widziałem, że Marjorie zbliża się do mnie.

Nagle z tyłu za nią zabrzmiały głośne hiszpańskie okrzyki i tupot nóg. Marjorie ukryła się za nawisem skalnym. Zmieniłem kierunek, poruszając się, jak mogłem najciszej, w lewo.

Biegnąc szukałem wzrokiem Marjorie. Dostrzegłem ją akurat w chwili, kiedy krzyczała przeraźliwie, a dwaj żołnierze trzymali ją za ręce.

Przygięty do ziemi, wspinałem się pod górę. W oczach miałem ciągle obraz przerażonej Marjorie. Kiedy byłem już na szczycie, z bijącym sercem skierowałem się znów na północ.

Przebiegłem chyba dobrze ponad kilometr, po czym zatrzymałem się i zacząłem nasłuchiwać. Za sobą nie słyszałem żadnych ruchów ani głosów. Położyłem się na plecach starając się odprężyć i skupić myśli, ale prześladowała mnie scena uprowadzenia Marjorie. Jak mogłem zostawić ją samą na zboczu? I co mam teraz zrobić?

Usiadłem, wziąłem głęboki oddech i zwróciłem oczy na drogę biegnącą wzdłuż drugiego pasma. Przez dłuższy czas nie docierał do mnie żaden dźwięk. Na próżno wytężałem słuch, który łowił tylko zwykłe odgłosy lasu. Powoli uspokajałem się. W końcu Marjorie została tylko zatrzymana. Jedynym jej przewinieniem była ucieczka przed strzelaniną. Prawdopodobnie zostanie zatrzymana do czasu ustalenia tożsamości.
Ponownie skierowałem się na północ. Trochę bolały mnie plecy, byłem brudny i zmęczony, a w brzuchu burczało mi z głodu. Szedłem tak jakieś dwie godziny, nie zastanawiając się nad niczym, nie widząc nikogo.
Raptem po mojej prawej stronie usłyszałem głosy ludzi biegnących po zboczu. Zamarłem nasłuchując, ale głosy ucichły. Tu rosły już duże drzewa, dobrze zacieniające grunt. Podszycie było tu rzadsze, więc mogłem obserwować teren przed sobą na odległość około pięćdziesięciu metrów. Nie widać było żadnego ruchu, więc stąpając na palcach minąłem wielki głaz i kilka drzew. Na ścieżce przede mną leżały trzy inne głazy. Minąłem już dwa z nich i wciąż nic nie słyszałem. Kiedy obchodziłem trzeci, usłyszałem za sobą trzask gałązek. Odwróciłem się więc powoli...
Obok głazu stał ten sam brodaty osobnik, którego widziałem na farmie Jensena. Przerażony, z obłędem w oczach, drżącymi rękami trzymał automat wycelowany w mój brzuch. Widać było, że usiłuje sobie przypomnieć, kim jestem.
– Spokojnie! – pomogłem mu. – Jestem znajomym Jensena.
– Przyjrzał mi się jeszcze uważniej i opuścił broń. Znów dały się słyszeć jakieś odgłosy za nami. Brodacz z karabinem w ręku zostawił mnie i popędził dalej na północ. Odruchowo podążyłem za nim. Biegliśmy możliwie najszybciej, klucząc wśród gałęzi i skał. a od czasu do czasu spoglądając za siebie.
Po kilkuset metrach brodacz potknął się i upadł, a ja przebiegłem obok niego. Przypadłem między dwiema skałami, aby trochę odpocząć i rozejrzeć się. W odległości jakichś pięćdziesięciu metrów dostrzegłem pojedynczego żołnierza celującego z automatu do brodacza, który właśnie dźwigał się na nogi. Zanim zdążyłem go ostrzec, żołnierz wystrzelił. Trafił

w plecy. Kule rozniosły klatkę piersiową, z której krew rozprysła się szeroko. Wystrzały odbiły się echem wśród drzew.
Brodaty olbrzym przez chwilę zastygł w bezruchu, potem zgiął się w pół i padł. Ja natomiast pobiegłem na oślep przed siebie, byle dalej, tak aby drzewa osłoniły mnie przed kulami. Zbocze robiło się coraz bardziej skaliste i strome.
Przedzierając się między występami skalnymi, drżałem na całym ciele z wyczerpania i strachu. W pewnym miejscu pośliznąłem się i skorzystałem z okazji, aby rzucić okiem do tyłu. śołnierz właśnie podszedł do ciała. Kiedy wydało mi się, że podnosi wzrok w moją stronę, schowałem się za głaz. Przypadłem do ziemi i przeczołgałem się obok kilku innych głazów. W tym miejscu zbocze robiło się nieco bardziej płaskie, tak że mogłem zniknąć prześladowcy z oczu. Po chwili zerwałem się i najszybciej jak mogłem biegłem między drzewami i skałami. Moją myśl opanowała chęć ucieczki za wszelką cenę. Nie miałem odwagi się obejrzeć, ale byłem pewien, że słyszę za sobą odgłos kroków.
Teren zaczął się znów wznosić. W miarę pokonywania wysokości coraz bardziej opadałem z sił. Teraz miałem przed sobą płaski wierzchołek, gęsto porośnięty drzewami i obfitym podszyciem, a za nim znów gołą stromą ścianę skalną. Ostrożnie, z największym wysiłkiem szukając miejsc wsparcia dla dłoni i stóp, wspiąłem się na nią i tam serce mi zamarło. Drogę przeciął mi obryw skalny wysokości co najmniej trzydziestu metrów. Nie zrobię już więc ani kroku.
To koniec. Jestem zgubiony! Za sobą słyszałem odgłos osuwających się kamieni, co oznaczało, że żołnierz się zbliża. Opadłem na kolana. Byłem tak wyczerpany, że zrezygnowałem z dalszej walki i pogodziłem się z losem. Miałem świadomość, że wkrótce dosięgną mnie kule. Po przeżytym strachu śmierć wydała mi się ulgą. Przez myśl przemknęły mi wspomnienia dziecięcych niedzielnych uniesień religijnych, naiwnych wyobrażeń o Bogu. którym towarzyszyło pytanie: Co by było, gdybym umarł? Teraz próbowałem przygotować się na to doświadczenie.
Czekając straciłem poczucie czasu, lecz nagle

uzmysłowiłem sobie, że nie dzieje się nic. Rozejrzałem się dookoła i stwierdziłem, że znajduję się na najwyższym szczycie w tym paśmie. Od tego punktu rozchodziły się inne turnie i granie, tak że miałem panoramiczny ogląd całej okolicy.
W dole coś się poruszyło. To ścigający mnie żołnierz oddalał się jakby nigdy nic w przeciwnym kierunku, niosąc na ramieniu broń zabraną zabitemu.
Zrobiło mi się lekko na sercu i zaśmiałem się bezgłośnie. Jestem więc ocalony! Usiadłem po turecku na ziemi i napawałem się radością. Byłem już gotów zostać tu na zawsze. Dopiero teraz zauważyłem, jak piękny i słoneczny jest dzień i jakie błękitne niebo!
Z tej pozycji wydało mi się, że widoczne z daleka purpurowe wzgórza są bardzo blisko. Podobnie białe obłoczki przepływające nad moją głową wydawały się być w zasięgu ręki. Kiedy podniosłem dłoń, jakby chcąc ich dotknąć, poczułem, że coś dziwnego dzieje się z moim ciałem. Ręka uniosła się w górę z niewiarygodną łatwością, a utrzymywanie ciała, kręgosłupa, karku i głowy w linii prostej przychodziło mi bez najmniejszego wysiłku. Z tej pozycji wstałem nie podpierając się rękami. Czułem się dziwnie lekko.
Patrząc na oddalone pasma górskie zwróciłem uwagę na zachodzący właśnie księżyc. Widziałem tylko jedną część tarczy, która wisiała nad horyzontem jak rogalik. Błyskawicznie skojarzyłem, dlaczego miał on właśnie taki kształt. Słońce, znajdujące się o miliony mil w linii prostej nade mną, oświetla tylko górną jego część. Mogłem precyzyjnie przeprowadzić w myśli linię łączącą słońce z powierzchnią księżyca, co w jakimś stopniu rozszerzało moje postrzeganie świata zewnętrznego.
Wyobraziłem sobie, że gdy ten księżyc schowa się za horyzontem, to jego odwrócony obraz obejrzą ci, którzy mieszkają bardziej na zachód ode mnie. A ludzie żyjący pode mną, czyli po przeciwnej stronie kuli ziemskiej, zobaczą pełną tarczę, bo promienie słońca znajdującego się nade mną omijając Ziemię padną wprost na księżyc.
Obraz ten wywołał u mnie dreszczyk emocji. W tym momencie nie tylko zdałem sobie sprawę, lecz wręcz fizycznie

doświadczyłem tego, że taka sama przestrzeń kosmiczna znajduje się nad moją głową, jak i pod moimi stopami, po drugiej stronie globu. Pierwszy raz w życiu miałem nie tylko świadomość, lecz całkiem fizyczne poczucie okrągłości Ziemi. Świadomość ta z jednej strony podniecała mnie, z drugiej

zaś wydawała się czymś zupełnie naturalnym i zwyczajnym. Najbardziej w tej chwili pragnąłem trwać w tym stanie zawieszenia, unosić się swobodnie w otaczającej przestrzeni. O wiele bardziej niż odpychać się nogami od Ziemi i pokonywać jej przyciąganie. Czułem się jak balon napełniony helem na tyle, aby unosić się tuż nad powierzchnią Ziemi, ledwo dotykając jej czubkami palców. Było to coś jak wyśmienita forma sportowa osiągnięta po roku intensywnego treningu, tyle że daleko bardziej harmonijna i lżejsza.

Usiadłem znów na skale i wszystko wydało mi się bardzo bliskie – zarówno głaz, na którym siedziałem, jak wysokie drzewa u podnóża góry, jak szczyty na horyzoncie. A poruszające się na wietrze gałęzie postrzegałem, jakby były włosami na moim ciele. Siedząc na skalistej grani i oglądając widoki ze wszystkich stron miałem wrażenie, jakby moje ciało stanowiło tylko głowę jakiegoś większego organizmu, a cały wszechświat oglądał siebie moimi oczami.

Ten stan wyzwolił wspomnienia. Cofnąłem się pamięcią do początku podróży do Peru, do mojego dzieciństwa, a nawet narodzin. Miałem poczucie, że w gruncie rzeczy moje życie nie zaczęło się od urodzin, czy nawet poczęcia na tej planecie, lecz o wiele wcześniej, wraz z formowaniem się pozostałej części mojej istoty, jaką stanowił wszechświat.

Dotychczas uważałem naukę o ewolucji za nudną, a po tej wycieczce w przeszłość naraz zacząłem odgrzebywać w pamięci wszystko, co na ten temat przeczytałem. Przypomniałem sobie także, że mój znajomy, do którego był podobny Reneau, najbardziej interesował się właśnie ewolucją.

Cała moja wiedza na ten temat zespoliła się z późniejszymi doświadczeniami. Zacząłem przywoływać zdobyte kiedyś wiadomości, ale teraz odbierałem je już inaczej.

Wiedziałem, że wszechświat powstał w drodze wielkiego wybuchu, ale *zarazem* zdawałem sobie sprawę, co mówi trzecie

wtajemniczenie – że w tej sprawie nie ma nic absolutnie pewnego. Materia stanowi tylko pewien stopień ruchu energii, a najprostszą formą tego ruchu są atomy wodoru. Wszechświat składał się więc na początku głównie z wodoru.
Widziałem atomy wodoru, które przyciągają się do siebie nawzajem, jakby naczelną zasadą zachowania tej energii był ruch w celu uzyskania bardziej stałej postaci. A kiedy te skupiska osiągnęły odpowiednią gęstość, nagrzewały się stopniowo do coraz wyższej temperatury, aż w końcu zapłonęły tworząc gwiazdy. Podczas spalania atomy wodoru łączyły się z sobą dając nową jakościowo, wyższą formę ruchu. Były to cząsteczki helu.
Miałem wrażenie, że na moich oczach pierwsze gwiazdy, po osiągnięciu pewnego wieku, eksplodują, uwalniając do atmosfery nie zużyty wodór i nowo powstały hel. Wtedy cały proces zaczynał się od początku. Skupiska wodoru i helu zagęszczały się, dopóki nie osiągnęły temperatury odpowiednio wysokiej dla powstania nowych gwiazd. W nich z kolei zachodziły następne reakcje jądrowe, prowadzące do powstania kolejnego pierwiastka – litu, będącego jeszcze wyższą formą ruchu.
Tym sposobem każda kolejna generacja gwiazd wytwarzała nowy, nie istniejący dotąd rodzaj materii, aż w końcu doszło do uformowania się i rozproszenia we wszechświecie szerokiego wachlarza form materii – podstawowych pierwiastków chemicznych. Materia przekształcała się w drodze ewolucji – od najprostszej formy ruchu energii, cząsteczek wodoru, do jego formy najwyższej – cząsteczek węgla, aż osiągnęła stan gotowości do nowego skoku w łańcuchu ewolucji.
Kiedy z gazu i pyłu kosmicznego powstało Słońce, na orbicie wokół niego zagęściły się zbiorowiska materii. Jednym z nich, zawierającym wszystkie nowo powstałe pierwiastki, w tym węgiel, była Ziemia. W miarę jak skorupa ziemska stygła, gazy uwięzione w stopionym jądrze planety zaczęły przemieszczać się ku powierzchni i skupiać, tworząc parę wodną. W wyniku tego spadły ulewne deszcze, tworząc na nagiej wówczas powierzchni Ziemi oceany. Woda pokrywała większą część planety, aż oczyściło się niebo i Słońce

dostarczyło formującym się lądom światła, ciepła i promieniowania.
W okresach między szalejącymi od czasu do czasu burzami w płytkich zbiornikach wodnych materia przekształciła się z postaci ruchu na poziomie węgla w nową, bardziej skomplikowaną formę. Pod wpływem promieniowania cząsteczki węgla łączyły się w łańcuchy aminokwasów. I po raz pierwszy to nowe stadium rozwojowe, ten nowy poziom ruchu nie by} stabilny sam w sobie. Większe cząsteczki materii, dla podtrzymania swoich funkcji, musiały stale wchłaniać inne cząsteczki. Musiały je niejako zjadać. W ten sposób powstało życie, nowy skok w łańcuchu ewolucji.
Mogłem sobie wyobrazić, jak te pierwsze formy życia, przypisane do zbiorników wodnych, rozwijały się nadal dwoma torami. Jedna grupa żywych organizmów przystosowała się do przetwarzania materii nieorganicznej w organiczną, wykorzystując w tym celu dwutlenek węgla z formującej się dopiero atmosfery. W ten sposób powstały rośliny. Po raz pierwszy doszło do uwalniania do atmosfery tlenu jako produktu ubocznego przemiany materii roślin. Zbiorowiska roślinne szybko opanowały oceany, a stamtąd rozprzestrzeniły się na ląd.
Inne formy żywej materii wykorzystywały do podtrzymywania swoich funkcji życiowych tylko substancję organiczną. Były to zwierzęta. W erze ryb opanowały one środowisko morskie. A kiedy rośliny uwolniły do atmosfery wystarczającą ilość tlenu, zwierzęta wyszły także na ląd.
Widziałem oczyma wyobraźni płazy, mające w sobie coś z ryb, ale i pewne nowe cechy, jak opuszczają wodę, po raz pierwszy robiąc użytek z płuc dla zaczerpnięcia powietrza. Dalszym etapem w rozwoju materii było powstanie gadów, które opanowały Ziemię w erze dinozaurów. Potem pojawiły się i wkrótce zaczęły dominować zwierzęta ciepłokrwiste – ssaki. Każdy nowo powstający gatunek reprezentował żywą materię na wyższym stopniu organizacji. To nieustanne doskonalenie ustało, gdy na szczycie drabiny ewolucji znalazł się człowiek.
Na tym skończył się mój wgląd w historię powstania żywej

materii. Osiąganie coraz wyższych stadiów jej organizacji odbywało się jakby według z góry ustalonego planu, dopóki nie pojawiły się warunki do zaistnienia każdego z nas.

Siedząc tak na szczycie góry prawie pojąłem, że dalszy ciąg ewolucji mógł dokonywać się w obrębie życia jednostek. Nieraz pozornie przypadkowy zbieg okoliczności powodował pewne przyspieszenie w naszym życiu, jakby wyższą formę ruchu, popychając je naprzód, tym samym kontynuując ewolucję. Nie rozumiałem jednak tego do końca, mimo że bardzo się starałem.

Długo jeszcze siedziałem tak nad przepaścią, pogrążony w błogim spokoju, zjednoczony ze światem. Wreszcie zdałem sobie sprawę, że słońce chyli się ku zachodowi. Na szczęście w odległości około dwóch kilometrów na północnym zachodzie zauważyłem jakieś miasteczko, nawet z grubsza mogłem odróżnić kształty dachów na domach. I chyba tam właśnie prowadziła szosa biegnąca grzbietem zachodniego łańcucha gór.

Wstałem więc i zacząłem schodzić po skałach. Śmiałem się głośno. Nadal czułem ścisłą więź ze środowiskiem. Wydawało mi się, że to, po czym stąpam, jest przedłużeniem mojego własnego ciała, więcej, że właśnie odkrywam nowe regiony mojego istnienia. Było to niezwykłe uczucie.

Zszedłem ze ściany skalnej między drzewa. Popołudniowe słońce rzucało na ziemię długie cienie. W połowie stoku potężne drzewa rosły szczególnie gęsto. Kiedy wszedłem tam, stwierdziłem wyczuwalne zmiany w stanie mojego organizmu. Nagle poczułem się jakby lżejszy, a moje ruchy stały się bardziej skoordynowane. Spojrzałem uważnie na drzewa i krzewy, koncentrując się na podziwianiu ich urody. Zobaczyłem błyski białego światła i różowe aureole wokół każdej rośliny.

W dole natknąłem się na strumień, który promieniował bladoniebieskim światłem. Widok ten podziałał na mnie kojąco, a nawet usypiająco. Musiałem jeszcze przejść przez dno doliny i następnym zboczem pod górę, aby wreszcie znaleźć się na żwirowanej drodze. Kiedy już się tam dostałem, ruszyłem spokojnie grzbietem górskim w kierunku północnym.

W pewnej chwili przed moimi oczyma mignęła sylwetka człowieka. Dostrzegłem ją na następnym zakręcie. Był to ksiądz, gdyż nosił sutannę. Na jego widok poczułem dreszcz, ale wcale nie był to strach. Podbiegłem więc naprzód, by z nim porozmawiać. Miałem pełną świadomość, że wiem dokładnie, co powiem i co zrobię. Czułem się wspaniale. Ku mojemu zaskoczeniu ksiądz nagle zniknął.

Z prawej strony od drogi głównej biegła mniejsza, która schodziła na powrót w dolinę, ale nie widziałem na niej żywej duszy. Pobiegłem kawałek naprzód główną drogą, ale i tam nie było nikogo. Myślałem, czy nie cofnąć się do bocznej drogi. Miasto jednak znajdowało się przede mną i chciałem tam dotrzeć. Ciągle jednak nie mogłem się wyzbyć myśli o tamtej drodze.

Jakieś sto metrów dalej, pokonując następny zakręt usłyszałem warkot samochodów. W prześwitach drzew ujrzałem kolumnę wojskowych samochodów terenowych jadących z dużą szybkością. Zawahałem się – uciekać czy zostać, ale przypomniałem sobie strzelaninę na wzgórzu. W ostatniej chwili uskoczyłem z szosy na prawo i przypadłem do ziemi w miejscu niczym nie osłoniętym. Kiedy przejeżdżało koło mnie dziesięć łazików, mogłem liczyć tylko na to, że mnie nie zauważą. Samochody mijały mnie w odległości paru metrów, tak że czułem zapach spalin, widziałem twarze kierowców i pasażerów.

Na szczęście nikt nie spojrzał w moją stronę. Kiedy kolumna zniknęła, przeczołgałem się za wielkie drzewo. Ręce mi się trzęsły, a cały mój spokój prysnął. Strach znów ścisnął mi żołądek. Spróbowałem wrócić na drogę, ale warkot następnych samochodów zmusił mnie do odwrotu w dół po stoku. W samą porę, gdyż szosą przemknęły następne dwa dżipy. Zrobiło mi się słabo.

Tym razem trzymałem się już z dala od drogi. Ostrożnie dotarłem do przecznicy, którą minąłem poprzednio. Nasłuchując jakichkolwiek dźwięków i wypatrując poruszeń zdecydowałem się zejść przez las z powrotem do doliny. Własne ciało znów wydało mi się strasznie ciężkie. Zadawałem sobie pytanie: po co pchałem się na tę szosę? Musiałem chyba

całkiem zgłupieć, może wskutek wstrząsu po strzelaninie? Zacznij wreszcie myśleć logicznie, skarciłem sam siebie. Musisz uważać, bo ci ludzie zabiją cię, jeśli popełnisz choćby najmniejszy błąd.

Nagle zamarłem, bo w odległości jakichś stu stóp przede mną znów pojawił się ksiądz. Siedział pod wielkim drzewem, otoczonym masą głazów narzutowych. Spojrzałem na niego, a on otworzył oczy i popatrzył na mnie. Kiedy się cofnąłem, uśmiechnął się i dał mi znak, żebym się zbliżył.

Podszedłem ostrożnie. Ksiądz siedział bez ruchu. Był to wysoki, szczupły mężczyzna około pięćdziesiątki, o krótko ostrzyżonych włosach koloru ciemnego brązu, takiego samego jak jego oczy.

– Wydaje mi się. że potrzebujesz pomocy – powiedział doskonałą angielszczyzną.

– Kim ksiądz jest? – wyjąkałem.

– Nazywam się Sanchez. A ty?

Nagle zakręciło mi się w głowie. Osunąłem się na jedno kolano, a potem usiadłem. W tej pozycji wyjaśniłem, kim jestem i skąd się tu wziąłem.

– Masz coś wspólnego z tym, co się działo w Cula. prawda?

– indagował duchowny.

– A co ksiądz o tym wie? – próbowałem wybadać go ostrożnie, nie mając pewności, czy mogę mu ufać.

– Wiem, że władze bardzo się denerwują – odpowiedział oględnie – bo nie chciałyby dopuścić do ujawnienia Rękopisu.

– Dlaczego? – udawałem głupiego. Ksiądz wstał i spojrzał na mnie z góry.

– Najlepiej chodź ze mną. Nasza misja jest niecały kilometr stąd. U nas będziesz bezpieczny.

Z wysiłkiem wstałem i potakująco skinąłem głową. Wiedziałem, że nie mam wyboru. Kiedy szliśmy drogą, ksiądz był spokojny, opanowany i uprzejmy. W rozmowie ważył każde słowo.

– Czy ci żołnierze wciąż cię szukają? – spytał nagle.

– Nie mam pojęcia – wyznałem szczerze.

Przez najbliższych kilka minut nie odzywał się, potem dodał:

– A ty poszukujesz Rękopisu?
– Już nie! – wyrzuciłem z siebie. – Teraz chciałbym tylko ujść stąd z życiem!
Kiwnął głową ze zrozumieniem, a ja, nie wiadomo dlaczego, poczułem, że zaczynam mu ufać. Swoim ciepłym i przyjaznym sposobem bycia przypominał mi Wila.
Misja, położona w bardzo malowniczym miejscu, składała się z kościółka i kilku małych domków wokół dziedzińca. Kiedy dotarliśmy na miejsce, mój przewodnik powiedział coś po hiszpańsku do znajdujących się tam księży.
Rozbiegli się, a ja byłem zbyt zmęczony, by śledzić, dokąd się udali. Ksiądz wprowadził mnie do jednego z domków.
Wewnątrz znajdował się mały salonik i dwie sypialnie. Na kominku płonął ogień. Po chwili pojawił się inny ksiądz, niosąc na tacy talerz zupy i chleb. Kiedy z wysiłkiem jadłem. Sanchez towarzyszył mi przez grzeczność. Potem namówił mnie, bym położył się do łóżka. Zapadłem w głęboki sen.
Kiedy nazajutrz wyszedłem na dziedziniec, od razu rzuciło mi się w oczy. że wszystko tu utrzymane jest w nieskazitelnym porządku. Precyzyjnie rozplanowane żwirowane ścieżki obramowane były krzewami i żywopłotem, przy czym krzewy zachowały swój naturalny kształt, nie były przycinane ani sztucznie formowane.
Przeciągając się poczułem, że ociera mnie kołnierzyk wykrochmalonej koszuli z grubej bawełny. Najważniejsze jednak, że była czysta i wyprasowana. Rano zbudziło mnie dwóch księży, którzy nalali gorącej wody do wanny i przynieśli mi świeżą zmianę bielizny. Kiedy się wykąpałem i ubrałem, w drugim pokoju znalazłem na stole gorące bułeczki i suszone owoce. Podczas gdy łapczywie jadłem, księża asystowali mi, stojąc obok. Gdy skończyłem, odeszli i wtedy wyszedłem na dwór, gdzie właśnie teraz stałem.
Przeszedłem się trochę, a potem usiadłem na jednej z kamiennych ław ustawionych wokół dziedzińca. Nastawiłem twarz pod promienie słoneczne przeświecające przez czubki drzew.
– Jak się spało? – odezwał się głos za mną. Odwróciłem się i zobaczyłem księdza Sancheza. Stał wyprostowany i uśmiechał

się do mnie.
– Dziękuję, bardzo dobrze.
– Mogę się przysiąść?
– Oczywiście.
Przez dłuższy czas trwało krępujące milczenie. Kilka razy zbierałem się, by rozpocząć rozmowę, ale ksiądz też tylko wystawiał twarz do słońca, mrużąc oczy.
– Wybrałeś sobie przyjemne miejsce! – przemówił w końcu. Miał oczywiście na myśli tę ławkę w porannym słońcu.
– Niech mi ksiądz poradzi – poprosiłem – jak mogę bezpiecznie dostać się stąd do Stanów Zjednoczonych? Popatrzył na mnie poważnie.
– No cóż, to już zależy od tego, za jak niebezpiecznego ptaszka uważają cię władze. Powiedz, jak to się stało, że znalazłeś się w Cula?
Opowiedziałem mu całą historię, od chwili gdy po raz pierwszy usłyszałem o Rękopisie. Sensacje psychiczne, które przeżywałem na szczycie górskim, z perspektywy czasu wydały mi się dziwne i pretensjonalne, toteż jedynie napomknąłem o nich krótko. Tymczasem Sanchez zaczął mnie wypytywać właśnie o to.
– Co zrobiłeś, kiedy żołnierz nie zauważył cię i zawrócił?
– Przesiedziałem bezczynnie kilka godzin – zbyłem go krótko. – Poczułem wielkie odprężenie.
– Co jeszcze czułeś? – drążył dalej.
Trochę się wstydziłem, lecz w końcu zdecydowałem się opowiedzieć swoje przeżycia.
– To trudno opisać – zastrzegłem z góry. – Doznałem stanu jakiegoś uniesienia, łączności ze wszystkim, co mnie otacza, poczucia pełnego bezpieczeństwa i pewności siebie. Nie czułem już zmęczenia.
– No właśnie – uśmiechnął się. – To było przeżycie mistyczne. W tym lesie na skale doznaje go wiele osób.
Zrobiłem zachęcający gest, więc obrócił się na ławce tak, aby patrzeć mi prosto w twarz, i mówił dalej:
– Podobne przeżycia były udziałem mistyków różnych wyznań. Czytałeś kiedyś coś na ten temat?
– Coś kiedyś czytałem.

– Ale do wczoraj była to dla ciebie tylko wiedza teoretyczna?
– Myślę, że tak.
Zbliżył się do nas jakiś młody ksiądz. Przepraszając skinął głową i szepnął coś Sanchezowi, a kiedy ten przytaknął – odwrócił się i odszedł. Starszy ksiądz obserwował każdy krok młodego, gdy ten przechodził przez podwórze i wszedł do pobliskiego parku. Dopiero teraz zauważyłem, że również tam panowała nieskazitelna czystość i rosło wiele różnych roślin. Młody ksiądz przechodził z miejsca na miejsce zatrzymując się, jakby czegoś poszukując. Wreszcie usiadł i pogrążył się w medytacji.
Sanchez uśmiechnął się i wydawał się zadowolony, gdy powtórnie zwrócił się do mnie:
– Obawiam się, że wszelkie próby powrotu mogą okazać się teraz dla ciebie niebezpieczne. Spróbuję zbadać sytuację i dowiedzieć, co dzieje się z twoimi przyjaciółmi – podniósł się i stanął przede mną. – Czeka mnie teraz trochę pracy, ale wierz mi, że postaramy się pomóc ci, o ile tylko będzie to możliwe. Tymczasem myślę, że będzie ci tu wygodnie. Odpoczywaj i nabieraj sil.
Nie miałem nic przeciwko temu. Wtedy ksiądz sięgnął do kieszeni i wyciągnął plik papierów, które mi podał, mówiąc:
– Oto piąte wtajemniczenie, gdzie znajdziesz opis podobnych przeżyć jak twoje. Myślę, że cię to zainteresuje. Z wahaniem wyciągnąłem rękę, a Sanchez spytał:
– Jak zrozumiałeś ostatnie wtajemniczenie, z którym się zapoznałeś?
Nie od razu odpowiedziałem. Prawdę mówiąc nie bardzo chciałem już zaprzątać sobie głowę tym Rękopisem i jego wtajemniczeniami. W końcu jednak powiedziałem:
– Ludzie ugrzęźli we wzajemnej rywalizacji o energię. Kiedy uda się nam przekonać kogoś do swoich poglądów, tak aby zaczął identyfikować się z nami, wtedy pozyskujemy jego energię i czujemy się przez to silniejsi.
– A więc – podsumował z uśmiechem – problem polega na tym, że staramy się podporządkować sobie innych w poszukiwaniu energii, której brak odczuwamy?

– Właśnie.
– Wyjściem z tej sytuacji byłoby odnalezienie innego źródła energii?
– To właśnie podsuwa nam czwarte wtajemniczenie.
Skinął głową i wolnym krokiem udał się do kościoła. Początkowo odpoczywałem trochę z łokciami wspartymi na
kolanach. Wydarzenia ostatnich dni osłabiły moje zainteresowanie Rękopisem. Wolałbym raczej zastanowić się, jak zorganizować sobie powrót do Ameryki. Tymczasem zauważyłem, że na zadrzewionej połaci terenu po przeciwnej stronie podwórza młody ksiądz wstał, przeszedł powoli kilka metrów, odwrócił się w moją stronę i usiadł znowu. Zaciekawiło mnie, co też on robi. Raptem olśniła mnie myśl, że może klucz znajdę w Rękopisie. Zacząłem czytać pierwszą stronę otrzymanej odbitki.
Piąte wtajemniczenie zawierało nową interpretację tego, co zwykło się nazywać świadomością mistyczną. Zgodnie z nim, w ostatnich dekadach dwudziestego wieku ten rodzaj świadomości zostanie uznany za osiągalną formę bytu. Dotychczas doznawali jej tylko najbardziej wtajemniczeni wyznawcy wielu religii. Dla większości ta forma świadomości pozostawała tylko koncepcją intelektualną i tematem do dyskusji. Lecz wiele jednostek doświadczy w życiu doczesnym olśnienia duchowego, tak że ta forma świadomości stanie się osiągalna dla coraz większej liczby ludzi. Zgodnie z tym. co mówi Rękopis, w tym doświadczeniu tkwi klucz, dzięki któremu uda się położyć kres wszystkim konfliktom, jakie zna świat. Podczas tego przeżycia pozyskujemy bowiem energię z innego źródła – ze źródła, z którego w końcu nauczymy się korzystać zgodnie z naszymi potrzebami.

Przerwałem lekturę i znów spojrzałem na młodego księdza. Oczy miał otwarte, wydawało się, że patrzy wprost na mnie. Choć był zbyt daleko, abym mógł dojrzeć rysy jego twarzy, skinąłem mu głową. Ku memu zaskoczeniu odwzajemnił mój gest i uśmiechnął się nieznacznie. Potem wstał i poszedł w kierunku domku znajdującego się po mojej lewej stronie. Obserwowałem go, jak tam wchodził, lecz on unikał mego wzroku.

Usłyszałem za sobą kroki. Kiedy odwróciłem się, Sanchez właśnie wychodził z kościoła.
– Nie trwało to długo – oznajmił z uśmiechem. – Chciałbyś może zwiedzić trochę okolice?
– Z chęcią! – odpowiedziałem. – Czy mógłby ksiądz powiedzieć mi coś więcej o tych miejscach tam? – wskazałem palcem w stronę, gdzie widziałem młodego księdza.
– Dobrze, chodźmy! – zgodził się.
Podczas gdy szliśmy przez dziedziniec, Sanchez opowiadał mi o tym, że jego placówka liczy sobie ponad czterysta lat. Założył ją misjonarz z Hiszpanii, który stosował oryginalne na owe czasy metody nawracania tutejszych Indian. Uważał, że lepsze wyniki dają próby trafienia do ich serc niż wymuszanie posłuchu mieczem. Istotnie ten sposób okazał się skuteczny. Częściowo dzięki temu, a częściowo dzięki izolowanemu położeniu misji odważnemu zakonnikowi pozostawiono wolną rękę w stosowaniu swoich niekonwencjonalnych metod.
– My kontynuujemy jego tradycję dochodzenia do prawdy od wewnątrz – dokończył myśl Sanchez.
Było to parę arów nieskażonej przyrody. Prześwietlono kawałek gęstego lasu, a rosnące pod drzewami krzewy i kwiaty poprzedzielano ścieżkami z gładkich kamieni z dna rzeki. Podobnie jak na dziedzińcu, także i tu rośliny zachowały swój naturalny indywidualny kształt.
– Gdzie chciałbyś usiąść? – spytał Sanchez. Rozejrzałem się. co mam do wyboru.
Przed sobą miałem kilka celowo zakomponowanych skupisk, które stanowiły jakby odrębne całości same w sobie. W każdym z tych mini-zespołów krajobrazowych był kawałek otwartej przestrzeni otoczonej kwitnącymi roślinami, skałkami i drzewami o różnych kształtach. Miejsce po naszej lewej stronie, gdzie przebywał przedtem młody ksiądz, wyróżniało się dużą liczbą rozrzuconych, wielkich kamieni.
– Może tutaj? – zaproponowałem.
Sanchez zgodził się i przeszliśmy tam. Ksiądz kilka razy głęboko zaczerpnął powietrza, po czym zwrócił się do mnie:
– Opowiedz mi coś więcej o twoim przeżyciu w górach. Odczułem opór wewnętrzny.

– Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. To nie trwało długo.
Obrzucił mnie karcącym spojrzeniem.
– Wiem, to się skończyło, gdy znów poddałeś się lękowi. Ale to nie pomniejsza wagi tego przeżycia. Może coś z tego udałoby się ocalić?
– Możliwe – zgodziłem się. – Ale trudno skupić się i czuć się częścią kosmosu, mając świadomość, że ktoś chciałby mnie zabić.
Sanchez roześmiał się i spojrzał na mnie łagodniej.
– Czy tu, w misji, prowadzicie badania nad Rękopisem? - spytałem.
– Tak – potwierdził. – Uczymy innych, jak doświadczyć takiego przeżycia, jakie stało się twoim udziałem tam w górach. Chyba nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby doznać tego jeszcze raz?
W tej chwili jakiś inny ksiądz odwołał Sancheza. Przeprosił i odszedł, aby z nim porozmawiać. Usiadłem więc i zacząłem przyglądać się rosnącym w pobliżu roślinom, jak również skałom, nie starając się jednak skupiać na nich wzroku. Wokół najbliższego krzaka dostrzegłem ledwo widoczną aureolę świetlną, a wokół skał nie widziałem nic.
Po krótkiej chwili wrócił ksiądz Sanchez.
– Będę musiał teraz na jakiś czas wyjechać – usprawiedliwił się. – Mam zebranie w mieście, a przy okazji może uda mi się dowiedzieć czegoś o twoim znajomym i szansach powrotu dla ciebie.
– A czy ksiądz wróci dziś jeszcze? – upewniałem się.
– Chyba nie. Raczej dopiero jutro rano. Musiałem mieć nietęgą minę. gdyż podszedł bliżej i poklepał mnie po plecach.
– Nie bój się, tu nic ci nie grozi. Czuj się jak u siebie w domu. Możesz się rozejrzeć, porozmawiać z innymi księżmi, musisz jednak wiedzieć, że z jednymi porozumiesz się łatwiej. z innymi trudniej, zależnie od tego, na jakim poziomie przygotowania się znajdują.
Skinąłem głową, a on uśmiechnął się i poszedł w stronę zaparkowanej za kościołem starej furgonetki, której dotąd nie zauważyłem. Po kilku próbach uruchomił silnik i wyjechał na

drogę prowadzącą na grzbiet górski.
Przesiedziałem w tym miejscu kilka godzin, usiłując zebrać myśli, zastanowić się, co dzieje się z Marjorie i czy Wil zdołał uciec. Kilka razy stawał mi przed oczami obraz zabitego człowieka z grupy Jensena, ale próbowałem wymazać to z pamięci.
Około południa zauważyłem, że kilku księży ustawia na środku dziedzińca długi stół, a na nim półmiski z jedzeniem. Kiedy wszystko było gotowe, dołączyło do nich dwunastu innych. Wszyscy sami nakładali sobie na talerze, brali swoje porcje i jedli każdy oddzielnie, na ławkach. Widać było, że uśmiechają się do siebie, ale prawie nie rozmawiają. Któryś spojrzał w moim kierunku i gestem zaprosi! mnie do stołu.
Z chęcią podszedłem i nabrałem sobie na talerz kukurydzy oraz fasoli. Wszyscy księża zauważyli moją obecność, ale żaden nie odezwał się do mnie. Kiedy zrobiłem kilka uwag na temat jedzenia, odpowiedzią były uśmiechy i przyjazne gesty. Gdy zaś próbowałem nawiązać z kimś kontakt wzrokowy – napotykałem spuszczone oczy.
Usiadłem więc sam na ławce i zabrałem się do jedzenia. Warzywa były nie osolone, lecz przyprawione ziołami. Kiedy już prawie wszyscy zjedli i odkładali puste talerze na stół, z kościoła wyszedł jeszcze jeden ksiądz i pospiesznie nałożył sobie porcję. Z pełnym talerzem zaczął rozglądać się za miejscem do siedzenia i wtedy napotkał moje spojrzenie. Kiedy się uśmiechnął, poznałem, że to ten sam ksiądz, który przedtem siedział w parku i medytował. Odwzajemniłem jego uśmiech, a on podszedł i odezwał się łamaną angielszczyzną:
– Mogę siąść na ławce z tobą?
– Oczywiście, proszę bardzo – odpowiedziałem. Przysiadł się do mnie i jadł bardzo powoli, starannie
przeżuwając, a od czasu do czasu uśmiechał się nieśmiało. Był niski i krępy, o włosach czarnych jak węgiel i piwnych oczach.
– Smakuje ci? – spytał.
Na talerzu zostało mi jeszcze kilka ziaren kukurydzy.
– Owszem, dobre – odrzekłem, dojadając resztki. W tej chwili skojarzyłem sobie, że wszyscy księża z tej misji jedzą w taki sam sposób.

– Czy te warzywa uprawiacie tutaj, w misji? – spytałem. Odpowiedział nie od razu, przełknąwszy starannie.
– Tak. Jedzenie jest bardzo ważne.
– A czy medytujecie wśród roślin? Spojrzał na mnie wyraźnie zaskoczony.
– Znasz Rękopis? – zapytał.
– Tak, pierwsze cztery wtajemniczenia.
– Hodowałeś sam rośliny? – indagował dalej.
– Nie. Dopiero uczę się tego wszystkiego.
– A potrafisz zobaczyć pola energii?
– Czasem mi się to udaje.
Chwilę milczeliśmy, podczas gdy on dalej delektował się jedzeniem.
– Jedzenie to pierwsza droga pozyskania energii – rozpoczął. Ze zrozumieniem skinąłem głową.
– Ale żeby uzyskać całą energię, którą jedzenie może nam dać, trzeba je... trzeba... – zabrakło mu właściwego angielskiego słowa – smakować! – znalazł je wreszcie. – Smak to klucz. Musisz przyswajać sobie smak. Dlatego modlimy się przed jedzeniem. Nie chodzi o to, żeby okazać wdzięczność za to, że je mamy, lecz o to, aby uczynić z aktu jedzenia mistyczne przeżycie. Wtedy zawarta w pokarmie energia przejdzie do twojego ciała...
W milczeniu skinąłem głową, a on przyglądał mi się uważnie, jakby chcąc sprawdzić, czy zrozumiałem.
Z tego, co usłyszałem, wynikało, że prawdziwym celem zwyczajowych modłów dziękczynnych przy posiłku była kontemplacja jedzenia, która z kolei zwiększała przyswajanie zawartej w pożywieniu energii.
– Pobieranie pokarmu to tylko pierwsze stadium – wyjaśniał dalej. – Kiedy tym sposobem zwiększymy ilość własnej energii, zwiększa się też nasza zdolność dostrzegania energii wokół nas. Uczymy się wtedy pobierać tę energię nie tylko z jedzenia.
Znowu kiwnąłem głową.
– Wszystko wokół nas ma swoją energię. Ale istnieją różne jej rodzaje. Dlatego pewne miejsca wzbogacają naszą energię bardziej niż inne. Zależy to od tego. czy energia, którą emanują, odpowiada naszej energii.

– Czy to właśnie ksiądz przedtem robił? Podnosił poziom swojej energii?
– Tak! – odparł radośnie.
– A jak ksiądz to robi? – indagowałem.
– Trzeba się otworzyć, nawiązać kontakt duchowy, uaktywnić poczucie własnej wartości, jak wtedy kiedy się widzi pola energetyczne. Jeśli uda ci się wykonać jeszcze jeden krok w tym kierunku, doznasz nasycenia.
– Chciałbym dobrze księdza zrozumieć! Zmarszczył brwi, może zniechęcony moim brakiem podatności.
– Chodźmy tam, pokażę ci.
– Chętnie.
Poszedłem za nim przez dziedziniec i dalej do parku. Zatrzymał się i rozejrzał wokół, jakby badając teren.
– Tam! – zadecydował w końcu, wskazując miejsce na skraju gęstego lasu.
Poszliśmy ścieżką wijącą się wśród drzew i krzewów. Wybrane miejsce znajdowało się pod wielkim dębem wyrastającym z kopca kamieni, przez co jego pień wyglądał, jakby uczepiony skał. Korzenie, zanim dosięgły ziemi, wiły się między głazami. Przed drzewem w zakolach rosły kwitnące krzewy, których żółte kwiaty wydzielały dziwny, słodki zapach. Ściana lasu stanowiła dla nich zielone tło.
Ksiądz wskazał mi wolne miejsce wśród krzewów, naprzeciw poskręcanego drzewa. Sam usiadł obok mnie.
– Czy podoba ci się to drzewo?
– Tak.
– To spróbuj... no... staraj się... poczuć to...
Znów szukał w pamięci odpowiedniego słowa. Pomyślał chwilę i zapytał:
– Ksiądz Sanchez opowiadał mi o twoim przeżyciu w górach. Pamiętasz, co wtedy czułeś?
– Miałem poczucie lekkości, bezpieczeństwa i więzi.
– Więzi z czym?
– Trudno to opisać – przywołałem wspomnienia. – Czułem, jakby otaczający mnie krajobraz był częścią mojego istnienia.
– Ale jakie to było uczucie?
Zastanawiałem się, jak by to określić. W końcu znalazłem

właściwe słowo.
– Miłość! – wyrzuciłem z siebie. – Wydaje mi się, że czułem wtedy miłość do wszystkiego.
– Więc spróbuj poczuć to samo w stosunku do tego drzewa
– podsunął.
– Chwileczkę! – zaprotestowałem. – Miłość jest czymś, co rodzi się samoistnie. Nie można przymusić się, by czuć miłość.
– Nie o to chodzi, abyś przymuszał się do miłości – wyjaśnił,
– ale żebyś pozwolił miłości wstąpić w ciebie. Aby to się stało, musisz przypomnieć sobie, jakie to było uczucie, i spróbować wzbudzić je w sobie.
Wpatrzyłem się więc w drzewo i starałem się przypomnieć sobie to, co przeżyłem na grani. Zaczęła zachwycać mnie budowa i uroda drzewa. Mój zachwyt stopniowo wzrastał, aż przerodził się w uczucie miłości. Poczułem to, co jako dziecko żywiłem wobec matki, a jako młody chłopiec wobec pewnej dziewczynki, którą kochałem "szczenięcą miłością". W tej chwili nieważne stało się, że akurat patrzyłem na drzewo. Szczególne, wszechogarniające uczucie miłości zagościło gdzieś głęboko w moim wnętrzu. Po prostu kochałem wszystko!
Ksiądz bacznie przyglądał mi się z boku.
– Dobrze! – pochwalił mnie. – Pozyskujesz energię!
– Po czym ksiądz to poznaje?
– Widzę, jak powiększa się twoje biopole.
Zamknąłem oczy i spróbowałem dojść do takiej intensywności uczuć, jaką odczuwałem tam w górach, ale nie potrafiłem tego powtórzyć. Czułem to samo. ale w mniejszym nasileniu. Ta porażka podziałała na mnie frustrujące.
– Co się dzieje? – zaalarmował ksiądz. – Poziom twojej energii opadł!
– Nie wiem. Nie potrafię przeżyć tego tak samo silnie jak przedtem.
Patrzył na mnie najpierw z wyrazem rozbawienia, potem zniecierpliwienia.
– To, co przeżyłeś w górach, było darem, przełomem, pierwszym krokiem na nowej drodze. Teraz musisz nauczyć się

stopniowo, po trochu, dochodzić do tego samodzielnie. Cofnął się nieco i znów zaczął mi się przyglądać.
– Spróbuj raz jeszcze.
Zamknąłem oczy i spróbowałem znów wzbudzić w sobie te same głębokie uczucia. W końcu ogarnęła mnie ta sama emocja. Starałem się zatrzymać ją i powoli, małymi krokami, wzmagać intensywność odczuwania. Skoncentrowałem się na drzewie.
– O, tak, bardzo dobrze! – usłyszałem. – Zarówno przyjmujesz energię, jak i oddajesz ją drzewu. Spojrzałem zdziwiony.
– Jak to, oddaję ją z powrotem drzewu?
– Zawsze, kiedy podziwiasz piękno czy oryginalność jakiegokolwiek obiektu, otrzymujesz energię – wyjaśnił. – Kiedy natomiast osiągasz już taki poziom, że czujesz w sobie miłość do wszystkiego, możesz siłą woli przesłać tę energię tam, skąd ją wziąłeś.
Siedziałem obok tego drzewa przez dłuższy czas. Im bardziej koncentrowałem na nim uwagę, podziwiałem jego kształt i kolor, tym więcej czułem w sobie wszechogarniającej miłości. Było to niezwykłe przeżycie. Wyobraziłem sobie, jak wypływa ze mnie energia i wlewa się w drzewo, ale nie widziałem tego. Nie odrywając wzroku od drzewa zauważyłem, że ksiądz wstaje i zaczyna się oddalać.
– Jak to wygląda, kiedy przekazuję swoją energię drzewu?
– zapytałem jeszcze.
Kiedy opisał szczegółowo swoje wrażenia, rozpoznałem to zjawisko, którego świadkiem byłem w Viciente. kiedy Sara przekazywała swoją energię filodendronowi. Wtedy Szare udało się, ale na pewno nie była świadoma, że aby takie zjawisko zaistniało, konieczne jest odczuwanie miłości. Ona nie musiała mieć tej świadomości, ponieważ miłość była dla niej stanem naturalnym.
Ksiądz oddalał się, aż wreszcie znikł z mojego pola widzenia. Ja natomiast pozostałem tam do zmroku.

Kiedy wszedłem do swego domku, zastałem w nim dwóch

księży. Przywitali mnie życzliwym skinieniem głowy. Na kominku płonął ogień, rozpraszając wieczorny chłód, a salonik od frontu oświetlało kilka lamp oliwnych. Powietrze było przesycone zapachem zupy jarzynowej czy może ziemniaczanej. Na stole stała gliniana miska, leżało kilka łyżek i talerz z czterema kromkami chleba.

Jeden z duchownych od razu odwrócił się i wyszedł, a drugi ze spuszczonymi oczyma wskazał mi perkoczący na ogniu wielki, żelazny garnek, spod pokrywki którego sterczała rączka chochli. Upewniwszy się, że zauważyłem garnek, ksiądz zapytał:

– Czy potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Dziękuję, chyba nie.

Pożegnał mnie skinieniem głowy i wyszedł. Podniosłem pokrywkę garnka i przekonałem się, że jest w nim zupa ziemniaczana, pachnąca bardzo apetycznie. Nalałem do miski kilka pełnych chochli i usiadłem przy stole, a obok nakrycia położyłem część Rękopisu, którą otrzymałem od Sancheza. Miałem zamiar czytać, ale zupa była tak pyszna, że zająłem się tylko jedzeniem. A kiedy skończyłem, sprzątnąłem ze stołu i jak zahipnotyzowany patrzyłem w ogień, dopóki płomienie nie zaczęły blednąc, przygasać i zanikać. Wtedy pogasiłem lampy i poszedłem spać.

Następnego dnia obudziłem się o świcie, rześki i wypoczęty. Na dziedziniec opadała jeszcze poranna mgła. Położyłem kilka kostek suchego paliwa na węglach, podpaliłem i rozdmuchiwałem ogień tak długo, aż węgle się zajęły. Miałem już zamiar rozejrzeć się za czymś do jedzenia, gdy usłyszałem warkot nadjeżdżającej furgonetki Sancheza. Wybiegłem mu na spotkanie. Wyłonił się zza budynku kościoła objuczony plecakiem i kilkoma paczkami.

– Przywiozłem świeże wiadomości. – Gestem zaprosił mnie do domku.

Zaraz pojawiło się tam kilku innych księży. Nieśli gorące placuszki, chrupki kukurydziane i suszone owoce. Sanchez przywitał się z nimi, potem siadł przy mnie i czekał, aż zostaniemy sami.

– Uczestniczyłem w naradzie grupy księży z diecezji

południowej – zaczął, gdy księża wyszli. – Zebraliśmy się, aby dyskutować o Rękopisie. Ale omawialiśmy też prowokacyjne działania władz. Pierwszy raz zdarzyło się, że jakaś grupa księży jawnie zebrała się, aby wyrazić poparcie dla tego dokumentu. Ledwie zaczęliśmy dyskusję, gdy nagle do drzwi zapukał przedstawiciel władz i zażądał, aby go wpuścić.

Przerwał, nabrał sobie jedzenia na talerz i przełknął kilka kęsów, przeżuwając starannie. Potem mówił dalej.

– Ten człowiek zapewnił nas, że działania władz mają na celu wyłącznie ochronę Rękopisu przed bezprawnym wykorzystaniem go poza granicami kraju. Poinformował nas, że odbitki będące w posiadaniu obywateli peruwiańskich muszą uzyskać atest. Twierdził, że rozumie nasz niepokój, lecz wezwał do podporządkowania się temu rozporządzeniu i wydania mu będących w naszym posiadaniu egzemplarzy. Zapewniał, że zostaną nam niezwłocznie zwrócone.

– I co, wydaliście mu je?

– Rzecz jasna, nie.

Jedliśmy w milczeniu. Starałem się zgodnie z zaleceniami, przeżuwać pokarm dokładnie i rozkoszować się smakiem.

– Zapytaliśmy go o incydent w Cula – podjął ksiądz Sanchez. – Powiedział, że było to posunięcie konieczne, skierowane przeciw człowiekowi nazwiskiem Jensen, gdyż niektórzy członkowie jego ekipy byli zbrojnymi agentami obcego państwa. Ludzie Jensena próbowali podobno odszukać nie odnalezioną dotąd część Rękopisu i wykraść ją z Peru. Dlatego trzeba było ich aresztować. O tobie ani o twoich znajomych nie wspomniał.

– Uwierzyliście mu?

– Prawdę mówiąc, nie. Kiedy wyszedł, kontynuowaliśmy obrady. Ustaliliśmy, że zastosujemy bierny opór. Nadal będziemy sporządzać odbitki i dyskretnie je rozprowadzać.

– Czy hierarchia kościelna pozwala wam na to?

– Zwierzchnicy kościoła nie akceptują idei Rękopisu, ale dotychczas nie prowadzono żadnych dochodzeń przeciw tym. którzy się tym zajmują. Najbardziej niepokoi nas kardynał Sebastian, którego rezydencja mieści się niedaleko stąd. Jest on zdecydowanym przeciwnikiem Rękopisu i ma potężne wpływy.

Jeżeli skłoni episkopat do wydania jednoznacznego ostrego oświadczenia w tej sprawie, staniemy przed trudną decyzją.
– Dlaczego kardynał zwalcza Rękopis?
– Chyba ze strachu.
– Czego się obawia?
– Już od dłuższego czasu nie miałem okazji z nim rozmawiać, a dawniej też unikaliśmy raczej tego tematu. Wydaje mi się, że chodzi o rolę człowieka we wszechświecie. On uważa, że człowiekowi niepotrzebna jest wiedza o sprawach ducha, wystarczy mu wiara; prawdy zawarte w Rękopisie jego zdaniem podważają zastany układ.
– W jaki sposób?
Uśmiechnął się i odchylił głowę do tyłu.
– Prawda czyni wolnym!
Dojadając resztki placka i owoców zastanawiałem się nad jego słowami. Sanchez zjadł jeszcze trochę i odsunął krzesło.
– Zdaje się, że nieźle się czujesz – zauważył. – Rozmawiałeś tu z kimś?
– Owszem – odpowiedziałem. – Od jednego z księży, nazwiska nie dosłyszałem, nauczyłem się metody przekazywania energii. To ten ksiądz, który wczoraj rano medytował w parku, kiedy my rozmawialiśmy na dziedzińcu. Pokazał mi, jak pobierać energię i oddawać ją z powrotem.
– Ach, to ksiądz Jon! – Sanchez gestem zachęcił mnie, abym mówił dalej.
– To było wspaniałe przeżycie – ciągnąłem. – Aby się otworzyć na miłość, musiałem przypomnieć sobie uczucie, jakiego doznałem w górach. Potem siedziałem tu, przetrawiając to przez cały dzień. Nie doszedłem do takiego stanu jak wtedy na grani, ale byłem blisko.
– Przez długi czas mylnie interpretowano rolę miłości - odezwał się Sanchez z. poważnym wyrazem twarzy. – Miłość nie jest narzędziem dobra w nas ani środkiem ulepszenia świata z powodu jakiejś abstrakcyjnej odpowiedzialności moralnej, ani sposobem na wyzbycie się hedonizmu. Połączenie ze źródłem energii wywołuje najpierw uczucie podniecenia, potem zachwytu, a wreszcie miłości. Pobranie dostatecznej ilości energii dla utrzymania stanu miłości z pewnością służy światu,

ale przede wszystkim służy nam samym. Czyż nie jest to hedonizm w najczystszej postaci?
Przyznałem mu rację. Odsunął się z krzesłem o parę kroków i przyglądał mi się skupionym wzrokiem.
– I jak wygląda moje biopole? – spytałem domyślnie.
– Znacznie się powiększyło. Chyba czujesz się teraz dużo lepiej, prawda?
– Rzeczywiście – przyznałem.
– Świetnie. Tym właśnie tu się zajmujemy.
– Proszę mi o tym opowiedzieć.
– Szkolimy tu kapłanów, którzy udają się później daleko w góry i pracują wśród Indian. Każdy taki ksiądz pracuje w samotności, więc musi mieć dużo siły. Wszyscy, którzy się tu znajdują, zostali skrupulatnie wyselekcjonowani i mają jedną wspólną cechę: każdy z nich przynajmniej raz nieświadomie przeżył stan mistycznego uniesienia.
Pracowałem nad tym zagadnieniem, jeszcze zanim odnaleziono Rękopis, i doszedłem do wniosku, że kogo raz nawiedził stan mistycznego uniesienia, temu potem łatwiej powtórnie go w sobie wzbudzić i powiększyć własne zasoby energetyczne. Innym też się to udaje, ale potrzebują więcej czasu. Chyba zauważyłeś, że stan uczuciowy, który mocno utrwalił ci się w pamięci, łatwiej później odtworzyć.
– A jak wygląda biopole podczas takiego przeżycia?
– Poszerza swój zasięg i nieco zmienia kolor.
– Na jaki?
– Normalnie jest białawe, a podczas mistycznego uniesienia staje się zielonkawe lub niebieskie. Najważniejsze jednak jest to. że się rozszerza. I tak na przykład w czasie owych przeżyć na szczycie twoja energia promieniowała na cały wszechświat. Nawiązałeś łączność duchową z kosmosem, pobierałeś stamtąd energię, a ona z kolei rozprzestrzeniała się wokół. Pamiętasz, co wtedy czułeś?
– Tak. Wydawało mi się, że cały wszechświat jest moim ciałem, a ja jestem tylko jego głową, a raczej oczyma.
– I wtedy – uzupełnił ksiądz – twoje biopole rozpostarło się na cały wszechświat. Twoje ciało zjednoczyło się z wszechświatem.

– Wówczas coś dziwnego działo się z moją pamięcią - przypominałem sobie. – Czułem się świadkiem tworzenia się tego mojego wielkiego ciała, czyli wszechświata. Jakbym widział te pierwsze gwiazdy powstające z wodoru, a potem coraz bardziej złożoną materię kolejnych generacji słońc... Nie widziałem samej materii, tylko zagęszczanie się energii, dzięki czemu przekształcała się w coraz wyżej uorganizowane formy. Potem byłem świadkiem powstania życia i pojawienia się człowieka...

Urwałem. Sanchez zauważył tę nagłą zmianę nastroju.

– Co się stało? – spytał.

– Na tej formacji w mojej pamięci zatrzymała się ewolucja

– wyjaśniłem. – Na formacji ludzkiej. A przecież czuję, jakby ona trwała, ale moja świadomość nie potrafi jej objąć.

– Bo ona trwa – uśmiechnął się ksiądz – w obrębie świata ludzi. Trwa – prowadząc wszechświat ku coraz wyższym i bardziej skomplikowanym formom.

– W jaki sposób?

– O tym pomówimy później. Teraz muszę jeszcze to i owo sprawdzić. Zobaczymy się za jakąś godzinę.

Wziął sobie jabłko i wyszedł. Ja postanowiłem udać się na spacer, ale przypomniałem sobie, że w sypialni został tekst piątego wtajemniczenia i wróciłem po niego. Przypomniał mi się las, w którym spotkałem Sancheza. Mimo że byłem zmęczony i przerażony, zdążyłem zauważyć jego wyjątkowe piękno. Przeszedłem więc pieszo tę samą drogę, aż odnalazłem to miejsce i usiadłem.

Oparłem się plecami o drzewo i siedziałem kilka minut rozglądając się wokół i starając się uporządkować w pamięci ostatnie wydarzenia. Przedpołudnie było słoneczne, lecz ostry wiatr szarpał gałęzie nad moją głową. Aby się odświeżyć, kilka razy głęboko zaczerpnąłem powietrza. Korzystając z tego, że wiatr chwilowo ustał, wyciągnąłem odbitkę Rękopisu i próbowałem odszukać stronę, na której skończyłem. Zanim ją znalazłem, usłyszałem warkot samochodu.

Na wszelki wypadek padłem na ziemię za drzewem, usiłując ustalić, skąd dochodzi dźwięk. Pojazd zbliżał się od strony misji. Gdy podjechał jeszcze trochę, rozpoznałem

Sancheza i jego starą furgonetkę.
– Przypuszczałem, że możesz być tutaj – stwierdził zatrzymawszy się. – Wsiadaj. Musimy opuścić misję.
– Co się stało? – zapytałem, wskakując do szoferki. Sanchez skręcił w stronę głównej szosy.
– Jeden z moich księży powtórzył mi rozmowę, którą usłyszał w wiosce. Podobno po miasteczku kręcą się jacyś przedstawiciele władz i wypytują ludzi o mnie i o moją misję.
– Jak ksiądz myśli, o co im chodzi?
– Nie mam pojęcia. Powiedzmy, że nie jestem już tak pewien, że zostawią nas w spokoju. Myślę, że na wszelki wypadek my dwaj powinniśmy wyjechać w góry. Jeden ksiądz z naszej placówki, ksiądz Carl, mieszka w pobliżu Machu Picchu. Tam będziemy bezpieczni, dopóki lepiej nie rozeznamy sytuacji. Niezależnie od tego – dodał z uśmiechem – chciałbym, żebyś zobaczył Machu Picchu.
Nagle zaświtało mi podejrzenie, że może poszedł na jakieś układy i zobowiązał się mnie gdzieś dostarczyć? Postanowiłem być ostrożny i zachować czujność, dopóki się nie upewnię, o co tu chodzi.
– Przeczytałeś już piąte wtajemniczenie? – zagadnął ksiądz.
– Prawie.
– Pytałeś o ewolucję człowieka. Doszedłeś już do tego miejsca?
– Jeszcze nie.
Oderwał wzrok od szosy i przyjrzał mi się uważnie. Udałem, że tego nie widzę.
– Czy coś cię niepokoi? – spytał.
– Nie, wszystko w porządku. Jak daleko jeszcze do Machu Picchu?
– Około czterech godzin jazdy.
Miałem zamiar sam nie wdawać się w rozmowę, raczej pozwolić mówić Sanchezowi, licząc na to, że się odsłoni. Nie mogłem jednak opanować ciekawości, co ma do powiedzenia na temat ewolucji.
– W jaki sposób gatunek ludzki kontynuuje ewolucję? - zagadnąłem go.
– A jak ci się wydaje? – spojrzał na mnie spod oka.

– Nie wiem – zacząłem ostrożnie – ale tam. na szczycie, miałem wrażenie, jakby miało to coś wspólnego z tymi znaczącymi zbiegami zdarzeń, o których mówi pierwsze wtajemniczenie.
– Słusznie! – przytaknął. – Współgra to z treścią innych wtajemniczeń, prawda?
Milczałem, stropiony, gdyż ciągle nie mogłem objąć myślą całości tej koncepcji.
– Zwróć uwagę na kolejność – tłumaczył. – Pierwsze wtajemniczenie osiągamy, gdy zaczynamy wyciągać wnioski z tego, co nazywamy zbiegami zdarzeń. Dają nam one poznać, że za wszystkim, co robimy, kryje się jakieś drugie dno, jakiś czynnik duchowy.
Drugie wtajemniczenie osadza tę świadomość w realiach. Dzięki niemu jesteśmy zdolni dostrzec nasze nałogowe oddanie sprawom bytowym, naszą obsesyjną potrzebę zapewnienia sobie bezpiecznego miejsca we wszechświecie. Przekonujemy się też, że nasze otwarcie na to, co dzieje się wokół nas, stanowi rodzaj przebudzenia...
W trzecim wtajemniczeniu bierze swój początek nowy pogląd na istotę życia.
Określa ono świat materialny jako czystą energię, energię, która w jakiś sposób reaguje na kierunek naszych myśli.
Czwarte wtajemniczenie wydobywa na światło dzienne skłonność człowieka do ograbiania z energii innych ludzi przez kierowanie nimi, podporządkowanie sobie ich umysłów – zbrodniczy proceder, w którym uczestniczymy, gdyż tak często czujemy się słabi i wyzuci z energii. Niedobory te możemy rzecz jasna uzupełnić, jeżeli zdołamy podłączyć się do źródła energii. To, czego potrzebujemy, może nam dostarczyć wszechświat, jeżeli potrafimy się na niego otworzyć. To są odkrycia piątego wtajemniczenia.
Twoje mistyczne uniesienie ukazało ci jakby w błysku oka nieprzebrane złoża energii, z których może czerpać każdy. Ale ty w swoim przeżyciu niejako wyprzedziłeś innych ludzi, to był skok ponad ich głowami, mgnienie przyszłości. Takiego stanu nie da się utrzymać na dłuższą metę. Wystarczy, abyśmy porozmawiali z kimś, kto porusza się jeszcze w sferze

normalnej świadomości, czy też zanurzyli się w świecie pełnym konfliktów. a zostaniemy brutalnie zawróceni do poprzedniego etapu.

Wówczas musimy powoli, stopniowo dochodzić do tego, czego już doświadczyliśmy jako mgnienia przyszłości. Ale aby do tego dojść, musimy nauczyć się świadomie pobierać energię, bo to ona stymuluje zbiegi zdarzeń. One zaś z kolei pomagają nam osadzić tę nową wartość na trwałych podstawach.

Wyraz mojej twarzy nie świadczył o zrozumieniu, bo dodał:

– Pomyśl, jeżeli przyjmiemy, że coś, co zdarza się nam w życiu, nie jest przypadkowe i ma prowadzić do pozytywnych zmian, możemy lepiej się samozrealizować. Czujemy wtedy, jakbyśmy otrzymywali to, co jest nam przeznaczone. Energia, która jest siłą sprawczą zbiegów okoliczności, ma swój początek w nas. Kiedy boimy się czegoś – tracimy energię, ale raz osiągnięty poziom łatwo później odzyskać. Stajemy się nowymi ludźmi. śyjemy na wyższym poziomie energii, na poziomie energii wyżej uorganizowanej.

Rozumiesz teraz ten proces? Człowiek wypełnia się energią, wznosi się na wyższy poziom, potem znów się wypełnia i znowu się wznosi. W ten sposób człowiek kontynuuje ewolucję wszechświata ku coraz wyżej zorganizowanym formom.

Ta ewolucja niepostrzeżenie towarzyszy także historii gatunku ludzkiego. Ona jest motorem rozwoju cywilizacji, ona wyjaśnia, dlaczego człowiek żyje dłużej, jest silniejszy i tak dalej. Teraz jednak zaczynamy świadomie sterować tym procesem. O tym właśnie mówi Rękopis. Temu służy światowy ruch krzewienia świadomości duchowej.

Słuchałem uważnie, zafascynowany.

– Wystarczy więc, abyśmy nauczyli się pobierać energię, tak jak ja nauczyłem się od ojca Johna, a osiągniemy pożądane następstwo zdarzeń?

– W zasadzie tak, ale nie jest to takie proste, jak ci się wydaje. Zanim zdołamy utrwalić stały poziom pobierania energii, musimy pokonać pewną przeszkodę.
O tym traktuje szóste wtajemniczenie.

– Co to za przeszkoda?

Sanchez spojrzał na mnie przenikliwie.
– Musimy zmierzyć się z właściwym nam sposobem podporządkowywania sobie innych. Jak zapewne pamiętasz, czwarte wtajemniczenie mówiło, że ludzie cierpią na niedobór energii, więc próbują zdobyć ją od innych. Piąte natomiast ujawnia istnienie nowego źródła energii. Nie będziemy mogli jednak stale z niego korzystać, dopóki nie wyzbędziemy się naszych typowych metod osiągania przewagi nad innymi i nie zaprzestaniemy tych praktyk. Jeśli wrócimy do starych nawyków, zostaniemy odłączeni od źródła energii.
Oczywiście wyzbyć się tych złych nawyków nie jest łatwo, gdyż początkowo nie zdajemy sobie sprawy z ich istnienia. Najpierw musimy więc je sobie uświadomić. A droga do tego wiedzie przez zrozumienie, że nasz osobisty styl uzyskiwania przewagi nad innymi ukształtowaliśmy w sobie jeszcze w dzieciństwie, kiedy to posługiwaliśmy się nim, aby zwrócić na siebie uwagę – co również jest formą pozyskiwania energii – i nadal w nim tkwimy. Powielamy go wciąż od nowa. Nazywam to naszą nieświadomą grą kontroli.
Grą – ponieważ jest to wciąż ta sama scena, jak scena z filmu, do którego scenariusz napisaliśmy jeszcze w młodości. Potem w życiu codziennym raz po raz odgrywamy tę scenę, nie zdając sobie z tego sprawy. Wiemy tylko, że ciągle spotyka nas to samo. Tymczasem powtarzając ciągle od nowa tę samą scenę, sprawiamy, że cały nasz film zwany życiem – złożony z wielu innych scen, wspaniałych przygód, które zwiastują nam zbiegi zdarzeń – stoi w miejscu. My sami go zatrzymujemy, powtarzając swoją grę, której celem jest zdobycie energii.
Sanchez zwolnił tempo jazdy, gdyż musiał uważać na głębokie koleiny wyżłobione w drodze. Ja zaś odczułem zawód, bo chciałem lepiej zrozumieć, na czym polega owa gra kontroli. Coś mnie powstrzymywało przed ujawnieniem swoich uczuć Sanchezowi. Nie wiem dlaczego, czułem wobec niego jakiś dystans i wolałem się zanadto nie odsłaniać.
– Zrozumiałeś mój wywód? – zapytał.
– Nie wiem – odparłem krótko. – Zastanawiam się, czy ja także prowadzę jakąś grę kontroli.
– Ach tak? – spojrzał na mnie ciepło i zaśmiał się głośno. –

To dlatego jesteś zawsze taki powściągliwy?

Wyjaśnianie przeszłości

Droga przed nami zwężała się i ostro zakręcała wokół skalistego szczytu. Furgonetka podskakiwała na kamieniach i powoli pokonywała wiraż. Znad chmur widać było zbocza Andów.
Spojrzałem na Sancheza pochylonego w napięciu nad kierownicą. Przez większą część drogi wspinaliśmy się pod górę lub przeciskaliśmy się przez wąskie przejścia między głazami. Chciałem znów poruszyć temat gier kontroli, ale nie był to odpowiedni czas po temu. Ksiądz musiał chyba potrzebować całej swojej energii do prowadzenia wozu w tych warunkach, a ja nie miałem jasności, o co właściwie powinienem go zapytać. Przeczytałem do końca piąte wtajemniczenie, z którego dowiedziałem się tego samego, co usłyszałem już od Sancheza. Rezygnacja z narzucania swojej woli innym wydawała się dobrym pomysłem, zwłaszcza gdyby to miało przyspieszyć tempo mojej ewolucji. Niestety, nadal nie w pełni rozumiałem mechanizm gry kontroli.
– O czym myślisz? – zaczął Sanchez.
– Właśnie skończyłem lekturę piątego wtajemniczenia – odpowiedziałem ochoczo – i ciągle myślę o tych grach. Z tego. co ksiądz powiedział o mnie. wynikałoby, że moja gra ma jakiś związek z moją nieufnością?
Sanchez patrzył pilnie na szosę. W odległości jakichś trzydziestu metrów przed nami droga była zablokowana przez duży pojazd. Dalej za nim. tuż nad przepaścią, stali mężczyzna i kobieta. Patrzyli w naszą stronę.
Sanchez zahamował, spojrzał w ich kierunku i z uśmiechem ulgi stwierdził:
– Znam tę kobietę. To Julia. Wszystko w porządku. Trzeba z nimi porozmawiać.
Oboje mieli ciemną cerę i wyglądali na Peruwiańczyków. Kobieta chyba była starsza, około pięćdziesiątki, podczas gdy jej towarzysz mógł mieć najwyżej trzydziestkę. Kiedy wysiedliśmy, kobieta wyszła nam naprzeciw.

– Ach, to ksiądz Sanchez! – stwierdziła podchodząc.
– Jak się masz, Julio! – pozdrowił ją Sanchez. Przywitali się serdecznie, potem ksiądz przedstawił mnie Julii, a ona nam swojego towarzysza imieniem Rolando.
Po wzajemnej prezentacji Julia i Sanchez udali się na cypel skalny, gdzie przedtem stała z Rolandem. Rolando wpatrywał się we mnie natarczywie. Odruchowo ruszyłem za księdzem i kobietą, a Rolando poszedł za mną, wciąż patrząc tak, jakby czegoś ode mnie oczekiwał. Choć jego rysy i kolor włosów zdradzały młody wiek, cerę miał zniszczoną i spaloną słońcem. Z niezrozumiałych powodów czułem się przy nim jakoś niepewnie.
Zanim doszliśmy do krawędzi przepaści, młody człowiek kilka razy spojrzał na mnie, jakby chcąc coś powiedzieć. Ja odwracałem spojrzenie i przyspieszałem kroku. Rolando milczał. Gdy już dotarliśmy do urwiska, usiadłem na występie skalnym, żeby nie mógł przysiąść zbyt blisko. Julia i Sanchez usadowili się tymczasem kilka metrów niżej, na dużym głazie.
Rolando usiadł przy mnie najbliżej jak mógł. Z jednej strony męczyło mnie jego gapienie się na mnie, z drugiej strony byłem trochę ciekaw, o co chodzi.
W pewnym momencie podchwycił moje spojrzenie i zapytał:
– Czy pan też przyjechał tu z powodu Rękopisu? Po długim namyśle odpowiedziałem wymijająco:
– Ach, Rękopis? Coś słyszałem. Zmieszał się.
– A widział go pan? – indagował dalej nieśmiało.
– Po części – zbyłem go krótko. – A pan ma z tym coś wspólnego?
– Interesuję się tą sprawą, ale jeszcze nie widziałem żadnego egzemplarza.
Tu nastała jeszcze dłuższa chwila ciszy, po której nagle zmienił temat.
– Czy pan jest ze Stanów Zjednoczonych? – zapytał. Było to dla mnie niewygodne pytanie. Zamiast odpowiedzi zapytałem więc:
– Czy Rękopis ma coś wspólnego z ruinami Machu Picchu?
– Tyle tylko, że powstał w tym samym czasie co ta

świątynia.
W milczeniu podziwiałem fantastyczną panoramę Andów. Liczyłem, że wcześniej czy później Rolando powie, co tu robią wraz z Julią i co to ma wspólnego z Rękopisem. Spędziliśmy tak jakieś dwadzieścia minut. W końcu Rolando podniósł się i dołączył do tamtych dwojga.
Ja zaś byłem w kropce. Nie chciałem przysiadać się do Sancheza i Julii, bo czułem, że woleliby rozmawiać bez świadków. Przez około pół godziny oglądałem więc skaliste szczyty, próbując podsłuchać rozmowę, która toczyła się nade mną. Nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi. Kiedy w końcu zdecydowałem się do nich dołączyć, akurat wstali i ruszyli w kierunku samochodu Julii. Podszedłem do nich na skróty, przez skały.
– Oni muszą już jechać – oznajmił ksiądz.
– Przepraszam, że nie mieliśmy czasu porozmawiać – dodała Julia. – Mam nadzieję, że to nie ostatnie nasze spotkanie. – Z jej spojrzenia emanowało to samo ciepło, które nieraz widziałem u Sancheza. Kiedy przytaknąłem, uniosła nieco głowę i dodała:
– A właściwie to nawet mam przeczucie, że spotkamy się wkrótce.
Przy samochodzie Julia szybko się pożegnała, usiadła za kierownicą i wraz z Rolandem odjechali na północ, tam, skąd my przyjechaliśmy. Całe to wydarzenie było dla mnie zagadkowe.
Kiedy już siedzieliśmy w naszym wozie, Sanchez spytał:
– Czy Rolando opowiadał ci o Wilu?
– Nie! – odparłem zaskoczony. – A widział go?
– Tak. widzieli go w wiosce sto kilometrów stąd na wschód
– przyznał Sanchez jakby zmieszany.
– Czy Wil mówił im coś o mnie?
– Wspomniał Julii, że musieliście się rozdzielić, ale rozmawiał głównie z Rolandem. Czy powiedziałeś mu, kim jesteś?
– Nie. Nie byłem pewien, czy można mu ufać.
Sanchez spojrzał na mnie zaskoczony.
– Jak to? Przecież mówiłem ci. że dobrze byłoby z nimi

porozmawiać! Znamy się z Julią od lat. Prowadzi firmę w Limie, ale od czasu odnalezienia Rękopisu bierze udział w poszukiwaniach dziewiątego wtajemniczenia. Na pewno nie podróżowałaby z kimś. kto nie byłby godny zaufania.

Zmarnowałeś więc okazję uzyskania cennej informacji. – Brzmiało to bardzo poważnie.

– Masz tu właśnie klasyczny przykład działania gry kontroli. Przez swoją nieufność nie dopuściłeś do wystąpienia ważnej zbieżności wydarzeń.

Przybrałem postawę obronną, a on łagodził sytuację:

– Nic się nie stało. Każdy prowadzi jakąś swoją grę. Teraz przynajmniej rozumiesz, na czym polega twoja.

– Niestety, niewiele rozumiem! Co ja takiego robię?

– Twój sposób kontrolowania sytuacji i panowania nad ludźmi w celu uzyskania energii – wyjaśnił – polega na kreowaniu w sobie osobnika, który zawsze trzyma się w cieniu, a na zewnątrz prezentuje się jako istota wielce zagadkowa i tajemnicza. Wmawiasz sobie, że jesteś po prostu ostrożny. Naprawdę jednak liczysz na to, że partner da się wciągnąć w twoją grę i będzie próbował cię rozszyfrować. No a kiedy ktoś rzeczywiście już da się w to wciągnąć, pozostajesz nieprzenikniony, zmuszając innych do ciężkiego wysiłku docierania do twojego wnętrza i prawdziwych uczuć.

W ten sposób inni poświęcają ci swoją uwagę, a przy tym przekazują własną energię. Im dłużej zdołasz podtrzymać zainteresowanie otoczenia swoją osobą, tym więcej energii otrzymujesz. Cóż jednak z tego, skoro kultywując nawyk powściągliwości sprawiasz, że twoja ewolucja postępuje bardzo powoli, ponieważ stale powtarzasz tę samą scenę. Gdybyś otworzył się przed Rolandem. może film twojego życia potoczyłby się w nowym, interesującym kierunku?

Poczułem narastające przygnębienie. To prawda. Oto jeszcze jeden przykład potwierdzający opinię Wila. gdy niechętnie udzielałem informacji Reneau. Rzeczywiście, zawsze próbowałem ukrywać swoje prawdziwe myśli.

Wyjrzałem przez szybę i stwierdziłem, że szosa pnie się stromo w górę. Sanchez skupił się już tylko na omijaniu wybojów. Dopiero kiedy nawierzchnia stała się równiejsza,

spojrzał w moją stronę i kontynuował swój wykład.
– Pierwszym krokiem w procesie wyzbywania się niepożądanych nawyków jest pełne uświadomienie sobie własnej gry kontroli. Musimy wejrzeć głęboko w siebie i obnażyć własną metodę manipulowania innymi w celu uzyskania energii. To właśnie przydarzyło się tobie.
– A jaki jest następny krok?
– Musimy cofnąć się daleko w przeszłość, do domu rodzinnego, gdzie rodziły się nasze nawyki. Najłatwiej rozpoznać je, sięgając do ich korzeni. I tak, nie zapominajmy, że członkowie naszej rodziny prowadzili własne gry, próbując podebrać nam. dzieciom, trochę energii. Dlatego też każdy z nas musiał przede wszystkim wypracować sobie własną grę kontroli, własną strategię odzyskiwania energii. Rozwijaliśmy zawsze nasze gry w zależności od stosunków między poszczególnymi członkami naszych rodzin. Gdy raz uda nam się rozpoznać przepływ energii w naszej rodzinie, będziemy mogli przejść do porządku dziennego nad strategiami kontroli i wówczas zobaczymy, co się w niej naprawdę działo.
– A co się mogło dziać?
– Każdy musi od nowa zinterpretować swoje doświadczenia rodzinne z duchowego, ewolucyjnego punktu widzenia, a wtedy odkryje, kim naprawdę jest. Kiedy to się stanie, gra kontroli okaże się zbędna i nasze prawdziwe życie popłynie właściwym nurtem.
– Od czego mam więc zacząć?
– Od zrozumienia, jak tworzyła się twoja gra. Opowiedz mi o ojcu.
– To bardzo porządny człowiek, odpowiedzialny i z poczuciem humoru, ale... – zawahałem się, nie chcąc wyjść na niewdzięcznika.
– Ale co?
– Ciągle mnie krytykował. Nigdy nie mogłem go zadowolić.
– W jaki sposób cię krytykował?
Moja wyobraźnia przywołała obraz ojca – silnego młodego mężczyzny.
– Zadawał mi mnóstwo pytań i w każdej mojej odpowiedz. ! znajdował jakiś błąd.

– I co wtedy działo się z twoją energią?
– Czułem się wypompowany, więc starałem się jak najmniej mówić mu o sobie.
– Czyli stawałeś się skryty i niedostępny. Nauczyłeś się takiego sposobu mówienia, który przyciągał uwagę ojca, ale nie
dawał mu żadnego punktu zaczepienia. On grał rolę śledczego, a ty wymykałeś mu się, otaczając się murem nieufności.
– Jeśli o mnie chodzi, to prawda. Ale na czym w tym
wypadku miałaby polegać rola śledczego?
– To też jest rodzaj gry. Ludzie, którzy obierają sobie taką metodę pozyskiwania energii, stosując grę pytań wdzierają się w intymny świat drugiego człowieka po to, by wykryć w nim coś niewłaściwego, a kiedy im się to uda, poddają krytyce te niewłaściwości. Jeśli ta strategia się powiedzie, krytykowana osoba zostaje wciągnięta w grę. Sama nie wiedząc kiedy utożsamia się z krytykującym, z uwagą obserwuje jego poczynania i stara się myśleć tak, aby nie dopuścić się niczego, co by zasługiwało na krytyczną uwagę śledczego. W wyniku tego uzależnienia psychicznego przekazuje śledczemu potrzebną mu energię.
Wyobraź sobie siebie w takiej roli. Gdybyś został wciągnięty w tę grę, czy nie starałbyś się postępować w taki sposób, aby krytykujący nie miał się do czego przyczepić? Porzuciłbyś własny sposób myślenia i zacząłbyś oceniać siebie jego kategoriami, wyzbywając się w ten sposób na jego rzecz swojej energii.
W tym momencie przypomniałem sobie, że właśnie to czułem w stosunku do Jensena.
– To znaczy, że mój ojciec był śledczym.
– Na to wygląda.
Przez chwilę pogrążyłem się w myślach o grze mojej matki. Jaką rolę spełniała ona?
Kiedy Sanchez zagadnął mnie, o czym myślę, odpowiedziałem:
– Zastanawiam się. jaką grę kontroli prowadziła moja matka. Jakie w ogóle mogą być ich rodzaje?
– Opowiem ci, co mówi na ten temat Rękopis. Energię można zawłaszczać czynnie – zmuszając ludzi, aby poświęcali

nam uwagę – lub biernie – odwołując się do ludzkiego współczucia lub ciekawości i w ten sposób przyciągając ich uwagę. I tak na przykład jeśli ktoś ci grozi fizycznie, słownie lub psychicznie, to choćby ze strachu musisz zwrócić na niego uwagę i tym sposobem oddać mu część swojej energii. Osobnik, który stosuje wobec ciebie przemoc, może cię wciągnąć do najostrzejszej formy gry, którą szóste wtajemniczenie określa jako grę terrorysty.

Możemy też wyobrazić sobie kogoś, kto opowiada ci, jakie miał straszne przejścia, sugerując, że to się stało przez ciebie, a jeśli odmówisz pomocy, stanie mu się coś jeszcze gorszego.

Taki człowiek próbuje podporządkować cię sobie w sposób najbardziej bierny, który Rękopis określa jako grę szantażysty uczuciowego. Czy nie miałeś nigdy do czynienia z osobą, która potrafiła przyprawić cię o poczucie winy, chociaż nie było ku temu żadnych powodów?

– Owszem, zdarzało mi się.

– Wtedy właśnie brałeś udział w grze szantażysty uczuciowego. Wszystko, co tacy ludzie mówią, i wszystko, co robią, spycha cię na pozycję obrony przed zarzutem, że nie zrobiłeś dla nich tego, co powinieneś. Nic dziwnego, że samo towarzystwo takiej osoby wywołuje u nas poczucie winy.

Przyznałem mu rację.

– Grę każdego człowieka można ocenić w zależności od tego, jakie miejsce zajmuje między agresją a biernością. Jeśli ktoś artykułuje swoją agresję stosunkowo łagodnie, stara się przejąć twoją energię wyszukując w tobie wady i burząc twój świat – jak twój ojciec – wówczas mamy do czynienia ze śledczym. Postawą trochę mniej bierną niż szantaż uczuciowy jest twoja nieufność, którą można by nazwać grą niedowiarka. Tak więc możemy usystematyzować różne rodzaje gier: od gry terrorysty, przez śledczego, niedowiarka, aż do szantażysty uczuciowego. Co ty na to?

– Myślę, że to ma sens. To znaczy, że każdy z nas podpada pod którąś z tych kategorii?

– Właśnie. Niektórzy ludzie w różnych okolicznościach posługują się różnymi systemami, ale większość ma jedną właściwą sobie grę kontroli, którą stale powtarza, tę. która

wykazała największą skuteczność w układach rodzinnych. Nagle olśniło mnie. że przecież moja matka postępowała
wobec mnie tak samo jak ojciec.
– Już wiem! – zawołałem. – Moja matka! Ona też była śledczym!
– A więc otrzymałeś podwójną dawkę. Nic dziwnego, że stałeś się aż takim niedowiarkiem. Dobrze chociaż, że nie straszyli cię. Dobrze, że nie musiałeś obawiać się o swoje bezpieczeństwo.
– A co by się stało, gdyby tak było?
– Wtedy zostałbyś uwikłany w grę szantażysty uczuciowego. Wiesz, jak to przebiega? Gdyby ktoś w dzieciństwie pozbawiał cię energii grożąc przemocą fizyczną, postawa nieufności już by nie wystarczyła. Grając nieśmiałka i niedowiarka nie odzyskałbyś energii, bo twoich partnerów nie obchodziłoby, co się dzieje w twoim wnętrzu. Posuwaliby się coraz dalej. Byłbyś więc zmuszony przyjąć postawę jeszcze bardziej bierną, spróbować podejścia szantażysty uczuciowego, starać się wzbudzić litość i wyrzuty sumienia z powodu krzywdy, jaką ci wyrządzają.
A gdyby to także nie skutkowało, to – będąc dzieckiem - musiałbyś znosić takie traktowanie, dopóki nie dorósłbyś na tyle, aby móc odpowiedzieć na przemoc, odpłacić agresją za agresję. – Przerwał na chwilę. – Jak ta dziewczyna w peruwiańskiej rodzinie, o której mi opowiadałeś.
Człowiek zrobi wszystko, co będzie konieczne, aby zwrócić na siebie uwagę swojej rodziny, a tym samym pozyskać od niej energię. Metoda, która wtedy okaże się skuteczna, stanie się dominującym stylem postępowania danej osoby w dążeniu do zdobycia energii od innych, grą, którą będzie stale powtarzać.
– Rozumiem, jak rodzi się terrorysta. Ale jak człowiek staje się śledczym?
– Spróbuj wyobrazić sobie, jak zachowywałbyś się, będąc dzieckiem, gdyby członkowie twojej rodziny byli albo wciąż nieobecni, albo nie zwracali na ciebie najmniejszej uwagi, pochłonięci na przykład karierą zawodową.
– Nie mam pojęcia.
– Skrytość i nieufność nie zdałyby się na nic, po prostu by

ich nie zauważyli. Czy nie stałbyś się wtedy wścibski, chcąc wywęszyć coś niewłaściwego w postępowaniu tych zamkniętych przed tobą ludzi, aby przyciągnąć ich uwagę i pozyskać energię? Tak rodzi się przyszły śledczy.
Zaczynałem rozumieć istotę tego wtajemniczenia.
– Czyli ludzie nieufni, niedowiarki, wychowują śledczych?
– Otóż to!
– A śledczy produkują niedowiarków! Terroryści – szantażystów uczuciowych lub – jeśli to nie daje odpowiednich efektów – takich samych terrorystów!
– Właśnie. Tym sposobem gry kontroli reprodukują się w nieskończoność. Nie zapominaj jednak, że zazwyczaj każdy zauważa te gry u innych, o sobie zaś myśli, że jego to nie dotyczy. Aby ruszyć naprzód, musimy wyzbyć się tego złudzenia. Prawie wszyscy, przynajmniej czasami, bierzemy udział w takiej grze. Nieraz trzeba cofnąć się daleko w przeszłość, aby stwierdzić, jakie to ma podłoże.
Przez chwilę zastanawiałem się nad tym wszystkim w milczeniu, po czym zwróciłem się do Sancheza:
– A kiedy już przejrzymy naszą grę, to co potem? Sanchez zwolnił tempo jazdy, aby móc mi spojrzeć w oczy.
– Wtedy jesteśmy naprawdę wolni i możemy stać się czymś więcej niż nieświadomym czynnikiem własnej gry. Jak już mówiłem, możemy spróbować nadać głębsze znaczenie naszemu życiu, poszukać duchowej przyczyny, dla której przyszliśmy na świat w tej, a nie innej rodzinie. Możemy spróbować wyjaśnić sobie, kim naprawdę jesteśmy.

– Dotarliśmy prawie na miejsce – oświadczył Sanchez, kiedy wjechaliśmy między dwa szczyty górskie. Minęliśmy wyniosłość terenu po prawej stronie i zauważyłem przed nami niewielki domek przyklejony tylną ścianą do następnego szczytu.
– Nie ma samochodu – zauważył znów Sanchez. Zaparkowaliśmy. Sanchez wszedł do domku, a ja zostałem
na zewnątrz. Zrobiłem kilka głębokich wdechów. Powietrze było tu chłodne i rozrzedzone, a niebo aż szare od chmur.

Chyba zbierało się na deszcz.
Sanchez wyszedł z domku.
– Nie ma nikogo – stwierdził. – Gospodarz pewnie jest w ruinach.
– Jak się tam dostaniemy? – spytałem. Zauważyłem, że ksiądz jest bardzo zmęczony.
– To będzie jeszcze niecały kilometr – wyjaśnił dając mi kluczyki od wozu. – Jedź dalej tą drogą, aż miniesz następne pasmo górskie. Wtedy zobaczysz je w dole. Jedź sam. Ja chciałbym tu zostać i trochę pomedytować.
– Chętnie pojadę. – Okrążyłem samochód i wsiadłem. Ruszyłem tą samą drogą, minąłem niewielką dolinę, po
czym trakt wiódł znów pod górę. Spodziewałem się zobaczyć piękny widok i nie zawiodłem się. Zaraz za grzbietem górskim ujrzałem imponujące ruiny Machu Picchu, kompleksu świątynnego zbudowanego z precyzyjnie wyciętych wielotonowych bloków skalnych, wydźwigniętych i osadzonych jeden na drugim wysoko w górze. Mimo pochmurnej pogody piękno tego miejsca było urzekające. Zatrzymałem samochód i przez kilkanaście minut wchłaniałem w siebie energię. Wśród ruin przechadzały się grupki osób. W stronę zaparkowanego w pobliżu samochodu zmierzał mężczyzna w koloratce. Ponieważ był daleko, a zamiast sutanny miał na sobie skórzaną kurtkę, nie byłem pewien, czy to ksiądz Carl. Ponownie zapaliłem silnik i podjechałem bliżej. Kiedy nieznajomy usłyszał warkot, spojrzał w tę stronę i uśmiechnął się, najwyraźniej rozpoznając samochód Sancheza. A gdy dostrzegł, kto jest wewnątrz, podszedł zaintrygowany. Był to mężczyzna około trzydziestki, niski i przysadzisty, o pełnych rysach. ciemnobrązowych włosach i głęboko osadzonych niebieskich oczach. Wyszedłem z wozu i przedstawiłem się:
– Przyjechałem tu z księdzem Sanchezem. On został tam w domku.
– Jestem ksiądz Carl. – Wyciągnął rękę. Rzuciłem okiem na ruiny za jego plecami. Z bliska robiły jeszcze większe wrażenie.
– Jesteś tu pierwszy raz? – Zauważył moje pełne podziwu

spojrzenie.
– Tak. Wiele słyszałem o tym miejscu, ale nie wyobrażałem sobie, że to tak wygląda.
– Tu jest jedno z największych skupisk energii na świecie – stwierdził.
Przyjrzałem mu się uważnie. Najwyraźniej miał na myśli tę energię, o której mówił Rękopis. Skinąłem więc potakująco głową i powiedziałem:
– Jestem właśnie na etapie prób świadomego budowania zasobów energii i pracy nad swoją grą kontroli. – Miałem poczucie, że zabrzmiało to nieco sztucznie, ale jakoś łatwo przyszła mi ta szczerość.
– Nie wyglądasz na zbytniego niedowiarka – zauważył ksiądz Carl.
To mnie zaskoczyło.
– Skąd ksiądz wie, jaka jest moja gra?
– Mam szczególny instynkt. Dlatego właśnie tu jestem.
– Ksiądz pomaga innym rozszyfrować ich systemy kontroli?
– Tak. I odnaleźć ich prawdziwą osobowość. – W jego oczach dostrzegłem szczerość i otwartość. Mówił wprost to, co myślał, nie krępując się odsłonić przy obcych.
Ponieważ nie podtrzymałem tematu, spytał:
– Czy rozumiesz pięć pierwszych wtajemniczeń?
– Przeczytałem je prawie do końca i dyskutowałem o nich z kilkoma osobami... – Zorientowałem się, że wyrażam się niejasno. Dodałem więc: – Myślę, że tych pierwszych pięć zrozumiałem. Nie jestem jeszcze pewien co do szóstego.
Z zadowoleniem skinął głową.
– Większość ludzi, z którymi rozmawiałem, nie słyszała nawet o Rękopisie. Przybyli tu i wzbogacili się w energię. Samo to skłoniło ich do przemyślenia swojego życia.
– Jak ksiądz ich poznał?
– Chyba sami mnie szukali.
– Wspomniał ksiądz, że pomagał im odnaleźć swoją prawdziwą tożsamość. Jak ksiądz to robił? Wziął głęboki oddech i odpowiedział:
– Jest na to tylko jeden sposób. Każdy z nas musi się cofnąć do swoich przeżyć w rodzinie, do czasów i miejsc dzieciństwa,

i dokonać przeglądu wydarzeń. Kiedy rozszyfrujemy naszą grę kontroli, będziemy mogli skupić się na głębszej prawdzie swojej rodziny i odnaleźć także jej dobre strony, leżące u podstaw konfliktu na tle energii. Odkrycie tej prawdy umocni nas, pokaże nam, kim naprawdę jesteśmy, jaką drogą kroczymy i jaki jest sens tego. co robimy.
– To mówił już ksiądz Sanchez. Chciałbym dowiedzieć się coś bliższego, jak odkryć tę prawdę.
Ksiądz Carl zasunął zamek kurtki, bo zaczynało się już robić chłodno.
– Myślę, że będziemy mogli porozmawiać o tym później - obiecał. – Teraz pójdę przywitać się z księdzem Sanchezem. Widząc, że patrzę w stronę ruin, dodał: – Zwiedzaj to miejsce, jak długo zechcesz. Spotkamy się u mnie w domu.
Przez najbliższe półtorej godziny spacerowałem po słynnym zabytkowym obiekcie. W niektórych miejscach, gdzie czułem się wyraźnie lepiej, zatrzymywałem się na dłużej. Zafascynowała mnie cywilizacja, która wydała z siebie taki zespół świątynny. W jaki sposób wzniesiono te głazy tak wysoko i spiętrzono je jeden na drugim? Wydawało się to niemożliwością.
Kiedy moje zainteresowanie dla ruin nieco osłabło, wróciłem myślami do własnej sytuacji. Niby okoliczności zewnętrzne nie zmieniły się, ale jakoś mniej się teraz bałem. Pewność siebie Sancheza działała na mnie uspokajająco. Byłem głupi, że początkowo mu nie ufałem. A księdza Carla polubiłem od razu.
Gdy zaczęło zmierzchać, wsiadłem do samochodu i zawróciłem w stronę domu księdza Carla. Kiedy tam podjechałem, obaj księża stali w kuchni, szykując kolację, i słychać było ich śmiech. Ksiądz Carl pozdrowił mnie i wskazał mi krzesło. Usiadłem ciężko przy kominku i rozglądałem się wokoło.
Pokój był duży, wyłożony szerokimi, bejcowanymi deskami. Dalej dostrzegłem dwa inne pomieszczenia, prawdopodobnie sypialnie, połączone wąskim korytarzem. Dom oświetlały słabe żarówki. Wydawało mi się, że słyszę słaby szum prądnicy.

Kiedy już wszystko było gotowe, zaproszono mnie do stołu zbitego z surowych desek. Sanchez odmówił krótką modlitwę i zaczęliśmy jeść. Księża kontynuowali swoją rozmowę. Po skończonym posiłku usiedliśmy wszyscy trzej przy kominku.
– Ksiądz Carl widział się z Wiłem – zagaił Sanchez.
– Kiedy? – zapytałem podekscytowany.
– Wil przejeżdżał tędy kilka dni temu – wyjaśnił ksiądz Carl. – Znamy się od roku. Przywiózł mi pewne informacje. Powiedział, że wie już, kto kryje się za nagonką władz na Rękopis.
– Kto taki? – spytałem.
– Kardynał Sebastian – wtrącił Sanchez.
– I co on robi w tej sprawie?
– Najwidoczniej użył swoich wpływów, aby skłonić władze do nasilenia akcji wojskowej w poszukiwaniu Rękopisu. Zawsze wolał działać po cichu, za pośrednictwem czynników rządowych, niż doprowadzić do rozłamu w łonie Kościoła. Teraz zaczął działać energiczniej i niestety skuteczniej.
– W jakim sensie skuteczniej?
– Ano w takim, że oprócz kilku księży z diecezji północnej i kilku osób w rodzaju Julii czy Wila, chyba nikt nie ma już żadnych egzemplarzy Rękopisu.
– A naukowcy z Viciente? – dopytywałem. Po chwili milczenia ksiądz Carl zdecydował się ujawnić to, co wiedział:
– Wil powiedział, że rząd zamknął ten ośrodek. Wszyscy pracownicy zostali aresztowani, a ich materiały badawcze skonfiskowane.
– Co na to środowisko naukowe?
– Cóż może zrobić? – odezwał się z goryczą Sanchez. - Zresztą większość naukowców nie akceptowała badań prowadzonych w ośrodku. Przedstawiciele władz propagują tezę, że pracujący tam ludzie łamali prawo.
– Trudno uwierzyć, że rząd mógł się aż tak daleko posunąć.
– Widać mógł! – podsumował ksiądz Carl. – śeby się upewnić, zadzwoniłem w kilka miejsc i wszędzie usłyszałem to samo. Władze nasilają swoją ofensywę, chociaż starają się robić to bez rozgłosu.
– Co może się teraz stać? – zwróciłem się do obu księży.

Ksiądz Carl wzruszył ramionami, a ksiądz Sanchez odpowiedział:
– Nie mam pojęcia. To może zależeć od powodzenia wyprawy Wila.
– Dlaczego?
– Wil jest chyba bliski odnalezienia brakującej części Rękopisu, dziewiątego wtajemniczenia. Jeżeli mu się uda, wywoła to wystarczające zainteresowanie, aby zorganizować międzynarodową akcję w tej sprawie.
– Czy mówił, dokąd się wybiera? – spytałem księdza Carla.
– Nie był jeszcze zdecydowany, ale twierdził, że intuicja każe mu udać się na północ, ku granicy Gwatemali.
– Kieruje się tylko intuicją?
– Tak, zrozumiesz to, gdy już będziesz miał pewność, kim naprawdę jesteś i osiągniesz siódmy stopień wtajemniczenia. Spojrzałem na księży, zdumiony ich pogodą ducha.
– Jest dla mnie niepojęte – zwróciłem się do nich – jak w tej sytuacji mogą księża zachować taki spokój. A jeśli oni wedrą się tutaj i aresztują nas wszystkich?
Spojrzeli na mnie wyrozumiale, a ksiądz Sanchez przemówił:
– Spokój nie oznacza beztroski. Nasze opanowanie jest miarą naszej łączności ze źródłem energii. Podtrzymujemy tę łączność, bo to najlepsze, co możemy w tej chwili zrobić. Chyba to rozumiesz?
– Owszem. Wynika z tego jednak, że ja mam trudności z utrzymaniem tej łączności.
Moja uwaga wywołała uśmiech na twarzach obu księży.
– Przyjdzie ci to łatwiej – zapewnił ksiądz Carl – kiedy wyjaśnisz sobie, kim naprawdę jesteś.
Tymczasem ksiądz Sanchez wstał i oznajmił, że zabiera się do zmywania. Zwróciłem się więc do księdza Carla.
– W porządku. Ale jak mam się do tego zabrać?
– Ksiądz Sanchez mówił mi, że rozszyfrowałeś już gry kontroli twoich rodziców.
– Tak. Oboje byli śledczymi, wskutek czego ja stałem się niedowiarkiem.
– Dobrze. Ale teraz musisz sięgnąć wzrokiem dalej, poza

walkę o energię w twojej rodzinie, i szukać rzeczywistych powodów twojej w niej obecności.
Spojrzałem na niego zdezorientowany.
– Aby odnaleźć swoją prawdziwą duchową tożsamość, musisz spojrzeć na całe swoje życie jak na jedną długą opowieść i szukać jej głębszego znaczenia. Najpierw musisz postawić sobie pytanie: Dlaczego urodziłem się w tej właśnie rodzinie? Jaki może być tego cel?
– Nie mam pojęcia – wyznałem szczerze.
– Wiemy, że twój ojciec był śledczym. Ale kim był poza tym?
– To znaczy, jakie miał poglądy?
– Tak.
Pomyślałem przez chwilę i przypomniałem sobie:
– Mój ojciec jest szczerze przekonany, że należy cieszyć się życiem i brać z niego jak najwięcej. Jak to się mówi – żyć pełnią życia.
– Czy mu się to udawało?
– Do pewnego stopnia tak. ale nie wiedzieć czemu wtedy, kiedy był bliski, żeby naprawdę cieszyć się życiem, akurat przytrafiała mu się jakaś pechowa seria.
Ksiądz Carl przymknął oczy i siedział zamyślony.
– A więc uważał, że życie służy radości i przyjemności, ale nie w pełni osiągał ten cel?
– Właśnie.
– Czy myślałeś kiedyś o tym. dlaczego tak było?
– Raczej nie. Wydawało mi się, że ma po prostu pecha.
– Może nie znalazł właściwej drogi do tego celu?
– Zapewne.
– A matka?
– Matka nie żyje.
– A mógłbyś opisać nam, jak wyglądało jej życie?
– Jej całym życiem był Kościół. śyła zgodnie z zasadami chrześcijaństwa.
– To znaczy jak?
– Wierzyła, że należy udzielać się w życiu społecznym i przestrzegać przykazań boskich.
– Rzeczywiście ich przestrzegała?

– Co do joty. Przynajmniej tak jak naucza Kościół.
– A czy potrafiła skłonić twego ojca, aby żył w ten sam sposób?
Roześmiałem się.
– W najmniejszym stopniu. Oczywiście matka pragnęła, by uczęszczał co niedziela do kościoła i udzielał się w życiu parafii, ale jak mówiłem, ojciec był niezależnym duchem.
– I do czego to doprowadziło ciebie?
– Nie zastanawiałem się nad tym.
– Na pewno każde z nich żądało od ciebie posłuszeństwa. Może każde indagowało cię o wszystko, aby się upewnić, czy nie opowiadasz się po stronie wartości drugiego? I każde z nich chciało, żebyś uznał jego poglądy za najlepsze?
– Tak właśnie było.
– A ty jak na to reagowałeś?
– Chyba starałem się nie zajmować określonego stanowiska.
– A więc każde z nich obserwowało cię bacznie, czy przejmujesz jego poglądy, a ponieważ nie byłeś w stanie zadowolić ich obojga, zrobiłeś się skryty.
– Coś w tym rodzaju.
– A co się stało z twoją matką? – zapytał nagle. – Cierpiała na chorobę Parkinsona, długo chorowała, aż w końcu zmarła.
– Czy pozostała wierna swoim przekonaniom?
– Do samej śmierci.
– A więc jaki pogląd na życie zostawiła ci w spadku?
– Słucham?
– Szukasz sensu, jaki jej życie miało dla ciebie, a twoje dla niej. Dlaczego właśnie ona cię urodziła, czego miało cię to nauczyć? Każdy człowiek, czy sobie zdaje z tego sprawę, czy nie, demonstruje na własnym przykładzie, jak według niego życie powinno wyglądać. Musisz spróbować odnaleźć to, czego nauczyłeś się od swojej matki, a zarazem to, co w jej życiu mogłoby być lepsze. Ten właśnie obszar życia twojej matki, to, co pragnąłbyś w niej zmienić, stał się częścią twojego dziedzictwa.
– Dlaczego tylko częścią?
– Bo drugą częścią jest to, co pragnąłbyś udoskonalić w życiu twego ojca.

Nie czułem się zbyt pewnie na gruncie tych rozważań. Ksiądz położył mi rękę na ramieniu.
– Nie jesteśmy tylko fizycznym, lecz i duchowym tworem naszych rodziców. To, że zostałeś poczęty przez tych dwoje ludzi, wywarło nieodwracalny wpływ na to, kim jesteś. Aby odnaleźć swoją prawdziwą tożsamość, musisz założyć, że jest ona czymś pośrednim między ich osobowościami. Zostałeś zrodzony przez tych konkretnych ludzi, aby nadać szerszy wymiar wartościom, które oni oboje wyznawali. Dlatego twoja droga życiowa musi zmierzać do prawdy, która jest udoskonaloną syntezą tych wartości.
Skinąłem głową.
– Jak określiłbyś to, czego nauczyli cię rodzice?
– Trudno byłoby to określić.
– Ale jak ci się wydaje?
– Mój ojciec uważał, że trzeba brać z życia jak najwięcej i cieszyć się z tego, kim się jest. Matka stawiała na poświęcenie. służbę innym i zaparcie się siebie. Uważała, że tak nakazuje Pismo Święte.
– A ty co o tym myślisz?
– Naprawdę nie wiem.
– Który światopogląd uznałbyś za własny: ojca czy matki?
– Prawdę mówiąc żadnego z nich. śycie nie jest tak proste.
– Nie wyrażasz się zbyt precyzyjnie – zaśmiał się ksiądz.
– Chyba po prostu nie wiem.
– Ale gdybyś musiał coś wybrać? Zastanowiłem się nad szczerą odpowiedzią.
– Oba są tyleż słuszne co i niesłuszne.
– Jak to? – Mojemu rozmówcy rozbłysły oczy.
– Trudno mi to sprecyzować, ale wydaje mi się, że właściwy światopogląd musi uwzględniać oba te aspekty.
– Musisz zatem zadać sobie pytanie: jak to zrobić? Jak pogodzić te dwie postawy? Matka przekazała ci wiedzę o duchowej stronie życia. Od ojca dowiedziałeś się, że życie to także zadowolenie, radość, przygoda.
– Czyli moje życie – przerwałem mu – powinno łączyć w sobie oba te podejścia?
– Tak, ale z przewagą pierwiastka duchowego. Całe twoje

życie koncentruje się wokół szukania duchowości wzbogacającej. Tego problemu nie potrafili rozwiązać twoi rodzice i przekazali go tobie. Jest to twoje wyzwanie ewolucyjne, cel twoich życiowych poszukiwań.
Zamyśliłem się nad słowami księdza Carla. Gasnący płomień działał na mnie uspokajająco. Dopiero teraz poczułem zmęczenie.
Ksiądz Carl wyprostował się i zauważył:
– Chyba niewiele energii ci już zostało, ale chciałbym ci jeszcze coś powiedzieć. Możesz oczywiście położyć się spać i nie poświęcić ani jednej myśli temu, o czym mówiliśmy. Możesz wrócić do swojej starej gry, lub też przebudzić się jutro uzbrojony w nową ideę: kim jestem. Wówczas będziesz mógł wykonać następny krok w procesie uważnego przeglądu wszystkiego, co zdarzyło się w twoim życiu od chwili narodzin do dziś. Jeśli spojrzysz na swoje życie jako na ciąg zdarzeń, dostrzeżesz, jak rozwiązywałeś przez cały ten czas swój życiowy problem. Zrozumiesz, jak to się stało, że trafiłeś tu, do Peru. i co powinieneś robić dalej.
Słuchałem z aprobatą, przyglądając się księdzu. W jego spojrzeniu był wyraz ciepła i troskliwości, który często zauważałem u Wila i Sancheza.
Ksiądz Carl życzył mi dobrej nocy i udał się do swojej sypialni. Rozłożyłem na podłodze śpiwór i szybko zapadłem w sen.

Obudziłem się z myślą o Wilu. Miałem zamiar zapytać naszego gospodarza, co jeszcze wie o jego dalszych planach. Gdy tak leżałem w śpiworze i myślałem o tym, ksiądz Carl wsunął się cicho do pokoju i zaczął rozpalać ogień. Kiedy usłyszał, że rozpinam śpiwór, odwrócił się.
– Dzień dobry, jak się spało? – przywitał mnie.
– Dziękuję, bardzo dobrze – odpowiedziałem wstając. Ksiądz położył na węglach kostki suchego paliwa, a na nich polana.
– Czy Wil mówił, co ma zamiar robić dalej? – spytałem.
– Powiedział, że jedzie do swojego znajomego, u którego

ma czekać na jakieś informacje. Widocznie spodziewa się dowiedzieć czegoś o dziewiątym wtajemniczeniu.
– Co jeszcze mówił?
– Wil uważa, że kardynał Sebastian próbuje sam odnaleźć dziewiąte wtajemniczenie i chyba jest już bliski celu. Zdaniem Wila ten, kto będzie miał w ręku ostatnie wtajemniczenie, zadecyduje, czy Rękopis kiedykolwiek zostanie udostępniony szerszym kręgom.
– Dlaczego?
– Trudno powiedzieć. Wil jako jeden z pierwszych zebrał i przestudiował najwięcej tekstów. Rozumie je lepiej niż ktokolwiek inny. Prawdopodobnie sądzi, że ostatnie wtajemniczenie ułatwi zrozumienie i przyswojenie sobie poprzednich.
– A czy ksiądz się z nim zgadza?
– Nie mogę wypowiadać się w tej sprawie. On wie znacznie więcej. Moja wiedza ogranicza się do problemów, do których jestem powołany.
– Jakie to problemy?
– Jak już mówiłem, moim powołaniem jest pomagać ludziom w odnalezieniu ich prawdziwej tożsamości. Rękopis umocnił mnie w tym przekonaniu. Moją specjalnością jest szóste wtajemniczenie. Pomagać ludziom w przyswojeniu sobie jego przesłania – oto jest moje zadanie. Jestem skuteczny, gdyż sam przez to przeszedłem.
– Jaka była księdza gra kontroli? Spojrzał na mnie z wyrazem rozbawienia.
– Byłem śledczym.
– To znaczy, że ksiądz usiłował podporządkowywać sobie ludzi wyszukując słabości w ich życiu?
– Tak. Mój ojciec szantażował wszystkich uczuciowo, natomiast matka była skryta i zamknięta w sobie. Oboje zaniedbywali mnie, toteż jedynym sposobem, aby ściągnąć na siebie ich uwagę, a co za tym idzie, energię, było wtrącanie się do wszystkiego, co robili, i wytykanie im ich słabości.
– A kiedy ksiądz rozpracował tę grę?
– Jakieś półtora roku temu, kiedy spotkałem księdza Sancheza i zacząłem studiować Rękopis. Wówczas ujrzałem

swoich rodziców w nowym świetle i zrozumiałem prawdziwy charakter doświadczeń mojego dzieciństwa i postawę, jaką one we mnie zaszczepiły. Mój ojciec był nastawiony na osiągnięcia. Doskonale zorganizowany, skrupulatnie planował swój czas i sam przed sobą rozliczał się ze swoich dokonań. Z kolei matka miała wysoko rozwiniętą intuicję i bogate życie wewnętrzne. Wierzyła w to, że każdy z nas otrzymał jakieś posłannictwo duchowe i tym powinien kierować się w życiu.
– A co o tym myślał ojciec księdza?
– Uważał, że to głupota. Rozbawiło mnie to stwierdzenie.
– Rozumiesz, jak kształtowała się moja osobowość? Potrząsnąłem głową, przyznając, że niezupełnie.
– Przykład mojego ojca – wyjaśnił – uwrażliwił mnie na to, że w życiu trzeba czegoś dokonać, wyznaczyć sobie jakiś ważny cel i zrealizować go. Równocześnie matka przekazała mi, że życie rozgrywa się na płaszczyźnie wewnętrznej i że trzeba kierować się w nim intuicją. Zrozumiałem, że moje życie jest syntezą tych postaw. Starałem się zgłębić, jak za sprawą wewnętrznego impulsu możemy odnaleźć życiowe powołanie, mając przy tym świadomość, że najistotniejszym celem tego powołania jest przynieść nam szczęście i spełnienie.
Zrozumiałem.
– Teraz już wiesz, dlaczego tak zafascynowało mnie szóste wtajemniczenie. Kiedy tylko je przeczytałem, pojąłem, że moim zadaniem jest dopomagać ludziom w zrozumieniu sensu i celu ich życia.
– A czy ksiądz wie, w jaki sposób Wił odnalazł swoją drogę życiową?
– Tak, dzielił się ze mną swoimi doświadczeniami. Podobnie jak ty był niedowiarkiem. Jego rodzice, podobnie jak twoi, byli śledczymi. Każde z nich miało zdecydowane przekonania, które starali się zaszczepić Wilowi. Jego ojciec był pisarzem niemieckim. Uważał, że przeznaczeniem rasy ludzkiej jest samodoskonalenie. Nie wdawał się w politykę i był wielkim humanistą. Tymczasem hitlerowcy wykorzystali jego ideę doskonalenia jako teoretyczną podbudowę zbrodniczej eksterminacji “gorszych" ras.
Wypaczenie jego pięknej idei tak go załamało, że wraz z

żoną i synem wyjechał do Ameryki Południowej. Matka Wiła była Peruwianką, wychowaną i wykształconą w Stanach Zjednoczonych. Też była pisarką, lecz wyznawała światopogląd zbliżony raczej do filozofii Wschodu. Za cel życia uważała osiągnięcie stanu wyższej świadomości, spokój ducha i unikanie pokus tego świata. Według niej w życiu nie chodziło o osiągnięcie doskonałości, a raczej o umiejętność odejścia od potrzeby doskonalenia wszystkiego. Potrafisz już rozszyfrować oddziaływanie tych czynników na osobowość Wiła?
Niestety, ciągle jeszcze nie potrafiłem.
– Wił miał trudną sytuację. Ojciec idealizował zachodnią filozofię pracy dla postępu i doskonałości. Matce wystarczały wschodnie ideały równowagi wewnętrznej. Tych dwoje ludzi przekazało mu w spadku zadanie połączenia skrajnych prądów filozofii Wschodu i Zachodu, czego początkowo nie był świadomy. Chcąc służyć idei postępu, został inżynierem, lecz później przekwalifikował się na przewodnika, gdyż pokazywanie ludziom piękna szczególnych zakątków tego kraju dawało zadowolenie i spokój wewnętrzny.
Dopiero odkrycie Rękopisu wskazało mu właściwą drogę. Jego kolejne wtajemniczenia ujawniły prawdę, zgodnie z którą myśl filozoficzna Wschodu i Zachodu mogą się połączyć w imię wyższych celów. Wykazały, że ideologia Zachodu sprawdza się w tym, co dotyczy postępu i ewolucji ku wyższej jakości życia. Ideologia Wschodu słusznie podkreśla, że jaźń musi być wolna od kontroli, a sama logika nie zapewni właściwego rozwoju. Ważne jest osiągnięcie stanu wyższej świadomości i pełnej łączności z Bogiem, gdyż tylko to skieruje naszą ewolucję ku lepszemu, ku wyższym wartościom w nas samych.
Kiedy Wil zaangażował się w zgłębianie kolejnych wtajemniczeń, jego życie popłynęło naturalnym korytem. Poznał księdza Josego, który odkrył i doprowadził do przetłumaczenia Rękopisu. Wkrótce potem zetknął się z właścicielem majątku Viciente i pomógł rozwinąć tam badania. Spotkał też Julię, która prowadząc własny interes z zamiłowania oprowadzała turystów po dziewiczych lasach.

Julia i Wil okazali się pokrewnymi duszami. Poszukiwali odpowiedzi na podobne pytania. Ojciec Julii miał zawsze pełne usta ideałów duchowych, lecz wyrażał je w sposób nieuporządkowany i mętny. Matka z kolei była wykładowcą retoryki, mistrzem sztuki dyskutowania, i ponad wszystko ceniła sobie jasność myślenia. Stąd u Julii narodził się głód informacji o sprawach duchowych, sformułowanych jasno i precyzyjnie.
Wil potrzebował syntezy filozofii Wschodu i Zachodu, która by zintegrowała duchową stronę życia. Julia też chciała uzyskać taką wykładnię, ujętą w czytelny system. Rękopis zapewniał im jedno i drugie.
– Śniadanie gotowe! – zawołał z kuchni ksiądz Sanchez. Nie spodziewałem się, że jest już na nogach. Udaliśmy się
więc na posiłek złożony z owoców i płatków zbożowych. Ksiądz Carl zaproponował mi wspólny spacer w ruiny. Chętnie przystałem, gdyż sam chciałem jeszcze raz je zobaczyć. Zaprosiliśmy także księdza Sancheza, ale wymówił się grzecznie, tłumacząc, że ma do załatwienia kilka ważnych rozmów telefonicznych.
Niebo było bezchmurne, a nad łańcuchem górskim jasno świeciło słońce. Szliśmy energicznym krokiem.
– Jak ksiądz uważa, czy można by jakoś nawiązać kontakt z Wiłem? – spytałem.
– Raczej nie – odpowiedział. – Nie mówił, gdzie się zatrzyma. Można by spróbować pojechać do Iquitos, w pobliżu naszej północnej granicy, ale to mogłoby być teraz niebezpieczne.
– Dlaczego właśnie tam?
– Bo prawdopodobnie tam będzie prowadził swoje poszukiwania. Wokół jest dużo ruin, ale tam też działa kardynał Sebastian.
– Myśli ksiądz, że Wil odnajdzie ostatnie wtajemniczenie?
– Nie mam pojęcia.
Kilka minut spacerowaliśmy w milczeniu. Potem ksiądz Carl zapytał:
– A ty zdecydowałeś się już na jakieś dalsze kroki?
– O jakich krokach ksiądz myśli?

– Ksiądz Sanchez mówił, że początkowo chciałeś natychmiast wracać do Stanów Zjednoczonych, ale potem zainteresowały cię poszukiwania Rękopisu. A jak teraz? Jak się czujesz?
– Dość niepewnie – wyznałem. – Ale z drugiej strony chciałbym też dalej brać w tym udział.
– Wiem, że na twoich oczach zabito człowieka.
– To prawda.
– Mimo to chciałbyś tu zostać?
– Chciałbym wydostać się stąd, ocalić głowę... A jednak tu siedzę!
– Jak sądzisz, dlaczego tak jest?
– Nie wiem. A ksiądz wie?
– Pamiętasz, na czym skończyliśmy rozmowę wczoraj wieczorem?
Pamiętałem doskonale.
– Doszliśmy do tego, jaki problem do rozwiązania pozostawili mi rodzice. Chodziło o to, aby *znaleźć* wartość duchową, która dałaby mi poczucie spełnienia, a zarazem zaspokoiła potrzebę mocnych przeżyć. A potem ksiądz powiedział mi, że jeśli dokładniej przyjrzeć się linii mojego życia, ta wartość ukaże mi je w nowej perspektywie i pozwoli zrozumieć to, co dzieje się ze mną teraz.
Ksiądz odpowiedział tajemniczym uśmiechem:
– Tak mówi Rękopis.
– Ale jak tego dokonać?
– Trzeba zanalizować istotne momenty w naszym życiu. momenty zwrotne, i zinterpretować je od nowa z punktu widzenia ewolucji.
Ciągle jeszcze miałem trudności w przełożeniu tych wskazówek na konkrety.
– Spróbuj prześledzić następstwo różnych ważnych wydarzeń, kolejność poznawania ludzi, którzy odegrali rolę w twoim życiu, zbiegi okoliczności, które ci się zdarzyły – podsunął ksiądz Carl. – Czy widzisz w tym jakąś nić przewodnią?
Sięgnąłem pamięcią wstecz do czasów dzieciństwa, ale nie mogłem doszukać się w moich doświadczeniach żadnej

prawidłowości.
– Jak najchętniej spędzałeś czas?
– Czy ja wiem... ? Chyba byłem dość typowym dzieckiem. Dużo czytałem.
– A co czytałeś?
– Głównie fantastykę, opowieści o duchach i temu podobne historie.
– I co dalej działo się w twoim życiu? Po chwili przypomniałem sobie wpływ, jaki wywarł na mnie dziadek, więc opowiedziałem księdzu o jeziorze wśród gór. Pokiwał głową ze zrozumieniem.
– No a później, kiedy już dorosłeś?
– Poszedłem na studia. W tym czasie umarł dziadek.
– Co studiowałeś?
– Socjologię.
– Dlaczego właśnie to?
– Poznałem profesora, którego bardzo polubiłem. Interesowało mnie to, co mówił o naturze ludzkiej. Chciałem studiować pod jego kierunkiem.
– I co potem?
– Skończyłem studia i poszedłem do pracy.
– Podobała ci się ta praca?
– Tak, przez dłuższy czas.
– A potem coś się zmieniło?
– Przestało mnie satysfakcjonować to, co robię. Pracowałem z młodzieżą z zaburzeniami emocjonalnymi. Wydawało mi się. że wiem, jak powinni uwolnić się od swojej przeszłości i zaprzestać niszczącego odreagowywania. Sądziłem, że mogę pomóc im zaprowadzić ład we własnym życiu. Moje podejście okazało się jednak niezupełnie właściwe.
– I co wtedy zrobiłeś?
– Rzuciłem tę pracę.
– A potem?
– Wtedy zadzwoniła do mnie dawna znajoma i opowiedziała mi o istnieniu Rękopisu.
– I to skłoniło cię do przyjazdu do Peru?
– Tak.
– A co sądzisz o swoich przygodach tutaj?

– Myślę, że chyba zwariowałem albo mi życie zbrzydło.
– A co sądzisz o tym, jak rozwija się ta cała historia?
– Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.
– Kiedy ksiądz Sanchez opowiedział mi, co ci się przydarzyło od dnia twego przyjazdu do Peru, byłem zdumiony, ile zbiegów zdarzeń doprowadziło cię do poznania kolejnych wtajemniczeń Rękopisu akurat wtedy, kiedy ich potrzebowałeś.
– I co ksiądz o tym myśli? Co to ma znaczyć?
Zatrzymał się i stanął naprzeciw mnie. . – To znaczy, że już jesteś gotów, tak jak my wszyscy tutaj. Doszedłeś do etapu, na którym potrzebujesz Rękopisu, gdyż tylko on stwarza ci szansę kontynuowania twojej życiowej ewolucji.
Pomyśl, jak wszystkie wydarzenia w twoim życiu układają się w pewien logiczny ciąg. Na początku interesowałeś się tym, co w świecie tajemnicze, co w rezultacie doprowadziło cię do badań nad naturą ludzką. Myślisz, że tego profesora spotkałeś bez powodu? Przecież to właśnie on skonkretyzował twoje zainteresowania i wskazał ci największą tajemnicę: sytuację człowieka na tej planecie i problem sensu życia. Na kolejnym etapie przekonałeś się, że sens życia wiąże się z uwolnieniem się od uwarunkowań przeszłości i stałym rozwijaniem jego wątku ku przyszłości. Dlatego pracowałeś z tą młodzieżą.
Jednakże – jak zapewne widzisz to teraz – za sprawą wtajemniczeń możesz zrozumieć, co było niewłaściwe w twojej technice pracy z młodzieżą. Dzieci z zaburzeniami emocjonalnymi potrzebują do swojej ewolucji tego samego, czego potrzebujemy my wszyscy: połączenia ze źródłem energii na tyle bogatym, aby zdołały rozszyfrować swoją grę kontroli, co ty nazywasz odreagowaniem, i mogły rozwijać w sobie ten proces duchowy, który ty właśnie starasz się opanować.
Patrząc z szerszej perspektywy możesz teraz dostrzec, że zainteresowania z okresu młodości i wszystkie kolejne stadia, przez które przeszedłeś, przygotowały cię do przyjazdu tutaj i odkrywania Rękopisu. Na twoje duchowe spełnienie, osiągnięte w drodze ewolucji, pracowałeś przez całe życie. Energia, którą uzyskałeś w tym nieskażonym miejscu twojego dorastania oraz

energia przekazana ci przez dziadka dały ci odwagę, dzięki której przyjechałeś do Peru. Jesteś tu, ponieważ ten pobyt jest ci potrzebny, abyś mógł kontynuować ewolucję. Całe twoje życie było drogą wiodącą do tego celu. Z uśmiechem mówił dalej:

– Gdy w pełni utożsamisz się z tym oglądem twojego życia, osiągniesz to, co Rękopis określa jako świadomość swojej drogi duchowej. Zgodnie z jego wskazaniami musimy poświęcić tyle czasu, ile trzeba na proces objaśniania przeszłości. Większość z nas prowadzi swoją grę kontroli, którą musimy przezwyciężyć. Kiedy nam się to uda, zrozumiemy wyższe cele, dla których zostaliśmy zrodzeni akurat przez tych rodziców i do których przygotowują nas rozliczne zwroty i zakręty na naszej drodze życiowej. Przed każdym z nas stoi jakiś cel duchowy, jakaś misja, do której zdąża nawet nie zdając sobie z tego sprawy, a kiedy robimy to w pełni świadomie, wówczas rozpoczyna się nasze prawdziwe życie.

Ty już odkryłeś ten swój cel. Teraz musisz iść naprzód i pozwolić, aby pozornie przypadkowe zdarzenia prowadziły cię coraz bliżej i bliżej, aż odkryjesz także, co masz zrobić, by go wypełnić. Dotychczas korzystałeś z energii Wiła i księdza Sancheza, teraz czas już podążać drogą ewolucji samodzielnie i świadomie.

Chciał mi jeszcze coś powiedzieć, lecz zauważyliśmy zbliżającą się do nas furgonetkę Sancheza. Podjechał na pobocze i opuścił szybę.

– Co się stało? – spytał ksiądz Carl.

– Muszę jak najszybciej wracać do misji. Wkroczyły tam oddziały wojska... i kardynał Sebastian.

Wskoczyliśmy obaj do wozu i ksiądz Sanchez podjechał do domu księdza Carla. Po drodze opowiedział nam, że wojsko wdarło się na teren jego placówki prawdopodobnie by ją zamknąć i skonfiskować kopie Rękopisu.

W domu ojca Carla Sanchez zaczął błyskawicznie pakować swoje rzeczy, a ja stałem i zastanawiałem się, co mam robić dalej.

– Myślę, że powinienem jechać z księdzem – odezwał się

ksiądz Carl.
– Czy ksiądz jest tego pewien?
– Tak, jestem przekonany, że powinienem jechać.
– Po co?
– Tak czuję.
– Jeśli ksiądz tak uważa...
– A co ja mam zrobić? – spytałem, stając w drzwiach. Obaj księża odwrócili się do mnie.
– To zależy od ciebie – stwierdził ksiądz Carl. Milczałem.
– Sam musisz podjąć decyzję – dodał Sanchez.
Nie mogłem uwierzyć, że tak mało ich to obchodzi. Jechać z nimi oznaczałoby dać się aresztować. Ale jak miałem tu zostać sam?
– Czy jest tu jeszcze ktoś, kto mógłby mnie ukryć? – spytałem w desperacji.
Księża spojrzeli po sobie.
– Nie przypuszczam – przerwał milczenie ksiądz Carl. Znów poczułem, jak strach ściska mi serce.
– Skoncentruj się, pamiętaj, kim jesteś – pomagał mi z uśmiechem ksiądz Carl.
Sanchez podszedł do swojej torby i podał mi broszurę.
– Masz tu odbitkę szóstego wtajemniczenia. Może to ułatwi ci decyzję.
– Jak prędko będzie ksiądz gotów do drogi? – spytał księdza Carla.
– Muszę jeszcze odbyć parę rozmów. Może za godzinę. Sanchez odwrócił się do mnie:
– Akurat masz czas. żeby przeczytać to i przemyśleć. Potem porozmawiamy.
Księża wrócili do swoich zajęć, a ja wyszedłem na dwór i usiadłem na kamieniu. Lektura tekstu nie zajęła mi nawet pół godziny. Znalazłem tam te same prawdy, które przekazali mi już księża. Jednakże kiedy skończyłem, zrozumiałem wreszcie. na czym polega podstawowa myśl tego wtajemniczenia: Zanim osiągniemy w pełni ten szczególny stan umysłu, który nawiedza nas czasami – kiedy to doświadczamy, że nasze życie posuwa się naprzód za sprawą tajemniczych zbiegów okoliczności - musimy uświadomić sobie, kim naprawdę jesteśmy.

Akurat zza domu nadszedł ksiądz Carl, zauważył mnie i podszedł bliżej.
– Skończyłeś już? – spytał głosem ciepłym i przyjaznym, jak zawsze.
– Tak.
– Mogę na chwilę usiąść przy tobie?
– Bardzo tego pragnę.
Usadowił się po mojej prawej stronie i po chwili ciszy zapytał:
– Czy rozumiesz już, że jesteś na drodze do wielkiego odkrycia?
– Chyba tak. Ale nie wiem, co mam teraz robić.
– Teraz musisz naprawdę w to uwierzyć.
– Nie mam odwagi!
– Musisz zrozumieć, o co idzie gra. Prawda, której poszukujesz, jest równie ważna jak ewolucja całego wszechświata, bo umożliwia kontynuowanie tej ewolucji. Ksiądz Sanchez mówił mi, że miałeś w górach wizję ewolucji. Widziałeś, jak materia przeszła całą drogę od atomów wodoru do człowieka. Zaintrygowało cię pytanie, jak dokonuje się ewolucja człowieka. Teraz już wiesz: Ludzie rodzą się w konkretnej sytuacji historycznej i znajdują w niej wartości, za którymi się opowiadają. Wchodzą w związki z innymi ludźmi, którzy także znaleźli jakieś wartości. Dzieci zrodzone w takich związkach jednoczą postawy swoich rodziców i za sprawą zbiegów zdarzeń dokonują ich syntezy na wyższym poziomie wartości. Pamiętasz zapewne piąte wtajemniczenie: Ilekroć, kiedy wypełnia nas energia a jakiś zbieg zdarzeń pchnie nasze życie naprzód, utrwalamy w sobie ten poziom energii i zaczynamy egzystować w postaci materii wyżej uorganizowanej. Nasze dzieci dziedziczą ten poziom i podnoszą go jeszcze wyżej. Na tym polega trwająca obecnie ewolucja gatunku ludzkiego...
Współczesne pokolenie różni się od poprzednich tym. że robi to świadomie i stara się przyspieszyć ten proces. Choćbyś się nie wiem jak bał – nie masz wyboru. Jeśli już dowiedziałeś się. o co naprawdę chodzi w życiu, nie możesz się od tej wiedzy uwolnić. Jeśli pójdziesz inną drogą, zawsze będziesz

miał poczucie niedosytu.
– Ale co mam robić teraz?
– Tego nie wiem. To wiesz tylko ty. Mogę ci jedynie poradzić: Spróbuj zgromadzić energię.
Ukazał się ksiądz Sanchez i przyłączył się do nas milcząco, aby nie przeszkadzać. Starałem się skupić na którymś ze skalnych szczytów wokół domu. Kiedy zaczerpnąłem powietrza w płuca, uzmysłowiłem sobie, że od chwili wyjścia z domu jestem całkowicie pochłonięty sobą. W wyniku tego byłem odcięty od piękna i majestatu gór, jakbym znajdował się w tunelu.
Kiedy rozejrzałem się wokół, szukając czegoś, czym mógłbym się zachwycić, ogarnęło mnie znane już uczucie zjednoczenia ze światem, l nagle elementy krajobrazu zaczęły się jakoś ładniej prezentować, a niektóre nawet lśniły delikatnie. Poczułem się naraz lekki i podniesiony na duchu.
Przeniosłem wzrok z księdza Sancheza na księdza Carla. Przyglądali mi się uważnie, jakby obserwowali moje biopole.
– Jak to wygląda? – spytałem.
– Chyba czujesz się już lepiej – odparł Sanchez. – Postój tu trochę i nagromadź jak najwięcej energii. Mamy jeszcze pracy na jakieś dwadzieścia minut. – Ze smutnym uśmiechem dodał:
– Potem będziesz gotów, aby zaczynać.

Podążanie z prądem

Księża wrócili do domu, a ja jeszcze przez kilka minut rozkoszowałem się pięknem gór, aby wchłonąć jak najwięcej energii. Potem moje myśli powędrowały do Wiła. Gdzie mógł w tej chwili być? Czy i kiedy uda mu się osiągnąć cel?

Wyobraziłem go sobie, jak ucieka przez dżunglę, ściskając w ręku tekst dziewiątego wtajemniczenia, a za nim biegną żołnierze. Wyobraziłem też sobie kardynała Sebastiana organizującego pościg. Nie miałem wątpliwości, że kardynał mimo wysokiej pozycji w Kościele myli się, błędnie interpretuje wpływ Rękopisu na ludzi. Miałem wrażenie, że można by skłonić go do zmiany zdania, gdybyśmy tylko wiedzieli, które wtajemniczenie wydaje mu się najbardziej niebezpieczne.

Kiedy nad tym rozmyślałem, przypomniała mi się Marjorie. Co też się z nią teraz dzieje? Wyobraziłem sobie, że znów się z nią spotykam, ale jak mogłoby do tego dojść?

Trzaśniecie drzwi przywołało mnie do rzeczywistości. Znów zacząłem się denerwować. Ksiądz Sanchez wyszedł zza domu i szybkim, zdecydowanym krokiem zbliżył się do mnie.

– No i jak, zdecydowałeś się już? – spytał. Potrząsnąłem głową.

– Nie wyglądasz na zbyt mocnego.

– Ani nie czuję się zbyt mocno.

– Chyba nie dość systematycznie odtwarzałeś swoje zasoby energii?

– Jak mam to rozumieć?

– Pokażę ci, jak ja sam pozyskuję energię. Może moja metoda pomoże ci wypracować sobie własną.

Po pierwsze trzeba skupić się na otoczeniu, co chyba ty też potrafisz. Potem należy przypomnieć sobie, jak to wszystko wyglądało, kiedy byłeś pełen energii. Ja robię to w ten sposób, że przywołuję na myśl niepowtarzalną urodę i kształt wszystkich elementów środowiska, szczególnie roślin, zwłaszcza to, jak ich barwy stawały się jaskrawsze i wyraźniejsze. Rozumiesz?

– Tak, staram się robić to samo.
– Dobrze. A potem próbuję jeszcze raz przeżyć to uczucie bliskości i łączności ze wszystkim, bez względu na rzeczywistą odległość. Wreszcie staram się to wszystko wdychać.
– Jak to wdychać?
– Czy ksiądz John nie wyjaśnił ci tego?
– Nie, nic mi o tym nie mówił.
– Może miał zamiar spotkać się z tobą jeszcze raz i dopowiedzieć ci resztę. On czasem stosuje takie chwyty. Potrafi zostawić ucznia samego, aby sobie przemyślał to, co usłyszał, a potem w odpowiedniej chwili pojawia się i uzupełnia swój wykład. Pewnie z tobą chciał postąpić tak samo, ale nie zdążył, bo za szybko wyjechaliśmy.
– A chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej – wyznałem.
– Pamiętasz dziwne uczucie unoszenia się w przestrzeni, jakiego doznałeś na szczycie? – zapytał.
– Oczywiście.
– Aby wprawić się w taki stan, staram się zwykle wdychać w siebie energię, z którą jestem połączony.
Szedłem za tokiem jego myśli. Już samo słuchanie podnosiło mój poziom energii. Wszystko wokół mnie stało się jakby ładniejsze, nawet skały wydzielały z siebie białawą poświatę, a wokół Sancheza widać było szerokie, niebieskie biopole. Wykonywał teraz głębokie, miarowe wdechy, za każdym razem zatrzymując powietrze w płucach jakieś pięć sekund. Poszedłem za jego przykładem.
– Kiedy wyobrazimy sobie – objaśnił – że każdy wdech napełnia nas energią, jak balon, od razu czujemy się lżejsi. a równocześnie bardziej dynamiczni.
Po wykonaniu kilku głębokich oddechów rzeczywiście tak się poczułem.
– Gdy wchłonę w siebie tę energię – ciągnął dalej Sanchez
– sprawdzam, czy odczuwam właściwe emocje. Jest to sprawdzian, czy osiągnąłem należyty poziom energii.
– Chodzi o miłość?
– Właśnie. Jak już mówiliśmy w misji, miłość nie jest wymysłem intelektualistów, nakazem moralnym ani niczym takim. To uczucie wtórne, powstające wtedy, kiedy uzyskujemy

dostęp do energii obecnej we wszechświecie, która, rzecz jasna, pochodzi od Boga.
Ksiądz Sanchez patrzył w moją stronę, lecz nie skupiał na mnie wzroku.
– Właśnie osiągnąłeś ten stan, poziom energii, którego potrzebujesz. Trochę ci pomagam, ale potrafisz już sam go utrzymać.
– W jaki sposób ksiądz mi pomaga?
– Na razie nie myśl o tym. Dowiesz się, gdy dojdziesz do wtajemniczenia ósmego.
Ksiądz Carl przechadzał się wokół domu i przyglądał się nam z widocznym zadowoleniem.
– Czy już się zdecydowałeś? – spytał podchodząc. Pytanie zdenerwowało mnie, tak że zacząłem tracić energię.
– Nie wracaj tylko do swojej starej gry – ostrzegł mnie. - Nie unikniesz podjęcia decyzji. Jak myślisz, co powinieneś zrobić?
– Cały szkopuł w tym, że w ogóle nie myślę!
– Tak ci się tylko wydaje. Kiedy jesteś połączony ze źródłem energii, proces myślenia też postrzegasz inaczej. Spojrzałem zdumiony.
– Kiedy zrywasz ze swoją grą kontroli, słowa, w które zwykle ubierałeś logiczne myśli, nie mają już zastosowania. Gdy jesteś nasycony energią, twoje myśli przybierają formę intuicji i odbierasz je inaczej. Pojawiają się w podświadomości, czasem w marzeniach lub czymś w rodzaju wizji, kierują twoim postępowaniem obywając się bez pośrednictwa słów.
Niewiele dawały mi te wyjaśnienia.
– Opowiedz, o czym myślałeś, siedząc tu sam – zaproponował ksiądz Carl.
– Nie wiem. czy wszystko pamiętam.
– Spróbuj.
Skupiłem się.
– Myślałem o Wilu, o jego poszukiwaniach i o krucjacie kardynała Sebastiana.
– O czym jeszcze?
– Zastanawiałem się też, co się dzieje z Marjorie. Nie rozumiem jednak, w jaki sposób ma mi to pomóc w podjęciu

decyzji.
– Zaraz ci wytłumaczę – zaofiarował się ksiądz Sanchez. - Kiedy osiągasz właściwy poziom energii, jesteś gotów świadomie włączyć się w nurt ewolucji. Bierzesz udział w ewolucji na swój sposób. Po pierwsze, jak już powiedziałem, nagromadzasz odpowiednią ilość energii. Następnie uświadamiasz sobie swój podstawowy problem życiowy, który przejąłeś od rodziców – on umiejscawia twoją ewolucję w ogólnym nurcie. Potem wkraczasz na własną drogę, odkrywasz mniejsze, doraźne problemy, które na bieżąco konfrontują cię z życiem. Te sprawy zawsze są częścią składową głównego problemu i określają, w jakim punkcie swoich życiowych poszukiwań w danej chwili jesteś.
Kiedy już uświadomisz sobie owe problemy, zawsze intuicja w jakiś sposób wskaże ci, co zrobić lub w jakim kierunku się udać. Po prostu przeczucie da znak, jaki ma być następny twój krok. To działa zawsze, chyba że postawisz sobie niewłaściwe pytanie. Widzisz, życie polega nie tyle na tym, by otrzymywać właściwe odpowiedzi, ale na tym, by zadawać właściwe pytania. Jeśli pytania będą prawidłowe – odpowiedzi przyjdą same.
Tak więc otrzymałeś wskazówkę, co może się teraz wydarzyć. Następny etap wymaga czujności i pilnej obserwacji. Prędzej czy później wydarzy się coś, co popchnie cię w kierunku wskazanym przez intuicję. Rozumiesz mnie?
– Chyba tak.
– No więc – kontynuował – czy nie wydaje ci się, że te myśli o Wilu, Marjorie i Sebastianie mają jednak znaczenie. Zastanów się, skąd one się biorą, na tle doświadczeń twojego życia. Ustaliłeś już, z jakiej wywodzisz się rodziny. Rodzice szukali odpowiedzi na pytanie, jak uczynić życie wzbogacającą przygodą duchową.
– Tak.
– Dorastając, zainteresowałeś się różnymi tajemniczymi historiami. Potem studiowałeś socjologię i pracowałeś z ludźmi, chociaż jeszcze nie wiedziałeś, dlaczego to robisz. Akurat kiedy zaczęły ci się otwierać oczy, dowiedziałeś się o Rękopisie, przyjechałeś do Peru i zacząłeś odkrywać jego

kolejne wtajemniczenia. Z każdego dowiadywałeś się czegoś o zjawiskach duchowych, które chciałeś zgłębić. Teraz już świadomie kroczysz drogą ewolucji formułując doraźne pytania i oczekując odpowiedzi. Jakie więc są twoje doraźne problemy?

– Wydaje mi się, że chciałbym dalej poznawać Rękopis - zacząłem wyliczać. – Bardzo interesuje mnie, czy Wił jest już na tropie dziewiątego wtajemniczenia. Chciałbym też wiedzieć, co dzieje się z Marjorie. No i dowiedzieć się czegoś więcej o kardynale Sebastianie.

– A co podpowiada ci w tych sprawach intuicja?

– Nie wiem, co tym sądzić. W wyobraźni spotkałem się znów z Marjorie i widziałem Wiła uciekającego przed żołnierzami. Co to może znaczyć?

– Gdzie widziałeś Wiła?

– W dżungli.

– Może to wskazuje, dokąd powinieneś się udać. Iquitos leży w środku dżungli. A co z Marjorie?

– Widziałem oczyma duszy, jak znów się z nią spotykam.

– A jeśli chodzi o Sebastiana?

– Pomyślałem sobie, że on może dlatego zwalcza Rękopis, bo go nie rozumie, a mógłby zmienić zdanie, gdyby ktoś pomógł mu właściwie zinterpretować to, co wydaje mu się groźne.

Księża spojrzeli po sobie zdziwieni.

– Co to może oznaczać? – spytałem.

– A jak myślisz? – odpowiedział pytaniem ksiądz Carl.

W tym momencie poczułem się podobnie jak wtedy na szczycie góry. Znów byłem pełen energii i wiary w siebie. Patrząc wprost na księży oświadczyłem:

– Myślę, że to oznacza, że powinienem iść w dżunglę i spróbować ustalić, jakie treści Rękopisu nie podobają się hierarchii kościelnej.

Ksiądz Carl uśmiechnął się.

– Otóż to! Możesz wziąć mój samochód. Ucieszyłem się. Przeszliśmy przed dom do zaparkowanych z drugiej strony aut. Okazało się, że moje rzeczy, wraz z zapasem żywności i wody, leżą już spakowane w samochodzie księdza Carla. Furgonetka

Sancheza również była gotowa do drogi.
– Chcę ci jeszcze coś powiedzieć – przypomniał sobie Sanchez. – Pamiętaj, żebyś możliwie jak najczęściej zatrzymywał się dla uzupełnienia zapasu energii. Staraj się utrzymywać stan nasycenia energią, stan miłości. Kiedy osiągniesz stan miłości, nikt i nic nie odbierze ci więcej energii, niż ty będziesz w stanie uzupełnić. Powstaje jakby obieg zamknięty energii. Toteż jej zapas nigdy się nie wyczerpie. Musisz jednak świadomie sterować tym procesem. Jest to szczególnie ważne w kontaktach z ludźmi.
Przerwał, a tymczasem zbliżył się ksiądz Carl i dodał:
– Poznałeś już wszystkie wtajemniczenia prócz siódmego i ósmego. Siódme poświęcone jest procesowi świadomego rozwoju człowieka, jego uwrażliwieniu na zbiegi okoliczności, przez które wszechświat udziela odpowiedzi na nasze pytania.
– Wręczył mi małą broszurkę. – Tu masz jego tekst. Jest bardzo zwięzły i ogólny. Mówi o tym, w jaki sposób na naszej drodze pojawiają się różne znaki orientacyjne, a myśli stają się naszym przewodnikiem. Ósme wtajemniczenie we właściwym momencie samo trafi do twoich rąk. Wyjaśnia ono, jak możemy dopomóc innym, aby sami podsuwali odpowiedzi na nasze pytania. Przedstawia też nowy rodzaj etyki, która powinna zapanować między ludźmi, abyśmy ułatwiali sobie nawzajem naszą ewolucję.
– Dlaczego nie mogę go dostać teraz?
Ksiądz Carl z uśmiechem położył mi rękę na ramieniu.
– No cóż, my też musimy zawierzyć naszej intuicji, a na razie nie wydaje się nam, aby było to potrzebne. Otrzymasz je wtedy, kiedy zadasz odpowiednie pytanie.
Zapewniłem obu księży, że dobrze ich zrozumiałem, toteż uściskali mnie i życzyli powodzenia. Ksiądz Carl powtórzył z naciskiem, iż na pewno wkrótce znów się spotkamy i odnajdę odpowiedzi, w poszukiwaniu których tu przybyłem.
Byliśmy już gotowi do wsiadania, gdy nagle Sanchez odwrócił się do mnie:
– W tej chwili intuicja podpowiada mi, żeby powiedzieć ci coś, o czym później dowiesz się więcej. W swojej podróży kieruj się wrażliwością na piękno. Miejsca i ludzie, od których

możesz uzyskać jakieś odpowiedzi, wydadzą ci się barwniejsze i ładniejsze niż wszystko inne.
Przytaknąłem i wsiadłem do samochodu księdza Carla. Jechałem za księżmi kamienistą drogą aż do rozwidlenia szos. Wtedy Sanchez pomachał mi ręką przez tylną szybę i obaj z księdzem Carlem skręcili na wschód, a ja skierowałem się na północ, w stronę dorzecza Amazonki.

Zacząłem się już niecierpliwić. Po przyjemnie spędzonych trzech godzinach znalazłem się na rozdrożu i nie mogłem się zdecydować, którą drogę wybrać.
Jedną z możliwości była droga w lewo. Według mapy droga ta skręcała na północ wzdłuż krawędzi pasma górskiego, a potem ostro na wschód, w kierunku Iquitos. Druga droga, w prawo, też prowadziła do Iquitos, ale skręcała pod kątem prostym na wschód, przez dżunglę.
Zaczerpnąłem powietrza i spróbowałem się odprężyć, po czym zerknąłem w lusterko wsteczne. W polu widzenia nie było nikogo. Prawdę mówiąc, już od ponad godziny nie widziałem żywej duszy, ani pieszych, ani zmotoryzowanych. Poczułem lekki dreszczyk niepokoju, ale starałem się go przezwyciężyć. Miałem przecież świadomość, że mogę podjąć prawidłową decyzję tylko wtedy, gdy będę wypoczęty i pełen energii.
Rozejrzałem się dokoła. Droga przez dżunglę, ta w prawo, przebiegała przez skupisko potężnych drzew i skał w otoczeniu tropikalnych krzewów. Droga przez góry była prawie naga, w dali widać było jedynie samotne drzewo, poza tym skały bez żadnej szaty roślinnej.
Znów spojrzałem w prawo i usiłowałem wzbudzić w sobie uczucie miłości. Zauważyłem tylko soczystą zieleń drzew i krzewów. Spróbowałem tego samego w stosunku do drogi po lewej. Od razu dostrzegłem rosnącą przy niej kępę kwitnących traw. Ich blaszki liściowe były blade i nakrapiane, a drobne białe kwiatki z daleka tworzyły niepowtarzalny wzór. Zastanawiałem się, dlaczego nie zauważyłem ich wcześniej. Teraz wydawały się jakby promieniować światłem.

Poszerzyłem swoje pole widzenia o wszystko, co znajdowało się w tamtym kierunku. Nagle kamyki i wysepki żwiru nabrały jakichś niespotykanych kolorów i kształtów, odcieni bursztynu, fioletu, a nawet ciemnej czerwieni.
Kiedy znów spojrzałem w prawo, drzewa i krzewy, aczkolwiek ładne, w porównaniu z widokiem po lewej stronie prezentowały się blado. Nie mogłem zrozumieć, jak to jest możliwe?! Przecież początkowo bardziej podobała mi się droga w prawo. Po kolejnym spojrzeniu w lewo intuicja zdecydowanie podsunęła mi rozwiązanie. Oczarowało mnie bogactwo kształtów i kolorów.
Już podjąłem decyzję. Zapaliłem silnik i skierowałem samochód w lewo, przekonany o słuszności swego postępowania. Droga była wyboista, pełna kamieni i dziur. Podskakując na wybojach doznawałem uczucia dziwnej lekkości całego ciała. Ręce trzymały kierownicę, ale nie opierały się na niej.
Przez dwie godziny jechałem bez przeszkód, podjadając od czasu do czasu zapasy z koszyka przygotowanego przez księdza Carla. Wokół nadal nie było żywej duszy. Droga biegła w górę i w dół po małych pagórkach. Na wierzchołku jednego z nich zauważyłem po prawej stronie dwa zaparkowane samochody. Stały daleko od szosy pod kępką niewielkich drzew. Nie widziałem w pobliżu ich użytkowników, doszedłem więc do wniosku, że ktoś je tu porzucił. Z pagórka droga ostro skręcała w lewo, a następnie zakolami wchodziła w głąb szerokiej doliny. Ze szczytu, na którym się znajdowałem, mogłem obserwować teren na przestrzeni kilku kilometrów.
Zahamowałem gwałtownie. Mniej więcej w połowie długości doliny po obu stronach szosy stały trzy czy cztery samochody wojskowe. Między nimi ustawiła się grupa żołnierzy. Dreszcz przeszedł mi po plecach, gdyż oznaczało to, że droga jest zablokowana. Wycofałem się ze szczytu pagórka i wprowadziłem samochód między dwie skałki. Potem wysiadłem i piechotą wróciłem na szczyt, aby z góry obserwować, co się dzieje w dolinie. Akurat jeden z samochodów ruszył i odjechał w przeciwną stronę.
Wtem usłyszałem za sobą czyjeś kroki. Błyskawicznie

odwróciłem się i zobaczyłem Phila, ekologa, którego poznałem w Viciente.
Był równie zaskoczony jak i ja. Podbiegł do mnie i spytał:
– Co ty tu robisz?
– Próbuję dostać się do Iquitos – odpowiedziałem. Na jego twarzy odbił się niepokój.
– My też, ale władze dostały chyba białej gorączki na punkcie Rękopisu. Jest nas czterech i właśnie się zastanawiamy, czy zaryzykować i spróbować przebić się przez tę blokadę -gestem pokazał na lewo, gdzie wśród drzew widać było kilku mężczyzn. – Po co jedziesz do Iquitos? – zainteresował się.
– Chcę odnaleźć Wiła. Rozstaliśmy się w Cula i słyszałem, że w poszukiwaniu ostatniej części Rękopisu mógł skierować się do Iquitos.
Phil był przerażony.
– Po co mu to?! Posiadanie kopii Rękopisu jest zabronione. Nie słyszałeś, co się stało z Viciente?
– Coś niecoś. A ty co o tym wiesz?
– Nie było mnie tam wtedy, ale z tego, co do mnie dotarło, wynika, że wojsko wtargnęło i aresztowało wszystkich, przy których znaleziono odbitki. Gości zatrzymano do przesłuchania, a Dale'a i innych naukowców wywieziono w nieznanym kierunku. Do dziś nie wiadomo, co się z nimi stało...
– Masz jakieś pojęcie, dlaczego władze tak tępią ten Rękopis? – starałem się go wybadać.
– Nie, ale gdy tylko zorientowałem się, że to zajęcie zaczyna się robić niebezpieczne, postanowiłem wrócić do Iquitos, zabrać swoje materiały i szybko wiać z tego kraju.
Opowiedziałem mu, co działo się z Wiłem i ze mną, odkąd opuściliśmy Viciente, kładąc nacisk na strzelaninę w górach.
– O, cholera! – zaklął. – I po tym wszystkim chce się wam jeszcze uganiać za tym papierem?
To stwierdzenie zachwiało nieco moją pewność siebie, ale próbowałem go przekonać:
– Słuchaj, jeśli nikt nic w tej sprawie nie zrobi, władze tego kraju otoczą Rękopis całkowitym milczeniem. Świat zostanie

pozbawiony źródła cennej informacji, a wydaje mi się. iż treść tych rozdziałów jest ważna.
– Aż tak ważna, że warto oddać za nią życie? Naszą uwagę zwrócił warkot samochodów. Ciężarówki zmierzały w naszą stronę.
– No proszę! Już ich tu mamy!
Zanim zdążyliśmy wykonać jakikolwiek ruch. usłyszeliśmy taki sam warkot dochodzący z przeciwnej strony.
– Jesteśmy okrążeni! – krzyknął Phil.
Rzuciłem się do samochodu i upchnąłem zawartość koszyka z prowiantem w mały tobołek. Początkowo wsadziłem tam także odbitkę Rękopisu, ale zreflektowałem się i wsunąłem ją pod siedzenie samochodu.
Odgłosy zbliżały się, toteż przebiegłem przez szosę w prawo, w tym samym kierunku co Phil. Z góry widziałem, jak razem ze swymi ludźmi ukrył się za skałami. Schowałem się tam razem z nimi, licząc, że ciężarówki wojskowe miną nas i pojadą dalej. Mojego wozu nie było widać, a miałem nadzieję, że pozostałe samochody uznają za porzucone.
Ciężarówki nadjeżdżające od południa były pierwsze i zatrzymały się tuż przed naszymi autami.
– Stać, policja! – rozległ się okrzyk. Zamarliśmy, gdy od tyłu zaszło nas kilkunastu żołnierzy. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby i poruszali się bardzo ostrożnie. Zrewidowali nas dokładnie i zabrali wszystko, co mieliśmy przy sobie, potem kazali nam iść z powrotem do drogi. Tam grupa żołnierzy przeszukiwała już nasze samochody. Phila i jego kolegów wsadzono do jednej z ciężarówek, która od razu odjechała. Kiedy mnie mijali, uchwyciłem jeszcze jego spojrzenie. Był blady i śmiertelnie wystraszony.
Mnie kazano usiąść blisko szczytu wzgórza. Obok ustawiło się kilku żołnierzy z automatami na ramionach. W końcu podszedł do mnie oficer i rzucił mi pod nogi odbitkę Rękopisu oraz kluczyki od wozu księdza Carla.
– Czy te papiery są pana? – spytał. Patrzyłem na niego milcząc.
– Te kluczyki znaleziono przy panu – powiedział dobitnie.
– Wewnątrz samochodu znaleźliśmy te papiery. Powtarzam

pytanie: czy należą one do pana?
– Nie odpowiem na żadne pytanie, dopóki nie skontaktuję się z adwokatem – wyrecytowałem zwyczajową formułkę. Moja odpowiedź wywołała ironiczny uśmiech na twarzy oficera. Rzucił podwładnym jakieś polecenie i odszedł. śołnierze odprowadzili mnie do dżipa i kazali usiąść na przednim siedzeniu obok kierowcy. Dwóch innych ulokowało się z tyłu z bronią gotową do strzału. Reszta załadowała się na ciężarówkę. Po krótkim postoju oba pojazdy ruszyły na północ, w głąb doliny.
W mojej głowie tłukły się niespokojne myśli. Dokąd mnie wiozą? Po kiego diabła wpakowałem się w tę awanturę? Z tym całym przygotowaniem teoretycznym, które otrzymałem od księży, nie przetrzymam nawet jednego dnia. Tam, na skrzyżowaniu, czułem, że wybrałem właściwy kierunek! Ta droga wydawała mi się bardziej atrakcyjna, więc zgodnie z pouczeniem księdza Sancheza uznałem, iż jest właściwa. Gdzie popełniłem błąd?
Wziąłem głęboki oddech i próbowałem się odprężyć, analizując swoje położenie. Postanowiłem udawać głupka i podać się za nieszkodliwego, przypadkowego turystę, który nieświadomie zaplątał się w jakąś awanturę. W tym duchu planowałem mówić i prosić, aby mnie puszczono.
Moje ręce spoczywały na kolanach i lekko drżały. Któryś z żołnierzy siedzących z tyłu podsunął mi manierkę z wodą. Wziąłem ją, ale nie byłem w stanie pić. śołnierz wyglądał młodo. Kiedy zwracałem mu manierkę, uśmiechnął się bez cienia złośliwości. Przypomniałem sobie przestraszoną twarz Pruła. Co oni mogli z nim zrobić?
W tej chwili skojarzyłem, że spotkanie Phila na tym wzgórzu było zapewne znanym mi z Rękopisu zbiegiem zdarzeń. Ale co miał on znaczyć? O czym rozmawialibyśmy, gdyby nam nie przerwano? Zdążyłem tylko podkreślić znaczenie Rękopisu. On z kolei zdołał ostrzec mnie przed niebezpieczeństwem i poradzić mi, żebym uciekał, zanim mnie złapią. Niestety, ta rada przyszła za późno.
Kilka godzin minęło w milczeniu. Teren stawał się coraz bardziej równinny, a powietrze cieplejsze. W pewnej chwili

młody żołnierz poczęstował mnie konserwą ze swojej żelaznej racji, czymś w rodzaju mielonki wołowej, ale ja nie mogłem nic przełknąć. Po zachodzie słońca szybko zapadł zmrok.
Siedziałem w samochodzie, bezmyślnie patrząc na drogę, jaką wyznaczały reflektory. W końcu zapadłem w niespokojny sen, w którym dręczyła mnie wizja ucieczki. Umykałem przed jakimś niezidentyfikowanym wrogiem, klucząc między setkami płonących ognisk, pewien, że gdzieś tam znajduje się tajemniczy klucz do wiedzy i bezpieczeństwa. Dostrzegłem ten klucz w samym środku największego ogniska i rzuciłem się. by go wyciągnąć...
Obudziłem się nagle cały zlany potem. śołnierze przyglądali mi się dziwnie. Potrząsnąłem głową i oparłem się o drzwi. Przez dłuższy czas wyglądałem przez szybę, obserwując majaczące w mroku kształty i starając się nie wpaść w panikę. Byłem samotny, transportowano mnie pod strażą gdzieś w nieznane, nikt nie przejmował się moimi lękami.
Około północy dojechaliśmy do dużego, słabo oświetlonego dwupiętrowego budynku z rżniętych bloków kamiennych. Minęliśmy frontowe wejście i weszliśmy przez boczne drzwi, a potem po schodkach na wąski korytarz. Zauważyłem, że wewnętrzne ściany też są z kamienia, a sufity na przemian z grubych belek i surowych desek. Całość oświetlały żarówki bez żadnych osłon zwisające na przewodach z sufitu. Przeszliśmy przez kolejne drzwi, za którymi zobaczyłem cele. Jeden z żołnierzy, który przedtem gdzieś zniknął, teraz się pojawił, otworzył drzwi jednej z nich i gestem zaprosił mnie do środka.
Wewnątrz znajdowały się trzy prycze i drewniany stolik, a na nim wazon z kwiatami. Byłem mile zaskoczony, gdyż cela okazała się czysta. Wchodząc zauważyłem, że spod ściany przygląda mi się młody, może osiemnaste-, dziewiętnastoletni Peruwiańczyk. Kiedy żołnierz zamknął za mną drzwi i odszedł, usiadłem na jednej z prycz. Młody człowiek zapalił lampkę naftową i przy jej świetle zorientowałem się, że to Indianin.
– Czy mówi pan po angielsku? – zacząłem rozmowę.
– Trochę.
– Gdzie my jesteśmy?
– W pobliżu Pullcupa.

– Czy to jest więzienie?
– Nie, ale tu przetrzymuje się wszystkich przesłuchiwanych w sprawie Rękopisu.
– Jak długo pan tu siedzi?
– Dwa miesiące. – Spojrzał na mnie nieśmiało, piwnymi oczyma.
– I co oni tu z panem robią?
– Próbują przekonać mnie, abym przestał wierzyć w przesłanie Rękopisu i poinformował ich o ludziach, którzy mają jego odbitki.
– W jaki sposób pana przekonują?
– Rozmawiają ze mną.
– Tylko rozmawiają, nie grożą?
– Nie, tylko rozmawiają – powtórzył.
– A czy mówią coś o tym, kiedy pana wypuszczą?
– Nie.
Zamilkłem, a on spojrzał na mnie pytającym wzrokiem i odezwał się:
– Czy złapali cię z odbitką Rękopisu?
– Tak, a ciebie?
– Mnie też. Mieszkam tu blisko, w sierocińcu. Nasz dyrektor uczył dzieci według wskazań Rękopisu, a ja mu pomagałem. Potem dyrektorowi udało się uciec, ale mnie złapali.
– Ile wtajemniczeń poznałeś?
– Wszystkie, jakie są. A ty?
– Nie mam jeszcze wtajemniczenia siódmego i ósmego. Siódme miałem właśnie przy sobie, ale nie zdążyłem przeczytać, kiedy pojawili się żołnierze.
Młody człowiek ziewnął i zaproponował:
– Może byśmy się przespali?
– Słusznie – zgodziłem się, wpół przytomny. Położyłem się na pryczy i przymknąłem oczy, ale nie
mogłem zatrzymać gonitwy myśli. Co mam teraz robić? Jak mogłem tak łatwo dać się złapać? Może mógłbym jakoś uciec? Zdążyłem obmyślić kilka różnych strategii, zanim w końcu zapadłem w sen.
I znów dręczyły mnie koszmary senne. Dalej szukałem

klucza, lecz tym razem zabłądziłem w gęstym lesie. Długo błądziłem chodząc w kółko, jakby oczekując jakichś wskazówek. Wreszcie rozszalała się burza, wszystko zalały strumienie deszczu. Powódź zmyła mnie w głąb wąwozu, po dnie którego płynęła rzeka. Czułem, że znosi mnie w niewłaściwym kierunku, i bałem się wirów. Ze wszystkich sił walczyłem z prądem i wydawało mi się, że to trwa całymi dniami. W końcu zaczepiłem się o skalisty brzeg i udało mi się wydostać z rwącego nurtu.

Wspinając się po skałach, wznosiłem się coraz wyżej w jeszcze bardziej zdradliwe rejony. Używając całej siły woli i zręczności pokonywałem klify, ale w pewnym momencie zawisłem niebezpiecznie, wczepiony w skalną ścianę. Nie mogłem posunąć się już ani o krok dalej. A kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem tę samą rzekę, z którą walczyłem. Wypływała z lasu i dalej biegła w kierunku pięknej plaży i łąki. A na tej łące wśród kwiatów znajdował się poszukiwany przeze mnie klucz! W tej chwili odpadłem od skały, z krzykiem wpadłem do rzeki i utonąłem!

Usiadłem na pryczy, z trudem łapiąc oddech. Młody Indianin widocznie już nie spał, bo podszedł do mnie.

– Co się stało? – zapytał.

Rozejrzałem się wokół przypominając sobie, gdzie jestem. Zauważyłem, że cela ma okno. Zaczynało już świtać.

– Miałem zły sen – uspokoiłem go. Uśmiechnął się.

– Złe sny przekazują nam najważniejsze informacje – oznajmił.

– Jakie informacje? – spytałem zdziwiony, wstając i nakładając koszulę.

– Siódme wtajemniczenie mówi o snach – odpowiedział wymijająco.

– Co mówi?

– Mówi, jak je... no...

– Objaśniać?

– Tak.

– I co tam wyczytałeś na ten temat?

– Trzeba porównać to, co się przytrafiło we śnie, z tym co ci się przytrafia w życiu.

– W jaki sposób?
Młody Indianin zerknął na mnie z boku.
– Chciałbyś, żebym wytłumaczył ci twój sen? Kiwnąłem głową i opowiedziałem, co mi się śniło. Słuchał uważnie, a potem zaproponował:
– Porównaj sen ze swoim życiem.
– Od czego mam zacząć?
– Od początku. Od czego zaczął się sen?
– Szukałem w lesie klucza.
– I jak się wtedy czułeś?
– Zagubiony.
– Jak to się ma do twojej rzeczywistej sytuacji?
– Jest jakiś związek – zgodziłem się. – Szukam odpowiedzi na pytania związane z Rękopisem i rzeczywiście czuję się cholernie zagubiony!
– I co jeszcze naprawdę dzieje się z tobą? – sondował dalej.
– Schwytano mnie i zamknięto, mimo wszystkich moich wysiłków. Jedyne, na co teraz mogę liczyć, to przekonanie kogo trzeba, żeby mnie wypuścił.
– Walczyłeś, aby cię nie schwytano?
– Właśnie.
– A co działo się we śnie?
– Walczyłem z prądem rzeki.
– Dlaczego?
Zacząłem pojmować, do czego zmierza mój towarzysz.
– Bałem się, że mnie uniesie.
– A co by się stało, gdybyś nie opierał się prądowi?
– Może zniósłby mnie do klucza? To chcesz powiedzieć? Może gdybym dał ponieść się wydarzeniom, uzyskałbym odpowiedzi, których szukam?
Spojrzał na mnie stropiony.
– Ja nic nie mówię. To twój sen wszystko mówi. Przemyślałem to szybko. Czy możliwe, żeby taka interpretacja była słuszna?
– A gdybyś miał przeżyć ten sen jeszcze raz, co byś zrobił inaczej? – spytał młody Indianin.
– Nie opierałbym się prądowi wody, nawet gdyby wyglądała groźnie. Wiedziałbym, że należy dać się unieść.

– A co w życiu wydaje ci się teraz groźne?
– Chyba żołnierze. Samo to, że jestem zatrzymany.
– Cóż więc z tego wynika?
– Czy sen mówi, że należy dopatrzyć się w zatrzymaniu dobrych stron? Tak myślisz?
Nie odpowiedział. Uśmiechnął się.
Siedziałem na pryczy, opierając się plecami o ścianę. Ta interpretacja mnie zbulwersowała. Jeśli jest słuszna, oznacza to. że nie popełniłem błędu, wybierając akurat tę drogę. Widać był to element zdarzeń, które przyjść musiały.
– Jak się nazywasz? – spytałem.
– Pablo – odpowiedział.
Ja też się przedstawiłem, po czym krótko opowiedziałem mu całą historię przyjazdu do Peru i to, co się dotychczas wydarzyło. Pablo słuchał, siedząc na pryczy, z łokciami na kolanach. Zauważyłem, że miał krótko ścięte, czarne włosy i był bardzo chudy.
– Po co przyjechałeś akurat w to miejsce? – spytał jeszcze raz.
– Aby dowiedzieć się czegoś więcej o Rękopisie.
– A bardziej konkretnie?
– Aby dowiedzieć się czegoś więcej o siódmym wtajemniczeniu i moich znajomych, Wilu i Marjorie. Chciałem także dowiedzieć się, dlaczego Kościół zwalcza Rękopis.
– Tu jest wielu księży, z którymi będziesz mógł porozmawiać – powiedział zagadkowo.
Zastanawiałem się chwilę nad jego słowami, po czym zadałem kolejne pytanie:
– Co jeszcze siódme wtajemniczenie mówi o snach?
Pablo powiedział mi, że sny pojawiają się, aby przekazać nam te informacje o naszym życiu, których nam brakuje. Mówił coś jeszcze, ale już nie słuchałem, bo zacząłem myśleć o Marjorie. W wyobraźni widziałem wyraźnie jej twarz. Zastanawiałem się, gdzie ona może być, i nagle jakbym zobaczył ją -biegła do mnie z uśmiechem.
– Przepraszam, zamyśliłem się – usprawiedliwiłem się, gdy dotarło do mnie, że Pablo zamilkł. – Co jeszcze mówiłeś?
– Nic ważnego. A o czym myślałeś?

– O pewnej mojej znajomej.

Czułem, że chciał rozwinąć ten temat, lecz usłyszeliśmy, jak ktoś podszedł do drzwi naszej celi. Przez okratowane okienko zobaczyliśmy żołnierza otwierającego zasuwę.

– Będzie śniadanie – poinformował mnie Pablo. śołnierz otworzył drzwi i dał nam głową znak, abyśmy

wyszli na korytarz. Pablo szedł pierwszy. Udaliśmy się po schodach piętro wyżej do małej jadalni. W rogu stało kilku żołnierzy, a jacyś cywile, dwóch mężczyzn i jedna kobieta, czekali w kolejce do bufetu.

Stanąłem jak wryty, nie wierząc własnym oczom. Tą kobietą była Marjorie! Równocześnie ona dojrzała mnie i aż zakryła usta dłonią, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. Obejrzałem się, gdzie jest żołnierz, który szedł za nami. Okazało się. że podszedł do kolegi stojącego w rogu i mówił coś do niego z nonszalanckim uśmiechem. Tymczasem Pablo przeprowadził mnie przez całą salę i stanęliśmy na końcu kolejki.

Marjorie właśnie czekała na swoją porcję, podczas gdy dwaj stojący przede mną mężczyźni zabrali już otrzymane tace do stolika. Marjorie kilka razy oglądała się i nasze spojrzenia spotykały się. Pablo bardzo szybko domyślił się, że się znamy, i zerknął na mnie pytająco. Marjorie zaniosła swoją tacę do stolika, a my, kiedy też zostaliśmy obsłużeni, przysiedliśmy się do niej. śołnierze nadal rozmawiali ze sobą, najwidoczniej obojętni na to, co robimy.

– Och, jak się cieszę, że cię widzę! – powiedziała radośnie.

– Jak się tu dostałeś?

– Przez jakiś czas ukrywałem się u księży – wyjaśniłem. - Potem próbowałem odnaleźć Wiła i wczoraj mnie złapali. A ty jak długo tu siedzisz?

– Odkąd zatrzymali mnie tam w górach. Przedstawiłem Marjorie Pabla.

Wymienili kilka grzecznościowych zdań, po czym zwróciłem się do Marjorie:

– Co było dalej?

– Nic szczególnego. Wciąż nie znam przyczyn mojego zatrzymania. Codziennie któryś z księży lub oficerów wzywa

mnie na przesłuchanie. Pytają przede wszystkim o moje kontakty z Viciente i gdzie są pozostałe egzemplarze Rękopisu. I tak w kółko.
Marjorie uśmiechnęła się z taką słodyczą, że poczułem do niej silny pociąg. Rzuciła mi karcące spojrzenie spod oka i oboje zaśmialiśmy się cicho. Po chwili otwarły się drzwi i wszedł jakiś duchowny w asyście oficera wyższej rangi.
– Ten ksiądz jest tu najważniejszy – wyjaśnił Pablo. Oficer powiedział coś do żołnierzy, którzy trzaskając obcasami stanęli na baczność. Potem razem z duchownym
przeszli przez salę w stronę kuchni. Dostojnik spoglądał prosto na mnie i przez dłuższa chwilę nasze spojrzenia się krzyżowały. Ponieważ raczej nie chciałem przyciągać jego uwagi, odwróciłem wzrok i zająłem się jedzeniem. Obaj mężczyźni minęli kuchnię i wyszli tylnymi drzwiami.
– Czy to jeden z tych księży, którzy cię przesłuchiwali? - spytałem Marjorie.
– Nie, nigdy go tu nie widziałam.
– Ja go znam – włączył się Pablo. – On przyjechał wczoraj. To kardynał Sebastian.
– To był kardynał Sebastian?! – aż się uniosłem na krześle.
– Słyszałeś już coś o nim? – zainteresowała się Marjorie.
– I owszem, nawet dużo. To właśnie on stoi na czele tej krucjaty przeciw Rękopisowi. Myślałem, że jest teraz w misji księdza Sancheza.
– A kto to jest ksiądz Sanchez? – Zanim jej odpowiedziałem, ten sam żołnierz, który nas tu przyprowadził, podszedł do naszego stolika i skinął na Pabla i na mnie.
– Teraz będzie spacer – wyjaśnił Pablo. Popatrzyliśmy z Marjorie po sobie. W jej wzroku odbił się niepokój.
– Nie martw się – uspokoiłem ją. – Porozmawiamy przy następnym posiłku. Wszystko będzie dobrze.
Wychodząc zastanawiałem się jednak, czy mój optymizm jest uzasadniony. Przecież ci ludzie mogli spowodować, aby każde z nas w dowolnym momencie znikło bez śladu.
Tymczasem żołnierz eskortował nas przez krótki korytarz ku zewnętrznym schodom, a stamtąd na boczny dziedziniec otoczony wysokim, kamiennym murem. Potem stanął przy

wejściu, a Pablo kiwnął na mnie i zaczęliśmy spacerować wokół podwórza. Pablo co pewien czas schylał się i zrywał kwiaty rosnące pod murem.
Poprosiłem, żeby mi opowiedział o siódmym wtajemniczeniu.
– Okazuje się – powiedział schylając się po kolejny kwiatek
– że nie tylko sny dają nam wskazówki, ale także myśli i marzenia.
– Tak mówił ksiądz Carl. Ale jak to funkcjonuje? Co na przykład mówią marzenia?
– Widzimy w wyobraźni jakiś obraz lub wydarzenie. To jest dla nas wskazówka, co może się stać. Jeżeli zwrócimy na to uwagę, będziemy przygotowani, gdy nastąpi.
– Wiesz, że widziałem w myślach Marjorie? I teraz ją spotkałem!
Uśmiechnął się.
Poczułem dreszcz podniecenia. A więc jestem na dobrej drodze! Intuicyjnie przewidziałem to, co nastąpiło. Przecież wiele razy marzyłem o spotkaniu z Marjorie i to się spełniło!
– Ale takie myśli nawiedzają mnie bardzo rzadko – odezwałem się po chwili.
– Siódme wtajemniczenie mówi – powiedział Pablo w zamyśleniu – że mamy takich wizji więcej, niż nam się wydaje. Aby je rozpoznać, musimy przyjąć postawę obserwatora. Kiedy taka wizja nas nawiedzi, musimy zadać sobie pytanie: Dlaczego myślę o tym właśnie teraz? Jaki to ma związek z moimi aktualnymi problemami życiowymi? Postawa obserwatora pomaga nam uwolnić się od obsesji kontroli. Umiejscawia nas w nurcie ewolucji.
– A myśli negatywne? Jak traktować przeczucia, że stanie się coś złego, ukochaną osobę spotka nieszczęście lub nie otrzymamy czegoś, czego bardzo pragniemy?
– To proste – odparł Pablo. – Takie obrazy powinniśmy tłumić w zarodku, gdy tylko się pojawią. Siłą woli można wywołać inne wizje, o pozytywnym wydźwięku. Po pewnym czasie złe myśli staną się coraz rzadsze, aż przestaną się pojawiać. Nasza intuicja będzie nastawiona na przeżycia pozytywne. Jeśli wówczas mimo to nawiedzą nas jakieś

negatywne wizje, należy potraktować je bardzo poważnie i starać się zapobiec ich spełnieniu. Na przykład, jeśli mamy przeczucie, że ulegniemy wypadkowi samochodowemu, a wkrótce potem ktoś zaproponuje nam podwiezienie samochodem, nie należy się na to zgadzać.

Akurat zrobiliśmy na naszym spacerniku pełne kółko i zbliżaliśmy się do strażnika. Kiedy go mijaliśmy, przerwaliśmy rozmowę. Pablo zerwał kwiat, a ja wykonałem głęboki oddech. Powietrze było tu ciepłe, wilgotne, a za murem krzewiła się gęsta, tropikalna roślinność. Zauważyłem nawet kilka komarów.

Nagle żołnierz zawołał nas:

– Chodźcie!

Ponaglał, abyśmy weszli do budynku i wrócili do naszej celi. Gdy Pablo wszedł do środka, żołnierz zagrodził mi ręką drogę mówiąc:

– Ty nie!

Prowadził mnie korytarzem, a później schodami i na zewnątrz, przez te same drzwi, którymi wczoraj weszliśmy. Akurat na parkingu kardynał Sebastian zajmował miejsce na tylnym siedzeniu dużego samochodu i szofer zatrzaskiwał za nim drzwi. Przez chwilę znów skrzyżowały się nasze spojrzenia, potem odwrócił się. powiedział coś do kierowcy i samochód ruszył.

śołnierz popchnął mnie lekko w stronę frontowego wejścia i tamtędy wprowadził do jakiegoś biura. Kazał mi usiąść na krześle naprzeciw białego metalowego biurka. Po chwili wszedł niski, rudawy ksiądz około trzydziestki i usiadł za biurkiem nie zwracając uwagi na mnie. Chyba z minutę przeglądał akta. Potem podniósł wzrok. Okulary w okrągłych, złotych ramkach nadawały mu wygląd intelektualisty.

– Został pan aresztowany pod zarzutem nielegalnego posiadania dokumentów państwowych – oświadczył rzeczowym tonem. – Mam za zadanie stwierdzić, czy ten zarzut jest uzasadniony. Liczę na pana współpracę przy ustalaniu prawdy.

Kiwnąłem głową.

– Skąd pan wziął te papiery? – padło pierwsze pytanie.

– Nie rozumiem, dlaczego odbitki jakiegoś starego rękopisu mają być nielegalne – odpowiedziałem.
– Rząd Peru ma swoje powody – odrzekł. – Proszę odpowiadać na pytania.
– Ale dlaczego zajmuje się tym Kościół? – nie dawałem za wygraną.
– Rękopis jest sprzeczny z tradycjami naszej wiary. Mylnie przedstawia naturę duchowości człowieka. A więc skąd...
– Chwileczkę – wszedłem mu w słowo. – Staram się zrozumieć, o co tu chodzi. Jestem tylko turystą, który interesuje się tym Rękopisem. Absolutnie nikomu nie zagrażam. Chciałbym wiedzieć, co w tym jest niebezpiecznego.
Ksiądz był zaskoczony i przez chwilę najwidoczniej zastanawiał się nad wyborem najwłaściwszej metody postępowania z takim osobnikiem jak ja.
– Kościół uważa, że ten Rękopis sieje zamieszanie w umysłach ludzkich – odpowiedział ostrożnie. – Stwarza ludziom złudzenie, że mogą sami decydować o własnej drodze życiowej, nie oglądając się na przykazania boskie.
– Które na przykład? – celowo wdałem się w szczegóły.
– Czcij ojca swego i matkę swoją.
– W jaki sposób?
– Rękopis podważa rolę rodziny i winą za jej upadek obarcza rodziców.
– Wydawało mi się. że raczej nawołuje do wygaszania starych urazów i odkrycia pozytywnych aspektów naszego wczesnego dzieciństwa.
– To jest fałszywa interpretacja! – zaoponował. – Nie można zaczynać od wzbudzania uczuć negatywnych.
– A czy rodzice nie mogą się mylić?
– Rodzice chcą jak najlepiej. Dzieci muszą wybaczyć im ewentualne błędy.
– Czyż nie to właśnie zaleca Rękopis? Czy odnalezienie pozytywnych stron naszego dzieciństwa nie oznacza wybaczenia?
– Ale w czyim imieniu przemawia ten Rękopis? – podniósł gniewnie głos. – Jak można mu zaufać?
Zaczął krążyć wokół biurka, patrząc na mnie z góry.

– Pan nie wie, o czym pan mówi! Podejrzewam, że nie jest pan specjalistą w dziedzinie teologii. Raczej klasycznym przykładem tego, jakie zamieszanie w umyśle może spowodować ten Rękopis. Czy nie rozumie pan, że porządek na tym świecie wyznaczają prawo i władza? Jak pan śmie kwestionować stanowisko uznanych autorytetów w tej dziedzinie?
Milczałem, co złościło go jeszcze bardziej.
– Coś panu powiem! Popełnił pan przestępstwo zagrożone co najmniej kilkuletnim więzieniem. Siedział pan kiedyś w peruwiańskim więzieniu? Chce pan zaspokoić swoją jankeską ciekawość i przekonać się, jak tam jest? Mogę to panu ułatwić! Rozumie pan? Mogę to panu ułatwić! – Zasłonił oczy ręką i nabrał w płuca powietrza, jakby próbując się uspokoić. – Moim zadaniem jest dowiedzieć się, skąd pochodzą te kopie i kto jeszcze jest w ich posiadaniu. Pytam pana jeszcze raz, od kogo dostał pan tę broszurę?
Zaniepokoił mnie jego wybuch złości. Wyszło na to, że swoimi pytaniami tylko pogorszyłem własną sytuację. Co się stanie, jeżeli odmówię współpracy? Jak mógłbym obciążyć księdza Sancheza i księdza Carla?
– Potrzebowałbym trochę czasu do namysłu. Przez chwilę wydawało mi się, że znów wpadnie w złość, ale odprężył się i teraz robił raczej wrażenie bardzo zmęczonego.
– Dobrze, daję panu czas do jutra rana – oznajmił i dał znak stojącemu w drzwiach żołnierzowi, aby mnie wyprowadził. Wróciłem za nim wprost do celi.
Padłem na pryczę, gdyż czułem się kompletnie wyczerpany. Pablo wyglądał przez okratowane okno.
– Czy rozmawiałeś z kardynałem Sebastianem? – spytał.
– Nie, to był jakiś inny ksiądz. Chciał się dowiedzieć, kto dał mi odbitkę, którą przy mnie znaleziono.
– I co mu powiedziałeś?
– Nic. Prosiłem o czas do namysłu i on się zgodził.
– Mówił coś o Rękopisie?
– Mówił, że Rękopis podważa tradycyjne wartości... Potem krzyczał i groził mi.
W oczach Pabla widziałem wyraz zaskoczenia.

– Czy ten ksiądz był rudy i miał okrągłe okulary? – spytał.
– Tak jest.
– To ksiądz Costous. Co mu jeszcze powiedziałeś?
– Spierałem się z nim, czy Rękopis rzeczywiście godzi w tradycje. Groził mi więzieniem. Myślisz, że mówił poważnie?
– Nie wiem – odpowiedział Pablo siadając naprzeciw mnie na swojej pryczy.
Czułem, że chce mi coś powiedzieć, lecz z przerażenia i zmęczenia oczy same mi się zamykały. Obudziłem się, gdy Pablo potrząsając mną zawiadamiał, że czas na obiad.
Znowu poszliśmy za strażnikiem piętro wyżej i otrzymaliśmy danie złożone z łykowatej wołowiny i kartofli. Zaraz za nami weszli ci sami dwaj mężczyźni, którzy przedtem byli, lecz tym razem nie było z nimi Marjorie.
– Gdzie jest Marjorie? – spytałem ich możliwie najcichszym szeptem. Przerazili się, że w ogóle ośmielam się do nich odzywać, a i żołnierze *zaczęli* mi się bacznie przyglądać.
– Nie wydaje mi się, aby rozumieli po angielsku – włączył się Pablo.
– Ale ja muszę wiedzieć, gdzie ona jest!
Pablo coś mi odpowiedział, ale moje myśli znów gdzieś odpłynęły. Wydało mi się, jakbym uciekał. Widziałem siebie, jak biegnę jakąś ulicą, w pewnym momencie pochylam się i uskakuję w bok, w jakieś drzwi, za którymi jest wolność.
– O czym myślisz? – spytał Pablo.
– Wyobrażałem sobie, że uciekam. I co ty na to?
– Chwileczkę – ożywił się Pablo. – Staraj się zatrzymać te myśli. To może być ważne. Jak wyglądała ta ucieczka?
– Biegłem wzdłuż jakiejś ulicy czy alei, potem rzuciłem się do jakichś drzwi. Miałem wrażenie, że ucieczka mi się udała.
– I co o tym sądzisz?
– Nie wiem, co o tym sądzić! Nie widzę żadnego logicznego związku z tym, o czym rozmawialiśmy.
– A pamiętasz dokładnie, o czym rozmawialiśmy?
– Tak, chciałem się dowiedzieć coś o Marjorie.
– A nie wydaje ci się, że twoja wizja może mieć coś wspólnego z Marjorie?

– Nie widzę bezpośredniego związku.
– To może pośredni?
– Też nie widzę. Co ucieczka może mieć wspólnego z Marjorie? Myślisz, że ona mogła uciec?
– Ty widziałeś w myślach własną ucieczkę – powiedział powoli, jakby sam do siebie.
– No tak, może rzeczywiście coś w tym jest – ucieszyłem się. – Mógłbym uciekać sam, ale mógłbym też uciekać z nią.
– I może tak się stanie.
– Ale gdzie ona może być?
– Nie mam pojęcia.
W milczeniu skończyliśmy posiłek. Wprawdzie czułem głód, ale to danie nie wyglądało zachęcająco. Poza tym byłem jednak bardziej zmęczony i śpiący niż głodny.
Zauważyłem, że Pablo też już nie je.
– Lepiej wracajmy do celi – stwierdził.
Zgodziłem się z nim, więc skinął na żołnierza, żeby nas odprowadził. Kiedy znaleźliśmy się na miejscu, wyciągnąłem się na pryczy, a Pablo usiadł obok i przyglądał mi się.
– Chyba spada ci poziom energii – zauważył.
– Chyba tak – przyznałem. – Nie wiem, co się stało.
– Czy próbowałeś ją uzupełnić?
– Prawdę mówiąc nie. Tutejsze jedzenie temu nie służy.
– Jeżeli dobrze wchłaniasz wszystko – zakreślił ręką krąg symbolizujący wszystko – nie potrzebujesz dużo jedzenia.
– Wiem, ale w takiej sytuacji jak ta trudno mi wzbudzić w sobie strumień miłości.
– W ten sposób możesz sobie zaszkodzić – stwierdził zagadkowo.
– Jak to?
– Nasze ciała potrzebują określonego nasycenia energią. Jeśli jej poziom spadnie poniżej granicy naszej potrzeby, organizm może na tym ucierpieć. Na tym polega zależność miedzy stresem a chorobą. Miłość podnosi poziom naszej energii. Pomaga nam zachować zdrowie. To jest bardzo ważne.
– Daj mi trochę czasu, spróbuję.
Uciekłem się do metody, której nauczył mnie ksiądz Sanchez. Od razu poczułem się lepiej. Wszystkie przedmioty w

moim otoczeniu nabrały innego wyglądu. Zamknąłem oczy, aby zatrzymać to uczucie.
– O, tak, dobrze! – podsumował Pablo.
Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem jego szeroki uśmiech. Mimo że twarz i całe ciało Pabla pozostały chłopięce, oczy promieniowały dojrzałą mądrością.
– Teraz widzę, jak pochłaniasz energię – oświadczył. Natomiast ja zdołałem dostrzec zielone biopole wokół jego
postaci. Zerwane przez niego kwiaty, stojące pod oknem, promieniowały.
– Aby opanować siódme wtajemniczenie i włączyć się w nurt ewolucji – tłumaczył Pablo – należy wyciągnąć wnioski z wszystkich wtajemniczeń i na podstawie tego, co nam one dały, wypracować sobie nową filozofię życia.
Słuchałem w milczeniu.
– Czy potrafiłbyś podsumować zmiany, jakie zaszły w twoim postrzeganiu świata dzięki naukom wtajemniczeń? Pomyślałem chwilę.
– Wydaje mi się, jakbym obudził się ze snu. Świat nagle wydał mi się cudownym miejscem, w którym możemy mieć wszystko, czego potrzebujemy, jeśli tylko mamy świadomość naszej misji życiowej.
– I co się wtedy dzieje?
– Wtedy jesteśmy gotowi do włączenia się w nurt ewolucji.
– W jaki sposób?
Znów musiałem zastanowić się nad odpowiedzią.
– Mamy stale w pamięci nasze bieżące problemy i zadania życiowe i pilnie wypatrujemy wskazówek, jak je rozwiązać. Mogą one pojawić się we śnie, może nam je podpowiedzieć intuicja lub poznamy je po szczególnych kształtach i barwach, jakie przybiorą przedmioty w naszym otoczeniu. – Przerwałem. starając się objąć myślą całość przesiania wtajemniczeń, po czym dodałem: – Jeżeli w konkretnych sytuacjach, w obliczu konkretnych problemów potrafimy się skupić i zgromadzić zapas energii, wówczas intuicja podpowie nam, do czego mamy dążyć. A wtedy pojawią się zbiegi zdarzeń i one wskażą nam, jaki krok mamy wykonać, aby zmierzać we właściwym kierunku.

– O, tak! – pochwalił mnie Pablo. – Rozumujesz prawidłowo. I zawsze, kiedy zbieg zdarzeń naprowadzi nas na coś nowego, nasza osobowość wzbogaca się i zaczynamy funkcjonować na wyższym stopniu ewolucji.
Pochylił się w moją stronę i zauważyłem wokół niego intensywne biopole. Nie robił już wrażenia nieśmiałego chłopca, jak na początku, wręcz promieniował siłą i energią.
– Co się z tobą dzieje? – zdziwiłem się. – Jesteś teraz o wiele bardziej pewny siebie, jakiś pełniejszy, lepiej wyposażony wewnętrznie, niż wtedy kiedy cię poznałem.
Zaśmiał się.
– Kiedy tu przybyłeś, pozwoliłem mojej energii rozproszyć się. Myślałem, że będziesz w stanie pomóc mi skoncentrować ją, ale zorientowałem się, że jeszcze nie jesteś do tego przygotowany. Tę umiejętność daje dopiero ósme wtajemniczenie.
To mnie zaskoczyło.
– Co to takiego, do czego nie byłem przygotowany?
– Musisz się nauczyć, że wszystkie odpowiedzi, które tajemniczym sposobem oświecają nas, zawsze pochodzą od innych ludzi. Pomyśl o tym wszystkim, czego dowiedziałeś się, odkąd przyjechałeś do Peru. Właściwe odpowiedzi poznałeś przez działania ludzi, których spotkałeś w dziwnych okolicznościach.
Oczywiście miał rację. W odpowiednich momentach trafiałem na odpowiednich ludzi. Najpierw była to Charlene, potem Dobson, Wił, Dale, Marjorie, Phil, Reneau, ksiądz Sanchez. ksiądz Carl, a teraz Pablo.
– W końcu Rękopis został stworzony przez ludzi – dodał Pablo. – Oczywiście nie wszyscy napotkani przez ciebie ludzie mają dość energii lub dostateczną świadomość, aby przekazać ci informację, którą dla ciebie mają. Czasem musisz im pomóc oddając im trochę własnej energii. – Przerwał na chwilę, po czym dodał: – Opowiadałeś, jak uczyłeś się przekazywać energię roślinie. To samo można zrobić w stosunku do człowieka. Ktoś. komu przekazujesz energię, uświadamia sobie swoją prawdziwą rolę i przekazuje ci swoją prawdę. Tak na przykład ksiądz Costous. Miał dla ciebie ważne przesłanie, ale

ty nie pomogłeś mu go wyjawić. Zadawałeś mu pytania i żądałeś odpowiedzi. To wprowadziło między was element rywalizacji o energię. Wtedy doszła do głosu jego gra kontroli z okresu dzieciństwa, gra terrorysty, i zdominowała waszą rozmowę.
– Co powinienem był mu powiedzieć? – zapytałem.
Pablo nie zdążył odpowiedzieć, gdyż usłyszeliśmy, jak ktoś otwiera drzwi naszej celi. W drzwiach stanął ksiądz Costous.
Z ledwo dostrzegalnym uśmiechem skinął głową, a Pablo odpowiedział mu wylewną serdecznością, jakby w danej chwili darzył księdza wielką sympatią. Ksiądz przeniósł wzrok na mnie i jego spojrzenie nabrało wyrazu surowości. Ze strachu zaczęło ściskać mnie w dołku.
– Kardynał Sebastian *życzy* sobie widzieć pana – oznajmił.
– Dziś po południu pojedzie pan do Iquitos. Radziłbym panu odpowiadać na wszystkie pytania Jego Eminencji.
– Dlaczego kardynał chce mnie widzieć? – spytałem.
– Zatrzymano pana w samochodzie należącym do jednego z naszych księży. Podejrzewamy, że znalezione przy panu odbitki otrzymał pan od niego, a ze strony naszego kapłana byłoby to bardzo poważne naruszenie prawa.
Spojrzałem spod oka na Pabla, który dał mi znak, abym podjął dyskusję.
– Więc ksiądz sądzi, że Rękopis podważa fundamenty waszej religii? – zapytałem uprzejmie.
– Nie tylko naszej, ale każdej religii – objaśnił protekcjonalnym tonem. – Czy myśli pan, że świat jest urządzony bez planu? Bóg wszystkim kieruje. On określa nasze przeznaczenie. Naszym zadaniem jest przestrzeganie praw ustanowionych przez Stwórcę. Teoria ewolucji jest fałszywa. Bóg kształtuje przyszłość według swoich zamierzeń. Twierdzenie, że ludzie mogą sami decydować o własnym rozwoju, sterować ewolucją, eliminuje udział woli boskiej. Wytwarza to w ludziach egoizm i wyobcowanie. Zaszczepienie w człowieku przekonania, że liczy się własna ewolucja, a nie zamierzenia Stwórcy, uczyni stosunki międzyludzkie gorszymi, niż są obecnie.
Nie przyszło mi do głowy żadne inne pytanie. Ksiądz

przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, potem dodał tonem nieomal życzliwym:
– Mam nadzieję, że wykaże pan wole współpracy z kardynałem Sebastianem.
Spojrzał przy tym na Pabla takim wzrokiem, jakby chwalił się przed nim, że tak dobrze poradził sobie z moim pytaniem. Pablo z uśmiechem skinął mu głową. Ksiądz wyszedł i żołnierz zamknął za nim drzwi. Pablo siedział pochylony na pryczy z pewnym siebie wyrazem twarzy, promieniując energią.
– I jak sądzisz, co się teraz stało? – zagadnął.
– Pewnie wpakowałem się w jeszcze gorsze tarapaty – próbowałem żartować.
Roześmiał się.
– Ale co jeszcze?
– Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.
– Jakie były twoje najważniejsze problemy, gdy tu przybyłeś?
– Chciałem odnaleźć Marjorie i Wiła.
– No i jedną z tych osób już odnalazłeś. Co cię jeszcze dręczyło?
– Nawiedziła mnie taka myśl, że księża, którzy zwalczają Rękopis, robią to nie ze złej woli, lecz dlatego że go nie rozumieją. Byłem ciekaw, co oni naprawdę myślą. Wydawało mi się, że można by ich jakoś przekonać.
Nagle zrozumiałem, do czego zmierza Pablo. Poznając księdza Costousa, tu i teraz, otrzymywałem szansę, by dowiedzieć się, co w Rękopisie najbardziej niepokoi Kościół.
– No i jaką informację dziś otrzymałeś? – pytał dalej.
– Informację?
– Tak, właśnie informację. Spojrzałem na niego niepewnie.
– Chyba Kościół odrzuca koncepcję naszego uczestnictwa w ewolucji.
– Właśnie.
– Wynika stąd – rozwijałem myśl – że już idea fizycznej ewolucji organizmów jest dla nich wystarczającym złem. A rozszerzenie tej koncepcji na całe nasze życie, na podejmowane decyzje, na cały proces historyczny jest zupełnie nie do przyjęcia. Księżom wydaje się, że uczestnictwo w ewolucji doprowadziłoby ludzkość do obłędu, a stosunki międzyludzkie

znacznie by się pogorszyły. Nic więc dziwnego, że woleliby skazać Rękopis na zapomnienie.
– Czy byłbyś w stanie przekonać ich, że tak nie jest?
– Chyba nie. Sam jeszcze za mało wiem.
– A kto mógłby ich przekonać?
– Ktoś, kto znałby całą prawdę, kto by wiedział, jak naprawdę ludzie będą odnosić się do siebie, kiedy przyswoją sobie wszystkie wtajemniczenia i włączą się w nurt ewolucji.
Nagle wydał mi się bardzo zadowolony.
– Co cię tak cieszy? – spytałem śmiejąc się.
– O tym traktuje ósme wtajemniczenie. Znalazłeś już odpowiedź na pytanie, dlaczego księża zwalczają Rękopis, ale z niej wynikło następne pytanie.
– Tak – myślałem głośno. – To znaczy, że muszę odnaleźć ósme wtajemniczenie. A to z kolei znaczy, że muszę wydostać się stąd.
– Nie tak szybko! – przestrzegł mnie Pablo. – Zanim posuniesz się dalej, musisz być pewien, że zgłębiłeś wtajemniczenie siódme.
– A jak uważasz, zgłębiłem je? Wszedłem już w nurt ewolucji?
– Tak, bylebyś tylko miał stale w pamięci twoje pytania. Ludzie, którzy nie są ich świadomi, też mogą natknąć się na odpowiedzi, lecz dostrzegają w nich zbieg zdarzeń dopiero z perspektywy czasu. Siódmy stopień wtajemniczenia pozwala nam odczytywać odpowiedzi, gdy tylko się pojawią. Zwiększa to znaczenie codziennych doświadczeń.
Musimy założyć, że każde wydarzenie coś znaczy i zawiera w sobie informację, która odnosi się do naszych pytań. Dotyczy to zwłaszcza doświadczeń, które uważamy za negatywne.
Siódme wtajemniczenie uczy, że należy szukać dobrych stron w każdym zdarzeniu, nawet pozornie negatywnym. Tak na przykład początkowo uważałeś, że twoje uwięzienie to koniec wszystkiego. Teraz zdajesz sobie sprawę, że tu znalazłeś odpowiedzi na dręczące cię pytania.
Brzmiało to logicznie. Jeżeli jednak ja otrzymałem tutaj odpowiedzi i osiągnąłem wyższy stopień ewolucyjnego rozwoju, to z Pablem może było tak samo.

Wtem usłyszeliśmy kroki na korytarzu. Pablo spojrzał na mnie bardzo poważnie.
– Zapamiętaj, co ci teraz powiem – mówił szybko. – Masz przed sobą ósme wtajemniczenie. Dotyczy ono etyki w stosunkach między ludźmi, czyli takiego postępowania, aby mogli przekazywać sobie jak najwięcej informacji. Tylko nie spiesz się, skoncentruj się na swojej sytuacji. Jakie są teraz twoje pytania?
– Chciałbym dowiedzieć się, gdzie jest Wił. Chciałbym odnaleźć ósme wtajemniczenie... no i chciałbym odnaleźć Marjorie!
– A co podpowiada ci intuicja na temat Marjorie? Przypomniałem sobie.
– śe uda mi się... uda nam się uciec... Usłyszeliśmy kroki pod drzwiami.
– Czy dostarczyłem ci jakiejś informacji? – spytałem Pabla szybko.
– Oczywiście – potwierdził. – Kiedy cię tu przywieźli, jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, w jakim celu tu jestem. Przypuszczałem, że idzie o upowszechnianie siódmego wtajemniczenia, ale wydawało mi się, że wiem jeszcze bardzo mało. Dzięki tobie już wiem, że tak nie jest. To była jedna informacja, jaką miałeś dla mnie.
– A były też inne?
– Tak, choćby twoje przeświadczenie, że można przekonać księży, by zaakceptowali Rękopis. To także informacja dla mnie, że jestem tu po to, aby dyskutować z księdzem Costousem.
Wszedł żołnierz i gestem nakazał mi wyjść.
– Jeszcze ci tylko podam główną myśl następnego wtajemniczenia – dodał szybko Pablo, ale żołnierz zmierzył go nieprzyjaznym wzrokiem, wypchnął mnie za ramię przez drzwi i zamknął je za mną. Kiedy przechodziłem koło okna, Pablo wyglądał przez kraty i krzyczał za mną:
– Ósme wtajemniczenie przestrzega, że twój rozwój może się zatrzymać, jeśli za bardzo uzależnisz się od innej osoby!

Etyka w stosunkach międzyludzkich

Wyszedłem za żołnierzem wprost w jaskrawe światło dnia. W uszach jeszcze brzmiała mi przestroga Pabla. Uzależnienie od innej osoby! Co chciał przez to powiedzieć? Na czym miałoby to polegać?
śołnierz zaprowadził mnie na parking, gdzie koło wojskowego dżipa stali już dwaj inni żołnierze i uporczywie się nam przyglądali. Kiedy podszedłem bliżej, stwierdziłem, że na tylnym siedzeniu jest już jakiś pasażer. Była to Marjorie, blada i wystraszona. Zanim nasze spojrzenia się spotkały, mój konwojent złapał mnie za ramię i popchnął na siedzenie obok niej. Dwaj pozostali żołnierze zajęli miejsca z przodu. Ten, który siadł za kierownicą, obejrzał się na nas, potem zapalił silnik i ruszył.
– Czy któryś z panów mówi po angielsku? – rzuciłem pytanie.
Potężnej budowy osobnik siedzący obok kierowcy popatrzył na mnie pustym wzrokiem, powiedział po hiszpańsku coś, czego nie zrozumiałem, i odwrócił się. Mogliśmy więc z Marjorie swobodnie rozmawiać.
– Dobrze się czujesz? – spytałem po cichu.
– Tt... tak – wyszeptała nabrzmiałym łzami głosem.
– Wszystko będzie dobrze – zapewniłem, otaczając ją ramieniem. Z trudem zmusiła się do uśmiechu, ale w końcu oparła głowę o mój bark. Poczułem wzbierający przypływ uczuć.
Około godziny tłukliśmy się po wyboistej drodze. Otoczenie coraz bardziej nabierało charakteru tropikalnej dżungli. W końcu za którymś zakrętem gęsta roślinność nieco się rozrzedziła i wyłoniło się z niej małe miasteczko. Po obu stronach drogi pojawiły się drewniane budynki.
Jakieś sto metrów przed nami drogę blokowała potężna ciężarówka. Kilku żołnierzy sygnalizowało kierowcy, żeby się zatrzymał. Zza nich było widać inne samochody, niektóre z włączonymi światłami postoju. Wzmogło to moją czujność. Jeden ze stojących na szosie żołnierzy podszedł do nas i

powiedział coś, z czego zrozumiałem tylko słowo “benzyna". Nasza eskorta wysiadła z wozu i przyłączyła się do reszty wojskowych. Stali z bronią u boku, od czasu do czasu rzucając na nas okiem.

Zauważyłem, że od naszej trasy odchodzi w lewo mała uliczka. Kiedy obserwowałem znajdujące się tam sklepy i bramy, nagle coś zmieniło się w moim systemie postrzegania. Budynki nabrały ostrzejszych kształtów i kolorów, wyraźnie odcinały się od tła.

Szeptem zwróciłem na to uwagę Marjorie, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, potężna eksplozja targnęła dżipem. Przed nami wystrzelił w górę pióropusz ognia i błysk światła, a siła wybuchu rzuciła żołnierzy na ziemię. Pole widzenia natychmiast zasnuło się dymem i opadającym popiołem.

– Uciekajmy! – krzyknąłem, wyciągając Marjorie z wozu. Korzystając z zamieszania, udało się nam wymknąć w kierunku uliczki, którą przedtem zauważyłem. Za nami słychać było jakieś krzyki i jęki. W obłokach dymu przebiegliśmy około pięćdziesięciu metrów, aż w pewnym momencie zauważyłem otwarte drzwi jednego z domów.

– Tutaj! – krzyknąłem do Marjorie. Wbiegliśmy do środka i dla pewności zamknąłem te drzwi za sobą. A kiedy się rozejrzałem, poczułem na sobie czyjś wzrok. Okazało się, że wpadliśmy do domu jakiejś kobiety. W jej spojrzeniu nie widziałem ani strachu, ani gniewu, choć jedno i drugie byłoby uzasadnione. Przeciwnie, lekki uśmiech i cały wyraz twarzy sugerowały, jakby się nas spodziewała i była zdecydowana coś dla nas zrobić. Obok niej siedziała na krzesełku mała, może czteroletnia dziewczynka.

– Szybko! – ponagliła nas kobieta po angielsku. – Na pewno was szukają!

Wyprowadziła nas z oszczędnie umeblowanego salonu przez korytarz i ciąg drewnianych schodów do długiej piwnicy. Przez cały czas dziecko jej nie odstępowało. Po drugiej stronie piwnicy były schody wychodzące na inną ulicę.

Kobieta otworzyła zaparkowany tam mały samochód, kazała nam położyć się na tylnych siedzeniach i narzuciła na nas koc. Ruszyła. Przez cały ten czas milczałem, zdając się na

inicjatywę nieznajomej. Równocześnie jednak czułem przypływ energii i wiedziałem już, co się stało. Oto realizowała się moja wizja ucieczki.
Marjorie leżała koło mnie z zamkniętymi oczami.
– Wszystko w porządku? – spytałem szeptem. Spojrzała na mnie przez łzy i skinęła głową.
Po jakichś piętnastu minutach nasza wybawicielka oznajmiła:
– Myślę, że możecie już usiąść.
Odrzuciłem koc i rozejrzałem się wokoło. Znajdowaliśmy się chyba na tej samej drodze, co przed wybuchem, tylko dalej na północ.
– Kim pani jest? – spytałem.
Odwróciła się z uśmiechem na twarzy. Była to zgrabna kobieta około czterdziestki, z długimi do ramion ciemnymi włosami.
– Jestem Karla Deez – przedstawiła się – a to moja córka Mareta.
Dziewczynka skinęła główką i przyglądała się nam badawczo wielkimi oczyma. Włosy miała długie i czarne. Opowiedziałem im, kim jesteśmy, dodając na końcu:
– Jak pani się domyśliła, że potrzebujemy pomocy? Karla uśmiechnęła się jeszcze szerzej.
– Ścigają was w związku z Rękopisem, prawda?
– Tak. Ale skąd pani o tym wie?
– Ja też znam Rękopis.
– Dokąd nas pani wiezie?
– Sama nie wiem. Musicie mi pomóc. Spojrzałem na Marjorie. Ona przyglądała mi się bardzo uważnie.
– W tej chwili jeszcze nie jestem pewien, dokąd mam jechać. Ale zanim mnie zwinęli, starałem się dostać do Iquitos.
– Dlaczego akurat do Iquitos? – spytała Karla.
– Chcę odnaleźć przyjaciela, który szuka dziewiątego wtajemniczenia.
– To dość niebezpieczne.
– Wiem.
– Ale zawieziemy go tam, prawda, Mareto? Dziewczynka zachichotała i nad wiek poważnym tonem oświadczyła:

– Oczywiście!
– Co to było, co przed nami wybuchło?
– Chyba cysterna z benzyną – wyjaśniła Karla. – Przedtem nastąpił tam wyciek paliwa.
Wciąż nie mogłem nadziwić się, jak szybko Karla podjęła decyzję, by przyjść nam z pomocą.
– Jak domyśliłaś się, że uciekamy przed żołnierzami? - spytałem.
Karla zaczerpnęła głęboko powietrza:
– Wczoraj przejeżdżało tędy na północ dużo ciężarówek z wojskiem, co nieczęsto się tu zdarza. Przypomniało mi to, że dwa miesiące temu aresztowano moich przyjaciół, z którymi razem studiowaliśmy Rękopis. Nigdy ich już więcej nie widziałam. Tylko my jedni w tej wiosce mieliśmy wszystkie osiem rozdziałów. Toteż gdy zobaczyłam wczoraj te ciężarówki, domyśliłam się od razu, że znowu poszukują odbitek Rękopisu, a więc jacyś ludzie, jak wtedy moi przyjaciele, będą potrzebowali pomocy. Już sobie wyobrażałam, jak wspieram ich w miarę możliwości. Oczywiście miałam świadomość, że pojawienie się tej myśli właśnie w tym czasie nie jest bez znaczenia. Dlatego nie zdziwiłam się, kiedy ujrzałam was w moim mieszkaniu.
Przerwała na chwilę, po czym rzuciła jeszcze pytanie:
– Przeżyliście już kiedyś coś takiego?
– Tak – przyznałem.
Karla zwolniła, gdyż przed nami było skrzyżowanie.
– Myślę, że powinniśmy skręcić w prawo – oświadczyła. - Ta droga jest dłuższa, ale bezpieczniejsza.
Kiedy Karla wykręciła kierownicą w prawo, Mareta zsunęła się w lewo i musiała przytrzymać się siedzenia, aby nie wypaść z samochodu. Bardzo ją to rozśmieszyło. Marjorie popatrzyła na nią z uznaniem.
– Ile Mareta ma lat? – spytała.
Karla sprawiała wrażenie urażonej, lecz odpowiedziała uprzejmym tonem:
– Proszę was, nie mówcie o niej tak, jakby jej tu nie było. Gdyby była dorosłą osobą, zwróciłabyś się wprost do niej, prawda?

– Och, przepraszam! – wyjąkała Marjorie.
– Mam pięć lat! – oświadczyła z dumą Mareta.
– Czy znacie już ósme wtajemniczenie? – zainteresowała się Karla.
– Ja znam tylko trzecie – przyznała Marjorie.
– A ja – dodałem – jestem już na etapie ósmego. Masz jakąś jego kopię?
– Nie – odpowiedziała Karla. – śołnierze wszystko zabrali.
– Czy ósme wtajemniczenie uczy, jak postępować z dziećmi?
– Nie tylko. Mówi także o wzajemnych stosunkach między ludźmi w ogóle oraz o przekazywaniu sobie energii i unikaniu uzależnienia się od innych.
Znów zabrzmiało mi w uszach ostrzeżenie Pabla. Chciałem wypytać Karle dokładnie, o co tu chodzi, gdy Marjorie poprosiła:
– Opowiedz nam o tym coś więcej.
– Ósme wtajemniczenie – zaczęła Karla – traktuje między innymi o nowym zastosowaniu energii w postępowaniu z innymi ludźmi, ale zacząć należy od samego początku, czyli od dzieci.
– A więc jak powinniśmy postępować z dziećmi? – spytałem.
– Powinniśmy traktować je jak to, czym są naprawdę, czyli jak docelowe stadia naszej ewolucji. Z tym że dla swojego rozwoju potrzebują one stałego i bezwarunkowego dopływu naszej energii. Najgorszą krzywdą, jaką można wyrządzić dzieciom, jest pozbawianie ich energii pod pozorem eliminowania ich wad. Stąd biorą się gry kontroli, o których już wiesz. Możemy uniknąć powstawania u dzieci tych niepożądanych stereotypów zachowań, jeżeli dostarczymy im tyle energii, ile potrzebują, bez względu na okoliczności. Dlatego zawsze powinny brać udział w rozmowach, szczególnie jeśli te rozmowy ich dotyczą. Każdy powinien brać odpowiedzialność za tyle dzieci. iloma naprawdę jest w stanie się zająć.
– Wszystko to jest w Rękopisie?
– Owszem. A na sprawę liczby dzieci położony jest

szczególny nacisk.
– Dlaczego to takie ważne?
Nie odrywając się od kierownicy, rzuciła mi przelotne spojrzenie.
– Ponieważ jeden dorosły człowiek może w tym samym czasie skupić się i poświęcić uwagę tylko jednemu dziecku. Jeżeli na określoną liczbę dorosłych przypada zbyt duża liczba dzieci, dorośli są przemęczeni i nie potrafią zapewnić im odpowiedniej ilości energii. Wtedy dzieci zaczynają rywalizować między sobą o czas opiekunów.
– Normalna rywalizacja rodzeństwa – skomentowałem.
– Tak, ale Rękopis uczy, że jest to poważniejszy problem, niż nam się wydaje. Ludzie często idealizują rodziny wielodzietne, uważając, że dzieci najlepiej wychowują się w grupie. Tymczasem dzieci powinny uczyć się życia od dorosłych, nie od innych dzieci. W przeciwnym wypadku zaczynają tworzyć własne subkultury. Według Rękopisu ludzie z czasem dojdą do wniosku, że nie powinni wydawać na świat potomstwa, jeżeli nie są w stanie zapewnić mu, by jeden dorosły zajmował się równocześnie tylko jednym dzieckiem.
– Zaraz, chwileczkę! – zaprotestowałem. – W wielu przypadkach oboje rodzice muszą pracować, aby zarobić na życie. Czy to pozbawia ich prawa do rodzicielstwa?
– Niekoniecznie. Zgodnie z Rękopisem rodzinę mogą tworzyć także ludzie niespokrewnieni ze sobą. Dorośli to niekoniecznie znaczy rodzice. Odpowiednią koncentrację uwagi, a więc i energii, może także zapewnić ktoś obcy. Czasem nawet jest to lepsze. Ktokolwiek zaopiekuje się dzieckiem, musi mu poświęcać bardzo dużo uwagi.
– Chyba masz rację – przyznałem. – Mareta robi wrażenie bardzo dojrzałej na swój wiek.
Karla skrzywiła się i zwróciła mi uwagę:
– Nie mów tego mnie, tylko jej.
– Dobrze. Mareto – zwróciłem się do małej – zachowujesz się jak dorosła osoba!
Dziewczynka na chwilę jakby się zawstydziła, ale zaraz odpowiedziała uprzejmie:
– Dziękuję panu.

Karla objęła ją i z dumą zwróciła się do mnie.
– Przez ostatnie dwa lata starałam się postępować z Maretą zgodnie z zaleceniami Rękopisu, prawda, kochanie? Mała z uśmiechem przytaknęła.
– Starałam się dostarczać jej energii i zawsze mówić prawdę o tym, co się dzieje, w zrozumiałym dla niej języku. Kiedy zadawała mi pytania, jakie zwykle zadaje każde dziecko, zawsze traktowałam je poważnie, unikając zbywania bajeczkami, które mają służyć rozrywce dorosłych.
– Masz na myśli takie bajeczki, jak ta, że bociany przynoszą dzieci?
– To też. Te tradycyjne historyjki nie są jeszcze najgorsze. Dzieci łatwo poznają się na nich, gdyż są one takie same od wieków. Dużo gorsze są natomiast zniekształcenia faktów, wymyślane na poczekaniu przez dorosłych, którzy chcą zabawiać się kosztem dziecka lub dlatego, że uważają prawdę za zbyt trudną dla niego. Tymczasem wszystko zawsze można przekazać w sposób zrozumiały i odpowiedni do wieku dziecka, trzeba się tylko trochę potrudzić.
Nie w pełni się z nią zgadzałem, gdyż sam bardzo lubiłem droczyć się z dziećmi.
– Przecież dzieci na ogół wyczuwają, kiedy dorośli żartują! Czy maluchy wychowywane w ten sposób nie dojrzewają przedwcześnie, tracą część radości dzieciństwa?
Karla spojrzała na mnie poważnie.
– Maretą jest pełna radości życia. Razem biegamy, baraszkujemy i gramy w zwykłe dziecięce gry. Różnica polega na tym, że za każdym razem ona wie, kiedy przekraczamy granice fantazji.
Mogłem już tylko przyznać jej rację.
– Maretą czuje się pewnie – ciągnęła Karla – bo wie, że jestem tu dla niej. Poświęcam jej uwagę, gdy tylko tego potrzebuje. A jeśli nie ma mnie w domu. zastępuje mnie moja siostra, która mieszka po sąsiedzku. Stale w pobliżu jest ktoś dorosły. kto może szczerze odpowiadać na jej pytania i chętnie się nią zajmuje. Dlatego Maretą nigdy nie czuje potrzeby udawania czegokolwiek dla zwrócenia na siebie uwagi. Zawsze otrzymywała wystarczającą ilość energii i może mieć pewność,

że tak będzie nadal. Dlatego łatwiej przyjdzie jej zamienić pobieranie energii od dorosłych na pobieranie jej ze wszechświata.
Przejeżdżaliśmy właśnie przez dżunglę. Wiedziałem, że słońce musi być już nisko, chociaż nie było go widać.
– Czy dojedziemy jeszcze dziś do Iquitos? – spytałem.
– Nie – odrzekła Karla. – Przenocujemy u mojego znajomego.
– Czy to blisko stąd?
– Tak, on ma tu dom. Pracuje w służbie ochrony środowiska.
– Czy to instytucja rządowa?
– Część Amazonii jest rezerwatem przyrody. Mój znajomy, Juan Hinton, jest agentem rządowym i ma duże wpływy, ale możesz być spokojny. On też wierzy w tezy Rękopisu i jeszcze nie miał nieprzyjemności z tego powodu.
Zanim dojechaliśmy na miejsce, zrobiło się ciemno. Na zewnątrz było duszno, a dżungla pulsowała odgłosami nocy. W prześwicie między gęstą roślinnością zobaczyliśmy rzęsiście oświetlony drewniany dom. Obok znajdowały się dwa inne budynki, a koło nich parkowało kilka dżipów. Jakiś samochód stał na podnośnikach, a dwaj mężczyźni pracowali w świetle lamp.
Na pukanie Karli otworzył drzwi szczupły, elegancko ubrany Peruwiańczyk. Przywitał ją uśmiechem, który jednak znikł mu z twarzy, gdy zobaczył za nią Marjorie, Maretę i mnie. Rozmawiał z Karlą po hiszpańsku, ale widać było, że jest zdenerwowany i niezadowolony. Ona próbowała go udobruchać, lecz jego zachowanie i ton głosu wskazywały, iż niechętnie udzieli nam gościny.
Tymczasem przez uchylone drzwi zauważyłem w holu jakąś sylwetkę kobiecą. Przysunąłem się trochę, by zobaczyć jej twarz. Była to Julia! Akurat kiedy na nią patrzyłem, odwróciła się i dostrzegła mnie. Z wyrazem zaskoczenia na twarzy szybko podeszła do drzwi. Trąciła gospodarza lekko w ramię i szepnęła mu coś do ucha. Zrezygnowany, kiwnął głową i otworzył drzwi. Przedstawiliśmy się Hintonowi, a on wprowadził nas do gabinetu. Julia w spodniach koloru khaki, z

kieszeniami na nogawkach i jaskrawoczerwonym T-shircie. obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem.
– Znów się spotykamy!
– Rzeczywiście! – odparłem.
Peruwiański służący odwołał Hintona na stronę i po krótkiej rozmowie obaj przeszli do innej części domu. Julia usiadła przy stoliku do kawy i gestem zaprosiła nas wszystkich na kanapę naprzeciw siebie. Marjorie spojrzała na mnie wystraszonym wzrokiem. Zauważyła to Karla. Podeszła do niej i wzięła ją za rękę.
– Chodź, napijemy się gorącej herbaty – zaproponowała. Po drodze do kuchni Marjorie odwróciła się do mnie, a ja odpowiedziałem jej uśmiechem.
– I jak sądzisz, co to może oznaczać? – zagadnęła mnie Julia.
– Co? – nie zrozumiałem od razu, wciąż jeszcze rozkojarzony.
– No, to, że znów się spotykamy.
– Ach, to... sam nie wiem.
– A jak trafiłeś na Karle i dokąd się wybieracie?
– Byliśmy już z Marjorie w rękach wojska, ale udało się nam uciec. Karla akurat znalazła się w odpowiednim miejscu i czasie, by pomóc nam w ucieczce.
Julia spojrzała na mnie uważnie.
– Opowiedz dokładnie, jak to było.
Rozsiadłem się wygodniej i zacząłem opowiadać od momentu, w którym skorzystałem z samochodu księdza Carla, przez uwięzienie, aż do ucieczki.
– I Karla zgodziła się zawieźć was do Iquitos? – domyśliła się Julia.
– Tak.
– Dlaczego chciałeś jechać właśnie tam?
– Ponieważ Wił powiedział księdzu Carlowi, że tam się wybiera. Chyba trafił na jakiś ślad dziewiątego wtajemniczenia. Poza tym tam jest także siedziba kardynała Sebastiana.
– Istotnie – przytaknęła Julia. – Gdzieś w tej okolicy jest jego misja, na której wsławił się nawracaniem Indian.
– No, a ty co tu robisz? – spytałem.

Okazało się, że Julia też poszukuje dziewiątego wtajemniczenia, ale bez powodzenia. Przyjechała tu. gdyż nachodziły ją natrętne myśli, w których wciąż występował jej stary znajomy Hinton.
Właśnie wróciły już Marjorie i Karla. Z filiżankami herbaty w rękach stały w holu i rozmawiały. Marjorie podchwyciła moje spojrzenie.
– Czy ona zna Rękopis? – zapytała Julia, wskazując Marjorie.
– Tylko trzecie wtajemniczenie – wyjaśniłem.
– Jeżeli zechce, prawdopodobnie będziemy mogli pomóc jej wydostać się z Peru.
– W jaki sposób?
– Rolando wyjeżdża jutro do Brazylii. Mamy tam paru znajomych w ambasadzie amerykańskiej, którzy mogliby przerzucić ją do Stanów Zjednoczonych. Już kilku Amerykanom pomogliśmy w ten sposób.
Przytaknąłem bez przekonania, gdyż w tej sprawie targały mną mieszane uczucia. Z jednej strony zdawałem sobie sprawę, że dla Marjorie byłoby to najlepsze wyjście, z drugiej zaś wolałbym, żeby została ze mną. W jej towarzystwie czułem stały dopływ energii.
– Będę musiał z nią porozmawiać – wybrałem w końcu wariant kompromisowy.
– Oczywiście – zgodziła się Julia. – Jeszcze do tego wrócimy.
Karla poszła z powrotem do kuchni, a ja przeszedłem przez pokój w stronę Marjorie. Stała w kącie holu, gdzie nie było jej widać, oparta o ścianę. Cały drżałem, kiedy chwyciłem ją w ramiona.
Rozejrzałem się. Nikogo nie było w pobliżu. Zwarliśmy się w namiętnym pocałunku.
Kiedy cofnąłem głowę, by spojrzeć na jej twarz, wyglądała teraz jakoś inaczej, jakby wzmocniona. Przypomniałem sobie nasze pierwsze spotkanie w Viciente i rozmowę w restauracji w Cula. Aż trudno mi było uwierzyć, ile energii zyskiwałem w jej obecności, a szczególnie gdy mnie dotykała.
Przytuliła się do mnie mocniej.

– Od tamtego dnia w Viciente – wyznała – chciałam już zawsze być z tobą. Nie wiedziałam wtedy, co o tym myśleć. ale otrzymywałam od ciebie taką wspaniałą energię! Jeszcze nigdy nie przeżywałam czegoś podobnego!
Kątem oka zauważyłem, że Karla, uśmiechając się. podeszła do nas. Zapraszała na kolację. W jadalni czekał zimny bufet i masą świeżych owoców, warzyw i pieczywa. Napełniliśmy talerze i przeszliśmy z nimi do wielkiego stołu. Mareta odśpiewała hymn dziękczynny, po czym półtorej godziny spędziliśmy przy jedzeniu i lekkiej pogawędce. Hintonowi też poprawił się nastrój i ustąpiło napięcie nerwowe spowodowane naszym najazdem. Marjorie rozmawiała swobodnie i wesoło, a ja, siedząc przy niej. czułem silny przypływ miłości.
Po kolacji Hinton zaprosił nas znów do swego gabinetu, gdzie podano deser i likier.
Siedzieliśmy z Marjorie na kanapie, rozmawiając o przeszłości i ważniejszych zdarzeniach z naszego życia. Stawaliśmy się sobie coraz bliżsi. Właściwie jedyną trudnością wydawało się nam to, że ona mieszkała na Zachodnim Wybrzeżu, a ja na Południu. W końcu jednak Marjorie śmiejąc się oświadczyła, że to żaden problem.
– Nie mogę się już doczekać, kiedy wrócimy do domu - powtarzała. – To będzie zabawne jeździć z jednego końca kraju na drugi.
– Posłuchaj – powiedziałem poważnie. – Julia mówi, że może zorganizować ci powrót.
– Chyba nam, a nie mnie – odparła.
– No, nie... Ja jeszcze nie mogę wyjechać.
– Dlaczego? Bez ciebie nigdzie się nie ruszę, a zostać tu też nie chcę. Już nie wytrzymuję!
– Niestety, musisz wyjechać pierwsza. Ja też niedługo wrócę.
– Nie! – zawołała głośno. – Ja tego nie zniosę!
Karla położyła właśnie Maretę spać i wracała. Spojrzała na nas i szybko odwróciła wzrok. Hinton przez cały czas rozmawiał z Julią, nie zwracając na nas uwagi.
– Proszę cię, wracajmy do domu! – spróbowała jeszcze raz,

ale ja patrzyłem już w inną stronę.
– W porządku, to sobie zostawaj! – powiedziała i ostentacyjnie pobiegła do sypialni.
Serce mi się ścisnęło, kiedy patrzyłem, jak odchodzi. Opuściła mnie cała energia. Nagle stałem się znów słaby i zdezorientowany. Próbowałem się otrząsnąć. Mówiłem sobie, że przecież znam ją od niedawna. Z drugiej jednak strony, myślałem. może ona ma rację. Może istotnie powinienem wracać? Cóż takiego mam tu zdziałać? U siebie w kraju mógłbym zorganizować międzynarodową akcję w obronie Rękopisu! No, a przede wszystkim uszedłbym z głową! Już wstałem i chciałem biec za Marjorie, ale nie wiedzieć czemu usiadłem z powrotem. Nie wiedziałem, co mam robić.
– Mogę się przysiąść na chwilę? – usłyszałem nagle głos Karli. Stała obok kanapy, na której siedziałem.
– Ależ proszę bardzo! – wykonałem zachęcający gest. Usiadła, spoglądając na mnie z uznaniem.
– Przypadkowo słyszałam waszą rozmowę – przyznała się.
– Może, zanim podejmiesz ostateczną decyzję, chciałbyś się dowiedzieć, co ósme wtajemniczenie mówi o uzależnieniu uczuciowym ludzi.
– Bardzo chciałbym się dowiedzieć, co to znaczy.
– Zdarza się, że ktoś już nauczył się interpretować swoją przeszłość i włączył się w nurt ewolucji, ale to wszystko może zostać zahamowane przez uzależnienie od innej osoby.
– Masz na myśli Marjorie i mnie?
– Pozwól, że ci wyjaśnię mechanizm tego procesu, a potem sam ocenisz.
– W porządku.
– Nie wyobrażasz sobie, ile ja się nameczyłam nad tym wtajemniczeniem. Myślałam, że nigdy tego nie zrozumiem. Na szczęście spotkałam Reneau.
– Reneau?! – zawołałem. – Ależ ja go znam! Poznaliśmy się, kiedy studiowałem czwarte wtajemniczenie.
– A ja, gdy doszłam do ósmego. Zatrzymał się u mnie na kilka dni.
Zdziwiony, wzruszyłem ramionami.
– Reneau zwrócił mi uwagę – ciągnęła Karla – że koncepcja

uzależnienia – jak określa to Rękopis – wyjaśnia, jak w romantycznych związkach uczuciowych dochodzi do walki o władzę. Zawsze zastanawialiśmy się, dlaczego euforia ślepej miłości nagle przeradza się w konflikt. Teraz już wiemy. Wynika to z przepływu energii między dwiema zaangażowanymi osobami.

Kiedy przychodzi miłość, partnerzy nieświadomie obdarzają się energią, czując się przy tym lekko i radośnie. Ten stan nazywamy "zakochaniem się". Gdy jednak człowiek zaczyna oczekiwać uczucia tylko od innego człowieka, odcina się od energii wszechświata. Wtedy może oprzeć się jedynie na tym źródle energii, jakim jest partner, a to wkrótce przestaje wystarczać. Wówczas obie strony przestają obdarzać się nawzajem energią i powracają do swoich starych gier kontroli. Chcą podporządkować sobie partnera i tym samym zdobyć jego energię. Teraz związek ich przeradza się już w zwykłą walkę o władzę. Urwała na chwilę, jakby sprawdzając, czy ją dobrze zrozumiałem. Potem dodała:

– Reneau uważa, że podatność na ten rodzaj uzależnienia ma podłoże psychologiczne. Może w ten sposób łatwiej to zrozumiesz?

Zachęciłem ją, by mówiła dalej.

– Problem zaczyna się już we wczesnym dzieciństwie. Wskutek trwającej w naszym środowisku rodzinnym walki o władzę nie udaje się nam doprowadzić do końca pewnego doniosłego procesu psychologicznego, procesu integracji pierwiastków płci przeciwnej.

– Jakiego procesu?

– Ja – wyjaśniała cierpliwie – nie zdołałam w dzieciństwie dopełnić swojej osobowości pierwiastkiem męskim, a ty żeńskim. Możemy popaść w uzależnienie od osobnika płci przeciwnej, ponieważ ciągle jeszcze potrzebujemy jego energii. Musisz wiedzieć, że mistyczna energia, do której wewnętrznego źródła możemy się "podłączyć", ma postać męską lub żeńską. Jeśli wstąpimy na drogę ewolucji, zanim się do niej podłączymy, musimy być bardzo ostrożni. Proces integracji trwa bardzo długo. Jeśli zbyt wcześnie podłączymy się do męskiego lub żeńskiego źródła zewnętrznej energii,

możemy zamknąć sobie dostęp do energii wszechświata. Wyznałem Karli, że nic z tego nie rozumiem.

– Spróbuj wyobrazić sobie, jak przebiega proces integracji w idealnej rodzinie. Na początku dziecko musi otrzymywać energię od rodziców. Zwykle identyfikacja, połączona z integracją energii rodzica tej samej płci, przychodzi mu łatwo, natomiast pobieranie energii od drugiego z rodziców jest trudniejsze właśnie z powodu różnicy płci.

Weźmy na przykład małą dziewczynkę. Jej pierwsze próby integracji pierwiastków męskich przejawiają się jako zauroczenie ojcem. Dziewczynka stale chce z nim przebywać. Rękopis wyjaśnia, że w ten sposób dziewczynka poszukuje męskiej energii, która uzupełnia żeńską stronę jej osobowości. Pierwiastek męski daje jej poczucie pełni i szczęścia. Na tym etapie dziewczynce błędnie wydaje się, że może zdobyć męską energię tylko przez fizyczny kontakt z ojcem. Nadaje to jej uczuciu zabarwienie seksualne.

Zachodzi tu ciekawe zjawisko. Dziewczynka czuje intuicyjnie, że męska energia jakby należy do niej i może nią dowolnie rozporządzać, chce rządzić ojcem, jakby był częścią niej samej. Przypisuje mu doskonałość i cechy magiczne, dzięki którym może on spełnić każdą jej zachciankę. Jeśli rodzina nie jest idealna, między córką a ojcem powstaje konflikt władzy. Wytwarza się gra kontroli, ponieważ dziewczynka uczy się kształtować swoją osobowość w taki sposób, aby móc manipulować ojcem dla pozyskania jego energii.

Natomiast w idealnej rodzinie ojciec nie pozostaje niedościgłym wzorem doskonałości. Stara się zawsze postępować uczciwie i dostarcza córce tyle energii, ile jej potrzebuje, choćby nie był w stanie zaspokoić wszystkich jej oczekiwań. W naszym idealnym przykładzie zakładamy, że ojciec jest przez cały czas otwarty i komunikatywny. Córka może początkowo przypisywać mu cechy idealne i magiczne, ale jeżeli ojciec uczciwie pokazuje, kim naprawdę jest, co i dlaczego robi, to w końcu zaakceptuje ona jego autentyczne cechy i możliwości. Taka dziewczynka odrzuci nierealistyczny obraz ojca i przyjmie go jako normalnego człowieka, z jego

wadami i zaletami. Tak wygląda właściwa rywalizacja pierwiastków płci. Takie dziecko nie ma trudności z przejściem od pobierania energii płci przeciwnej od ojca do pozyskiwania jej jako części energii wszechświata.
Niestety, jak dotąd większość rodziców rywalizuje o energię z. własnymi dziećmi. Odbija się to na nas wszystkich, bo wskutek tego nikt z nas nie potrafi rozwiązać kwestii integracji pierwiastka płci przeciwnej we własnej osobowości. Zatrzymaliśmy się na etapie poszukiwania energii płci przeciwnej w świecie zewnętrznym, czyli w osobniku płci przeciwnej, któremu przypisujemy cechy idealne i magiczne i którego pragniemy posiąść. Rozumiesz, o co chodzi?
– Teraz chyba tak.
— Z punktu widzenia możliwości naszego świadomego uczestnictwa w ewolucji – wyjaśniała dalej – jest to sytuacja niezwykle trudna. Jak już mówiłam, kiedy włączymy się w proces ewolucyjny, zaczynamy pobierać energię płci przeciwnej niejako automatycznie. Stanowi ona naturalną część składową energii wszechświata. Musimy być bardzo ostrożni, bo jeżeli na naszej drodze stanie osoba, która zaoferuje nam taką energię wprost, wówczas możemy odłączyć się od prawdziwego jej źródła. Karla przerwała i zaśmiała się cicho.
– Co jest w tym zabawnego? – zapytałem.
– Reneau użył kiedyś obrazowego porównania. Powiedział, że dopóki nie nauczymy się unikać takich sytuacji, funkcjonujemy jako półokrąg, w kształcie litery C. Jesteśmy wówczas nastawieni na poszukiwanie osoby płci odmiennej, która stanowiłaby drugi półokrąg. Kiedy się do nas przyłączy, stworzymy razem pełne koło. Da nam to pewien przypływ energii i złudzenie, że osiągnęliśmy już pełnię łączności ze wszechświatem. Tymczasem dołączyliśmy tylko do osoby poszukującej swojej “drugiej połowy" w tym samym celu.
Reneau nazwał taką sytuację klasyczną relacją współuzależnienia, która natychmiast rodzi nowe problemy.
Przerwała, jakby spodziewając się jakiegoś komentarza ode mnie, ale ja tylko skinąłem głową.
– Jak więc widzisz – mówiła dalej – problem polega na tym, że każda z tych osób sądzi, iż osiągnęła już pełny krąg.

Tymczasem dopiero oboje razem tworzą jedną kompletną osobę, w której jedna strona zaopatruje drugą w energię płci przeciwnej. Ale ta jedna osoba ma dwie głowy, dwa ego, z których każde chce *rządzić* drugim, gdyż uważa je za część siebie. Tym sposobem złudzenie kompletności pryska, a pojawia się normalna walka o władzę. Każdy z partnerów chciałby sam kierować tym wspólnym organizmem, tak jakby drugiego nie było. Co się oczywiście nie udaje. Już się nie udaje. Dawniej często zdarzało się, że jeden z partnerów zgadzał się na całkowite podporządkowanie drugiemu i przeważnie była to kobieta, rzadko kiedy mężczyzna. Ale teraz właśnie przebudziliśmy się. Nikt nie chce dłużej być niczyim poddanym!

Przypomniałem sobie, co wyczytałem w pierwszym wtajemniczeniu na temat walki o prymat w związkach partnerskich. Ilustracją tego był wybuch gniewu, jaki zaprezentowała kobieta w restauracji, gdzie byliśmy z Charlene.

– Oto co zostało z całej romantyki! – podsumowałem.

– Ależ skąd! To nie przekreśla romantycznej miłości – zaprotestowała Karla. – Ale najlepiej najpierw samemu uzupełnić własny okrąg i stworzyć sobie stałą łączność ze wszechświatem. Wymaga to czasu, ale potem nie będą już nam zagrażały takie sytuacje i według słów Rękopisu osiągniemy wyższą formę związku. Wtedy więź uczuciowa z drugą osobą stworzy super-osobowość i nie będzie nikogo ściągać z drogi jego rozwoju ewolucyjnego.

– Tak jak to robimy my, ja i Marjorie, prawda? Ściągamy siebie nawzajem z tej drogi?

– Tak.

– A jak można tego uniknąć?

– Na razie trzeba się strzec “miłości od pierwszego spojrzenia" i nauczyć się trwać w platonicznych związkach. I ciągle pamiętać o procesie integracji pierwiastka płci przeciwnej. Należy wiązać się tylko z osobami, które potrafią się w pełni odsłonić, wyjaśniają, dlaczego postępują właśnie tak jak postępują – podobnie jak się to dzieje w idealnych układach z rodzicem płci przeciwnej w dzieciństwie. Kiedy

poznamy prawdziwe oblicze naszego partnera, będziemy mogli odrzucić wszystkie fantastyczne wyobrażenia na jego temat, co pozwoli nam znów nawiązać kontakt z wszechświatem.

Pamiętaj też – przestrzegła – że to nie jest łatwe, zwłaszcza gdy trzeba się wyrwać z istniejącego już stanu współuzależnienia. Powoduje to utratę energii. Przyprawia nas o cierpienie. Ale to konieczne. Współuzależnienie nie jest jakąś nową przypadłością, która nęka tylko niektórych. Wszyscy jesteśmy współuzależnieni, a teraz chcemy się z tego wyzwolić.

Najlepszym sposobem jest spróbować ponownie przeżyć to uczucie zadowolenia i euforii, jakie odczuwa się na początku, kiedy jesteś jeszcze sam, a więź wzajemna dopiero się rodzi. kiedy to mogłeś jego czy ją jakby przejrzeć na wylot. Po osiągnięciu takiego stanu twój rozwój postępuje o krok dalej i wtedy możesz natrafić na taki związek uczuciowy, który najbardziej ci odpowiada.

Kto wie – dodała po krótkiej przerwie – może ty i Marjorie. kiedy dokonacie kolejnego kroku na drodze ewolucji, przekonacie się. że rzeczywiście jesteście sobie przeznaczeni. Ale uwierz mi, tak jak teraz sprawy stoją, wasz związek nie ma szans spełnienia.

Rozmowę przerwał nam Hinton, informując, że nasze pokoje są przygotowane, a on idzie już spać. Podziękowaliśmy mu za gościnę. Karla także stwierdziła, że czas do łóżka. Rozmowę postanowiliśmy dokończyć kiedy indziej.

Kiedy ją pożegnałem, poczułem na ramieniu dotknięcie czyjejś ręki. Była to Julia.

– Idę właśnie do mojego pokoju – oznajmiła. – Mogę zaprowadzić cię do twojego.

– Bardzo proszę. A może wiesz, gdzie jest pokój Marjorie? Przeszliśmy przez hol i stanęliśmy przed jakimiś drzwiami.

– Na pewno nie w pobliżu twojego – powiedziała uśmiechając się. – Pan Hinton ma bardzo konserwatywne poglądy.

Oddając uśmiech życzyłem jej dobrej nocy. Wszedłem do swego pokoju i zanim położyłem się spać, śmiałem się długo i serdecznie.

Obudził mnie aromat mocnej kawy, rozchodzący się po całym domu. Ubrałem się i przeszedłem do gabinetu. Stary służący zaproponował mi szklankę świeżego soku z winogron, którą chętnie przyjąłem.
– Dzień dobry! – odezwała się za mną Julia. Odwróciłem się i pozdrowiłem ją. Patrząc na mnie badawczo, spytała:
– No i jak, doszedłeś już, dlaczego znów natknęliśmy się na siebie?
– Prawdę mówiąc, nie myślałem o tym — przyznałem się. – Cały czas próbowałem zrozumieć mechanizm uzależnienia.
– Tak. Widziałam.
– Co widziałaś?
– Mogłabym opisać ci to, co zaszło, na podstawie wyglądu twojego biopola.
– A jak ono wyglądało?
– Było podłączone pod Marjorie. Kiedy siedziałeś tu, a ona była w drugim pokoju, twoje biopole rozciągało się aż tam. Pokręciłem głową z niedowierzaniem. Uśmiechnęła się i położyła rękę na moim ramieniu:
– Widać, że straciłeś już łączność ze wszechświatem. Uzależniłeś się od zastępczej energii przekazywanej przez Marjorie. Teraz, tak jak przy wszystkich uzależnieniach, droga powrotu wiedzie przez kogoś lub coś. Aby sobie z tym poradzić, trzeba podwyższyć swój poziom energii i skoncentrować uwagę na tym, co tu naprawdę robisz.
Posłuchałem jej i wyszedłem na dwór. Julia została w gabinecie. Przez dziesięć minut próbowałem gromadzić w sobie energię metodą, jakiej nauczył mnie Sanchez. Powoli zacząłem dostrzegać piękno otaczającej mnie przyrody i poczułem się lżej. Kiedy wróciłem do domu, Julia stwierdziła:
– Lepiej!
– I czuję się lepiej!
– No więc, jakie są w tym momencie twoje najważniejsze pytania?
Zastanowiłem się chwilę. Pytanie o Marjorie było już nieaktualne. Wciąż jednak chciałem ustalić miejsce pobytu Wiła i dowiedzieć się, jak wyglądałyby stosunki

międzyludzkie, gdyby ludzie żyli według wskazań Rękopisu. Jeżeli byłyby to zmiany na lepsze – o co chodzi kardynałowi Sebastianowi i innym dostojnikom Kościoła?
Zwróciłem się do Julii.
– Chciałbym zrozumieć do końca ósme wtajemniczenie i odnaleźć Wiła. Może on ma już wtajemniczenie dziewiąte?
– Jutro jadę do Iquitos – powiedziała Julia. – Chcesz pojechać tam ze mną?
Zawahałem się.
– Myślę, że może tam być Wił – dodała.
– Skąd to wiesz?
– Tej nocy nawiedziły mnie myśli o nim. Nie zareagowałem.
– A także myśli o tobie. O nas obojgu w drodze do Iquitos. Na pewno jesteś w to jakoś zamieszany.
– W co?
– W poszukiwania dziewiątego wtajemniczenia, zanim odnajdzie je kardynał Sebastian – oznajmiła z szerokim uśmiechem.
W tym momencie zobaczyłem oczyma wyobraźni, jak razem z Julią przybywamy do Iquitos. ale tam z jakichś powodów rozjeżdżamy się w różne strony. Czułem, że coś się za tym kryje, ale było to niejasne.
Przeniosłem wzrok na Julię, mile uśmiechniętą.
– Byłeś chyba daleko stąd! – zauważyła.
– Przepraszam, zamyśliłem się.
– Nad czymś ważnym?
– Trudno powiedzieć. Doznałem wrażenia, że gdy tylko dotrzemy do Iquitos, rozdzielimy się i każde z nas obierze inny kierunek.
W tym momencie do pokoju wszedł Rolando.
– Kupiłem to, co chciałaś – zwrócił się do Julii. Zauważył mnie i przywitał się uprzejmie.
– W porządku, dziękuję ci – odparła Julia. – Dużo żołnierzy widziałeś po drodze?
– Ani jednego.
Wejście Marjorie rozproszyło moją uwagę, ale dotarły do mnie jeszcze ostatnie słowa Julii do Rolanda. Informowała go, że Marjorie zgadza się jechać z nim do Brazylii, skąd miał być

zorganizowany przerzut do Stanów. Podszedłem do Marjorie.
– Jak ci się spało? – spytałem.
Spojrzała na mnie, jakby nie mogąc się zdecydować, czy dalej się gniewać.
– Nie najlepiej – przyznała. Wskazałem na Rolanda.
– To znajomy Julii, który dziś jedzie do Brazylii. Stamtąd pomoże ci się przedostać do kraju. Była przerażona.
– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze – uspokajałem ją. - Przez naszą ambasadę w Brazylii udało się już pomóc wielu Amerykanom. Niedługo będziesz w domu.
– Ale ja martwię się o ciebie! – nie dawała za wygraną.
– Nie martw się, nic mi nie będzie. Gdy tylko wrócę, zaraz do ciebie zadzwonię.
Za moimi plecami Hinton oznajmił, że śniadanie już jest na stole. Przeszliśmy więc szybko do jadalni, gdyż Julia przypomniała, że Rolando i Marjorie powinni przekroczyć granicę jeszcze przed zmrokiem, a czekał ich cały dzień jazdy.
Marjorie zapakowała trochę ubrań, które dał jej Hinton. Podczas gdy Julia i Rolando stali w drzwiach i rozmawiali,
ja odciągnąłem Marjorie na bok.
– Nie martw się – prosiłem. – Miej tylko oczy szeroko otwarte, wtedy szybko osiągniesz dalsze stopnie wtajemniczenia.
Ona uśmiechała się w milczeniu. Rolando pomógł jej załadować rzeczy do jego małego samochodu. Kiedy odjeżdżali, nasze spojrzenia jeszcze się spotkały.
– Myślisz, że uda im się przedostać bezpiecznie? – zwróciłem się do Julii.
– Oczywiście – zrobiła do mnie oko. – Na nas też już czas. Przygotowałam ci trochę *rzeczy* na zmianę – wręczyła mi torbę z ubraniami. Załadowaliśmy ją wraz z kilkoma pudłami prowiantu do pick-upa, pożegnaliśmy się z Hintonem, Karlą i Maretą, po czym wyruszyliśmy na północny wschód, w kierunku Iquitos.
Po drodze obserwowałem, jak wjeżdżamy coraz głębiej w dżunglę, gdzie prawie nie było śladów ludzkiego życia. Rozważałem treści zawarte w ósmym wtajemniczeniu. Nie

wiedziałem, o co chodzi w nowym rozumieniu stosunków międzyludzkich. Karla objaśniła mi sposób postępowania z dziećmi i niebezpieczeństwo uzależnienia się od innej osoby. Ale zarówno przedtem Pablo, jak i Karla wspominali o możliwościach świadomego przekazywania energii innym. O co tu chodzi?
Kiedy napotkałem spojrzenie Julii, zacząłem:
– Nie udało mi się jeszcze w pełni opanować ósmego wtajemniczenia.
– Nasz sposób odnoszenia się do ludzi określa tempo naszej ewolucji i czas oczekiwania na odpowiedzi na nasze pytania - odpowiedziała krótko Julia.
– Na czym to polega?
– Weź na przykład swoją sytuację – podsunęła. – W jaki sposób uzyskałeś odpowiedzi na swoje pytania?
– Chyba udzielili mi ich napotkani przeze mnie ludzie.
– A czy otworzyłeś się w pełni na informacje, których mogli ci udzielić?
– Niezupełnie. Byłem raczej powściągliwy.
– C/y to sprawiło, że ci ludzie też zamykali się przed tobą?
– Nie. Byli szczerzy i pełni dobrych chęci. Oni... – trudno mi było znaleźć określenie dla wyrażenia mojej myśli.
– Czy oni swoją postawą pomagali ci otworzyć się? Promieniowali ciepłem i energią?
Ta uwaga wyzwoliła lawinę skojarzeń. Przypomniałem sobie oddziaływanie Wiła, kiedy w Limie byłem już blisko paniki: ojcowską serdeczność księdza Sancheza; troskliwe rady udzielane mi przez księdza Carla, Pabla, Karle i teraz Julię...
Wszyscy oni mieli to samo ciepło w spojrzeniu.
– Tak – przyznałem. – Tak mnie traktowaliście.
– No właśnie – potwierdziła. – Robiliśmy to świadomie, tak jak każe ósme wtajemniczenie. Podnosząc cię na duchu i pomagając ci uporządkować własną sytuację, tym samym poszukiwaliśmy prawdy, informacji, którą dla nas miałeś. Rozumiesz? Wspomaganie cię energią było działaniem na rzecz naszego własnego dobra.
– Co konkretnie mówi na ten temat Rękopis?
– Rękopis mówi, że ilekroć czyjeś drogi krzyżują się z

naszymi, to jest zawsze dla nas jakiś sygnał. Spotkania takie nigdy nie są przypadkowe. Nasza reakcja na nie jest świadectwem naszej gotowości do przyjęcia przesłania, jakie dla nas mają. Jeżeli nawiążemy rozmowę z kimś, czyja droga spotkała się z naszą, i nie dostrzegamy w niej żadnej odpowiedzi na nasze aktualne pytania, to nie znaczy to, że takiej informacji nie ma. To znaczy, że z jakichś przyczyn nie zwróciliśmy na nią uwagi.
Po krótkim namyśle dodała jeszcze:
– Czy nie zdarzyło ci się nigdy, niespodziewanie spotkać znajomego, porozmawiać z nim przez chwilkę i rozstać się, a potem, w tym samym dniu czy najdalej tygodniu, znów się na niego natknąć?
– Owszem, zdarzało się.
– I co wtedy mówiliście? Pewnie coś w rodzaju: “To zabawne, że znów się spotykamy". Pośmialiście się i rozchodziliście każdy w swoją stronę?
– Zwykle tak to wyglądało.
– Rękopis zaleca, aby w takiej sytuacji przerwać to, co aktualnie robimy, obojętne, co to jest, i spróbować domyślić się, co mamy do przekazania tej osobie, a ona nam. Gdy raz ludzie zrozumieją ten mechanizm, ich wzajemne oddziaływanie będzie może wolniejsze, lecz bardziej celowe i przemyślane.
– Ale czy nie jest to za trudne, zwłaszcza w stosunku do kogoś, kto nie wie, o co nam właściwie chodzi?
– Na pewno, ale Rękopis uczy nas zasad postępowania w takich przypadkach.
– To znaczy daje dokładne wskazówki, jak powinniśmy odnosić się do siebie nawzajem?
– Właśnie.
– A więc jak?
– Pamiętasz trzecie wtajemniczenie, gdzie mowa jest o tym. że człowiek jest wyjątkowym zjawiskiem w świecie energii, gdyż potrafi przekazywać ją w sposób świadomy?
– Tak.
– A pamiętasz, jak to się robi? Przypomniałem sobie wykład księdza Johna.
– Trzeba zachwycać się urodą przedmiotu tak długo, aż

zyskamy wystarczającą ilość energii, by wzbudzić w sobie uczucie miłości. A wtedy będziemy w stanie oddawać pobraną energię.

– O, właśnie. Ta sama zasada odnosi się do ludzi. Kiedy podziwiamy czyjś wygląd i sposób bycia,

koncentrując się na nim tak długo, aż zacznie wyróżniać się z tłumu, wtedy zyskujemy tyle energii, że możemy obdarować nią innych.

Właściwie jest w tym sporo egoizmu – stwierdziła śmiejąc się. – Im bardziej kogoś kochamy i podziwiamy, tym więcej energii zyskujemy. Tym sposobem obdarzanie innych miłością i energią jest działaniem na rzecz dobra własnego.

– Już to kiedyś słyszałem – przypomniałem sobie. – Ksiądz Sanchez mówił o tym.

Przypatrywałem się uważnie Julii, odniosłem wrażenie, że po raz pierwszy dostrzegam jej bogatą osobowość. Odwzajemniła mi się przelotnym spojrzeniem, po czym skoncentrowała się na prowadzeniu wozu.

– Jednostkowy efekt takiego przekazywania energii – mówiła dalej – jest bardzo silny. Załóżmy na przykład, że dostarczyłeś mi właśnie energii. Czuję to od razu. Ogarnia mnie uczucie lekkości, jasność widzenia i formułowania myśli.

Ponieważ dostarczasz mi więcej energii, niż byłabym w stanie zdobyć skądinąd, łatwiej mogę wyartykułować moje przesłanie i w zrozumiałej formie przekazać je tobie. To. co mówię, stanowi dla ciebie odkrycie, wskutek czego możesz pełniej postrzegać moją osobowość i koncentrować się na niej, sięgając do coraz głębszych jej pokładów. To z kolei daje mi jeszcze więcej energii i jeszcze szerszy wgląd w moje przesłanie. I cykl zaczyna się od nowa. Osoby uczestniczące w tym procesie – dwie czy więcej – potrafią wznieść się na niewiarygodnie wysoki poziom podbudowując energię partnera i natychmiast otrzymując ją z powrotem. Zdajesz sobie chyba sprawę, że jest to zupełnie co innego niż relacja współuzależnienia. Ta relacja zaczyna się podobnie, lecz wkrótce przeradza w walkę o dominację, ponieważ wzajemne uzależnienie odcina partnerów od właściwego źródła energii. Tymczasem prawdziwe przekazywanie energii nie wymaga

trwałego związku o z góry określonym celu. Obie strony oczekują tylko informacji.
Podczas gdy mówiła, przede mną pojawił się nowy problem. Przypomniałem sobie to, co mówił Pablo: że nie udało mi się uzyskać informacji od księdza Costousa, gdyż zepchnąłem go na poziom jego gry kontroli. Spytałem więc Julię:
– Co mamy robić, jeśli nasz rozmówca prowadzi z nami grę kontroli i chce nas do niej wciągnąć? Jak się przed tym bronić?
Julia odpowiedziała od razu:
– Rękopis mówi, że jeżeli nie podejmiemy współgry, to i tamtej osobie gra się nie powiedzie.
– To znaczy, jak się mamy zachować? – spytałem, lecz Julia patrzyła gdzieś przed siebie na drogę. Przysiągłbym, że myślami była już daleko.
– Gdzieś tu na prawo ma być punkt, gdzie będziemy mogli zatankować – odezwała się wreszcie.
Spojrzałem na wskaźnik paliwa. Bak był w połowie pełny.
– Mamy jeszcze dosyć paliwa.
– Wiem. ale coś mi mówi, że powinniśmy zatrzymać się tu i uzupełnić je. Tutaj skręcamy – pokazała na prawo.
Wjechaliśmy na drogę wiodącą przez dżunglę i przejechawszy chyba niecałe dwa kilometry zatrzymaliśmy się przed czymś, co wyglądało jak baza zaopatrzeniowa dla rybaków i myśliwych. Na brzegu rzeki stał budyneczek, przy którym cumowało kilka rybackich łódek. Podjechaliśmy do zardzewiałego dystrybutora paliwa i Julia poszła szukać właściciela obiektu.
Ja też wysiadłem, przeciągnąłem się i przeszedłem spacerkiem na brzeg rzeki. Powietrze było przesycone wilgocią. Chociaż gęsty pułap drzew całkowicie zasłaniał słońce, przysiągłbym, że znajdowało się prawie bezpośrednio nad nami. Zanosiło się na upał.
Nagle za mną jakiś gniewny, męski głos przemówił po hiszpańsku. Odwróciłem się i ujrzałem niskiego, krępego Peruwiańczyka, który patrzył na mnie spode łba i powtarzał swoją kwestię.
– Przepraszam, ale nie rozumiem po hiszpańsku –

zareagowałem w końcu. Przeszedł na angielski.
– Kim pan jest? Co pan tu robi?
– Chcemy zatankować paliwo. Zaraz odjeżdżamy – próbowałem go spławić. – Odwróciłem się w stronę wody, licząc, że facet sobie pójdzie.
Jednak nie dał za wygraną, podszedł do mnie bliżej i stał się agresywny.
– Lepiej gadaj, co tu robisz, Jankesie! Sprawa zaczynała być poważna.
– Jestem Amerykaninem – oświadczyłem. – Podróżuję w towarzystwie mojej znajomej i nie wiem dokładnie dokąd.
– Aha, zbłąkany Amerykanin! – warknął groźnie.
– Otóż to właśnie.
– I czego pan tu szuka, panie Amerykanin?
– Niczego tu nie szukam – odrzekłem ostrożnie, próbując wycofać się w stronę naszego samochodu. – Nie zrobiłem panu nic złego. Proszę mnie zostawić w spokoju.
Zauważyłem, że przy samochodzie stoi już Julia. Peruwiańczyk odwrócił się i też ją zobaczył.
– Odjeżdżamy – oznajmiła Julia. – Ta stacja jest nieczynna.
– A pani to kto? – zwrócił się do niej Peruwiańczyk tym samym agresywnym tonem.
– A pan czemu taki zły? – odpowiedziała pytaniem Julia.
– Mam obowiązek pilnować tego miejsca. – Nieco zmienił ton.
– Z pewnością świetnie wykonuje pan swoje obowiązki, ale zastraszając ludzi trudno będzie panu uzyskać od nich odpowiedzi.
Arogancki facet gapił się na Julię, próbując ją rozgryźć.
– Jedziemy do Iquitos – kontynuowała Julia. – Współpracujemy z księdzem Sanchezem i księdzem Carlem. Zna ich pan może?
Jeszcze kręcił głową, ale wzmianka o duchownych uspokoiła go. W końcu machnął ręką i oddalił się.
– Jedziemy! – powiedziała Julia.
Kiedy już kawałek odjechaliśmy, zdałem sobie sprawę, jak byłem zdenerwowany. Spróbowałem otrząsnąć się z tego.

– I co tam się dzieje w twoim wnętrzu? – spytałem Julię.
– O co ci chodzi? – spojrzała nie rozumiejąc.
– No, czy głos wewnętrzny nie wyjaśnił ci, skąd wzięła się myśl o zatrzymaniu się tutaj?
– Nie, to był głos zewnętrzny – odpowiedziała śmiejąc się. Teraz ja nie zrozumiałem.
– Nie kojarzysz? – spytała.
– Nie.
– Przypomnij sobie, o czym myślałeś, zanim tu dotarliśmy.
– śe chciałbym rozprostować nogi.
– A jeszcze przedtem? O co ostatnio pytałeś, kiedy rozmawialiśmy?
Przypomniałem sobie. Rozmawialiśmy o grach zależności.
– Powiedziałaś, że nikt nie może prowadzić z nami gry zależności, jeśli my nie odpowiemy mu współgrą. Nie zrozumiałem tego.
– A teraz już rozumiesz?
– Nie bardzo. Do czego zmierzasz?
– Ta scenka, która się tu rozegrała, wykazała jasno, co się dzieje, kiedy podejmujemy współgrę.
– W jaki sposób?
Obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem.
– Jaką grę prowadził z tobą ten facet?
– Rzecz jasna, terrorysty.
– A ty?
– Chciałem się go pozbyć.
– Oczywiście. Ale jaką grą się posłużyłeś?
– Próbowałem roli nieśmiałka, ale nie chciał się odczepić.
– Co wtedy?
Zaczynała mnie już irytować ta rozmowa, ale starałem się skupić i dotrzymać kroku Julii.
– Chyba przerzuciłem się na szantaż uczuciowy.
– Otóż to! – uśmiechnęła się.
– Ale ty poradziłaś sobie z nim bez problemu.
– Tylko dlatego, że nie podjęłam gry, w którą chciał mnie wciągnąć. Pamiętaj, że każdy tworzy w dzieciństwie swoją grę kontroli w odpowiedzi na inną grę. Toteż każda gra, aby mogła w pełni się rozwinąć, musi trafić na współgrę. Terrorysta, aby

zdobyć energię, potrzebuje szantażysty uczuciowego albo drugiego terrorysty.
– I jak sobie dałaś z tym radę?
– Gdybym próbowała też go zastraszyć, podjęłabym narzuconą przez niego grę, co pewnie skończyłoby się użyciem siły. Tymczasem ja postąpiłam zgodnie ze wskazaniami Rękopisu i powiedziałam mu w oczy, jaką grą się posługuje. Wszystkie gry są strategią pozyskiwania energii. On chciał ją zdobyć grając rolę terrorysty. Kiedy zastosował ją wobec mnie, powiedziałam mu otwarcie, co to jest to, co on robi.
– To dlatego spytałaś, czemu jest taki zły?
– Tak. śadne skryte manipulacje dla zdobycia energii nie powiodą się, jeśli ujawnimy ich istnienie. Wtedy przestaną być skryte. To bardzo prosty sposób: trzeba nazwać po imieniu to, o co naprawdę chodzi naszemu rozmówcy. To go zmusi do uczciwego zachowania.
– To brzmi logicznie! – zauważyłem. – Wydaje mi się, że ja już kiedyś próbowałem nazywać te gry, chociaż sam nie zdawałem sobie z tego sprawy.
– Na pewno. Wszyscy to robią. Teraz dowiadujemy się więcej, o co tu chodzi. Najważniejsze, aby jednocześnie za tą grą dostrzec żywego człowieka i starać się przesłać mu jak najwięcej energii. Kiedy taki osobnik zorientuje się, że tak czy owak otrzyma tę energię, porzuca wyszukane sposoby jej zdobycia.
– Co mogłaś dostrzec w tym bubku?
– Mogłam w nim dostrzec biednego, wystraszonego chłopinę rozpaczliwie potrzebującego energii. Poza tym we właściwym momencie przekazał ci ważną informację.
Kiedy spojrzałem na Julię, wydawało mi się. że z trudem powstrzymuje śmiech.
– Czy to znaczy, że zatrzymaliśmy się tu tylko po to, abym mógł przekonać się, jak radzić sobie z osobnikiem, który prowadzi wobec mnie grę kontroli?
– Przecież o to właśnie pytałeś.
Uśmiechnąłem się, czując, że poprawia mi się nastrój.
– No tak, pytałem.

Obudziło mnie brzęczenie komara tuż przy mojej twarzy. Julia uśmiechała się, jakby przypominała sobie coś zabawnego. Od kilku godzin jechaliśmy w milczeniu pogryzając od czasu do czasu coś z zapasów przygotowanych przez Julię na drogę.
– O, już nie śpisz! – stwierdziła Julia.
– Daleko jeszcze do Iquitos? – spytałem.
– Do miasta około czterdziestu kilometrów, ale zaraz będzie zajazd U Stewarta. Jego właściciel jest Anglikiem i wielkim orędownikiem Rękopisu. Zawsze bardzo przyjemnie mi się z nim rozmawiało. Jeśli nie zaszło nic nieoczekiwanego, powinniśmy go zastać. Może natrafimy tam na jakiś ślad prowadzący do Wiła.
Zjechała na pobocze szosy i zrobiła mi krótki wykład.
– Musimy skupić się na tym, w jakim punkcie jesteśmy. Zanim cię znów spotkałam, kręciłam się w kółko, bo chciałam przyczynić się do odnalezienia dziewiątego wtajemniczenia, ale nie wiedziałam, jak się do tego zabrać. Przyłapałam się na tym, że myślami wracałam wciąż do Hintona. Kiedy pojechałam do niego, ty się tam właśnie pojawiłeś. Okazało się, że poszukujesz Wiła, który podobno ma być w Iquitos. Potem ja mam wizję, że oboje będziemy brać udział w poszukiwaniu dziewiątego wtajemniczenia, a ty znów masz wizję, że w pewnym punkcie nasze drogi się rozejdą. Nie za dużo dobrego na raz?
– Rzeczywiście.
– A zaraz potem przyszedł mi na myśl Willie Stewart i jego zajazd. Coś musi się tam zdarzyć. Kiwnąłem głową. Julia wróciła na szosę, a zaraz za zakrętem obwieściła:
– To już tu.
W odległości około dwustu metrów za następnym wirażem po prawej stronie drogi stał dwupiętrowy dom w stylu wiktoriańskim.
Zatrzymaliśmy się na żwirowanym parkingu, skąd było widać werandę, a na niej kilku rozmawiających mężczyzn. Już chciałem wyjść z samochodu, gdy Julia dotknęła mego ramienia.
– Pamiętaj – przypomniała mi – że nikt nie znalazł się tu

przypadkowo. Uważaj, czy ktoś nie chce ci przekazać jakiejś informacji.
Weszliśmy razem na werandę. Znajdujący się tam mężczyźni, dobrze ubrani Peruwiańczycy, skinęli nam głowami. Kiedy znaleźliśmy się w holu, Julia wskazała mi drzwi do jadalni, poleciła zająć stolik i czekać na nią, a sama poszła szukać właściciela.
Rozejrzałem się po sali. Stało w niej kilkanaście stołów w dwóch rzędach. Wybrałem stolik mniej więcej w połowie długości sali i usiadłem plecami do ściany. Zaraz za mną weszło trzech Peruwiańczyków i zajęło miejsca naprzeciw mojego stolika. Wkrótce potem przyszedł jeszcze jeden mężczyzna, który usiadł przy stoliku na prawo ode mnie. Był odwrócony do mnie plecami, ale zauważyłem, że wygląda na cudzoziemca, może nawet Europejczyka.
Wkrótce odnalazła mnie Julia i siadła naprzeciw.
– Mojego znajomego nie ma w domu. A jego pracownik nic nie wie o Wilu – poinformowała mnie.
– Co więc robimy? – spytałem. Wzruszyła ramionami.
– Nie wiem, ale musimy przyjąć, że ktoś z tych ludzi ma nam coś do przekazania.
– Jak sądzisz, który to z nich?
– Tego nie wiem.
– A jak to niby ma wyglądać? – wpadłem nagle w sceptyczny nastrój. Mimo tylu tajemniczych zbiegów zdarzeń, których doświadczyłem podczas pobytu w Peru, trudno mi było uwierzyć, że coś takiego może zaistnieć akurat, gdy tego chcemy.
– Nie zapominaj o trzecim wtajemniczeniu – odpowiedziała Julia. – Cały wszechświat jest energią, energią która odpowiada na nasze oczekiwania. Z tej samej energii składają się ludzie, więc kiedy mamy jakieś pytanie, dają ci poznać, kto ma na nie odpowiedź.
Wskazała oczami siedzących na sali mężczyzn.
– Nie wiem. kim oni są. ale gdybyśmy z nimi dostatecznie długo rozmawiali, może od każdego z nich uzyskalibyśmy choć część potrzebnej nam informacji.
Spojrzałem na nią spod oka, a ona pochyliła się do mnie

przez stół.
– Wbij sobie to do głowy: każdy, kto pojawia się na naszej drodze, ma nam coś do przekazania. Gdyby było inaczej, wybraliby inną drogę lub pojawili się wcześniej albo później. Jeśli ci ludzie są tu akurat teraz, oznacza to, że jest ku temu powód.
Wciąż wydawało mi się to zbyt proste, aby było prawdziwe.
– Najtrudniej jest – mówiła dalej Julia – zdecydować się, z kim najpierw rozmawiać, jeżeli nie można rozmawiać ze wszystkimi.
– No więc kogo wybierasz?
– Rękopis mówi, że można to poznać po pewnych wskazówkach.
Słuchając Julii, równocześnie rozglądałem się wokół, szczególnie przypatrując się osobnikowi po mojej prawej. Jakby na dany znak, on też się odwrócił i spojrzał na mnie.
Nasze oczy się spotkały i zaraz wrócił do przerwanego posiłku, więc ja też zająłem się czymś innym.
– Jakie to wskazówki? – wypytywałem dalej Julię.
– Takie jak ta.
– Która?
– Ta, którą przed chwilą otrzymałeś – gestem wskazała mężczyznę po mojej prawej.
– Co masz na myśli?
Julia znów nachyliła się do mnie.
– Rękopis mówi, że taki nagły spontaniczny kontakt wzrokowy oznacza, że te dwie osoby powinny porozmawiać.
– Taka wymiana spojrzeń *zdana* się przecież często.
– Owszem, ale większość ludzi natychmiast o tym zapomina i dalej robi swoje.
– Co jeszcze Rękopis każe uznać za znak?
– Na przykład to, że jakaś osoba wydaje się nam dziwnie znajoma, mimo że widzimy ją pierwszy raz w życiu.
Przypomniałem sobie Dobsona i Reneau. którzy już na pierwszy rzut oka przypominali mi kogoś znajomego.
– A czy Rękopis wyjaśnia, dlaczego niektórzy ludzie wydają się nam znajomi?
– Właściwie nie. Mówi tylko, że niektórzy są dla siebie

nawzajem duszami pokrewnymi. Takie duchowe pokrewieństwo rozwija się zwykle na bazie wspólnych zainteresowań. A kto podobnie do nas myśli, stwarza zwykle podobne wrażenie zewnętrzne. Pokrewne dusze rozpoznajemy zwykle intuicyjnie i często *zdarza* się, że mają dla nas cenne informacje.

Zerknąłem ponownie na faceta po prawej. Rzeczywiście kogoś mi niejasno przypominał. I znowu kiedy tylko skierowałem na niego wzrok, jak na zawołanie odwrócił się i spojrzał na mnie. Julia bacznie mnie obserwowała.

– Musisz porozmawiać z tym człowiekiem – rzekła. Początkowo nie reagowałem, gdyż krępowałem się ot tak

sobie podejść do kogoś obcego. Wolałbym, abyśmy już ruszyli do Iquitos. Chciałem to zaproponować, gdy Julia odezwała się:

– Nasze miejsce jest tu, a nie w Iquitos. Musimy rozegrać tę partię do końca. Cały kłopot z tobą, że masz opory, żeby do niego podejść i zacząć rozmowę.

– Jak ty to robisz?

– Co robię?

– Czytasz w moich myślach.

– To nic trudnego. Po prostu uważnie ci się przyglądam.

– I co?

– Kiedy jesteśmy na kogoś szczególnie wyczuleni, możemy dostrzec jego prawdziwe “ja" poza wszystkimi pozami, które przybiera. Na wyższym poziomie koncentracji jesteśmy zdolni odczytać czyjeś myśli z ulotnego wyrazu jego twarzy. To całkiem naturalne.

– To raczej coś z telepatii.

– Telepatia też jest czymś bardzo naturalnym – roześmiała
się.

Kiedy znów spojrzałem bokiem na gościa, teraz już się nie odwrócił.

– Skoncentruj swoją energię i zacznij z nim rozmowę, zanim stracisz okazję.

Spróbowałem zgromadzić trochę energii i poczułem się silniejszy.

– Dobrze – zwróciłem się znów do Julii – ale co ja mam mu powiedzieć?

– Prawdę, ale w takiej formie, jaka będzie dla niego do przyjęcia.
Odsunąłem swoje krzesło i podszedłem do nieznajomego. Wyglądał na nieśmiałego i nerwowego, podobnie jak Pablo, kiedy poznałem go w celi. Starałem się więc dotrzeć do niego głębiej, pokonując barierę nerwowości. A kiedy mi się to udało, zauważyłem, że zmienił się wyraz jego twarzy – przybyło mu energii.
– Dzień dobry! – powiedziałem. – Pan chyba nietutejszy, ale może będzie mi pan mógł w czymś pomóc. Szukam znajomego, nazywa się Wił James, może gdzieś się pan z nim zetknął?
– Proszę, niech pan siada – odezwał się nieznajomy ze skandynawskim akcentem. – Profesor Edmond Connor – przedstawił się podając mi rękę. – Przykro mi, ale nie znam pańskiego przyjaciela.
Ja także się przedstawiłem i opisałem mu misję Wiła, licząc, że coś mu to powie.
– Och, ja też znam Rękopis! – zareagował żywo. – Przyjechałem tu. aby zbadać jego autentyczność.
– Sam?
– Miałem się tu spotkać z profesorem Dobsonem. Ale dotąd się nie pojawił i nie rozumiem, co mogło się z nim stać. Zapewniał, że będzie tu przede mną.
– Pan zna Dobsona?
– Tak, to właśnie on zapoczątkował badania nad Rękopisem.
– I nic mu się nie stało? Ma tu przyjechać? Profesor spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.
– Takie były nasze plany. A co miało się stać?
Od razu uszła ze mnie cała energia. Zorientowałem się, że Dobson umówił się na spotkanie z Connorem. jeszcze zanim został zatrzymany. Wyjaśniłem więc:
– Poznałem go w samolocie, którym przyleciałem do Peru. W Limie byłem świadkiem jego aresztowania i nie wiem, co się z nim potem stało.
– O, Boże, aresztowali go?!
– Kiedy się pan z nim widział?

– Kilka tygodni temu. ale termin naszego spotkania był już dawno ustalony. Miał zadzwonić, gdyby się coś zmieniło.
– A dlaczego chciał się z panem spotkać tu. a nie w Limie?
– Mówił, że są tu jakieś ruiny i że zamierza nawiązać tu kontakt z jakimś innym naukowcem.
– Nie wspominał, gdzie był z nim umówiony?
– Mówił, że wybiera się do... Zaraz, zaraz... Aha, do San Luis. Dlaczego pan pyta?
– Po prostu byłem ciekaw.
Kiedy wypowiadałem te słowa, zaszły równocześnie dwa zjawiska. Po pierwsze, ujrzałem w myślach, jak znów spotykam się z Dobsonem. na jakiejś drodze pod wielkimi drzewami. Równocześnie zerknąłem przez okno i ku swemu zdumieniu zobaczyłem, że na werandę wchodzi... ksiądz Sanchez! Był brudny i zmęczony. W starym samochodzie na parkingu został jeszcze jakiś ksiądz.
– Kto to jest? – spytał profesor Connor.
– To ksiądz Sanchez – oznajmiłem, z trudem tłumiąc podniecenie.
Obejrzałem się za Julią, ale nie było jej już przy naszym stole. Kiedy Sanchez wszedł na salę, podniosłem się. Na mój widok stanął jak wryty, a potem pospieszył mnie uściskać.
– Wszystko w porządku? – zapytał.
– Tak, dziękuję, ale co ksiądz tutaj robi?
Mimo całego jego zmęczenia jakoś rozbawiło go to pytanie.
– Nie bardzo wiedziałem, gdzie jeszcze mógłbym się udać, a i tu ledwo dotarłem. Wojsko depcze mi po piętach.
– Wojsko? Dlaczego? – zdziwił się Connor podchodząc do nas z tyłu.
– Niestety, nie wiem, o co im chodzi. Wiem tylko, że jest ich dużo – wymijająco odpowiedział Sanchez.
Przedstawiłem sobie obu panów i opowiedziałem Sanchezowi, w jakiej sytuacji znalazł się Connor, który stał koło nas wystraszony.
– Muszę się stąd wydostać – powiedział. – Tylko nie wiem czym.
– Tam, w samochodzie, czeka ksiądz Paul – zaproponował Sanchez. – Będzie zaraz wracał do Limy. Może pan zabrać się

znim.
– Chętnie – ucieszył się Connor.
– Zaraz, a jeżeli natkną się na to wojsko? – niepokoiłem się.
– Nie przypuszczam, żeby chcieli zatrzymać księdza Paula
– uspokoił mnie Sanchez. – Nikt go tu nie zna.
Wróciła Julia i od razu zauważyła Sancheza. Przywitali się serdecznie, po czym przedstawiłem jej Connora. Profesor niepokoił się coraz bardziej. Na szczęście po kilku minutach Sanchez poinformował go, że ksiądz Paul już zbiera się do drogi. Connor poszedł zabrać swoje rzeczy z pokoju i zaraz wrócił. Sanchez i Julia odprowadzili go do wyjścia. Ja pożegnałem się i zostałem przy stoliku, bo musiałem trochę pomyśleć. Byłem pewien, że spotkanie z Connorem musiało coś oznaczać; podobnie fakt, że Sanchez zastał nas tu obu. śeby tylko udało mi się to rozszyfrować.
Wkrótce wróciła Julia i usiadła koło mnie.
– Mówiłam, że coś się tu wydarzy – zaczęła. – Gdybyśmy tu nie wstąpili, nie spotkalibyśmy Sancheza ani Connora. A propos, czego się od niego dowiedziałeś?
– Nie jestem jeszcze zupełnie pewien – odpowiedziałem wymijająco. – A gdzie jest ksiądz Sanchez?
– Poszedł do swego pokoju trochę odpocząć. Nie spał od dwóch dni.
Zdawałem sobie sprawę, że Sanchez musi być zmęczony, ale poczułem się zawiedziony. Akurat teraz bardzo potrzebowałem rozmowy z nim, choćby po to, żeby ostatnie wydarzenia osadzić w jakiejś perspektywie. Szczególnie niepokoił mnie pościg wojska. Ogarnęło mnie uczucie niepewności i właściwie to wolałbym wynieść się stąd razem z Connorem.
– Julia zauważyła, co się ze mną dzieje.
– Nie denerwuj się. Powiedz lepiej, co myślisz o ósmym wtajemniczeniu.
Spróbowałem się skupić.
– Od czego by tu zacząć?
– Powiedz po prostu, o czym ono mówi. Zacząłem sobie przypominać.
– Mowa tam o stosunku do innych, tak dzieci, jak i

dorosłych. Poza tym o demaskowaniu i przeciwstawianiu się grom kontroli, a także o przekazywaniu energii innym.
– I jeszcze o czym? – naciskała.
Skupiłem uwagę na jej twarzy i już wiedziałem, o co jej chodzi.
– Jeśli odwołując się do swojej spostrzegawczości wybierzemy właściwego partnera do rozmowy, otrzymamy odpowiedzi na dręczące nas pytania.
Julia uśmiechnęła się serdecznie.
– No i jak, opanowałem już ósme wtajemniczenie? – spytałem.
– Prawie. Jeszcze tylko jedno. Wiesz już, jak jedna osoba może podbudować energię innej. Teraz musisz jeszcze zobaczyć, jak wygląda takie współdziałanie w większej grupie.

Wyszedłem na werandę i zająłem miejsce na żelaznym krześle. Po chwili przysiadła się do mnie Julia. Byliśmy już po kolacji, którą zjedliśmy bez pośpiechu, w milczeniu, a teraz chcieliśmy posiedzieć na świeżym, wieczornym powietrzu. Odkąd Sanchez udał się do pokoju, minęły trzy godziny i znów zacząłem się niepokoić. Poczułem więc ulgę, kiedy raptem zjawił się na werandzie i usiadł przy nas.
– Czy miał ksiądz jakieś wiadomości o Wilu? – spytałem. Zauważyłem, że ksiądz ustawił swoje krzesło w taki sposób,
by między każdym z nas była równa odległość. W końcu udzieli! mi odpowiedzi:
– Tak, miałem.
Znów zamilkł i zdawał się pogrążać w myślach.
– A co ksiądz słyszał?
– Posłuchaj, co się stało – zaczął. – Kiedy wróciliśmy z księdzem Carlem na moją misję, spodziewałem się zastać tam kardynała Sebastiana z wojskiem. Byliśmy pewni, że zaraz zacznie się śledztwo, ale kilka godzin przedtem, nim dotarliśmy na miejsce, Sebastian otrzymał jakąś wiadomość i wraz z wojskiem nagle opuścił teren.
Długo zachodziliśmy w głowę, co mogło się stać, aż odwiedził nas ksiądz Costous, z którym chyba miałeś już do

czynienia. Powiedział, że to Wił James skierował go do mojej misji. Widocznie Wił zapamiętał jej nazwę ze swoich wcześniejszych rozmów z księdzem Carlem. a teraz intuicja podpowiedziała mu. że ksiądz Costous ma cenną dla nas informację. Wyobraźcie sobie, że ksiądz Costous przeszedł na stronę zwolenników Rękopisu!
– Więc dlaczego Sebastian tak nagle wyjechał?
– Wyjechał, ponieważ postanowił przyspieszyć swoją akcję. Powiadomiono go bowiem, że ksiądz Costous chce ujawnić jego zamiar zniszczenia tekstu dziewiątego wtajemniczenia.
– Czyżby Sebastian go znalazł?
– Na szczęście jeszcze nie, ale jest na dobrej drodze, gdyż zdobył inny dokument, wskazujący właściwe miejsce poszukiwań.
– Co to za miejsce? – włączyła się Julia.
– Ruiny Świątyni Nieba.
– Gdzie to jest? – spytałem.
– Niecałe sto kilometrów stąd – wyjaśniła Julia. – Peruwiańscy naukowcy prowadzą tam prace wykopaliskowe otoczone ścisłą tajemnicą. Odkopano kilka pokładów ruin świątyń z różnych epok, najpierw z epoki Majów, potem z czasów Inków. Najwidoczniej obie te społeczności uważały, że to miejsce ma jakieś szczególne cechy.
Uderzyło mnie, że Sanchez niezwykle intensywnie koncentruje się na tej rozmowie. Kiedy coś mówiłem, nie odrywał ode mnie wzroku, a gdy do rozmowy włączała się Julia, skupiał się wyłącznie na niej. Zdawał się przykładać do tego bardzo dużą wagę. Kiedy zastanawiałem się, dlaczego on to robi, zapanowała nagle cisza. Oboje, Julia i Sanchez, patrzyli na mnie wyczekująco.
– O co chodzi? – spytałem.
– Teraz twoja kolej – uśmiechnął się Sanchez.
– Czy mamy kolejno zabierać głos? – zdziwiłem się.
– Nie w tym rzecz – wyjaśniła Julia. – Prowadzimy świadomą wymianę zdań. Zabiera głos ten, kto otrzymał przypływ energii, a stwierdziliśmy, że właśnie nawiedziła ciebie.
Nie miałem pojęcia, co powiedzieć.

– Ósme wtajemniczenie uczy również świadomego współdziałania w grupie – tłumaczył Sanchez. – Odpręż się i spróbuj opanować ten proces. Kiedy toczy się rozmowa w grupie, zawsze tylko jeden jej uczestnik ma do powiedzenia coś, co jest w danej chwili najważniejsze. Jeżeli pozostali są czujni, zwykle wiedzą, kto to jest. i wtedy koncentrują się na nim przekazując mu energię, aby mógł wyrazić swoją myśl możliwie najjaśniej.

W miarę jak konwersacja się rozwija, kolejna osoba będzie miała do powiedzenia coś najważniejszego, potem następna i tak dalej. Jeśli pilnie śledzisz tok rozmowy, poczujesz, kiedy jest twoja kolej. Myśl. którą masz wypowiedzieć, sama przyjdzie ci do głowy.

Sanchez przeniósł teraz wzrok na Julię, a ona zwróciła się do mnie:

– Jaka była ta myśl, której nie zdołałeś wyrazić?

– Zastanawiałem się – powiedziałem po chwili namysłu - dlaczego ksiądz wpatruje się tak intensywnie w każdego, kto akurat coś mówi. Byłem ciekaw, co to ma znaczyć.

– Istota tego procesu – wyjaśnił Sanchez – polega na tym, aby mówić wtedy, kiedy przyjdzie twój czas, a przekazywać energię, kiedy jest czas kogoś innego.

– Oczywiście nie zawsze się wszystko udaje – włączyła się Julia. – Niektórzy ludzie popadają w samozadowolenie. Myślą, że mówią coś bardzo ważnego, a ponieważ przypływ energii poprawia ich samopoczucie, nie przestają mówić, nawet kiedy minął ich czas i powinni przekazać energię komu innemu. Tacy ludzie usiłują zdominować grupę.

Inni znowu są zbyt nieśmiali i choć czują, że mają coś ważnego do powiedzenia, boją się wyrazić to głośno. Dochodzi wtedy do rozbicia grupy i jej członkowie nie mogą skorzystać ze wszystkich informacji. To samo dzieje się, gdy niektórzy członkowie grupy nie są akceptowani przez innych. Nie otrzymują oni energii, a grupa traci korzyści, które mogłyby przynieść ich myśli.

Julia przerwała i oboje spojrzeliśmy na Sancheza, który odetchnął głęboko i zaczął mówić.

– Ważne jest, w jaki sposób izoluje się niektórych członków

grupy. Jeżeli kogoś nie lubimy lub czujemy się przez kogoś zagrożeni, koncentrujemy się zwykle na tych jego cechach, które nas rażą lub denerwują. W ten sposób, zamiast dostrzegać ukryte piękno tego człowieka i przekazywać mu energię, pozbawiamy go jej i szkodzimy mu. Taka osoba nie wie nawet, dlaczego raptem czuje się gorzej i mniej pewnie.

– Taka ostra rywalizacja powoduje, że ludzie dużo szybciej się starzeją – uzupełniła Julia. Znów zabrał głos Sanchez.

– W dobrze funkcjonującej grupie poziom energii każdego jej członka powinien wzrastać dzięki energii otrzymanej od innych. Wtedy indywidualne biopola łączą się tworząc jeden duży magazyn energii. Taka grupa jest jakby jednym organizmem z wieloma głowami, gdzie co jakiś czas poszczególny jej element może reprezentować całość. W tak zorganizowanej grupie każdy jej członek wie, kiedy przyjdzie jego kolej i co ma do powiedzenia, gdyż ma jasną i wyraźną wizję celu i sensu życia. Taka jest właśnie ta wzbogacona osobowość, o której mówi ósme wtajemniczenie w kontekście związku uczuciowego między mężczyzną a kobietą. Tym też sposobem kilka grup może wspólnie stworzyć jedną.

Słowa księdza Sancheza nasunęły mi myśl o księdzu Costousie i o Pablu. Czy to ten młody Indianin zdołał przekonać księdza i skłonił go, by włączył się w szeregi sprzymierzeńców Rękopisu? Czy osiągnął to dzięki potędze ósmego wtajemniczenia?

– Gdzie jest teraz ksiądz Costous? – spytałem głośno. Moi rozmówcy wydawali się trochę zaskoczeni tym pytaniem, ale ksiądz Sanchez odpowiedział natychmiast.

– On i ksiądz Carl, wybrali się do Limy, aby wyjawić dostojnikom Kościoła plany kardynała Sebastiana.

– Ach, więc dlatego ksiądz Carl tak obstawał przy wyjeździe z księdzem do misji! Wiedział, że ma tam coś do zrobienia?

– Otóż to! – potwierdził Sanchez.

Rozmowa znów się urwała i wszyscy popatrzyli po sobie, czekając na następny temat.

– W tej chwili – zaczął znów Sanchez – pytanie brzmi: co mamy zrobić my?

Pałeczkę przejęła Julia.
– Już od dłuższego czasu chodzą mi po głowie różne myśli związane z dziewiątym wtajemniczeniem, ale wszystko to jest jakieś niejasne...
Utkwiliśmy w niej wzrok.
– Widzę jakby jakieś miejsce... Chwileczkę... Jakby jakieś ruiny. Tak, to są ruiny Świątyni Nieba. Jakieś jedno miejsce między świątyniami. Byłabym zapomniała... Muszę tam jechać! Tak jest, muszę jechać do Świątyni Nieba.
Skończyła i oboje z Sanchezem przenieśli wzrok na mnie.
– Jeszcze nie wiem dokładnie – zacząłem – ale nie daje mi spokoju pytanie, dlaczego kardynał Sebastian i jego ludzie tak usilnie zwalczają Rękopis. Doszedłem do wniosku, że obawiają się teorii naszej wewnętrznej ewolucji. Ale teraz... tu to wojsko, tam Sebastian może lada dzień znaleźć dziewiąte wtajemniczenie... Sam nie wiem, ale ciągle wydaje mi się, że mógłbym mieć na niego jakiś wpływ, odwieść go od zniszczenia Rękopisu.
Zamilkłem. Moje myśli powędrowały znów do Dobsona. a potem nagle pomyślałem o dziewiątym wtajemniczeniu. Zdałem sobie sprawę, że z niego dowiemy się, dokąd może zaprowadzić nas ewolucja.
Miałem niejasne przeczucie, że jego treści mogłyby też rozwiać obawy kardynała przed świadomą ewolucją... Gdyby chciał je poznać!
– Wciąż wydaje mi się, że można by przekonać Sebastiana, aby opowiedział się za Rękopisem – oświadczyłem zdecydowanie.
– Wyobrażasz sobie siebie w tej roli? – zapytał wprost Sanchez.
– No, może niezupełnie... Ale widzę tu kogoś, kto ma dostęp do kardynała, zna go i mógłby rozmawiać z nim jak równy z równym.
Oboje z Julią spojrzeliśmy na księdza. Z wymuszonym uśmiechem odezwał się tonem pełnym rezygnacji:
– Do tej pory obaj z kardynałem Sebastianem unikaliśmy bezpośredniej konfrontacji w sprawie Rękopisu. Kardynał zawsze był moim zwierzchnikiem, mało tego, uważał mnie za

swojego ucznia i trzeba przyznać, że do pewnego czasu był dla mnie wzorem. Przypuszczałem jednak, że to tak się skończy. Od chwili kiedy po raz pierwszy o tym wspomniałeś, wiedziałem, że to jest zadanie dla mnie. Całe moje życie przygotowywało mnie do tego.
Przerwał, przez chwilę popatrzył na nas badawczo, po czym mówił dalej:
– Moja matka była zwolenniczką nurtu reformatorskiego w religii chrześcijańskiej. Sprzeciwiała się używaniu przymusu i wzbudzaniu poczucia winy przy ewangelizacji. Uważała, że ludzi powinna przywodzić do Boga miłość, a nie strach. Z kolei mój ojciec był teologiem moralistą, podobnie jak Sebastian, konsekwentnym zwolennikiem dyscypliny, tradycji i autorytetów. Odziedziczyłem po nich pragnienie pracy w strukturach Kościoła, ale połączonej z poszukiwaniem dróg jego naprawy, z doskonaleniem wartości przeżyć religijnych.
Konfrontacja z kardynałem Sebastianem stanowi dla mnie następny etap. Broniłem się przed tym, ale widzę, że będę musiał pojechać do jego misji w Iquitos.
– A ja pojadę z księdzem! – zaproponowałem.

Nowa cywilizacja

Droga wiodła na północ, wijąc się przez gęstą dżunglę i przecinając potężne rzeki. Według księdza Sancheza były to dopływy Amazonki. Wstaliśmy tego dnia wcześnie, pożegnaliśmy się szybko z Julią i wyjechaliśmy wypożyczonym przez Sancheza samochodem terenowym z napędem na cztery koła. Powoli, lecz systematycznie wznosiliśmy się w górę. Drzewa rosły tu rzadziej i były większe.
– Przypomina to okolice Viciente – zauważyłem.
– Tak, wjechaliśmy na obszar, który ma zupełnie inny charakter niż okoliczne tereny. Jest tu dużo więcej energii. Ciągnie się to aż do ruin Świątyni Nieba. Otacza go z obu stron dziewicza dżungla.
Po prawej stronie na skraju dżungli zauważyłem kawałek oczyszczonego gruntu.
– Co to jest?
– Tak rząd wyobraża sobie rozwój rolnictwa.
Z szerokiego pasa ziemi wykarczowano drzewa i pościągano na stosy, tu i ówdzie nadpalone. Po trawie chodziło stado krów. Niektóre oglądały się za przejeżdżającym samochodem. Trochę dalej znów widać było kawałek podobnie splantowanego terenu. Zmiany te dochodziły niestety coraz bliżej wielkich drzew, między którymi przejeżdżaliśmy.
– Co za okropny widok!
– Rzeczywiście, nawet kardynał Sebastian tak uważa – zgodził się ze mną Sanchez.
W tym momencie wspomniałem Phila. Może starał się uchronić to miejsce przed takimi eksperymentami? Co się teraz z nim dzieje? Potem znów myślałem o Dobsonie. Connor miał spotkać się z nim w zajeździe. Dlaczego zjawił się tam w tym samym czasie co ja? Czy po to. aby móc mi o tym powiedzieć? I gdzie teraz jest Dobson? Może go deportowano albo siedzi w więzieniu? I ciekawe, przypomniał mi się Dobson równocześnie z Philem!
– Daleko jeszcze do misji Sebastiana? – spytałem.
– Jeszcze z godzinę jazdy. A jak się czujesz?

– Pod jakim względem?
– Mam na myśli poziom energii.
– Chyba jest wysoki, bo tak tu pięknie wokoło.
– A co sądzisz o naszej ostatniej rozmowie w nocy?
– To było cudowne.
– Zdawałeś sobie sprawę, co się właściwie dzieje?
– Czy idzie księdzu o to, w jaki sposób u każdego z nas w innym czasie rodziły się nowe myśli?
– Tak, ale jaki był tego głębszy sens?
– Nie wiem.
– Myślałem już nad tym. Ta zasada świadomego udziału, zgodnie z którą każdy stara się raczej spotęgować najlepsze cechy innych niż zyskać nad nimi przewagę, jest wizją przyszłości gatunku ludzkiego. Pomyśl tylko, jak wzrośnie wtedy poziom energii i tempo ewolucji każdego z nas!
– Rzeczywiście – przyznałem. – Ciekaw jestem, jaki wpływ będzie miał wzrost poziomu energii na rozwój cywilizacji, w jakim kierunku pójdą zmiany.
Spojrzał na mnie tak, jakbym utrafił w sedno.
– Ja też chciałbym to wiedzieć. Odpowiedź na to pytanie – dodał – przyniesie zapewne dziewiąte wtajemniczenie.
– Ja też tak myślę – zgodziłem się.
Zbliżaliśmy się do skrzyżowania. Sanchez zwolnił i zdawał się zastanawiać, w którą stronę skręcić.
– Czy będziemy przejeżdżać obok San Luis? – zapytałem.
– Jeżeli teraz skręcimy w lewo. A dlaczego pytasz? – spojrzał na mnie badawczo.
– Connor wspomniał, że Dobson miał zamiar tam wstąpić. żeby się z kimś spotkać. Zastanawiam się, czy nie była to jakaś informacja. – Spojrzałem na niego wyczekująco. – A zresztą dlaczego ksiądz zwolnił przed tym skrzyżowaniem?
Wzruszył ramionami.
– Sam nie wiem. Najkrótsza droga do Iquitos prowadzi prosto, ale jakoś się zawahałem...
Przebiegł mnie dreszcz emocji. Sanchez zaśmiał się i uniósł brwi.
– No to wio! Jedziemy przez San Luis.
Przytaknąłem radośnie i poczułem przypływ energii.

Wiedziałem już, że postój w zajeździe i spotkanie z Connorem miały większe znaczenie, niż mi się wydawało. Gdy Sanchez skręcił w lewo, w stronę San Luis, z nadzieją obserwowałem pobocze szosy. Minęło jakieś trzydzieści czy czterdzieści minut, przejechaliśmy San Luis i nic się nie działo, aż nagle usłyszeliśmy za sobą klakson i z rykiem silnika minął nas srebrny dżip. Jego kierowca dawał nam gwałtowne znaki ręką. Jakbym go skądś znał...

– Ależ to Phil!

Zjechaliśmy na pobocze. Phil wyskoczył z samochodu, podbiegł do nas, uścisnął mi rękę i ukłonił się księdzu.

– Mniejsza o to, co tu robicie – zaczął – ale przed nami jest pełno wojska. Lepiej wracajcie i przeczekajcie to razem z nami.

– A skąd wiedziałeś, że będziemy tędy przejeżdżać?

– Nie wiedziałem, tylko obserwując drogę zauważyłem mijający nas samochód. Stoimy jakiś kilometr stąd. – Rozejrzał się, potem dodał: – Lepiej uciekajmy z tej szosy!

– Pojedziemy za tobą – zgodził się Sanchez.

Phil zawrócił, a my za nim. Skręcił na wschód i zaraz za zakrętem zaparkował. Zza kępy drzew wyszedł mu na spotkanie inny mężczyzna. Nie wierzyłem własnym oczom. To był Dobson!

Wysiadłem z wozu i popędziłem w jego stronę. Równie zaskoczony jak ja, przywitał mnie bardzo serdecznie.

– Cieszę się, że cię widzę!

– Ja też – odrzekłem i dodałem szczerze: – Myślałem, że cię zabili.

Dobson poklepał mnie po plecach.

– No, nie jest aż tak źle! Zatrzymali mnie, ale potem jacyś funkcjonariusze, skryci zwolennicy Rękopisu, pomogli mi się stamtąd wydostać. Od tamtej pory wciąż jestem w drodze.

Przerwał, patrząc na mnie z uśmiechem.

– Dobrze, że z tobą wszystko w porządku. Kiedy Phil powiedział mi, że byłeś w Viciente, a potem obu was złapali, nie wiedziałem, co o tym myśleć. Teraz wszystko jasne. Po prostu musieliśmy się jeszcze spotkać. Dokąd się teraz wybierasz?

– Chciałbym zobaczyć się z kardynałem Sebastianem.

Podobno ma zamiar zniszczyć ostatnie wtajemniczenie Rękopisu. Podszedł do nas ksiądz Sanchez. Przedstawiłem ich sobie.
– Chyba słyszałem w Limie coś o księdzu – powiedział Dobson. – Zdaje mi się, że była też wtedy mowa o dwóch innych kapłanach, których aresztowano.
– Może to ksiądz Carl i ksiądz Costous? – podsunąłem.
– Chyba tak właśnie się nazywali.
Sanchez tylko pokręcił głową. Przez chwilę mu się przyglądałem. Potem opowiadaliśmy sobie z Dobsonem, co każdy z nas przeżył, odkąd nas rozdzielono. Zdążył już przestudiować wszystkie osiem rozdziałów. Przerwałem potok jego słów, żeby go poinformować, że spotkaliśmy Connora i że on wrócił już do Limy.
– To pewnie i jego zamkną. śałuję, że nie zdążyłem na nasze umówione miejsce, ale chciałem najpierw spotkać się z kimś w San Luis. Niestety, nie zastałem go, ale za to natknąłem się na Phila i...
– A to co? – odezwał się Sanchez.
– Może lepiej usiądźmy – zaproponował Dobson. – Nie uwierzycie, ale Phil znalazł część dziewiątego wtajemniczenia! Zastygliśmy w bezruchu.
– Znalazł odbitkę tłumaczenia? – upewniał się Sanchez.
– Tak.
Phil dłubał coś przy samochodzie, ale właśnie przerwał i szedł w naszą stronę.
– Podobno znalazłeś część dziewiątego wtajemniczenia? - zapytałem bez wstępów.
– Właściwie nie znalazłem, tylko dostałem. Potem jak nas złapali, przewieźli mnie do innego miasta, nawet nie wiem, do jakiego. Wkrótce znalazł się tam kardynał Sebastian i zaczął mnie wypytywać o prace prowadzone w Viciente i moje zabiegi w związku z ochroną lasów. Nie wiedziałem, o co mu chodzi, dopóki strażnik nie przyniósł mi tego fragmentu. Okazało się, że wykradł go od któregoś z ludzi kardynała. Mowa w nim o energii w starodrzewach.
– Opowiedz dokładnie.
Phil musiał trochę pomyśleć, więc Dobson znów

zaproponował nam, żebyśmy usiedli. Zaprowadził nas na polanę, gdzie leżała rozłożona plandeka. Było to piękne miejsce. Dwanaście potężnych drzew tworzyło krąg, wewnątrz którego rosły kwitnące krzewy o wspaniałym zapachu i wysokie paprocie o tak żywej zieleni, jakiej jeszcze dotychczas nie widziałem. Usiedliśmy naprzeciw siebie.

Phil spojrzał na Dobsona, Dobson na Sancheza i na mnie.

– Dziewiąte wtajemniczenie – zaczął – opisuje zmiany, jakie zajdą w następnym tysiącleciu na skutek świadomej ewolucji rodzaju ludzkiego. Styl życia będzie wówczas całkiem inny. Ludzkość dobrowolnie ograniczy swoją reprodukcję, tak aby każdy człowiek miał szansę mieszkać w najpiękniejszych i najbogatszych w energię miejscach na Ziemi. W przyszłości będzie takich miejsc więcej, bo świadomie pozostawimy nietknięte lasy, aby zgromadził się tam potencjał energetyczny.

Dziewiąte wtajemniczenie przewiduje – ciągnął Dobson -że w połowie przyszłego tysiąclecia ludzie przeważnie będą przebywać wśród takich drzew jak te i pieczołowicie utrzymanych ogrodów, ale w pobliżu mając ośrodki miejskie wyposażone we wszelkie cuda techniki. Produkcja żywności, odzieży i środków transportu zostanie w pełni zautomatyzowana i dostępna dla każdego. Potrzeby ludności będą całkowicie zaspokajane bez wymiany pieniężnej...

Intuicja podpowie każdemu, co ma robić i kiedy. Wszelkie rodzaje działalności będą harmonijnie się uzupełniać. Nie będzie nadmiernej konsumpcji, ponieważ wyeliminuje się chęć posiadania i potrzebę kontroli bezpieczeństwa. W następnym tysiącleciu życie zyska inny wymiar...

Celem naszego bytu stanie się przeżywanie własnej ewolucji, radość z otrzymywanych intuicyjnie przekazów i wypełniającego się na naszych oczach przeznaczenia. Ludzkość zwolni tempo życia, uwrażliwi się natomiast na nieoczekiwane tajemnicze zdarzenia, które mogą zaistnieć wszędzie: na leśnej ścieżce, na moście przerzuconym nad przepaścią...

Wyobrażacie sobie takie pełne tajemniczych znaczeń spotkania istot ludzkich?

Pomyślcie, jak w takich warunkach zachowają się dwie osoby, które spotkają się po raz pierwszy. Najpierw każde

zajmie się obserwacją ujawniającego wszystkie zamiary biopola drugiej. Kiedy zdobędą jasność, świadomie otworzą się przed sobą, aż wreszcie przekażą sobie istotne informacje. Potem każda pójdzie swoją drogą, lecz już jako inna istota. Ich osobowość zyska całkiem nowy wymiar. Każda osoba będzie mogła oddziaływać na otoczenie w taki sposób, jaki nie był możliwy przed tym spotkaniem.

Przekazaliśmy Dobsonowi sporo energii, toteż mówił płynnie i z zapałem. W jego słowach, gdy opisywał nową cywilizację ludzką dźwięczała prawda. Nie miałem wątpliwości, że mówi o realnej, osiągalnej przyszłości. Miałem jednak także świadomość, że w historii było już wielu wizjonerów, którzy łudzili ludzkość obrazem idealnego świata, ale nikomu nie udało się wcielić ich utopii w życie. Próbował tego na przykład Marks, ale komunizm przerodził się w tragedię.

Znając naturę ludzką, nawet przy całej wiedzy przekazanej przez osiem wtajemniczeń Rękopisu nie mogłem wyobrazić sobie, jak ludzkość dojdzie do opisanego etapu. Kiedy Dobson zrobił przerwę, podzieliłem się swoimi wątpliwościami.

– Rękopis głosi, że doprowadzi nas do tego nasz naturalny instynkt poszukiwania prawdy – wyjaśnił z uśmiechem Dobson.

– Może jednak, by w pełni zrozumieć przebieg tego procesu, trzeba będzie wyobrazić sobie następne tysiąclecie, tak jak zrobiliśmy to w samolocie w stosunku do bieżącego tysiąclecia. Pamiętasz? Tak, jakbyśmy wówczas żyli.

Dobson streścił krótko innym nasze rozumowanie, po czym kontynuował.

– Weźmy chociażby nasze tysiąclecie. W Średniowieczu żyliśmy w uproszczonym, czarno-białym świecie, określonym zgodnie z wolą Kościoła. W okresie Odrodzenia uwolniliśmy się od tego. Zorientowaliśmy się bowiem, że pozycja człowieka we wszechświecie jest bardziej skomplikowana, niż przedstawiają to nam ojcowie Kościoła. Zażądaliśmy więc pełnej prawdy.

Wydawało się, że dostarczy jej nam nauka. Kiedy i ona nie udzieliła natychmiastowych odpowiedzi na nasze pytania, poniechaliśmy poszukiwań i przekształciliśmy nowoczesny etos

pracy w nałóg, wynosząc na ołtarze realność, a pozbawiając nasz świat duchowości. Teraz widzimy już, co kryje się za tym nałogiem. Zdaliśmy sobie sprawę, że pięć wieków naszej krzątaniny wokół spraw bytowych stworzyło podwalinę dla nowego życia, które przywróci należytą rangę sprawom ducha.
Dzięki metodom naukowym uzyskaliśmy informację, że ludzkość zamieszkującą tę planetę czeka świadoma ewolucja.
Kiedy już opanujemy zasady tej ewolucji i każdy odnajdzie swoją właściwą drogę do prawdy, wtedy – jak przewiduje dziewiąte wtajemniczenie – cała nasza cywilizacja ulegać będzie dalszym przemianom.
Zrobił przerwę, ale wszyscy milczeli czekając na ciąg dalszy.
– Gdy osiągniemy stan krytyczny i umiejętność wglądu w siebie stanie się zjawiskiem powszechnym, ludzkość wejdzie w okres wytężonej introspekcji. Po raz pierwszy zdamy sobie sprawę, jak piękny i uduchowiony jest świat przyrody. Innym wzrokiem spojrzymy na drzewa, rzeki i góry, które objawią się nam jako przybytki potężnych sił, zasługujących na cześć i szacunek. Zażądamy zaprzestania wszelkiej działalności gospodarczej, która mogłaby zagrażać tym skarbom. Indywidualna ewolucja każdego z nas przyniesie alternatywne rozwiązania problemu zanieczyszczenia środowiska – czyjaś intuicja odkryje te możliwości w procesie ewolucji własnej.
Pierwszym wielkim przeobrażeniem, jakie nastąpi, będzie masowe zjawisko zmiany zawodów. Kiedy bowiem intuicja podpowie każdemu, kim jest naprawdę i czym powinien się zajmować, okaże się, że często niewłaściwi ludzie pracują na niewłaściwych stanowiskach i muszą je zmienić, aby móc się dalej rozwijać. W tym okresie ludzie będą kilkakrotnie w ciągu swojego życia zmieniać pracę.
Następnym przeobrażeniem cywilizacyjnym stanie się pełna automatyzacja produkcji dóbr konsumpcyjnych. Ludziom wprowadzającym tę automatyzację może się wydawać, że wymaga tego zwiększenie efektywności gospodarki. Dopiero gdy dojdzie do głosu intuicja, przekonają się, że właściwym zadaniem automatyzacji jest zwiększenie ilości naszego wolnego czasu, abyśmy mogli poświęcić go na inne formy

aktywności.
Tymczasem ci. którzy za wskazaniami intuicji pozostaną przy dawniej wybranych zawodach, też będą chcieli mieć więcej wolnego czasu. Okaże się bowiem, że to, co mamy do powiedzenia i zrobienia poza pracą, jest zbyt ważne, aby dało się pogodzić ze zwyczajowo ustalonymi godzinami pracy. Tak więc w poszukiwaniu swego celu życiowego będziemy dążyć do skrócenia czasu pracy. Dwie lub trzy osoby będą wykonywać to, co dawniej przypadało na jeden etat. Dzięki temu ci, których automatyzacja pozbawiła zajęcia, będą mogli znaleźć zatrudnienie, choćby w niepełnym wymiarze godzin.
– A co z pieniędzmi? – zapytałem. – Nie wierzę, aby ludzie dobrowolnie zgodzili się na obniżenie swoich dochodów.
– Nie będą musieli – zapewnił Dobson. – Nasze dochody pozostaną na niezmienionym poziomie, gdyż ludzie będą się wynagradzać za usługi natury duchowej.
– Za co? – Omal się nie roześmiałem.
– Rękopis powiada, że kiedy dowiemy się więcej o przepływie energii we wszechświecie, sami zobaczymy, co się dzieje, gdy komuś coś dajemy. Na razie jedyną moralną podbudową dawania jest wąskie pojęcie kościelnej dziesięciny...
Przeniósł wzrok na księdza Sancheza.
– Jak zapewne ksiądz wie, występujące w Piśmie Świętym pojęcie dziesięciny najczęściej interpretowane jest jako nakaz oddawania Kościołowi dziesięciu procent swoich przychodów. Podbudowę moralną tego nakazu miała stanowić idea, zgodnie z którą wszystko, co oddamy, będzie nam wielokrotnie zwrócone. Dziewiąte wtajemniczenie wyjaśnia, że dawanie jest w gruncie rzeczy powszechną formą wspierania, nie tylko Kościoła, lecz każdego. Dając zarazem otrzymujemy coś z powrotem, co wynika z przepływu energii we wszechświecie. Kiedy przekazujemy komuś energię, powstaje w nas próżnia, która jeżeli jesteśmy podłączeni do energii wszechświata, natychmiast się wypełnia. Podobnie z pieniędzmi. Dziewiąte wtajemniczenie głosi, że gdy zaczniemy regularnie dawać, otrzymamy więcej, niż będziemy w stanie z powrotem oddać.
Powinniśmy wynagradzać tych. którzy przekazują nam

jakieś wartości duchowe. Osoby, które pojawiają się w naszym życiu we właściwej chwili i przynoszą nam odpowiedzi na aktualne pytania, powinny otrzymywać za to pieniądze. W ten sposób będziemy mogli zacząć pomnażać nasze dochody i rezygnować z zajęć, które nas ograniczają. Jeżeli taką “duchową gospodarkę" zacznie prowadzić więcej osób, dokona się skok w cywilizację następnego tysiąclecia. Tym sposobem osiągniemy najpierw stadium ewolucyjnego dochodzenia do odpowiednich dla nas zajęć, aby przejść do następnego etapu, w którym będziemy otrzymywać wynagrodzenie za sam swobodny rozwój i za przekazywanie innym swoich osobistych dóbr duchowych.
Spojrzałem na Sancheza. Słuchał wykładu uważnie i jakby promieniował energią.
– Tak – zgodził się z Dobsonem. – Wyobrażam to sobie bez trudu. Jeśli wszyscy będą brać w tym udział, to będziemy dawać i otrzymywać nieustannie i te interakcje, ta wymiana informacji stanie się naszym nowym zajęciem, nowym kierunkiem w ekonomii. Będziemy opłacani przez ludzi, z którymi wejdziemy w kontakt. W tej sytuacji materialna sfera życia zostanie całkowicie zautomatyzowana, będziemy bowiem zbyt zajęci, aby posiadać środki produkcji lub *zarządzać* nimi. Będziemy dążyć do tego, by produkcja materialna była zautomatyzowana i traktowana jako usługowa. Będziemy może mieć w niej swoje udziały, ale to nas wyzwoli, pozwoli się rozprężyć. I to będzie era informacji.
W tej chwili jednak najważniejsze jest, abyśmy zrozumieli, dokąd zmierzamy. Dotychczas nie byliśmy w stanie chronić środowiska, zdemokratyzować życia na Ziemi ani pomóc biednym, ponieważ nie mogliśmy pozbyć się ani strachu przed obniżeniem poziomu życia, ani żądzy władzy. A nie mogliśmy się na to zdobyć, gdyż nie znaliśmy alternatywy. Teraz już ją znamy.
Czy nie będziemy jednak potrzebować tańszych źródeł energii? – zwrócił się do Phila.
– Topiki, nadprzewodniki, sztuczna inteligencja – zaczął wymieniać Phil. – Technologicznie byliśmy już blisko procesu pełnej automatyzacji, a teraz mamy także podbudowę

teoretyczną – znamy cel.
– Otóż to! – potwierdził Dobson. – Najważniejsze, abyśmy uznali słuszność takiego stylu życia. Jesteśmy na tej planecie nie po to, aby tworzyć swoje prywatne imperia władzy, lecz po to, by móc się dalej rozwijać. Wynagradzanie wartości duchowych zapoczątkuje erę przemian i w miarę rozwoju automatyzacji będzie zanikał pieniądz. Stanie się niepotrzebny. Idąc za wskazaniami intuicji, będziemy brać z życia tylko to, co niezbędne.
– I wtedy zrozumiemy – wtrącił Phil – że naturalne, nieskażone obszary Ziemi powinny być chronione i otaczane szczególną opieką jako źródła niezwykłej siły.
Gdy mówił, skupiliśmy na nim całą uwagę; czuliśmy, że sam się dziwił, jak łatwo przychodzą mu słowa.
– Nie przestudiowałem jeszcze wszystkich rozdziałów. I gdybym wcześniej nie spotkał ciebie – zwrócił się do mnie -być może później, gdy strażnik pomógł mi w ucieczce, wcale nie wziąłbym z sobą części dziewiątego wtajemniczenia, którą otrzymałem. Na szczęście pamiętałem, co mówiłeś, że ten Rękopis jest taki ważny. Ale nawet nie znając treści innych wtajemniczeń, od razu zrozumiałem, jak doniosła to myśl, że automatyzacja musi być zharmonizowana z przepływem energii na kuli ziemskiej. Mnie zawsze interesowały lasy i ich rola w ekosferze. Dziewiąte wtajemniczenie mówi, że w miarę postępu ewolucji ludzkość dobrowolnie ograniczy swoją rozrodczość do takiej liczby ludności, jaką Ziemia może wyżywić. Jesteśmy stworzeni do życia w obrębie naturalnych systemów energetycznych naszej planety. Rolnictwo zostanie w pełni zautomatyzowane, z wyjątkiem uprawy tych roślin, które – przeznaczone do konsumpcji – będą otrzymywać od nas energię. Drzewa dla celów budowlanych będą sadzone na wyznaczonych specjalnie terenach. Dzięki temu pozostałe drzewa będą mogły swobodnie rosnąć, starzeć się i przekształcać w potężne lasy.
Wreszcie takie lasy staną się czymś powszechnym, a nie czymś wyjątkowym, a ludzie będą żyć w bezpośredniej bliskości źródła ich siły. Pomyśl, jak pełen energii będzie wówczas nasz świat.

– Powinno to podnieść poziom energii każdego człowieka – zauważyłem.
– Oczywiście – potwierdził Sanchez odruchowo. Widać było, że jest jakiś roztargniony, jakby myślą wybiegał już gdzieś naprzód, starając się przewidzieć, co z tego wyniknie. Czekaliśmy, co powie.
– Przyspieszy to – odezwał się wreszcie – tempo naszej indywidualnej ewolucji. Im lepiej będziemy przygotowani na przyjęcie przypływu energii, tym szybciej zareaguje wszechświat, nieoczekiwanie zsyłając na naszą drogę ludzi, którzy odpowiedzą nam na pytania. – W zamyśleniu powiódł po nas spojrzeniem. – A kiedy idziemy za głosem intuicji i jakieś nieoczekiwane spotkanie posuwa nas naprzód, to zarazem wznosimy się na wyższy stopień rozwoju.
Czyli że naprzód oznacza zarazem w górę – mówił jakby do siebie. – A im dalej posuwa się historia...
– My osiągamy coraz wyższy i wyższy poziom energii, a w konsekwencji wyższy stopień rozwoju – dokończył Dobson.
– Tak. Właśnie tak – podsumował Sanchez. – Przepraszam na chwilę.
Wstał, odszedł kawałek w głąb lasu i usiadł tam w samotności.
– Co jeszcze jest w dziewiątym wtajemniczeniu? – spytałem Dobsona.
– Ta część, którą mamy, na tym się kończy. Chcesz ją zobaczyć?
Poszedł do samochodu i za chwilę wrócił z okładziną ze specjalnego papieru pakowego. W środku było dwadzieścia kartek maszynopisu. Przeczytałem je i zdumiało mnie, z jaką dokładnością Dobson i Phil zreferowali najważniejsze tezy.
Gdy dobrnąłem do ostatniej strony, zrozumiałem, dlaczego to nie może być wszystko. Tekst urywał się nagle, w połowie myśli. Zawierał on zapowiedź, że kiedy przemiany na Ziemi wytworzą nowy rodzaj kultury duchowej i wyniosą ludzkość na wyższy poziom rozwoju, dojdzie do powstania zupełnie nowych zjawisk. Tu wywód się kończył.
Po jakiejś godzinie Sanchez wstał i podszedł do mnie.
– Myślę, że powinniśmy już wyruszyć w drogę do Iquitos –

powiedział.
– A co z tymi żołnierzami na drodze? – wyraziłem wątpliwość.
– Możemy zaryzykować. Miałem przeczucie, że jeśli zaraz wyruszymy, przedostaniemy się.
Zaufałem jego intuicji, poszliśmy więc opowiedzieć o naszych planach Philowi i Dobsonowi. Uznali ten pomysł za słuszny, a Dobson oświadczył:
– My też zastanawialiśmy się. co mamy robić. Chyba pojedziemy wprost do ruin Świątyni Nieba. Może uda nam się uratować dalszy ciąg dziewiątego wtajemniczenia?
Pożegnaliśmy się więc i ruszyliśmy w dalszą drogę na północ.

– O czym ksiądz myśli? – zagadnąłem po chwili. Ksiądz Sanchez zmniejszył nieco prędkość jazdy i odwrócił się do mnie.
– Myślę o tym, co powiedziałeś o kardynale Sebastianie, że może przestałby zwalczać Rękopis, gdyby ktoś pomógł mu go zrozumieć?
W tym momencie wyobraziłem sobie konfrontację z Sebastianem. W myślach zobaczyłem go, jak stoi w swoim eleganckim gabinecie i patrzy na nas z góry. Jest w mocy zniszczyć dziewiąte wtajemniczenie, a my staramy się go od tego odwieść.
Gdy wizja znikła, zauważyłem, że Sanchez uśmiecha się do mnie kącikiem ust.
– Co mówią twoje myśli?
– Widziałem Sebastiana.
– Co z nim się działo?
– To była wizja konfrontacji. Chciał zniszczyć ostatnie wtajemniczenie, a my próbowaliśmy mu to wyperswadować. Sanchez nabrał powietrza w płuca.
– To tak, jakby od nas miało zależeć, czy druga część dziewiątego wtajemniczenia ujrzy światło dzienne. Na samą myśl zrobiło mi się słabo.
– Co możemy mu powiedzieć?

– Jeszcze nie wiem. W każdym razie musimy go skłonić, by dostrzegł to, co w Rękopisie dobre, i zechciał zrozumieć, że jako całość nie stoi on w sprzeczności z nauką Kościoła, lecz raczej ją objaśnia. Jestem pewien, że dalszy ciąg dziewiątego wtajemniczenia potwierdzi to.
Następną godzinę przejechaliśmy w milczeniu, nie widząc po drodze żywej duszy. Przed oczyma przesuwały mi się wspomnienia wydarzeń, które zaszły od chwili, gdy przyjechałem do Peru. Wiedziałem już, że wtajemniczenia, które poznałem, połączyły się w moim umyśle i stworzyły nową świadomość.
– Do misji kardynała Sebastiana mamy jeszcze jakieś sześć kilometrów – oznajmił Sanchez zjeżdżając na pobocze. – Myślę, że powinniśmy jeszcze porozmawiać.
– Oczywiście.
– Nie wiem. co nas tam czeka, ale bez względu na to uważam, że powinniśmy jechać.
– Czy ta misja zajmuje duży obszar?
– Bardzo duży. Kardynał Sebastian rozbudowywał ją przez dwadzieścia lat. Wybrał tę lokalizację, aby móc kształcić miejscowych Indian, o których nikt nie dbał. Teraz uczy się tu młodzież z całego kraju. Wprawdzie kardynał ma dużo zajęć przy administrowaniu metropolią w Limie, ale ta misja jest jego oczkiem w głowie. – Utkwił we mnie uważne spojrzenie. -Bądź czujny. Może się zdarzyć, że będziemy musieli pomóc sobie wzajemnie.
Po tych słowach ruszył. Początkowo nie było widać nikogo, potem minęliśmy dwa wojskowe łaziki zaparkowane po prawej stronie szosy. Siedzący w nich żołnierze bacznie się nam przyglądali.
– No, to już wiedzą, że tu jesteśmy – powiedział Sanchez. Przejechaliśmy jeszcze ponad kilometr i natknęliśmy się na
masywną, żelazną bramę strzegącą wjazdu do misji. Brama była otwarta, ale łazik z czterema żołnierzami zatarasował nam drogę i zmusił do zatrzymania się. Któryś z wojskowych nadał coś przez krótkofalówkę.
Mój towarzysz uśmiechem przywitał podchodzącego do nas żołnierza.

– Jestem ksiądz Sanchez. Chciałbym widzieć się z kardynałem Sebastianem.
śołnierz zmierzył wzrokiem najpierw Sancheza, potem mnie, po czym wrócił do swego kolegi z krótkofalówką. Zamienili ze sobą parę słów, nie spuszczając nas z oczu. Po kilku minutach podszedł jeszcze raz do nas i kazał nam jechać za sobą.
Śladem łazika przejechaliśmy kilkaset metrów między szpalerami drzew, aż wjechaliśmy do centrum misji. Znajdował się tam ogromny kościół z masywnych kamiennych bloków. Z obu stron przylegały do niego dwa czteropiętrowe budynki, przypuszczalnie pomieszczenia szkolne.
– To wygląda imponująco – zauważyłem.
– Tak, ale czemu tu tak pusto? – myślał głośno Sanchez.
– Przecież to jest ta sławna szkoła misyjna Sebastiana. Gdzie są uczniowie?
Rzeczywiście, wokół nie było żywej duszy. śołnierze pilotowali nas aż do drzwi kościoła, po czym uprzejmie, ale stanowczo polecili nam wysiąść i iść za nimi. Wchodząc po cementowych schodach kościoła zauważyłem, że za przyległym budynkiem stoi kilka ciężarówek, a przy nich kilkudziesięciu żołnierzy w pełnej gotowości bojowej. Przeprowadzono nas przez nawę kościoła i polecono wejść do małego pokoiku. Tam poddano nas skrupulatnej rewizji osobistej i kazano czekać. Nasza eskorta wyszła, zamykając za sobą drzwi.
– Gdzie rezyduje kardynał? – spytałem Sancheza.
– Na tyłach kościoła, od strony zakrystii – odpowiedział. Wtem otworzyły się drzwi. W obstawie kilku żołnierzy ukazał się kardynał Sebastian – wysoki, wyprostowany.
– Co ksiądz tu robi? – zwrócił się do Sancheza.
– Chciałbym pomówić z Waszą Eminencją.
– W jakiej sprawie?
– Dziewiątego wtajemniczenia Rękopisu.
– Już nie ma o czym mówić. Nikt go nigdy nie znajdzie.
– Ależ my wiemy, że ksiądz kardynał je znalazł! Spojrzenie kardynała wyrażało wielkie zdziwienie.
– Nie dopuszczę do jego rozpowszechniania! – oświadczył.
– Zawiera nieprawdę.

– A skąd Wasza Eminencja wie, że to jest nieprawda? - zaatakował Sanchez. – A może Eminencja się myli? Proszę pozwolić mi je przeczytać.
Wzrok Sebastiana złagodniał nieco.
– Nigdy dotąd nie kwestionował ksiądz moich decyzji w podobnych sprawach – zauważył.
– To prawda – przyznał Sanchez. – Ksiądz kardynał był moim mistrzem i przewodnikiem duchowym. I wzorem w organizowaniu misji...
– No właśnie. Dopóki ten Rękopis nie został odkryty, ksiądz darzył mnie szacunkiem i uznaniem. Już samo to świadczy, jak bardzo dzieli on ludzi! Chciałem dać księdzu wolną rękę. Nie ingerowałem nawet wtedy, kiedy dowiedziałem się, że ksiądz objaśnia treści wtajemniczeń i prowadzi nauczanie w ich duchu. Ale nie pozwolę, aby ten dokument zniszczył to, co przez wieki budował nasz Kościół!
W pewnym momencie jakiś żołnierz odwołał kardynała na stronę. Sebastian obrzucił jeszcze spojrzeniem Sancheza i odszedł w głąb holu. Ze swojego miejsca mogliśmy widzieć tylko to, że rozmawia z jakimś wojskowym. Z reakcji kardynała widać było, że otrzymał wiadomość, która go zbulwersowała. Skierował się do wyjścia, dając znak wszystkim żołnierzom, aby szli za nim. Na miejscu został tylko jeden, który miał widocznie nas pilnować.
Pozostawiony z nami żołnierz wszedł do pokoiku i stanął pod ścianą z wyrazem niepokoju na twarzy. Miał nie więcej niż dwadzieścia lat.
– Co się stało? – spytał go Sanchez. Chłopak tylko potrząsnął głową.
– Czy to ma coś wspólnego z Rękopisem? Z dziewiątym wtajemniczeniem? – dopytywał się Sanchez.
Na twarzy młodego człowieka odbiło się zaskoczenie i lęk.
– Co ksiądz wie o dziewiątym wtajemniczeniu?
– Jesteśmy tutaj, aby ocalić je dla potomności – wyjaśnił Sanchez.
– Ja też chciałbym, aby zostało ocalone – wyznał.
– Czytał je pan? – wtrąciłem się.
– Nie, ale słyszałem, co o nim mówią. To mogłoby ożywić

naszą religię.
Raptem zza kościoła dobiegł nas odgłos strzałów.
– Co się tam dzieje? – zaniepokoił się Sanchez. śołnierz stał bez ruchu. Milczał.
Sanchez dotknął delikatnie jego ramienia i szepnął:
– Pomóż nam!
Chłopak podszedł do drzwi, sprawdził, czy nikogo za nimi nie ma, po czym wyszeptał:
– Jacyś ludzie włamali się do kościoła i wykradli kopię dziewiątego wtajemniczenia. Pewnie jeszcze gdzieś tu są! Znów rozległy się strzały.
– Powinniśmy im pomóc! – zaapelował Sanchez. Młody żołnierz był przerażony.
– Musimy stanąć w obronie słusznej sprawy! – naciskał Sanchez. – To dla dobra całego świata!
śołnierz zaproponował, abyśmy przeszli do innej części kościoła, a wtedy pomyśli, jak by nam pomóc. Wyprowadził nas przez hol, potem po schodach w górę na szerszy korytarz, który biegł przez całą długość kościoła.
– Biuro kardynała jest akurat pod nami – wskazał.
Nagle usłyszeliśmy na sąsiednim korytarzu tupot nóg ludzi biegnących w naszą stronę. Sanchez i żołnierz byli daleko przede mną i zdążyli uskoczyć w jakieś drzwi po prawej. Wiedziałem, że nie zdołam dobiec do tych drzwi, więc wpadłem w najbliższe i zamknąłem je za sobą.
Znalazłem się w sali lekcyjnej. Stały w niej ławki i katedra, a z tyłu była szatnia. Zdecydowałem schować się w szatni, która na szczęście nie była zamknięta. Starałem się ukryć, jak mogłem najlepiej, między zalatującymi stęchlizną kurtkami, ale wiedziałem, że jeśli ktoś tu wejdzie, znajdzie mnie z pewnością. Zastygłem w bezruchu, wstrzymując oddech. Skrzypnęły otwierane drzwi i słyszałem, jak w klasie buszuje kilka osób. Wydawało mi się nawet, że ktoś zbliża się do szatni. Słychać było głośną rozmowę w języku hiszpańskim, ale po chwili zaległa cisza.
Odczekałem dziesięć minut, po czym powoli uchyliłem drzwi szatni i wyjrzałem na zewnątrz. Sala była pusta. Wyszedłem i wyjrzałem na korytarz. Cisza i pustka.

Spróbowałem więc szybko dostać się do drzwi, za którymi ukryli się Sanchez i nasz strażnik. Okazało się, że drzwi te nie prowadzą do żadnego pokoju, tylko na inny korytarz. Nasłuchiwałem, ale panowała tam cisza. Poczułem ściskanie w dołku. Przyciszonym głosem wzywałem Sancheza, lecz nie było żadnej odpowiedzi. Zostałem sam. Z wrażenia zakręciło mi się w głowie. Nabrałem głęboko powietrza w płuca i zacząłem sam sobie perswadować, że właśnie teraz muszę zachować trzeźwość umysłu i nagromadzić dużo energii. Próbowałem poczuć miłość do otaczających mnie przedmiotów. Robiłem to dotąd, aż kształty i barwy widoczne w korytarzu zaczęły prezentować się bardziej atrakcyjnie. W efekcie tych zabiegów poczułem się raźniej i pomyślałem o Sebastianie. Jeżeli był teraz u siebie w biurze, Sanchez prawdopodobnie też tam się udał.
Dotarłem do klatki schodowej, więc zszedłem schodami w dół na pierwsze piętro. Przez oszklone drzwi wyszedłem na pusty korytarz, nie bardzo wiedząc, dokąd skierować się dalej.
Nagle usłyszałem głos Sancheza dobiegający zza uchylonych drzwi pokoju na wprost mnie, a za chwilę podniesiony bas Sebastiana. Podszedłem bliżej, a wtedy drzwi nagle otwarły się i żołnierz z wewnątrz wycelował mi karabin prosto w serce. Wciągnął mnie do środka i popchnął pod ścianę. Sanchez rzucił mi wdzięczne spojrzenie i dotknął ręką swojego splotu słonecznego. Sebastian skrzywił się z niesmakiem. Młodego żołnierza, który nam pomógł, nie było nigdzie widać.
Sądziłem, że gest Sancheza coś oznaczał. Może chciał w ten sposób zasygnalizować, że potrzebuje energii?
Starałem się więc skupić na jego twarzy, podczas gdy mówił, i myśleć o nim jak najlepiej. Jego biopole wyraźnie się powiększyło.
– Nikt nie może powstrzymać prawdy – stwierdził Sanchez.
– Ludzie mają prawo ją poznać!
Sebastian obrzucił go pobłażliwym spojrzeniem.
– Te teksty podważają prawdy objawione. Nie mogą być prawdziwe!
– Czy rzeczywiście podważają prawdy objawione, czy tylko

lepiej objaśniają nam ich treść?
– Znamy ją dobrze od wieków – zaoponował Sebastian. - Czyżby ksiądz zapomniał o latach swoich studiów teologicznych?
– Nie zapomniałem, ale wiem również, że te myśli wzbogacają i poszerzają nasze życie duchowe.
– I czyjeż to myśli? – zawołał kardynał. – Kto stworzył ten Rękopis? Jakiś poganin z plemienia Majów, który gdzieś nauczył się aramejskiego? Jakąż ci Majowie mieli wiedzę? Ci prymitywni poganie, którzy wierzyli w zaczarowane miejsca i tajemniczą energię. Dziewiąte wtajemniczenie znaleziono w ruinach zwanych Świątynią Nieba! Co oni mogli wiedzieć o niebie?
A czy ta kultura przetrwała? – perorował z zapałem. - Skądże! Po Majach nawet ślad nie pozostał! A ksiądz chce, żebyśmy uwierzyli w jakiś ich rękopis? Ten dokument sugeruje, że ludzie mają możliwość wpływać na losy świata. To fałsz. Tylko Bóg jest władny kierować światem! Przed ludzkością stoi tylko jeden problem: czy przyjąć boską naukę i tym samym uzyskać zbawienie!
– Aleź. Eminencjo, proszę tylko pomyśleć – argumentował Sanchez. – Czym naprawdę jest przyjęcie nauki Boga i uzyskanie zbawienia? Przecież Rękopis ukazuje właśnie, jak to się odbywa. Stajemy się coraz bardziej uduchowieni, w łączności z wszechświatem – a co za tym idzie – zbawieni! A czy ósme i dziewiąte wtajemniczenie nie informują, co się stanie, jeżeli wszyscy będą tak postępować?
Sebastian odszedł kręcąc głową, aż nagle zawrócił i przeszył Sancheza przenikliwym spojrzeniem.
– Przecież ksiądz nawet nie zna dziewiątego wtajemniczenia!
– Owszem, znam jego fragmenty.
– Jak to możliwe?
– Część streszczono mi przed naszym przyjazdem tutaj, a część przeczytałem kilka minut temu.
– Co takiego? Jak to się mogło stać?
– Księże kardynale! – zaapelował Sanchez podchodząc do niego. – Ludzie ze wszystkich stron świata domagają się

ujawnienia ostatniego wtajemniczenia, gdyż rzuca ono światło na prawdziwe znaczenie innych wtajemniczeń. Ukazuje nam nasze przeznaczenie. Wyjaśnia, czym naprawdę jest świadomość duchowa.
– Wiemy, czym jest duchowość.
– Czyżby? Nie wydaje mi się. Poświęciliśmy tej kwestii wieki dyskusji, wyobrażaliśmy to sobie i wyznawaliśmy naszą wiarę w łączność z Bogiem. Opisywaliśmy jednak tę łączność jako coś abstrakcyjnego, coś, w co należy wierzyć. I uciekaliśmy się do niej raczej by chronić się przed złem niż zyskać dobro. Rękopis ukazuje duchowość, która zapanuje, kiedy będziemy szczerze kochać bliźnich i posuwać naprzód naszą ewolucję.
– Ewolucję? Nie poznaję księdza! Ksiądz zawsze zwalczał teorię ewolucji. Odkąd to stał się jej zwolennikiem? Sanchez nie dał się wyprowadzić z równowagi.
– Tak, zwalczałem teorię ewolucji pojmowanej zamiast Boga, jako metodę interpretacji zjawisk we wszechświecie bez udziału Stwórcy. Teraz jednak widzę, że prawda jest połączeniem światopoglądu religijnego z naukowym. Dziś wiem, że ewolucja to sposób, w jaki Bóg stworzył świat i nadal go tworzy.
– Nie ma żadnej ewolucji! – zaprotestował Sebastian. – Bóg stworzył świat. To wszystko!
Sanchez spojrzał na mnie, ale nie potrafiłem go wesprzeć, mówił więc dalej:
– Rękopis ukazuje proces następstwa pokoleń jako ewolucję myślenia, przechodzenia na wyższy poziom duchowości i ruchu materii. Każde pokolenie gromadzi więcej energii, a więc poznaje więcej prawdy i przekazuje ten stan rzeczy następnemu pokoleniu, i tak dalej.
– Bzdura! – zawołał Sebastian. – Jedynym sposobem, aby wznieść się na wyższy poziom ducha, jest naśladowanie Ewangelii.
– Oczywiście – zgodził się Sanchez. – Ale czym jest Ewangelia? Czy Pismo Święte nie opowiada o ludziach, którzy nauczyli się, jak przyjmować energię i wolę Boga? Czyż nie do tego prowadzili swój lud prorocy w Starym Testamencie? A

czy życie syna pewnego cieśli nie było nagromadzeniem energii boskiej do takich rozmiarów, że nazwaliśmy to zstąpieniem Boga na Ziemię?
Całe dzieje Nowego Testamentu są właściwie dziejami grupy ludzi natchnionych rodzajem energii, która ich przeobraziła. Przecież sam Pan Jezus mówił, że możemy zrobić to co on albo i więcej. A my właściwie nigdy, aż do dziś, nie przykładaliśmy do tych słów właściwej miary. Dopiero teraz, dzięki Rękopisowi, możemy naprawdę zrozumieć, o czym mówił Pan Jezus i do czego nas chciał doprowadzić. Rękopis wyjaśnia, jak możemy to osiągnąć!
Sebastian patrzył gdzieś w przestrzeń, cały purpurowy z gniewu. Tymczasem do gabinetu wpadł wysokiej rangi oficer i zameldował, że złodzieje dziewiątego wtajemniczenia zostali wykryci.
– O, tam, Eminencjo – wskazywał przez okno. – Tam są! I rzeczywiście, w odległości jakichś trzystu – czterystu
metrów dostrzegliśmy dwoje ludzi biegnących po otwartym polu w stronę lasu. Na skraju tej pustej przestrzeni czekali już żołnierze z bronią gotową do strzału. Oficer odwrócił się od okna, gotów do wydania rozkazu przez krótkofalówkę, i patrzył wyczekująco na Sebastiana.
– Jeżeli dobiegną do lasu, trudno będzie ich potem złapać. Czy Wasza Eminencja rozkaże otworzyć ogień? Patrząc na uciekających, nagle ich rozpoznałem.
– To Wił i Julia! – krzyknąłem.
Sanchez przypadł do Sebastiana.
– Na miłość Boską, ksiądz kardynał nie może przyzwolić na to morderstwo!
Tymczasem oficer nie ustępował.
– Eminencjo, jeśli mamy odzyskać Rękopis, muszę natychmiast wydać rozkaz strzelania! Zamarłem z przerażenia.
– Księże kardynale, proszę mi zaufać! – przekonywał Sanchez. – Ten Rękopis nie zburzy żadnych odwiecznych stworzonych przez Kościół wartości... Wasza Eminencja nie może kazać zabić tych ludzi!
Sebastian pokręcił głową.
– Mam księdzu zaufać?... – Usiadł za biurkiem i zwrócił się

do oficera. – Nie będziemy strzelać. Proszę wydać rozkaz, by ich ująć!
Oficer zasalutował i wyszedł z gabinetu. Sanchez odetchnął
zulgą.
– Dziękuję Waszej Eminencji, to była mądra decyzja – powiedział.
– Nie będziemy zabijać – powiedział Sebastian. – Ale to nie znaczy, że zmieniłem zdanie. Ten Rękopis to przekleństwo. Podważa struktury władzy duchownej. Stwarza ludziom iluzję, że mogą mieć wpływ na swoje przeznaczenie. Podaje w wątpliwość zasady dyscypliny, która jest konieczna, aby sprowadzić wszystkich mieszkańców tej Ziemi na łono Kościoła... – Zmierzył Sancheza surowym spojrzeniem. – W tej chwili już nie ma znaczenia, co zrobicie, wy czy ktokolwiek inny. Całe peruwiańskie siły zbrojne są postawione na nogi. Postaramy się, aby dziewiąte wtajemniczenie nigdy nie wyszło poza granice tego kraju. A teraz wynoście się z mojej misji!

Opuszczając w pośpiechu teren misji, słyszeliśmy warkot dziesiątek nadjeżdżających ciężarówek.
– Dlaczego on nas wypuścił? – zastanawiałem się głośno.
– Przypuszczam, że uznał nas za całkowicie nieszkodliwych
– odpowiedział Sanchez. – Po prostu nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Doprawdy nie wiem. co o tym myśleć. Dobrze wiesz. że go nie przekonaliśmy.
Miałem mętlik w głowie i nie wiedziałem, co to wszystko znaczy. A może celem naszego przybycia nie było skłonienie Sebastiana do zmiany zdania, lecz tylko opóźnienie jego działań?
Spojrzałem na Sancheza. Skupił się na prowadzeniu wozu i poszukiwaniu śladów Wiła i Julii. Dwukrotnie zawracaliśmy w kierunku, w którym — jak widzieliśmy – uciekali, ale bez rezultatu. Podczas jazdy myślałem o ruinach Świątyni Nieba. Próbowałem wyobrazić sobie wygląd tego miejsca: warstwowe odkrywki, namioty archeologów, a w tle majaczące ogromne budowle...
— Chyba nie ma ich tu w okolicy – stwierdził Sanchez. -

Pewnie mają samochód. No więc co robimy?
— Myślę, że powinniśmy pojechać do tych ruin – zaproponowałem.
Odwrócił się do mnie.
— Chyba. Bo właściwie dokąd jeszcze moglibyśmy pojechać?
Skręciliśmy na zachód.
— Co ksiądz wie o tym miejscu? – spytałem.
— Tak jak mówiła Julia, ruiny te są świadectwem dwóch różnych kultur. Pierwsi byli Majowie, którzy stworzyli tu kwitnącą cywilizację, choć większość ich świątyń znajdowała się dalej na północ, w Jukatanie. Jednak wszystkie ślady tej cywilizacji zniknęły w tajemniczy sposób, bez żadnej widocznej przyczyny, około sześciuset lat przed naszą erą. Na jej gruzach zbudowali później cywilizację Inkowie.
— A jak ksiądz uważa, co stało się z Majami?
— Gdybym to ja wiedział!
Nagle przypomniałem sobie, że Sanchez w rozmowie z kardynałem powiedział, jakoby przeczytał dalszy ciąg dziewiątego wtajemniczenia.
— W jaki sposób zdobył ksiądz resztę dziewiątego wtajemniczenia? – spytałem.
— Ten młody żołnierz, który nam pomógł, wiedział, gdzie znajduje się ten tekst. Kiedy się rozdzieliliśmy, zabrał mnie do innego pomieszczenia i udostępnił mi go. Nie znalazłem tam już wielu treści, o których by nie mówili Phil i Dobson, ale uzyskałem dalsze argumenty do dyskusji z Sebastianem.
— Czyli czego się ksiądz dowiedział?
– śe Rękopis ułatwi zrozumienie wielu wyznań religijnych i dopomoże religiom osiągnąć ich cele. Każda religia opiera się na poszukiwaniu przez ludzkość związku ze źródłem doskonałości. I wszystkie też mówią o przyjęciu przez człowieka Boga do swojego wnętrza, co nas uszlachetni. Religie poszły złą drogą, kiedy przywódcy zaczęli przypisywać sobie prawo do interpretacji wobec wiernych woli Boga, zamiast demonstrować im, jak mogą znaleźć drogę do Boga w swoim wnętrzu...
Rękopis przewiduje, że kiedyś w historii znajdzie się osoba,

która w pełni ogarnie drogę do Boga jako źródła energii i wyznacznika celu i własnym przykładem wykaże, iż takie połączenie jest możliwe – tu Sanchez spojrzał na mnie. – Czy to nie jest to, co zrobił Pan Jezus? Podniósł swój poziom energii tak dalece, że mógł... – nie dokończył i pogrążył się myślach.
– O czym ksiądz myśli? – zagadnąłem go znów po chwili. Sanchez spojrzał jakoś niepewnie.
– Właśnie nie wiem, co o tym sądzić, bo na tym kończyła się partia tekstu, którą dostałem od żołnierza. Powiedziano tam, że ta osoba przetrze szlak, którym podąży ludzkość, bowiem on jest jej przeznaczeniem. Nie wyjaśniono jednak, dokąd ten szlak prowadzi.
Przez najbliższe piętnaście minut jechaliśmy w milczeniu.
– Oto ruiny – odezwał się w pewnej chwili Sanchez.
Przed nami, po lewej stronie szosy, wśród drzew widać było trzy budowle o kształcie piramidalnym. Kiedy wysiedliśmy z wozu, z bliska mogłem stwierdzić, że zbudowane są z kamiennych bloków i rozmieszczone w równej odległości około trzydziestu metrów od siebie. Plac między nimi wyłożony był gładkimi kamieniami, a u podnóża w kilku miejscach znajdowały się odkrywki archeologiczne.
– Zobacz tam! – Sanchez wskazał mi najdalej stojącą budowlę.
Siedziała przed nią jakaś postać ludzka. Gdy szliśmy w jej stronę, czułem, jak podnosi się mój poziom energii, a już na środku brukowanego placu poczułem, że energia wypełnia mnie całego. Spojrzałem na Sancheza, a on tylko uniósł brwi ze zdumienia. Z bliska zobaczyłem, że pod piramidą siedzi po turecku Julia, trzymając na kolanach jakieś papiery.
– Julia! – zakrzyknął Sanchez.
Wstała i zwróciła się w naszą stronę, twarz jej promieniała.
– Gdzie jest Wił? – spytałem.
Julia wskazała ręką w prawo. W odległości około stu metrów stał Wił, promieniując światłem zachodzącego słońca.
– Co on tam robi? – spytałem.
– Mamy dziewiąte wtajemniczenie! – Trochę nie na temat odpowiedziała Julia, wyciągając ku nam papier. Sanchez

powiedział, że i on przeczytał już jego część, która mówi, jak zmieni się ludzkość na skutek świadomej ewolucji.
– Ale dalej nie wiem, dokąd ta ewolucja nas doprowadzi - dokończył.
Julia w odpowiedzi uniosła w górę swoje papiery, jakby spodziewała się, że będziemy czytać w jej myślach.
– O co chodzi? – spytałem.
Sanchez dotknął lekko mojej ręki, chcąc mi przypomnieć, abym zbytnio się nie spieszył i uważał na wszystko.
– Dziewiąte wtajemniczenie jasno ukazuje nasze ostateczne przeznaczenie – powiedziała Julia. – Przypomina nam, ludziom, *że* to my jesteśmy szczytowym ogniwem ewolucji. Wraca do początków materii i opowiada ojej rozwoju i rozwoju gatunków do coraz wyższych form organizacji. Ludzie pierwotni uczestniczyli w ewolucji nieświadomie, zdobywając energię, gdy zwyciężali przeciwników, a tracąc ją, kiedy zostawali pokonani. Konflikty trwały, dopóki nie wynaleziono demokracji. Wtedy też nie ustały, ale przeniosły się z płaszczyzny fizycznej na intelektualną...
Cały ten proces – mówiła dalej Julia – zakodował się w naszej świadomości. Teraz widzimy jasno, że cała historia ludzkości przygotowywała nas do ewolucji świadomej.
Potrafimy już podnosić swój poziom energii i świadomie wykorzystywać biegi zdarzeń. Przyspiesza to tempo naszej ewolucji, a zarazem podnosi nas na wyższy poziom organizacji.
Przerwała na chwilę, przyglądając się każdemu z nas z osobna, potem powtórzyła z naciskiem:
– Przeznaczeniem człowieka jest stałe podnoszenie poziomu swojej energii. Wzrost poziomu naszej energii spowoduje z kolei wzrost ruchu atomów w naszym ciele.
Urwała znowu.
– I co wtedy? – spytałem.
– Wtedy staniemy się lżejsi, czyli bardziej uduchowieni. Kątem oka zauważyłem, że Sanchez intensywnie wpatruje się w Julię. Ta zaś mówiła dalej:
– Dziewiąte wtajemniczenie powiada, że kiedy ludziom uda się stale przyspieszać ruch atomów, *zaczną* się dziać dziwne rzeczy. Całe zbiorowiska ludzi, które osiągną określony

poziom organizacji materii, mogą stawać się niewidzialne dla tych, którzy jeszcze tego nie osiągnęli. Wtedy ludziom na niższym etapie będzie się wydawało, że tamci znikli. A oni będą świadomi, że nie zmienili miejsca, tylko po prostu czują się lżej...
Gdy Julia to mówiła, zauważyłem, że dzieje się z nią coś dziwnego, całe jej ciało zaczęło nabierać cech biopola. Widoczne pozostały jej czyste i wyraźne rysy, ale wyglądała jakby zamiast z mięśni i skóry była zbudowana ze światła, żarzącego się od wewnątrz.
Spojrzałem na Sancheza i on też tak wyglądał. Mało tego, to samo stało się z budowlami, z kamieniami brukowymi, otaczającym lasem i moimi dłońmi. Piękno, które teraz dostrzegłem, przekraczało wszystko, co widziałem do tej pory, nawet podczas tamtej wizji w górach.
– Kiedy ludzie osiągną tak wysoki poziom organizacji materii, że dla niektórych staną się niewidzialni – tłumaczyła dalej Julia – będzie to znak, że przekroczyliśmy granicę między tym a tamtym światem. I to świadome przejście jest właśnie drogą, którą ukazał nam Chrystus. To On potrafił pobrać tyle energii, że stał się tak lekki, aby móc chodzić po wodzie! To On, tu na Ziemi, stał się silniejszy niż śmierć i jako pierwszy dokonał przejścia ze świata fizycznego do duchowego! Swoim życiem dowiódł, że jeśli nawiążemy kontakt z tym samym źródłem energii, to będziemy mogli powtórzyć tę samą drogę. W pewnym momencie każdy człowiek osiągnie tak wysoki poziom organizacji materii, że będzie mógł w niezmienionej postaci przekroczyć granicę nieba!

Zauważyłem, że zbliża się do nas Wił. Jego ruchy robiły wrażenie tak płynnych, jakby się ślizgał.
– W trzecim tysiącleciu – mówiła dalej Julia – taki poziom organizacji osiągnie już większość ludzi. Będzie to się odbywać grupowo, wśród ludzi najsilniej ze sobą złączonych duchowo. W historii zdarzało się. że pewne społeczności osiągały ten poziom równocześnie. Według dziewiątego wtajemniczenia na przykład Majowie przeszli razem z jednego świata do drugiego.
Nagle urwała. Usłyszeliśmy za sobą szmer przytłumionych

głosów. W ruiny wdzierali się żołnierze i zmierzali ku nam. O dziwo, wcale się nie bałem. śołnierze szli w naszym kierunku, ale jakby nie do nas.
– Jesteśmy dla nich niewidzialni – zauważył Sanchez. - Osiągnęliśmy już właściwy poziom!
I rzeczywiście, zbrojne szeregi mijały nas z lewej strony, w odległości jakichś sześciu, siedmiu metrów, nie zwracając na nas uwagi.
Nagle spod sąsiedniej budowli usłyszeliśmy głośne okrzyki po hiszpańsku. śołnierze, którzy byli najbliżej nas, cofnęli się i pobiegli w tamtym kierunku.
Wytężyłem wzrok, aby zobaczyć, co się tam dzieje. Z lasu wynurzyło się kilku żołnierzy, prowadząc pod ręce Phila i Dobsona. Widok ten wstrząsnął mną. Czułem, jak mój poziom energii gwałtowanie spada. Spojrzałem na Sancheza i Julię. Oboje wpatrywali się usilnie w żołnierzy i także wyglądali na wytrąconych z równowagi.
– Nie traćcie energii! – to były słowa Wiła, lecz jakby lekko zniekształcone. Bardziej je czułem, niż słyszałem.
Zobaczyliśmy Wiła, jak idzie szybkim krokiem w naszą stronę. Widzieliśmy, że próbuje coś powiedzieć, ale tym razem zabrzmiało to całkiem niezrozumiale. Chyba miałem kłopoty z koncentracją. Postać Wiła widziałem teraz jak w krzywym zwierciadle. Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy stopniowo całkiem znikł.
Julia odwróciła się do nas. Widać było, że jej poziom energii nieco spadł, ale nie robiło to na niej żadnego wrażenia. Przeciwnie, wydawało się, jakby teraz dopiero wszystko się jej wyjaśniło.
– Nie potrafiliśmy utrzymać należytego stanu skupienia materii – powiedziała. – Strach działa bardzo niekorzystnie. - Mówiąc to, patrzyła w tę stronę, gdzie Wił znikł z pola widzenia. – Dziewiąte wtajemniczenie przewiduje, że poszczególne jednostki od czasu do czasu mogą indywidualnie przekraczać barierę dwóch światów, ale na większą skalę nie stanie się to, dopóki nie zlikwidujemy uczucia strachu i nie nauczymy się utrzymywać właściwego stanu skupienia w każdej sytuacji. Widać było, że jest coraz bardziej podniecona.

– Rozumiecie? Dziewiąte wtajemniczenie pomoże nam uzyskać taką pewność siebie, abyśmy byli w stanie to zrobić. Ukazuje nam, do czego zmierzamy, podczas gdy inne rozdziały przedstawiają wizję świata pełnego piękna i energii, a nas uczą, jak zacieśniać z nim kontakt i postrzegać jego piękno.

Im więcej piękna postrzegamy, tym bardziej postępuje nasza ewolucja. A im dalej posuwamy się na drodze ewolucji, tym wyższy jest poziom wibracji naszych atomów. A nasilone postrzeganie i wzmożony ruch atomów otworzy przed nami niebo. Tylko jeszcze o tym nie wiemy.

Gdybyśmy zwątpili w słuszność obranej przez nas drogi lub stracili z oczu cel, musimy pamiętać, dokąd zmierza nasza ewolucja, na czym polega istota życia. Naszym celem jest osiągnięcie nieba na Ziemi. Teraz już wiemy, jak można to zrobić... jak to zrobimy.

Przerwała i po chwili wystąpiła z najważniejszą rewelacją:

– Dziewiąte wtajemniczenie zapowiada, że istnieje jeszcze dziesiąte. Myślę, że dotrzemy i do niego...

Zanim skończyła, seria z automatu nadłupała kamienne płyty pod naszymi stopami. Przypadliśmy do ziemi. Nikt nie odezwał się ani słowem, gdy żołnierze odebrali nam odbitkę dziewiątego wtajemniczenia i poprowadzili każde z nas w innym kierunku.

Pierwsze tygodnie uwięzienia przeżyłem w ciągłym strachu. Powtarzające się brutalne przesłuchania obniżyły drastycznie poziom mojej energii.

Postanowiłem udawać głupiego i na wszystkie pytania odpowiadać: “Nie wiem".

Nie było to zresztą niezgodne z prawdą, bo rzeczywiście nie miałem pojęcia, kto jeszcze może mieć odbitki Rękopisu, ani też jak szeroką aprobatę w społeczeństwie zyskał ten dokument.

Metoda poskutkowała i w końcu zmieniający się ciągle oficerowie zmęczyli się tym bezproduktywnym śledztwem. Teraz zajęli się mną cywilni funkcjonariusze, którzy zastosowali inny sposób.

Starali się przekonać mnie, że cała moja podróż do Peru

była szaleństwem, ponieważ w gruncie rzeczy żaden Rękopis nie istnieje. Według nich kopie rzekomych wtajemniczeń zostały sfabrykowane przez grupkę księży, którzy chcieli wzniecić bunt. Gdy urzędnicy usiłowali wmówić mi, że zostałem oszukany, nie oponowałem.

Po jakimś czasie rozmowy z nimi stały się wręcz przyjazne. Zaczęto w końcu traktować mnie jak ofiarę spisku, naiwnego jankesa, który naczytał się powieści przygodowych i nieświadomie wplątał się w awanturę w obcym kraju.

Miałem już mało energii i z pewnością poddałbym się temu praniu mózgu, gdyby nie pewne zdarzenie. Niespodziewanie przetransportowano mnie z bazy wojskowej, gdzie byłem dotychczas trzymany, do ośrodka rządowego w pobliżu lotniska w Limie. Przez przypadek dowiedziałem się, że trzymają tam również księdza Carla. Spotkanie z nim przywróciło mi część mojej wiary w siebie.

Akurat wyprowadzono mnie na spacer, kiedy zauważyłem go, jak siedzi na ławce z książką. Przeszedłem obok, starając się nie okazywać zbytniego entuzjazmu, aby nie zwrócić na siebie uwagi funkcjonariuszy znajdujących się w budynku. Gdy usiadłem przy nim, przywitał mnie szerokim uśmiechem.

– Spodziewałem się ciebie – stwierdził.

– Jak to?

Odłożył książkę, a ja dostrzegłem radość w jego oczach.

– Kiedy przyjechaliśmy z księdzem Costousem do Limy - wyjaśnił – zaraz nas aresztowano i rozdzielono. Odkąd tu siedzę, nie rozumiałem, dlaczego wciąż nic się nie dzieje. Zacząłem wtedy regularnie myśleć o tobie – spojrzał na mnie porozumiewawczo. – Wyobraziłem sobie, że się zjawiasz.

– Cieszę się, że księdza spotykam – odpowiedziałem. – Czy ksiądz słyszał, co się stało w ruinach Świątyni Nieba?

– Tak, miałem okazję zamienić parę słów z księdzem Sanchezem. Był tu przez jeden dzień, zanim go gdzieś wywieźli.

– Czy wszystko z nim w porządku? Może wie, co się stało z resztą naszych? I co oni mają zamiar z nami zrobić?

– Ksiądz Sanchez nie wiedział nic o tamtych, ani ja nic nie wiem. Rząd ma zamiar odszukać i zniszczyć wszystkie

egzemplarze Rękopisu, a potem przedstawić całą sprawę jako jedno wielkie oszustwo. Oczywiście zdyskredytowaliby nas, ale co potem mieliby z nami zrobić – nie wiadomo.
– A co z odbitkami pierwszego i drugiego wtajemniczenia, które Dobson zostawił w Stanach?
– Mają je także – zmartwił mnie ksiądz Carl. – Dowiedziałem się od księdza Sancheza, że agenci rządu peruwiańskiego zdołali je wykraść. Oni musieli chyba być wszędzie, bo od początku wiedzieli o Dobsonie, a także o twojej znajomej Charlene.
– Czy to oznacza, że gdy władze zakończą swoje działania, nie zostanie już ani jeden egzemplarz?
– Byłby cud, gdyby któryś udało się uratować. Moja świeżo odzyskana energia znów zaczęła mnie opuszczać.
– Czy wiesz, co z tego wynika? – spytał ksiądz Carl. Patrzyłem na niego w milczeniu.
– To oznacza – podjął myśl – że każdy z nas musi zapamiętać dokładnie treść Rękopisu. Ani ty, ani Sanchez nie przekonaliście kardynała Sebastiana, aby zaprzestał poszukiwań, ale opóźniliście jego działania na tyle, że zdążyliśmy zrozumieć dziewiąte wtajemniczenie. Teraz trzeba rozgłosić to między ludźmi i ty musisz wziąć w tym udział.
Odebrałem to oświadczenie jako formę nacisku, doszła do głosu moja gra kontroli, odezwała się dawna skrytość. Odchyliłem się na oparcie ławki i spoglądałem gdzieś w bok. Rozśmieszyło to księdza Carla. Zauważyliśmy, że ktoś przygląda się nam z okna ambasady, znajdującej się po sąsiedzku.
– Posłuchaj – mówił ksiądz Carl pospiesznie. – Te wtajemniczenia muszą trafić do ludzi. Każdy, kto o nich usłyszy i uwierzy, że są prawdziwe, musi podać tę wiadomość kolejnej osobie, która gotowa jest na jej przyjęcie. Ludzie muszą otworzyć się na kontakt ze źródłem energii, mówić o tym i oczekiwać tego. W przeciwnym razie znów wrócimy do fałszywego przekonania, że istotą życia jest dominacja nad innymi i eksploatacja naszej planety. Jeśli zaś ludzkość wróci do tego etapu, czeka ją zagłada. Każdy z nas musi starać się jak najszerzej rozpowszechnić to przesłanie.

W tej chwili zauważyłem, że z budynku wyszli dwaj urzędnicy i idą w naszą stronę.
– Jeszcze jedno – dodał cicho ksiądz Carl.
– Co takiego?
– Dowiedziałem się od księdza Sancheza. że Julia mówiła, iż istnieje dziesiąte wtajemniczenie. Nie zostało jeszcze odnalezione i nie wie, gdzie może być.
Urzędnicy byli już blisko.
– Chcą cię chyba wypuścić – domyślił się ksiądz Carl. -To znaczy, że jesteś jedynym człowiekiem, który może je odnaleźć.
Dwaj mężczyźni przerwali naszą rozmowę i zaprowadzili mnie do budynku. Ksiądz Carl pomachał mi na pożegnanie ręką i jeszcze coś mówił, ale ja myślami byłem już gdzie indziej. Kiedy bowiem wspomniał o dziesiątym wtajemniczeniu, nawiedziła mnie myśl o Charlene. Dlaczego akurat teraz mi się przypomniała? Czyżby miała coś wspólnego z dziesiątym wtajemniczeniem?
Dwaj mężczyźni kazali mi spakować rzeczy i wyprowadzili mnie do służbowego samochodu czekającego przed naszą ambasadą. Stąd odwieziono mnie wprost na lotnisko, do hali odlotów. Tam jeden z urzędników z nieznacznym uśmiechem spojrzał na mnie spoza grubych szkieł okularów.
Ale nawet i ten cień uśmiechu znikł, kiedy zwracał mi mój paszport wraz z biletem na lot w jedną stronę do Stanów Zjednoczonych. Z silnym hiszpańskim akcentem poradził mi, abym nigdy już tu nie wracał.